

BESTSELLEROWY PISARZ „NEW YORK TIMESA”

seria *Driven*

# *Aced*

Uwikłani

*K. Bromberg*

 editored

**K. Bromberg**

**Aced**

**Uwiklani**

**Seria Driven**

Tytuł oryginału: The Dirven Series: Aced (Book #5)

Tłumaczenie: Marcin Machnik

ISBN: 978-83-283-3009-2

Copyright © 2016 – Aced by K. Bromberg

All Rights Reserved. The scanning, uploading, and electronic sharing of any part of this book without the permission of the publisher or author constitute unlawful piracy and theft of the author's intellectual property.

Polish edition copyright © 2017 by Helion SA

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

[Poleć książkę](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Oceń książkę](#)

[Księgarnia internetowa](#)

[Lubię to! » nasza społeczność](#)

*Znajdź moją dłoń w mroku,*

*A jeśli nie znajdziemy światła,*

*Stworzymy sobie własne.*

— Tyler Knott Gregson

***Inne książki K. Bromberg***

*Driven. Namiętność silniejsza niż ból*

*Fueled. Napędzani pożądaniem*

*Crashed. W zderzeniu z miłością*

*Slow Burn. Kropla drąży skalę*

*Sweet Ache. Krew gęstsza od wody*

*Raced. Ścigany uczuciem*

*Hard Beat. Taniec nad otchłanią*

## *Prolog*

— Ry? — wołam, wchodząc na ostatni stopień. Mam w dłoni karteczkę, którą zostawiła mi na blacie. Karteczkę ze słowami: „Twoja randka właśnie się zaczyna. Nic prócz prześcieradeł”. Ciekawość trawi mnie od środka i każe mi przyspieszyć kroku.

Cóż, może nie tyle ciekawość, ile perspektywa zobaczenia jej czekającej na mnie nago. Ten dzień był beznadziejny i nie sądzę, żeby tego rodzaju cud mógł cokolwiek zmienić, ale zawsze można mieć nadzieję.

Słyszę muzykę SoMo, gdy wchodzę na górny taras, na którym dawno temu odbyła się nasza pierwsza randka typu „nic prócz prześcieradeł”. *Słodki Jezu*. Zatrzymuję się, gdy ją dostrzegam. Leży na szezlongu w czarnej koronkowej koszulce, na którą nie zwracam zbyt wiele uwagi, bo jest tak bardzo prześwitująca, że widać, iż Rylee nie ma nic pod spodem. Ma włosy upięte na czubku głowy, niepomalowane usta, rozszerzone kolana i stopy zwieszane po obu stronach szezlongu. Rozprasza mnie to na moment, bo wbijam wzrok między jej nogi, wypatrując czegoś więcej, i dopiero po chwili orientuję się, że całości obrazu dopełniają wysokie szpilki.

*Niech mnie*. Na sam widok czuję ich ukłucia na pośladkach, gdy będzie obejmowała mnie nogami. Taki ból jest przyjemny dla każdego mężczyzny.

— Hej — odpowiada tym swoim lekko ochrypłym głosem, który przemawia do mojego serca, mojego członka i każdego zakończenia nerwowego pomiędzy. Uśmiecha się nieśmiało, przymruża powieki, opuszcza jedną stopę i unosi brwi. — Widzę, że dostałeś mój liścik. Cieszę się, że wiedziałeś, gdzie mnie szukać.

— Kotku, znalazłbym cię, nawet gdybym był ślepy i głuchy. Nie ma mowy, żebym zapomniał tamtą noc.

— I poranek — dopowiada i, do licha, ma rację. Poranek był równie niesamowity. Zaspany seks. Seks po przebudzeniu. Seks o wschodzie słońca. Sprawdziliśmy wszystkie te opcje i jeszcze kilka innych. Dostrzegam, że zarumieniła się na samo wspomnienie. Moja seksowna żona wita mnie po pracy w koronkach i szpilkach, a mimo to jest zawstydzona. Cóż za ironia. Uwielbiam, że robi to dla mnie, chociaż wiem, że mimo iż jest pewna siebie, trochę ją to deprymuje.

— To był piękny poranek — potwierdzam, nie odrywając od niej wzroku. Zawsze jest olśniewająca, ale dzisiaj ma w sobie coś innego, co nie ma nic wspólnego z koronkową bielizną. To coś zapiera mi dech w piersi, nawet jeśli nie potrafię tego do końca uchwycić.

Do diabła, co mi umyka? Uderza mnie panika na myśl, że przegapiłem coś

ważnego. Czy to jedna z tych dat, które facet powinien wpisać sobie w kalendarz z pięcioma przypomnijkami, żeby nie zapomnieć? Szybko przebiegam w myślach typowych podejrzanych: to nie nasza rocznica. Ani jej urodziny.

Przechodzę do kolejnych kwestii, które zwykle umykają facetom. Nie zmieniła koloru włosów. To musi być nowa bielizna. Naprawdę? Cholera, nie mam pojęcia. Jeśli tak, to czy odrobina koronki może tak zmienić czyjeś zachowanie?

Cóż, moje na pewno, ale z zupełnie innego powodu.

*Co to może być, Donovan?* Przełknij dumę i po prostu spytaj. Oszczędź sobie zgadywania i kłopotów, w które wpadniesz, jeśli nie trafisz i zranisz jej uczucia. Po tylu latach brania leków na niepłodność w końcu jej hormony się unormowały, więc bez sensu, żebyś na nowo doprowadził ją do rozstroju.

— Coś się w tobie zmieniło... — urywam, licząc na to, że dokończy.

Ale ona oczywiście nie łapie przynęty. Mogłem się domyślić, że moja żona nie da się na to nabrać. Każe mi zapracować na odpowiedź. Patrzymy na siebie bez słowa, po czym nagle jej usta rozciągają się w pełny uśmiech.

*Daj mi jakąś odpowiedź, Ry.*

Nie. Nie ma zamiaru. Tego też mogłem się domyślić. Nie pozostaje mi nic innego, jak podziwiać widok: rowek między piersiami, koronki, naga skóra i uda, między którymi chciałbym się jak najszybciej znaleźć. Gdy w końcu spoglądam jej w oczy, z uśmieszku wnioskuje, że dobrze wie, o czym myślę. Zerka na stół, w końcu udzielając mi jakiejś wskazówki.

Jest na nim sporo pudełek na wynos z naszej ulubionej restauracji z chińszczyzną. Dostrzegam też galwanizowane wiaderko z lodem, z którego wystają szyjki butelek, oraz leżące na boku pałeczki i papierowe talerzyki. Trzeba przyznać, że byłem tak zajęty patrzyeniem na nią, że nie zauważyłem tego jedzenia.

Teraz jednak burczy mi w brzuchu.

— Jest tu wszystko, co lubisz — mówi, bawiąc się lamówką koronkowej bielizny, a ja odruchowo spoglądam między jej uda, gdzie jest tak ciemno, że nie umiem nic dostrzec. Co nie oznacza, że nie próbuję. — Mam nadzieję, że jesteś w nastroju na chińszczyznę. Pomyślałam, że możemy zaspokoić razem swoje apetyty.

Nie potrafię powstrzymać szerokiego uśmiechu, bo w tej chwili moje myśli są zdominowane zaspokajaniem apetytów, które nie mają nic wspólnego z pałeczkami. Z jej ściągniętych ust wnioskuje, że doskonale wie, co mam na myśli. Owszem, może i jestem głodny, ale nie obchodzi mnie teraz żadne jedzenie, bo pragnę poczuć na języku smak czegoś zupełnie innego.

— Wiem, że ciężko pracujesz i że stresuje cię ten wyścig w następnym tygodniu. Sonoma zawsze sprawiała ci problemy... Dlatego postanowiłam cię dopieścić nocną randką z twoją seksowną żoną — dokańcza z uniesionymi brwiami, jednocześnie kusząc mnie i prowokując. Cholerna flirtiarza.

— Czy moja *seksowna żona* myśli, że gdy przywita mnie na tarasie w takim

stroju, to będzie mnie w ogóle obchodziło jedzenie, zimne piwo i zachód słońca, którym możemy się rozkoszować w trakcie kolacji? — pytam, podchodząc do niej, bo z każdą chwilą czuję coraz silniejsze pragnienie dotyku.

— Na rozgrzewkę... owszem.

— Lubię rozgrzewki. — Wyciągam dłoń i wodzę palcem wzdłuż jej obojczyka. Mimo upływu czasu nadal jest coś niesłychanie seksownego w tym, jak jej ciało nieznacznie drży pod wpływem mojego dotyku, zdradzając mi, że pragnie mnie równie mocno jak ja jej. — Lubię też deser... — dodaję i milknę. W gęstym od napięcia seksualnego powietrzu klękam na szezlongu między jej nogami. Chyba oszalała, jeśli sądzi, że może mnie tak przywitać i nie zostanie porządnie i ostro zerżnięta, zanim zejdziemy z tego tarasu. — Zapomniałaś jednak o pewnym istotnym drobiazgu.

Jej fioletowe oczy otwierają się szerzej, gdy się do niej zbliżam.

— Jakim? — pyta bez tchu. Odbieram jej słowa każdym zakończeniem nerwowym.

— Zapomniałaś pocałować męża na przywitaniu. — Wylapuję jej uśmiech, zanim przechyli głowę tak, że nasze usta będą idealnie dopasowane.

— Cóż, pozwól mi naprawić mój błąd, *sir* — stwierdza, doskonale wiedząc, że to tylko jeszcze bardziej mnie nakręci. Cholera. Jakby to było dla niej coś trudnego. W końcu to Rylee, czyż nie?

Myśli o tym, co jeszcze mogłaby mi robić, tytułując mnie w ten sposób, przerywają mi jej usta na moich ustach. Tak, pragnę teraz jej całej, ale biorę to, co mi oferuje. Poza tym jej pocałunki są diabelnie seksowne. Żaden facet nie przyzna się, że sprawia mu to przyjemność: delikatne i powolne muśnięcia, rozpalające w moim podbrzuszu ogień, który przechodzi kręgosłupem w górę i łaskocze mnie w okolicy karku. Ten rodzaj pocałunku stawia mnie natychmiast na granicy utraty kontroli, gdy jedynym moim pragnieniem jest zerwanie majtek i wbicie się w ciasną, gorącą cipkę.

Ry przerywa pocałunek, a ja jęcę z zawodu i zaciskam pięści, żeby pohamować się przed przyciągnięciem jej do siebie. Mimo trawiącego mnie głodu jestem gotów zrezygnować z kolacji.

— Lepiej? — pyta prowokacyjnie i patrzy na mnie uwodzicielsko.

— Hmm... Mam też inne części ciała, które trzeba odpowiednio przywitać. — Walczę z uśmiechem, który ciśnie mi się na usta, bo uwielbiam, gdy ona taka jest. Bezczelna. Seksowna. Moja. Tylko przy mnie pozwala sobie na porzucenie swojej powściągliwej natury.

— Biedny, niedopieczony mąż — mówi i wydyma seksownie usta, krocząc palcami w górę mojego uda. Patrzę na jej dłoń, a mój członek błaga o to, by poruszała się szybciej. — Obiecuję, że przywitam odpowiednio wszystkie te części ciała, ale najpierw... *musisz coś zjeść*.



Co za zimny prysznic. *Serio?* Czy ona naprawdę sądzi, że może mnie wabić dotykiem, a potem wepchnąć mi w usta sajgonkę? Nie zna mnie na tyle, żeby wiedzieć, że jeśli chodzi o nią, nic nie jest w stanie mnie okiełznać? No chyba, że przez okiełznanie rozumiemy przywiązywanie do łóżka.

— Ty kusicielko. — Spoglądam jej prosto w oczy, chwytam ją za dłoń i kładę tam, gdzie chcę, żeby teraz była: na swoim kroczu. — Po co czekać? Dlaczego nie mielibyśmy zacząć od deseru?

— Niezła próba, As, ale kolacja nam wystygnie. — Chwyta mnie zdecydowanie za krocze. Czuję przez spodnie drapanie jej paznokci, lecz gdy odchylam głowę i wydaję z siebie jęk, ona uwalnia dłoń z mojego uścisku. — Zjedzmy coś.

— Co za bezduszność! — śmieje się. Cóż mi zresztą pozostało? Ta kobieta jak zawsze trzyma mnie za jaja. Patrzę na nią z uśmiechem na ustach i niedowierzaniem w oczach i zwieszam nogi z szezlongu. — Nie możesz mnie witać w taki sposób i oczekiwać, że będę w stanie skupić się na kurczaku gongbao.

— Ale to twoje ulubione danie — odpowiada żartobliwym tonem, po czym z determinacją zaczyna otwierać pojemniki.

Mam apetyt jak wilk, ale wcale nie na chińszczyznę.

Przyciągam ją do siebie od tyłu. Ciepło jej ciała jeszcze bardziej utwierdza mnie w mojej decyzji. Odgrzewana chińszczyzna jest na pewno znacznie smaczniejsza. A jeśli moje słowo ma tu jakiegokolwiek znaczenie, to taką właśnie będziemy się raczyć.

— Ośmielę się twierdzić inaczej. Ty jesteś moim ulubionym daniem — mruczę w jej obojczyk. Czuję jej waniliowy zapach i łaskotanie włosów na policzku. Ciało mojej uwielbiającej trzymać się planu żony napina się początkowo, ale gdy składam pocałunek tuż pod jej uchem, w strefie powodującej natychmiastowe opadanie ubrań, to ciało poddaje się i wtapia w moje. — Żądam najpierw deseru.

— Łamacz reguł — wzdycha, splatając palce z moimi na swoich piersiach. Próbuje wymyślić, jak mnie okiełznać, chociaż przecież zna mnie już wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że na nic się to nie zda. Jeśli chodzi o zaspokajanie się nią, nic nie jest w stanie mnie powstrzymać.

— Za to mnie kochasz.

— Prawda.

— A co powiesz na kompromis?

— Kompromis? — pyta, jakby była w szoku, że to słowo w ogóle przeszło mi przez gardło podczas rozmowy o seksie.

— Tak. Ty trochę ulegniesz i ja trochę ulegnę.

— Mam wrażenie, że twoja definicja uległości jest zupełnie inna niż ta, którą ja mam na myśli — odpowiada prowokacyjnie. — Nie zapominaj, że cię znam,

Donavan. Wiem, że lubisz grać nieczysto...

— Jasne, że lubię, szczególnie jeśli w grę wchodzi seks z tobą.

Ry uśmiecha się i potrząsa głową.

— Ale ja mam plan.

— Zawsze masz jakiś plan — odpowiadam, śmiejąc się z rezygnacją. — Założę się, że mój plan jest lepszy.

— No to pokaż, co tam masz — stwierdza ze śmiertelną powagą, po czym uświadamia sobie podwójne znaczenie tego, co powiedziała. Czuję drgania jej pleców, gdy próbuje pohamować śmiech.

— Co ty na to, że najpierw będziemy uprawiali seks, a potem zjemy? — pytam, w pełni świadom tego, że doprowadzam ją do szaleństwa. Wybucha głośnym śmiechem, a ja po raz pierwszy od powrotu do domu słyszę w jej głosie coś innego. Nie daje mi jednak zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanowić.

— Nie. Nie pasuje do planu. A już na pewno nie jest to kompromis. Najpierw jedzenie, potem seks — oznajmia, odsuwając się, i odwraca się twarzą do mnie. Krzyżuje ręce na piersiach, próbując postępować ze mną bez ogródek.

— Uwielbiam, gdy jesteś taka władcza. — Nachylam się z zawadiackim uśmiechem, w pełni świadom tego, że mój komentarz ją zirytuje.

Przymruża oczy. Widzę, że usilnie stara się wymyślić taki sposób negocjowania, który pozwoliby jej postawić na swoim. I niech mnie kule biją, ale nie mam pojęcia, o co jej chodzi. Byłem tak zaabsorbowany pracą — nieznaczną przewagą w punktach nad Lukiem Masonem, wyścigiem w Sonomie i całą resztą — że najwyraźniej coś mi umknęło.

— Chyba mamy impas — stwierdza w końcu. Udało mi się na chwilę zachwiać jej determinacją, ale teraz odzyskała pewność siebie, a ja jestem gotów do działania.

— Dobrze, że twarde ze mnie zawodnik — mówię i poruszam szybko brwiami, zerkając na jej strój.

*Jestem twardy tam gdzie trzeba, kotku.*

— Och, wiem o tym, As, ale myślę, że w kwestii tego, co będzie dalej, musimy się zdać na ciasteczka z przepowiednią. — Jej oczy rozbłyskują wyzwaniem, a ja zaczynam się śmiać z niedorzeczności jej słów.

— Ciasteczka z przepowiednią? O czym ty mówisz?

— Cóż... Powiedziałaś, że chcesz najpierw deser, więc próbuję pójść na kompromis — stwierdza, mrugając rzęsami.

— Nie taki deser miałem na myśli — wyjaśniam. Mogę tylko potrząsnąć głową na jej idiotyczną sugestię, ale cóż, wykorzystam każdą okazję, żeby przyspieszyć sprawę i móc potem powoli się nią rozkoszować. Przecież na pewno będę w stanie tak poprzekręcać te głupie wróżby, żeby służyły moim celom. Niech więc będzie. *Pilka w grze, Ryles.* — To niedorzeczne, ale skoro wszystko

zaplanowałaś, to ty ustalasz reguły. Miejmy nadzieję, że wróżba stwierdzi, że powinnaś uprawiać dziki seks ze swoim mężem.

Jej twarz rozjaśnia się uśmiechem. Nachyla się, eksponując rowek między piersiami, i zaczyna grzebać w reklamówce na stole. Skupiam się na ciemnoróżowych sutkach widocznych pod przejrzystym materiałem. Chwilę później Rylee z zadowolonym uśmiechem macha mi ciastkami przed twarzą.

Dobrze wie, co robi, i bezwstydnie ze mną pogrywa, a ja bawię się językiem w ustach, czekając na odpowiedni moment, i pozwalam jej cieszyć się tą chwilą.

— Tylko trzy? — pytam, gdy stawia je na stole przed nami. — Jak zdecydujemy, komu przypadnie to trzecie?

— Skoro uczymy się chodzenia na kompromisy... — milknie i szturcha mnie w żebra. Odchyła się, ale chwytam ją za ramię, przyciągam do siebie i całuję niewinnie w usta. Za dużo czasu minęło od ostatniego pocałunku. Klepie mnie w ramiona, gdy próbuję wsunąć język między jej wargi. — Czy ty próbujesz odwrócić moją uwagę, żeby zdobyć trzecie ciastko, Donavan?

— Udało mi się? — Zawsze trzeba mieć nadzieję.

— Masz. Ty pierwszy — stwierdza, nie odpowiadając na moje pytanie, i wręcza mi torebkę z ciastkami. Biorę ją, a ona siada obok i opiera kolano o moje udo, dając mi idealny widok na swoją cipkę. Zerkam i dostrzegam pasek niewygolonych włosów, co jeszcze bardziej mnie podnieca.

*Ciasteczkowi bogowie, bądźcie dla mnie łaskawi. Wywróżcie nam seks.*

— No dobrze, zobaczmy — mówię i wyjmuję ciastko z torebki. Przełamuję je demonstracyjnie, modląc się o wróżbę, którą da się przerobić. Wyciągam pasek papieru i potrząsam głową. *Serio? Czy mogłem lepiej trafić?*

— Co tam masz? — pyta Ry, widząc, że się śmieję.

— *To był długi wyścig, ale w końcu przekroczyłeś linię mety.* — Podnoszę wzrok, a Ry wygląda na równie rozbawioną jak ja.

— Trzeba przyznać, że pasuje do ciebie — stwierdza i mruży powieki, zastanawiając się nad słowami. — Pytanie tylko, o jaki wyścig im chodzi.

— *Życie?* — wzruszam ramionami. — Za cholerę nie wiem.

Śmieje się, obracając drugie ciasteczko w dłoniach. Dlaczego nagle wydaje się taka podekscytowana?

— Zastanawiasz się, w jaki sposób zbliży cię to do seksu, ale nie sądzę, żeby ci to w jakikolwiek sposób pomogło.

Do diabła, ma rację. Nie da rady przekuć tego na seks przed posiłkiem, bo nie jest to zbyt dobra wróżba, jeśli już przekroczyłem przysłowiową linię mety.

— Cholera. To jeden dla jedzenia przed seksem. Ale nie rozzuchwalaj się, pani Donavan. Liczę na rewanż — odpowiadam, popychając jej dłoń z ciastkiem w jej stronę. Zjadam kawałek swojego z nadzieją, że ta gra się wkrótce skończy, chociaż jednocześnie dobrze się bawię. — Twoja kolej.

Czego ja bym dla niej nie zrobił?

— Dobrze — stwierdza, łamie ciastko i wpatruje się w swoją wróżbę. — Tu jest napisane: *Twoje szczęśliwe liczby to sześć, dziewięć i szesnaście*. — Podnosi wzrok i patrzy na mnie niepewnie, przygryzając dolną wargę.

— To nic nie znaczy. Nie ma tam czegoś więcej? — pytam, zabierając jej karteczkę. Nie. Tylko tyle. Chyba jakiś błąd w druku czy coś, ale, do licha, to akurat mogę wykorzystać. — Super! Jeden punkt dla seksu przed posiłkiem, bo twoje szczęśliwe liczby to sześć i dziewięć... *sześćdziesiąt dziewięć*. I wiesz co? Tak się składa, że ja też lubię pewne czynności związane z tą liczbą...

— Jesteś niepoprawny — rzuca, odpychając się na żarty od mojego torsu, po czym ku mojemu zaskoczeniu chwyta mnie za koszulę i przyciąga mnie do siebie. Zatrzymuje się kilka centymetrów od mojej twarzy. Czuję na ustach ciepło jej oddechu, ale coś w wyrazie jej twarzy powstrzymuje mnie przed pocałunkiem.

*A ja nigdy nie powstrzymuję się przed całowaniem jej.*

— Co jest? — pytam, lecz ona potrząsa głową, próbując mruganiem powstrzymać łzy, które wzbierają w jej oczach mimo uśmiechu na ustach. — Mów do mnie, Ry. Co się stało? — Ujmuję jej twarz w dłonie i czekam na wyjaśnienie. Łzy wzbudzają we mnie panikę. Jak to się stało, że przeszliśmy od seksowności i flirtowania do płaczu?

— Głupia jestem — odpowiada, potrząsając głową, jakby to miało osuszyć jej oczy z łez. Chyba wyczuła, że zaczynam świrować, bo wyrывa się z moich dłoni, żeby mnie pocałować. — Kocham cię — szepcze delikatnie w moje usta, a coś w jej głosie sprawia, że serce zaczyna mi szybciej bić. — Tak na zabój, z motylkami w brzuchu... i tyle.

Jej słowa opadają głęboko, w miejsce, w które ostatnio nie zaglądam: cholerną przepaść zamieszkaną przez demony z dzieciństwa. Te, które rządziły moim życiem, zanim pojawiła się Rylee i rozświetliła mrok swoją pierdoloną perfekcyjnością i bezinteresowną miłością, przepędzając zwątpienie, które od czasu do czasu wychyla swój paskudny łeb.

Odchylam się, żeby się upewnić, że kobiecie, która jest dla mnie całym światem, faktycznie nic nie jest. Bo jeśli coś jej jest, to zrobię wszystko, co będzie konieczne, żeby jej pomóc. Przygryza dolną wargę, uśmiecha się i potakuje, jakby chciała powiedzieć, że wszystko w porządku. Gładzę kciukiem odcisk zębów pozostawiony na jej wardze i postanawiam nieco rozluźnić atmosferę.

— Przez chwilę naprawdę mnie przestraszyłaś. Uznałem, że wkurzyła cię perspektywa sześćdziesiąt dziewięć i pomyślałem, że mam przechlapane z tym całym „póki śmierć nas nie rozłączy”, bo w sumie lubię, gdy się w to bawimy.

— Jesteś wyjątkowo dobry, jeśli chodzi o tę liczbę, więc absolutnie nie wyrzucamy jej z naszego repertuaru — odpowiada i puszcza mi oczko. Przygryza policzek od wewnątrz i spogląda na trzecie i ostatnie ciastko w mojej ręce, po czym

wraca wzrokiem do mnie.

To świetnie, ale coś mi tu zdecydowanie nie gra.

— Weź. — Wyciągam ciastko w jej stronę z nadzieją, że to naprawi wszystko, co mogłem spieprzyć.

— Nie, ty je otwórz — odsuwa je z powrotem do mnie, a na jej twarzy znowu pojawia się uśmiech. — Ono przeważy szalę.

Próbuję włożyć jej ciastko w dłoń, ale ona wciska mi je i odpycha moje dłonie.

— Seks przed jedzeniem, seks przed jedzeniem — powtarzam i oboje chichoczymy. Śmiech zamiera jednak na moich ustach, gdy czytam ostatnią wróżbę i próbuję ją zrozumieć. — *BRZUfasolkaCHU*.

O co chodzi? Czytam jeszcze raz, po czym spoglądam na Rylee. Łzy w jej oczach i szeroki uśmiech na tych idealnych ustach zapierają mi dech w piersi. I nagle wszystko układa się w całość.

Mam wrażenie, jakby nagle wszystko zaczęło poruszać się w zwolnionym tempie — myśli, oddechy, widoki — poza moim sercem, które łomocze jak oszalałe, gdy zerkam na poszatowane słowa na karteczce. W końcu podnoszę wzrok.

Nie.

To niemożliwe.

— *Naprawdę?* — pytam. Nie poznaję swego głosu, w którym niedowierzenie miesza się z podziwem, gdy pytam o coś, na co już nigdy nie mieliśmy mieć szansy.

Po moim policzku spływa pierwsza łza. Patrzymy sobie w oczy, ale tym razem nie czuję paniki, którą zwykle wyzwała we mnie płacz.

— *Naprawdę* — szepcze Rylee.

Niedowierzenie zmienia się w najlepszą możliwą rzeczywistość.

*BRZUfasolkaCHU*.

Fasolka w brzuchu.

— Jesteś w ciąży? — Nie potrafię uwierzyć we własne słowa. Przyciągam ją do siebie, na kolana.

Rylee nie potrafi nic wykrztusić, potakuje więc tylko ze łzami i obejmuje mnie kurczowo. To niesamowite doznanie, gdy tak mnie ściska, bo jeszcze nigdy nie czułem się z nią tak blisko. Nawet gdy byłem w niej.

Mam jedną dłoń na jej karku, a drugą w dole pleców. Wtulamy się w siebie, jakbyśmy nie chcieli być rozdzieleni nawet jedną cząsteczką powietrza, siedząc na tarasie, na którym tak wiele się zaczęło. To logiczne, że właśnie tu chciała mi o tym powiedzieć.

Chowam twarz w zagłębieniu jej szyi. Wydawało mi się, że oddałem jej serce i duszę, ale byłem w błędzie, bo teraz, w tej chwili, czuję się z nią tak mocno

związany, jak nie byłem nigdy wcześniej. Moja pieprzona Rylee.

Przez głowę przebiegają mi wspomnienia wieloletniego leczenia niepłodności. Często ponosiły nas emocje, a nadzieja zawsze przegrywała z przygniatającym rozczarowaniem. Gdy rok temu ostatecznie uznaliśmy, że spłodzenie dziecka w tradycyjny sposób nie będzie nam dane, Rylee nieco się podłamała. Nie przeczę, że były to trudne chwile w naszym małżeństwie, ale najbardziej druzgotało mnie obserwowanie, jak kobieta, którą kocham bardziej niż własną duszę, z każdym dniem coraz bardziej się zamyka, a ja nie mogę nic z tym zrobić.

W końcu nie czuję obezwładniającej bezradności, która dręczyła mnie przez cały ten czas.

Odchylam się i drżącymi dłońmi ujmuję jej twarz. Jeszcze nigdy nie wydawała mi się tak piękna: błyszczące oczy, promienny uśmiech i kielkująca w niej cząstka nas.

— Będziemy mieli dziecko — szepcze. Mimo że już o tym wiem, usłyszenie tego z jej ust odbiera mi oddech i mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z klatki piersiowej. — W czerwcu. Dziewiątego.

Szósty. Dziewiąty.

Do licha.

Przekroczyliśmy metę, do której mieliśmy nigdy nie dotrzeć.

## *Rozdział 1.*

### *Colton*

#### *Sześć miesięcy później*

— Trochę się bałem, że straciłeś władzę w domu, gdy kazałeś mi dzisiaj wpaść, ale to? — pyta Becks i przerywa, rozglądając się po pustej plaży. — Jak widać, moje obawy wcale nie były takie bezzasadne.

— Gdzie twoja wiara, brachu? — zerkam na niego przez okulary przeciwsłoneczne. — Wyobrażasz sobie, że miałbym pójść na *baby shower*? — pytam, a on parska w odpowiedzi. — Zapewniam cię, że mam jaja tam gdzie trzeba. Nie ma mowy, żebym w tej chwili znalazł się chociażby w pobliżu domu. — Wzdrygam się demonstracyjnie na myśl o tych wszystkich kobietach, które z rozkoszą zostawiłyby na moim policzku ślad szminki.

— Kolejna odsłona estrogenowego wiru.

— W rzeczy samej. — Wyciągam dłoń i stukam szyjką butelki piwa w jego butelkę. — I to nie w dobrym znaczeniu.

— I dlatego właśnie sędzę, że to będzie dziewczynka — odpowiada ze śmiechem, a ja burczę na tę jego logikę. — Stary, bawiłeś się kobietami przez tak długi czas, że strasznie śmiesznie byłoby obserwować kobietę, która pogrywa z tobą do końca twojego życia, bo w pełni sobie na to zasłużyłeś — wyjaśnia i wyciąga mały palec, sugerując, że jeśli będę miał córkę, dam się jej owinąć wokół tego palca. Skurczybyk ma zapewne rację, ale nie przyznam mu tego. Poza tym ma tak szeroki przymilny uśmiech, że w pełni zasługuje na oberwanie kapsłem, którym w niego rzucam.

— Nikt nie będzie ze mną pogrywał, tego możesz być pewien. — Podnoszę butelkę do ust, a Becks śmieje się do rozpuku, bo wie, że to nieprawda.

— Nie sędzę, żebyś miał pojęcie, co cię czeka, stary.

Ma rację. Nie mam pojęcia. Żadnego. Najmniejszego. Wiem tylko tyle, że im bliżej do rozwiązania, tym bardziej czuję się, jakbym miał za mało czasu, żeby się do tego przygotować. *Tego?* Chyba raczej do gruntownej reorganizacji całego życia. Przeróżające.

— To co, jak sobie z tym radzisz?

— Żarty się skończyły — mruczę w zadumie i powoli kiwam głową.

— Biorąc pod uwagę, że w domu masz teraz *baby shower* z kobietami

owiniętymi papierem toaletowym, co jest dla mnie kompletnie niezrozumiałym rytuałem, które rozmawiają o rozwarciu i pieluchach... to masz rację, żarty się skończyły. Ale nie myśl sobie, Wood, że dam się zbyć. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Radzę sobie. — *Odwal się, Daniels.*

— Od jak dawna się znamy? — pyta. Mam świadomość, że zastawia pułapkę, szkoda tylko, że nie wiem, na co poluje. Zamiast więc udzielać mu odpowiedzi, którą dobrze zna, skupiam się na odrywaniu etykiety z butelki.

— Mięczak — mruczy pod nosem. Rzuca przynętę. Dolewa oliwy do ognia, którego wolałbym nie rozpalać.

— O co ci chodzi, Becks? Chcesz usłyszeć, że cała ta sprawa z dzieckiem przeraża mnie do szpiku kości? Że mam w głowie kompletny zamęt? — Podnoszę muszlę i rzuca ją na stos wodorostów po prawej. — Lepiej ci?

Mam ochotę wstać i zejść do wody, jak najdalej od niego, ale on zna mnie na tyle dobrze, że gdybym to zrobił, wiedziałby, że załazł mi za skórę i że udało mu się mnie sprowokować, tak jak zamierzał.

Jak, do cholery, mam mu wyjaśnić, że wszystko jest po staremu, lecz jednocześnie wydaje się zupełnie inne? I że mimo to nie chciałbym tego zmienić, nawet gdybym mógł? W odpowiedzi przypuszczalnie wyciągnąłby pieprzony kaftan bezpieczeństwa.

— Lepiej mi? Nie. — Jego chichot działa mi na nerwy. — Prędeziej tobie ulżyło. — Spoglądam na niego zza ciemnych okularów. — Chcesz o tym pogadać?

— Nie — odszczekuję. Niech się nie wtrąca w sprawy, o których nie chcę gadać. Ale milczenie jest udręką, kusi mnie, by się odezwać. Wiem, że mogę zaufać Becksowi. Mimo to krztuszę się słowami, które próbuję z siebie wyrzucić. *Dorośnij, Donovan.* — Tak. Kurwa. Nie wiem.

— Dość jednoznacznie to wyjaśniłeś — stwierdza, próbując skłonić mnie do śmiechu.

Ściągam czapkę, przeczesuję dłonią włosy i zakładam ją z powrotem, żeby zyskać trochę czasu.

— Będę miał dziecko, Becks. Przeraża mnie wszystko, co z tym związane. Pieluchy, przyszłość, nadzieje... Nie wiem, co jeszcze, ale na pewno umknął mi milion innych rzeczy. Czy ja w ogóle nadaję się na ojca? Czy będę dobrym ojcem? Sam wiesz, jakie miałem skopane dzieciństwo. Nie znam niczego innego. Skąd, do cholery, mam wiedzieć, że pod wpływem stresu i zmęczenia nie cofnę się do tego, co znam? — Ostatnie pytanie wypowiadam, niemal krzycząc, i uświadamiam sobie, co właśnie powiedziałem.

*Otwórz sobie lepiej następne piwo, Donovan, bo jęczysz jak stara baba.*

Becks zaczyna się śmiać. Jego karcący chichot działa na moje nerwy jak papier ścierny o najgrubszym ziarnie.



— Dzięki Bogu! Najwyższy czas, żebyś zaczął okazywać to, że świrujesz, bo ja na pewno bym świrował. Słuchaj, nikt nie ma dyplomu dobrego rodzica. Wszystkiego uczysz się po drodze, na własnych błędach. — Wzrusza ramionami. — A jeśli chodzi o to ostatnie... Stary, pomyśl tylko, jaki jesteś dla chłopców w Domu. Nigdy ich nie skrzywdziłeś. Czegoś takiego nie ma w twoim systemie, niezależnie od tego, jak bardzo pochrzaniłoby twoje dzieciństwo.

Potakuję, słuchając jego słów, i czuję nieznaczną ulgę na myśl, że to, co przeżywam, jest normalne. Ale moja normalność i normalność dzieciństwa Becksa to dwie zupełnie różne rzeczy. Dlatego chociaż rozumiem ten punkt widzenia, nadal przygniata mnie strach, że w całym tym rodzicielstwie poniosę dramatyczną klęskę. Że Rylee nie będzie widziała świata poza maluchem i zapomni o mnie. Że mam w żyłach tę samą krew co moja matka, która miała mnie za nic. I tę samą krew co ojciec, który nie był zainteresowany wychowywaniem dzieci.

— Stary, to zupełnie normalne, że świrujesz — dodaje Becks, gdy otwieram lodówkę i wyciągam kolejne piwo, żeby zapisać własną głupotę. — Czasem coś spieprzysz, ale tak to już jest. Nie ma żadnych instrukcji bycia dobrym ojcem... Uczysz się na bieżąco. Coś jak z pierwszym seksem. Praktyka czyni mistrza czy jakoś tak.

Parskam śmiechem. Pieprzony Becks. Chyba nie znam nikogo innego, kto porównałby rodzicielstwo do seksu, a ja w pełni rozumiem jego analogię. Trafił do mnie.

— Jeśli chodzi o seks, *muszę przyznać*, że mam za sobą mnóstwo praktyki.

— Sądząc po brzuchu Rylee, chyba w końcu opanowałeś tę umiejętność. No widzisz, nie ma powodów do obaw. Dałeś radę.

— Stary... — wyrywa mi się z ust, a w głowie pojawiają się obrazy z dzisiejszego dnia. Miałem przesunąć sofę w salonie, żeby zrobić miejsce dla pożyczonych na *baby shower* stołów i krzeseł, ale koniec końców patrzyłem na zapadające się policzki Ry, która mnie ssała. Przypominam sobie jej uśmiech i spojrzenie, gdy prowadziła mój śliski członek między swoimi piersiami prosto do wilgotnych ust. Czuję mrowienie w jądrach na samą myśl o jej wargach opinających moją męskość — najpierw tylko samą końcówkę, a potem więcej.

— Aż tak dobrze, co? — pyta Becks, odrywając mnie od wyobrażeń o mojej seksownej żonie.

— Jak cholera. — Nie jestem w stanie opanować zadowolonego uśmiechu.

— Czyli to prawda? — Odwracam się do niego, zatrzymując dłoń z piwem w połowie drogi do ust, i czekam na wyjaśnienie. — Że kobiety w ciąży są tak napalone?

Zerkam w stronę domu za naszymi plecami, skąd dociera do nas estrogenowy śmiech, i potakuję.

— Stary, powiem ci tylko tyle, że magiczna cipka to nic w porównaniu z

ciężarną cipką.

— No co ty?

— Istna nimfomanka — mówię, przeciągając słowa.

Wyraz jego twarzy jest po prostu bezcenny: uniesione brwi, opadnięta szczęka i powolne potakiwanie.

— Do licha — wykrztusza. — Po prostu do licha.

— Nawet sobie *nie* wyobrażasz — dodaję ze śmiechem. — Kurde, wszyscy ostrzegali mnie przed huśtawkami hormonalnymi i wahaniami nastrojów, a tymczasem ja siedzę tu uśmiechnięty jak głupek, bo mam przyjaciółkę cipkę. Stary, jedyną jej ciężową zachcianką jest mój członek, a ja ochoczo pomagam jej ją zaspokoić.

— Pieprzony szczęściarz.

— Jakbym tego nie wiedział.

— Nie bałeś się, że... — urywa, lecz wyłapuję rozbawienie w jego głosie. —

Nieważne...

— Dokończ, co chciałeś powiedzieć, Daniels.

— Cóż, chciałem spytać, czy nie boisz się, że seks może zaszkodzić dziecku... wiesz, że stukniesz je w główkę czy coś, ale potem przypomniało mi się, że masz niespełna ośmiocentymetrowy członek, więc nie ma się czego obawiać — wyjaśnia, tłumiąc chichot.

— Dupek. — To moja standardowa odpowiedź dla niego. Szturcham go przy tym, ale i tak nie potrafię powstrzymać śmiechu, bo w sumie mogłem się tego po nim spodziewać. Poza tym przyda mi się ta zmiana tematu, żebym przestał się zastanawiać nad tym, czy dobrze zrobiłem, dzwoniąc w tym tygodniu do Kelly'ego, prywatnego detektywa.

Ale maszyna została wprawiona w ruch i już jej nie zatrzymam.

Wiem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie będzie żadnego szczęśliwego zakończenia. Co więcej, jestem przekonany, że nawet jeśli koniec końców poczuję się lepiej, to wcześniej niżle to mną pozamiata. Ale może uda mi się rozwiązać tę ostatnią sprawę. Zamknąć ostatni rozdział, zanim pojawi się dziecko.

*Trzeba zamykać niedokończone rozdziały.*

W tym przypadku faktycznie sprawy są połączone i pieprzone duchy będą się gonić nawzajem jak chomiki w kółku, a ja przycisnę pedał do dechy i odjadę w przeciwną stronę z setką na liczniku.

— Stary — Becks wyrywa mnie z zamyślenia — korzystaj z seksu, ile możesz, bo po urodzeniu dziecka przez jakiś czas będziesz musiał obejść się smakiem.

— Też tak słyszałem — jęczę. Nie mam pojęcia, jak wytrzymam przemianę żony z nimfomanki w zakonnice. — Zmiany, zmiany. Wszystko nieustannie się zmienia. Jednego dnia jestem singlem, potem się żenię, a teraz będę miał dziecko.

Jak to w ogóle możliwe? — pytam, ale mimo tych słownych wątpliwości mam na twarzy szeroki uśmiech.

— Nie mam pojęcia, jakim cudem znalazłeś kobietę, która jest gotowa znosić ten cały twój szajs, ale powinna dostać za to jakiś medal.

— Dzięki za wsparcie. — Przechyliam butelkę w jego stronę w geście pozdrowienia.

— Zawsze do usług. Po to tu jestem... ale muszę się też dowiedzieć, co ci tak załazło za skórę poza tymi wszystkimi zmianami. Coś cię dręczy i znam cię na tyle dobrze, że wiem, że to coś więcej niż to, co właśnie powiedziałeś.

Znowu się zaczyna. *Becks i jego amatorska psychoanaliza.*

Nie patrzę na niego, bo od razu zorientowałby się, że coś jest nie tak. Że to przekomarzanie jest tylko zasłoną dymną, a ja mam wrażenie, jakby mój mózg trafił do blendera. Za dużo, za szybko, zbyt wiele wątpliwości i niewiadomych. Pieprzona przeszłość, która nie chce się ode mnie odczepić.

Pieprzone duchy.

— Colton? — ponagla mnie.

Zatrzymuję piwo w połowie drogi do ust, a powracająca irytacja każe mi odpowiedzieć sarkazmem.

— Pytasz jako szef mojego zespołu, najlepszy przyjaciel czy jako psychoterapeuta?

— Mam przywilej pełnienia dwóch z trzech wspomnianych przez ciebie funkcji, więc jakie to ma znaczenie?

Kurwa. Ma rację. Dlaczego tak mnie, do cholery, naciska? Naprawdę chce poznać prawdę? Bo ja wolałbym wsadzić głowę w piasek. Niewiedza jest błogosławieństwem i takie tam.

— Zrobię co do mnie należy. Nie masz się czego obawiać — mówię zbyt beztróskim tonem i natychmiast przeklinam się w myślach, bo wiem, że Becks od razu mnie przejrzy. Ciekawe, czy zostawi te śpiące psy w spokoju, czy będzie nadal szarpał za smycz, żeby je obudzić.

— Aha... — odpowiada przeciągle. — Zapomniałeś tylko, że ja muszę się obawiać. To moja praca. Masz mnóstwo rzeczy do załatwienia, ale musisz mieć spokojną głowę, zanim wejdziesz na pokład samolotu, który zabierze cię na Grand Prix.

— Chryste, Becks. Niepokoisz się tylko o wyścig. W życiu są też inne zmartwienia poza pieprzonym torem wyścigowym! — warczę na niego, zirytowany tym, że wiedział, co powiedzieć, żeby mnie sprowokować. Jednocześnie nienawidzę go za to, że ma rację.

Połknięty haczyk? I to razem ze sporym kawałkiem żyłki.

*Skurwiel.* Wmawiam sobie, że jestem odporny na jego prowokacje, a mimo to za każdym razem udaje mu się sterować mną jak marionetką.

— Bez obaw. Moja głowa będzie absolutnie spokojna — dodaje, żeby odzyskać grunt pod nogami. — Zadowolony?

— Myślisz, że obchodzi mnie pieprzony wyścig, Donovan? Myślisz, że nic innego mnie nie interesuje? Otóż mylisz się na całej linii. Bo prześladuje mnie wizja, w której muszę sięgnąć po telefon i zadzwonić do twojej żony w dziewiątym miesiącu ciąży, żeby jej powiedzieć, że pozwoliłem ci wsiąść do auta, chociaż byłeś w rozsypce, a ty rozbiłeś się i zginąłeś, bo nie byłeś w stanie skupić się na tym co trzeba. Więc tak, niepokoję się wyścigiem... Więc wsadź sobie gdzieś to coś, czym nie chcesz się ze mną podzielić, i mów, że jestem samolubnym palantem, który myśli tylko o wyścigu. Ja chcę jedynie mieć pewność, że naprawdę będziesz miał spokój w głowie, żeby nie doszło do tego, że pozbierają cię z toru do czarnego worka, bo nie potrafisz się skupić i nie mówisz nikomu dlaczego. Nazwij mnie egoistą czy kimkolwiek chcesz... rozmawiaj ze mną lub nie rozmawiaj... *Chryste*... ale rozwiąż to, co cię trapi, żeby do tego nie doszło — rzuca i w typowy dla siebie sposób kończy tyradę równie szybko, jak ją zaczął.

Cisza powraca. Atakuje mnie. Wyciska ze mnie prawdę, której nie chcę wyznać.

— Próbuję znaleźć swojego ojca. — Kurwa. Dlaczego to z siebie wyrzuciłem? Miałem nikomu nie mówić, dopóki nie trafię na cokolwiek pewnego, naprawdę pewnego, a mimo to tajemnice wylewają się ze mnie jak z dziurawego dzbana.

Ciekawe, jak zareaguje. Zerkam w jego stronę ukryty za okularami przeciwsłonecznymi i widzę, że bierze głęboki wdech i kiwa dwa razy głową, przetrawiając moje słowa.

— Nie będę udawał, że wiem, dlaczego to robisz... ale, stary, nie sądzisz, że lepiej odpuścić niektóre sprawy? — mówi wyrozumiałym tonem, chociaż nie ma mowy, żeby mnie rozumiał. Nikt tego nie zrozumie. Chodziłem biblijną ciemną doliną więcej razy niż jestem w stanie zliczyć. Może muszę się tam zapuścić ten ostatni raz, żeby w końcu otrząsnąć się z cieni, które wciąż wiszą mi nad głową i mącą myśli.

— Sęk w tym, że to jest od zawsze nierozwiązana kwestia. Muszę ją zamknąć i odciąć się od niej, żeby przestać oglądać się za siebie. — Biorę długi łyk piwa, próbując splukać gorycz, jaką wywołuje myślenie o ojcu. — To strzał w ciemno. Kelly prawdopodobnie go nie znajdzie. A jeśli znajdzie? Cóż, może wystarczy mi, że będę wiedział, gdzie on jest. A może nie. — Wzdycham. Telefon do Kelly'ego wydaje mi się teraz kompletną głupotą. — Pieprzyć to. Zapomnij o tym, co powiedziałem.

— Jasne. Powiedziałeś, co powiedziałeś, a ja to słyszałem. Przynajmniej wiem, co cię tak ostatnio dręczyło. Ry wie?

— Na razie nie ma o czym gadać. — Ignoruję ukłucie poczucia winy. —

Ona ma dość stresu z nowym chłopakiem w pracy i z naszym dzieckiem... Zamartwianie się mną to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje.

— Po to masz mnie.

— Dokładnie — przyznaję ze zdecydowanym potaknięciem.

— A twój przybrany ojciec? Co on o tym sądzi?

Poczucie winy zaczyna się rozrastać.

— Ta sama kwestia. Powiem mu, gdy coś wyjdzie. Poza tym... to mój ojciec i zawsze mnie wspiera, niezależnie od tego, co muszę zrobić. — *Jeśli tak jest w istocie, to dlaczego mu nie powiedziałeś?*

— Dokładnie — stwierdza Becks. To jedno słowo utwierdza mnie w poczuciu winy.

Po co szukam szubrawca, który nigdy mnie nie chciał, skoro mam człowieka, który przyjął mnie zmalretowanego i zdruzgotanego pod swoje skrzydła i nigdy tego nie żałował?

*Dokładnie.*

Myśli, wątpliwości i pytania nakładają się nawzajem na siebie, ale teraz to od Kelly'ego zależy, czy uzyskam jakiegokolwiek odpowiedzi.

— Obiecuję, że moja głowa będzie spokojna, gdy wejdę na tor. — Tylko tyle mogę powiedzieć swojemu najlepszemu przyjacielowi. To mój zawiły sposób na przeprosiny.

Becks potakuje i poprawia daszek bejsbolówki.

— Cóż, mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz, chociaż osobiście wydaje mi się, że już to znalazłeś. — Zerkam na niego i widzę, że wskazuje szyjką butelki taras za mną. W poczuciu zagubienia podążam za jego wzrokiem i trafiam prosto na rozmawiającą z gośćmi Rylee.

Krzyżujemy spojrzenia. Z niesłychaną siłą uderza mnie fala emocji, bo chociaż byłem mężczyzną bez uczuć, to ona obudziła we mnie wszystko. Cały pieprzony wachlarz emocji.

Przypominam sobie, żeby oddychać. Przeszywa mnie iskra pożądania, która jest równie intensywna jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Teraz jednak jest znacznie głębsza, bo nakładają się na nią pragnienia, potrzeby, przyszłość, przeszłość i wszystko inne.

Becks ma z całą pewnością rację.

Znalezienie ojca wcale nie jest moim celem. To tylko kolejny duch przeszłości, którego muszę wyegzorcyzmować ze swojej duszy.

Jestem szczęściarzem, bo *znalazłem* coś, czego nawet nie szukałem. Cieszę się, że ona patrzy teraz prosto na mnie.

## *Rozdział 2.*

### *Rylee*

Strach nie pozwala mi o sobie zapomnieć.

Próbuję go odepchnąć, nie myśleć o nim i wrócić do codziennej pracy, do chłopców i Coltona, ale co chwilę zalewa mnie na nowo swoją falą. Nie ma znaczenia, że jestem już w siódmym miesiącu. Dwa razy zostało mi to odebrane i z każdym poruszeniem w brzuchu lub bólem w biodrach gdzieś z tyłu głowy odzywa się lęk, że tym razem będzie tak samo.

Siedzę w pokoju dla dziecka pośród stosów śpioszków, pieluch i rożków, ale niczego nie rozpakowuję, bo boję się, że rzucę jakiś zły urok czy coś. Że gdy wyciągnę chociaż jedno ubranko, zrobię pranie lub oblekę pościel w łóżeczku, to mój upragniony sen o macierzyństwie pęknie jak bańka mydlana.

W fotelu bujanym czuję się bezpiecznie. Mogę tu siedzieć z zamkniętymi oczami, czuć ruchy dziecka i falowanie nabrzmiałej skóry po każdym kopnięciu, po którym na chwilę oddycham spokojniej. Mogę położyć dłonie na brzuchu i wyobrażać sobie, że dziecko jest silne, zdrowe i nie może się doczekać chwili, gdy wezmę je w ramiona. Mogę rozkoszować się zalewającą mnie miłością do tego maleństwa, które stworzyliśmy z Coltonem. Jestem w stu procentach pewna, że ta idealna istotka jeszcze bardziej umocni naszą wyjątkową więź.

Próbuję zatrzymać to uczucie, żeby odpędzić obawy, gdy podnoszę się z fotela i przejeżdżam dłonią po materacu łóżeczka. Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę się dzieje — że za niespełna trzy miesiące w naszym życiu pojawi się nowa osoba i że wszystko się zmieni, chociaż jednocześnie nadal będzie tak samo.

Etapy życia. Jak łatwo przechodzimy z jednej roli w następną i nigdy nie zastanawiamy się nad rozległością konsekwencji tych przemian. Czy ta zmiana wpisze się w naszą rzeczywistość, czy może ją zniszczy?

Dziecko. *Nasze dziecko.* Mimo że ta nowa istota rozwija się we mnie i co jakiś czas przypomina o sobie swoimi ruchami, to wciąż nie potrafię w to uwierzyć.

Ostrożnie opadam na kolana i zaczynam przeglądać stopy prezentów. Sądząc po nich, nasi znajomi i członkowie rodziny nie mogą się doczekać młodego Donavana i chcą go rozpieścić. Sięgam po mechaty żółty kocyk i przykładam go do policzka, żeby poczuć jego miękkość, a na mojej twarzy automatycznie pojawia się uśmiech.

— Myślisz, że dziecko naprawdę potrzebuje tego wszystkiego? — Colton wyrывa mnie z zamyślenia. Stoi oparty o futrynę drzwi z kciukami w kieszeniach.

Każdy cal jego wysportowanej i umięśnionej klatki piersiowej i brzucha wznieca we mnie burzę hormonów ciążyowych, które przez ostatnie kilka miesięcy rządziły moim popędem seksualnym.

Zresztą nawet bez hormonów też bym się na niego gapiała, bo chyba nigdy nie przestanę go pragnąć. Sam jego widok sprawia, że krew zaczyna krążyć szybciej, serce mi łomocze, a dusza śpiewa.

Podziwiam przez chwilę mojego przystojnego męża. Oglądam starannie całe jego ciało i w końcu docieram do twarzy, a on uśmiecha się bezczelnie, jakby dobrze wiedział, o czym myślę. Ale gdy spoglądam w jego szmaragdowe oczy, nie znajduję w nich rozbawienia. Jego wzrok wyraża mieszankę jakichś stłumionych emocji, których nie potrafię odczytać. Przypominają mi się pełne sekretów pierwsze miesiące randkowania, a po plecach przechodzi mi nieprzyjemny dreszcz niepokoju.

Tłumię wrodzoną potrzebę wypytywania i ponaglania i wmawiam sobie, że jeśli coś jest nie tak, Colton mi o tym powie, gdy będzie gotowy. Odtrącam dręczące mnie obawy. To przypuszczalnie tylko fobie ciężarnej. Colton znosi to wszystko znacznie lepiej niż się spodziewałam, chociaż od kilku tygodni jest jakby trochę wycofany. Trapi mnie to, ale wiem, że jak każdy przyszły rodzic ma zapewne własne lęki i wątpliwości.

— Nie wiem, czy to wszystko będzie potrzebne. Trochę dużo tu rzeczy jak na jedno małe dziecko — odpowiadam w końcu, spoglądając na otaczające mnie stosy prezentów.

— Jesteś prześliczna.

Słyszając ten nieoczekiwany komplement, podnoszę wzrok i spoglądam Coltonowi w oczy, a w mojej piersi wzbiera miłość. To niemożliwe, żeby naprawdę sądził, że jestem prześliczna, skoro czuję się jak wieloryb wyrzucony na plażę, więc śmieję się cicho, po czym siadam na ziemi, podpieram się z tyłu rękami i wyciągam nogi przed siebie.

— Dziękuję, ale nie sądzę, żeby wielki brzuch i napuchnięte jak kielbaski palce u stóp kwalifikowały mnie do bycia *prześliczną*.

— Cóż, w takim wypadku możliwe, że jesteś tylko piękna — rzuca żartobliwie, uśmiecha się szeroko i wchodzi do pokoju. Rozgląda się, bierze do rąk kołderkę ze wzorem flagi w szachownicę i unosi brwi ze zdziwienia, po czym rusza dalej w moją stronę.

— Hm — mruczę, bo „piękna” także nie wydaje mi się trafnym określeniem. Ale gdy spoglądam mu w oczy, widzę w nich właśnie to: że dla niego jestem piękna. Przyjmuję to więc, bo jeśli mężczyzna widzi cię w najgorszym stanie i uważa, że jesteś w najlepszym stanie, to nie powinno się z tym dyskutować.

— Za dużo pracujesz, Ry — mówi, siadając przede mną. Tłumię westchnienie, bo słyszę to nie po raz pierwszy. Od kilku tygodni sprzecamy się o

to, że według Coltona powinnam już zacząć urlop macierzyński. — Nie możesz się tak przemęczać. Pozwól, by inni ci pomogli.

Spoglądam na kocyk, który trzymam w dłoniach. Nie podoba mi się, że Colton ma rację i że widzi mój problem z oddawaniem kontroli.

— Wiem, ale przed narodzinami dziecka trzeba jeszcze zrobić tak wiele rzeczy, którymi tylko ja mogę się zająć. Rozpoczęcie nowego projektu, problemy Auggiego w Domu i... — milknę, a moje myśli opanowuje nowy chłopiec w naszej gromadzie, potrzebujący sporo uwagi, której nie będę mu mogła dać. Wszystkie zadania na mojej wyimaginowanej liście domagają się natychmiastowego wykonania, najlepiej na wczoraj, a doba wciąż wydaje się mieć za mało godzin. Przytłacza mnie ta myśl i wzdycham głęboko, żeby zgasić palące łzy pod powiekami. Wraca lęk przed sprawieniem ludziom zawodu. Jeszcze nie odeszłam na urlop, a już mam wrażenie, że wszystko wymyka mi się spod kontroli.

— Oddychaj, Ry. Wiem, że twoja osobowość typu A pragnie mieć wszystko pod kontrolą — mówi Colton — ale to niemożliwe. Daj innym też coś zrobić. Być może nie będzie to wyglądało dokładnie tak, jak byś chciała, ale potrzebujesz pomocy. A jeśli coś nie zostanie zrobione, będziesz mogła się tym zająć, gdy już urodzi się MURB.

— Colton!

— Co ci się nie podoba w MURB-ie? To skrót od: Małe U Rylee w Brzusku — wyjaśnia niewinnie, chociaż dobrze wiem, że próbuje mnie zirytować. *Albo rozśmieszyć.*

— Przestań go tak nazywać. — Klepię go w nogę, a on wybucha głośnym śmiechem i łapie moją dłoń.

— Go? Czy ty właśnie powiedziałaś o nim *go*? — pyta, rozniecając na nowo naszą ciągłą debatę dotyczącą nieznannej płci dziecka. Przyciąga mnie do siebie i jednocześnie nachyla się w moją stronę, po czym przyciska usta do moich ust, wyzwalając pulsującą falę, która dociera aż do najniższych części podbrzusza. Czuję jego uśmiech, gdyż pozostajemy zetknięci ustami.

— Tak, powiedziałam *go*... ale to tylko zaimek — mruczę. Uwielbiam jego bliskość, a w ostatnich dniach wydawał się jakiś odległy. Uznałam, że jest równie przytłoczony jak ja, chociaż z innych powodów: niewielką przewagą w punktach przed najbliższym Grand Prix, dzisiejszym *baby shower*, podczas którego ponad pięćdziesiąt kobiet naruszyło jego najbardziej osobistą przestrzeń na ziemi, oraz nadchodzącymi zmianami związanymi z pojawieniem się dziecka. To trudne dla każdego faceta, nie mówiąc o takim, który nie spodziewał się, że w ogóle doświadczy większości tych zdarzeń.

Czy on nadal dobrze się z tym czuje? To, że powiedział, iż jest gotowy na dziecko, nie znaczy, że naprawdę tak myśli. Wiem, że nie żałuje i że pragnie tego dziecka równie mocno jak ja, ale i tak nie potrafię stłumić obaw związanych z tym,



jak poradzi sobie z nieuniknionymi zmianami w życiu moim i jego.

Trzyma nieruchomo moją dłoń na kolanie, lecz moje pragnienie poczucia więzi z nim i uśmierzenia obaw jest równie mocne jak pożądanie. Ten impuls jest zbyt silny, by mu nie ulec. Gładzę dłonią materiał opinający jego członek i ku mojemu zadowoleniu słyszę jego gwałtowny wdech.

— Czy ty próbujesz zmienić temat, Ryles?

— Skądże — odpowiadam z uśmiechem, skupiona na pokusie ukrytej tuż pod moimi palcami.

— Rozmawialiśmy o zaimkach, pamiętasz? *On* jest tylko zaimkiem? — pyta, próbując wrócić do wcześniejszego tematu. Według niego muszę znać płeć dziecka, bo przecież dziecko jest w moim brzuchu. *Faceci*.

Co prawda mam pięćdziesiąt procent szans na trafienie, ale czuję, że to chłopiec. Nie może być inaczej. Ciemnowłosy, zielonooki chłopiec, który odwiedza mnie ostatnio w snach. Ma piegi na nosie, który marszczy, gdy coś zmałuje, chwytając mnie tym za serce jak jego tatuś. Ale to tylko spekulacje i matczyzna intuicja, a nie coś, co mogłabym powiedzieć na głos.

— Nie, nie, nie — mówi, zaciskając palce na moim ramieniu, gdy próbuję znowu się do niego dobrać, aby oderwać jego uwagę od zaimków, które nie wiadomo, czy są właściwe. — *Zaimki*.

— Cóż, jeśli chcesz rozmawiać o gramatyce... to wydaje mi się, że „mokra” i „gotowa” to przymiotniki — mruczę. Dobrze wiem, że Colton zauważy w moich źrenicach zarówno przekorę, jak i pożądanie. *Nie tylko ty potrafisz zmienić temat, As*.

Wybuchła śmiechem, z czego wiem, że wyłapał moją aluzję do słów, którymi się ze mną drażnił, gdy po raz pierwszy uprawialiśmy seks na masce Sexu. Przyciąga mnie jeszcze mocniej do siebie i całuje z prawdziwą pasją. Jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy od kilku tygodni. Pragnienie pomieszane z żądzą. Namiętność ścierająca się z pożądaniem. Moje ciało wibruje z desperacji, bo jak miałoby tego nie robić, skoro on nawet całując, działa na moje libido pod każdym możliwym względem.

Jego pocałunek jest jak grawitacja przyciągająca każdą część mnie. Pragnę do niego przywrzeć i nigdy się nie odrywać. Splatamy się językami, najpierw gorączkowo, a potem delikatniej, gdy pocałunek przechodzi w wymianę czułości i miłości. Colton wolną dłonią ujmuje moją twarz i muskając kciukiem policzek, kończy pocałunek mimo moich protestów. Początkowo wydaje mi się, że dostrzegam w jego oczach rozbawienie tym, że *znowu* pragnę jakiegoś rodzaju fizycznego kontaktu, ale gdy się odzywa, domyślam się, że przejrzał na wylot moje zabiegi.

Niech to. Za dobrze mnie zna.

— Zapomniałaś, że jestem mistrzem zmiany tematu, Ryles? — Unosi brwi i

błyska szelmowskim uśmiechem. — Dobrze wiem, co próbujesz zrobić.

— Czyżbyś odtrącał propozycję seksu?

— Och, kotku, nigdy nie odtrącę twojej propozycji seksu... Chcę tylko wrócić do zaimków. — Obdarza mnie krótkim i zabójczym uśmiechem, po czym chwyta mnie za dłonie i splata palce z moimi palcami, prawdopodobnie po to, by uniknąć dalszego kuszenia z mojej strony. Wydaje się nietypowo zdeterminowany w tej kwestii jak na faceta, który nie miał ochoty wybierać imienia.

*Chce zaimków? W porządku, dam mu zaimki.*

— Chodzi ci o takie zaimki, jak wsadź *mi to*?

Chichocze i potrząsa głową.

— Nie. Niekoniecznie o te.

— Wolisz rozmawiać o gramatyce niż zadowolić żonę?

Na jego twarz wraca szelmowski uśmiech.

— Nie, wolałbym pogadać o tym, dlaczego nie cierpisz imienia MURB.

— Jesteś niemożliwy. I denerwujący — odpowiadam. Jeśli napięty materiał jego szortów można uznać za wskazówkę dotyczącą stanu jego umysłu, to z całą pewnością uda mi się doprowadzić do seksu. Nawet jeśli stawia opór, to koniec końców seks zwycięży. Jak zawsze.

— Myślisz, że to chłopiec? — pyta z ekscytacją i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Ton jego głosu kompletnie mnie rozbija.

— Jakie to ma znaczenie, skoro i tak nie chcesz ze mną porozmawiać o imionach? A przecież powoli kończy nam się czas, Donovan.

— Uwielbiam, gdy mnie tak nazywasz — odpowiada i ściska mocniej moją dłoń, gdy próbuję się wyrwać. — No dalej, zdaj się na instynkt. Pozwól się ponieść chwili. Żyj na krawędzi — powiedział kierowca wyścigowy do pracownika socjalnego. Wzdycham z rezygnacją.

— Imię naszego dziecka to coś trwałego. Nie można podjąć takiej decyzji pod wpływem chwili. — Nie mogę uwierzyć, że on naprawdę zamierza nazwać dziecko w momencie, gdy je zobaczymy po raz pierwszy. Gdy mi o tym powiedział, uznałam to za żart, ale teraz wiem, że mówił serio.

— Słuchaj, wiesz, które imiona ci się podobają, a ja wiem, które podobają się mnie. Dlaczego nie mielibyśmy poczekać, aż MURB się urodzi? Wypowiemy na głos te imiona, gdy go zobaczymy, i na tej podstawie coś wybierzemy — wyjaśnia. Patrzę na niego groźnie, bo rozpaczliwie chciałabym poznać wybrane przez niego imiona lub dowiedzieć się, czy podobało mu się któreś z tych, jakie proponowałam przez ostatnie kilka miesięcy. Jego milczenie w tej kwestii mnie dobija. — Żyj na krawędzi razem ze mną, Ry. — Chichocze, a ja potrząsam głową i próbuję udawać irytację, ukrywając uśmiech.

— Ja już żyję na krawędzi. W końcu za ciebie wyszłam, *pamiętasz?*

— Oj, kotku, pamiętam. Żaden facet nie zapomniałby tego, co zrobiłaś ze

mną tamtego poranka — odpowiada z szelmowskim błyskiem w oczach.

Rumienię się zawstydzona swoim bardzo spragnionym i *napalonym* ja, które nie oparło się mu, chociaż wiedziało, że w każdej chwili mogą zjawić się ludzie od cateringu. Oczywiście wspomnienie jego ciężkiego od pożądania spojrzenia oraz grubego i twardego członka w moich ustach wywołuje we mnie chęć doświadczenia tego *znowu*. Tym razem dla własnej przyjemności, ale nie sądzę, żeby spełnienie tej zachcianki było dla niego jakimkolwiek problemem.

Zmuszam się do wyrzucenia tych obrazów ze swojej głowy, bo dociera do mnie, że Colton osiągnął tym komentarzem dokładnie to, co planował.

— I kto tu próbuje zmienić temat? Imię MURB-a? — Unoszę brwi, a Colton wybucha śmiechem. Ten człowiek jest nieugięty. — A co, jeśli nie spodoba mi się żadne z twoich imion, a tobie nie spodoba się żadne z moich?

— Cóż, to proste. — Wzrusza ramionami. — Zmienię temat.

— To chyba jest słowo dzisiejszego dnia. Mów co chcesz, ale to nie takie łatwe, gdy w grę wchodzi tak istotna decyzja... O Boże, jeszcze — jęczę, gdy Colton kładzie moją nogę na udach i zaczyna masować stopę. Jej opuchlizna zdradza całą tę bieganinę ostatnich kilku dni związaną z nawałem obowiązków w pracy i przygotowaniem do *baby shower*, więc masaż sprawia, że czuję się jak w raju. Opieram się plecami o ścianę, zamykam oczy i rozkoszuję się przyjemnością, jaką mi sprawia.

Pieprzyć czekoladę, seks z Coltonem i raj, bo właśnie *to* — masaż stóp po całym dniu noszenia wielkiego brzucha — jest definicją nirwany. Wprawne palce Coltona przyciskają i pocierają skórę, doprowadzając mnie do rozkosznego odrętwienia.

Podnoszę głowę i otwieram oczy, a on patrzy na mnie z szerokim uśmiechem.

— Co?

— Widzisz? — Wzrusza ramionami. — Zmiana tematu. Wystarczy zmienić temat, trochę zmodyfikować nastrój, a uzyskam wszystko, czego pragnę.

Myśli, że jest taki sprytny, że nabierze mnie na to za każdym razem, ale jeśli chodzi o Coltona Donavana, już dawno temu przekonałam się, że lubi grać nieczysto, aby zdobyć to, czego chce. Dobrze, że uczyłam się od mistrza, bo znam jego sztuczki i wykorzystam je przeciwko niemu.

— Magiczne dłonie — szepczę bez tchu, bo mam wrażenie, że jego kciuk naciska w miejscu bezpośrednio połączonym ze zwieńczeniem moich ud.

— Twoje stopy są takie nabrzmiałe. — Ma opuszczoną głowę, a jego palce przenoszą się na łydkę, sprawiając mi tym większą radość niż powinny.

— Nie tylko stopy mam nabrzmiałe — oznajmiam z powagą. Colton reaguje w ułamku sekundy, podnosząc wzrok i przerywając na chwilę ruchy palców. Patrzy mi w oczy z tym swoim niegrzecznym uśmiechem aroganckiego chłopca

pomieszanego z zapalczywym kochankiem.

— Czyżby? — Próbuje udawać obojętność, ale po jego natychmiastowej reakcji wiem, że chętnie zagra w moją grę. Czas sprawdzić, jak szybko połknie przynętę, bo ja desperacko potrzebuję jego dotyku nie tylko na stopach.

— Uhm. „Nabrzmiałe” oznacza „bardzo wrażliwe”. A „wrażliwe” oznacza „intensywne”. — Głaszczę dłońmi piersi, które wylewają się z bluzeczki na ramiączkach. Colton podąża wzrokiem za moimi dłońmi i zauważa stwardniałe pod wpływem dotyku sutki, które wypychają cienki materiał. Mam olbrzymi brzuch, nie widzę swoich kostek i nigdy w życiu nie myślałam, że będę uwodzić męża w siódmym miesiącu ciąży, ale sądząc po jego drapieźnym spojrzeniu i urywanym oddechu, w ogóle go to nie obchodzi. Dla niego jestem seksowna. Wciąż mnie pragnie. To daje mi pewność siebie, której potrzebuję, by kontynuować tę grę.

— Intensywność jest spoko.

— Intensywność jest niewiarygodna — mówię z westchnieniem. Nasze spojrzenia toczą swawolną wojnę o to, kto wykona pierwszy ruch. — „Nabrzmiała” to „ciasna”. „Wrażliwa”. „Wielo...”.

— Myślę, że muszę to sprawdzić — przerywa mi i klęka, nie odrywając ode mnie wzroku. Jego dłonie przesuwają się wyżej, na uda, dotykając mnie delikatnie, lecz z determinacją, i podciągają jednocześnie materiał spódniczki.

— To, co dotknięte, trzeba wziąć w całości — kuszę go. Jego dotyk jest sprawdzianem siły woli, a widok opalonej klatki piersiowej i zapach masła kakaowego pochodzący od kremu z filtrem coraz bardziej kruszą moją powściągliwość.

— Mamy swoje wymagania, co? — przerywa i spogląda na mnie z uniesionymi brwiami i uśmiechem błakającym się w kącikach ust.

— Jak dotąd nikt nie narzekał — ripostuję, gdy nachyla się i muska lekko ustami moje wargi. Próbuje się odsunąć, ale podążam za nim, bo chcę więcej. Jeśli chodzi o niego, zawsze chcę więcej.

W jego oczach błyska wesołość, bo wie, że mnie przyłapał na tym, że próbuję grać uwodzicielkę, chociaż jedyne, czego pragnę, to mieć go w sobie lub na sobie, i to jak najszybciej.

— Chcesz czegoś? — pyta, wznawiając hipnotyzującą podróż palców w górę moich ud. Wydaje z siebie rozkoszne syknięcie, gdy trafia na moją wilgoć i odkrywa, że nie założyłam majtek, gdy po prysznicu przebierałam się w wygodniejsze ciuchy. Zatrzymuje się, a na jego twarzy przez chwilę rozgrywa się walka między pożądaniem a potrzebą kontrolowania sytuacji. W końcu wraca z palcami w stronę kolan.

— Ciebie. — Po co owijać w bawełnę, skoro to rozkoszne ciepło w podbrzuszu rozlewa się na całe ciało, a jedyna znana mi osoba, która potrafi zaspokoić moje pragnienia, siedzi naprzeciw mnie?

— *Mnie?* — Opuszcza głowę i całuje najpierw lewe, a potem prawe udo. Potem spogląda na mnie spod gęstych rzęs i powoli zwilża dolną wargę. — To dlatego nie założyłaś majtek? Czego konkretnie ode mnie chcesz?

Wznawia ruchy dłoni, uwodząc mnie dotykiem. Hipnotyzuje mnie świadomość tego, czego nie mówi.

Śmieję się nisko i sugestywnie.

— Cóż, nie chodzi o to, czego chcę od ciebie, lecz raczej gdzie chcę cię mieć.

— Chcesz mnie mieć tutaj? — pyta, przeciągając delikatnie palcami wzdłuż mojej cipki. Próbuję się nie ruszać, ale odruchowo wyginam biodra w błagalnym ruchu.

Lecz on zabiera palce.

— Nie drażnij się ze mną, Donovan. — Odczuwam wręcz fizyczny ból z powodu pragnienia ponownego dotyku. Colton chichocze i nie odrywając wzroku od moich oczu, nachyla się, żeby przejechać językiem dookoła sutka. To muśnięcie przez koszulkę przypomina mi, jakie to uczucie, ale jest zbyt słabe, bym mogła się oddać doznaniom.

— Oj, wcale się nie drażnię, Donovan — odpowiada, parodiując mnie z rozbawieniem w oczach i nie przerywając dotyku. — Ja po prostu badam sytuację.

— Jestem przekonana, iż sytuacja wygląda tak, że powinieneś jak najszybciej mnie zerznąć.

Uwielbiam ten ulotny uśmiech i nieznaczne zawahanie w ruchach, gdy wypowiadam takie żądanie. Wydaje z siebie syk, potrząsa głową i wznowia swoje kuszące ruchy.

— Zapewniam cię, że chcę cię zerznąć, kochana, ale jestem zwolennikiem równych szans.

Moje mięśnie zaciskają się odruchowo, gdy słyszę pierwszą część jego wypowiedzi, lecz nie jestem w stanie rozszyfrować drugiej, bo to na pewno nie jest pora na dowcipkowanie. To jest pora na danie rozbudzonej hormonalnie kobiecie dokładnie tego, czego chce.

— Równych szans? — wzdycham z frustracją, po czym wydaję z siebie zaskoczony jęk, gdyż Colton właśnie rozszerza kolanami moje nogi i dotyka mnie między udami. Jeśli to w ogóle możliwe, moje ciało jednocześnie rozluźnia się w poczuciu ulgi i napina, bo właśnie dostałam jego dotyk i pragnę więcej.

— Tak — odpowiada i opuszcza głowę. Czuję ciepło jego ust na odsłoniętej palcami łąchaczce. Odchylam głowę i opieram ją o ścianę, a przez moje ciało przetacza się fala przyjemności. Chwytam go za głowę, wplątam palce w jego włosy i unoszę biodra, żeby mu pokazać, że chcę od niego więcej. Zimne powietrze w miejscu, które ssal, uświadamia mi, że się oddala. Próbuję go zatrzymać między swoimi udami i słyszę jego chichot, którego wibracja jeszcze bardziej rozpala

wzniecany przez niego ogień. — Równych szans na przyjemność tutaj... — mówi i pochyła głowę, przeciągając językiem w dół i w górę między moimi nogami — ...i tutaj.

Wydaję z siebie niekontrolowany jęk, gdy wsuwa palce do środka i zgina je, trafiając w najczulszy punkt. Mój Boże... Kaskady doznań wypłukują ze mnie wszystkie myśli, gdy palcami i językiem zaczyna zaspokajać moje nienasycone pragnienie seksu.

Jego ruchy zaczynają tworzyć rytm: liźnięcia języka, wprawne pieszczoty palców w środku, delikatne ssanie łechtaczki. Moje ciało reaguje: napinam mięśnie, wyginam plecy w łuk i trzymam go mocno, a fale przyływu i odpływu popychają mnie coraz bliżej szczytu.

— No dalej, Ry — mruczy. Jego ciepły oddech na mojej śliskiej skórze sprawia, że zaczynam się wiercić i napierać biodrami na jego rękę. — Dojdz dla mnie, żebym mógł cię zerznąć w trakcie orgazmu, a mój członek pokryje się twoją wilgocią, której słodki smak wciąż będę miał na języku.

Jego słowa są jak ostatnie chluśnięcie benzyny na rozniecający się płomień. Prowokacyjne. Wybuchowe. Nie do odparcia.

Poddaję się chwili — temu doznaniu, odczuwaniu *wszystkiego* co z nim związane — i spadam w czeluść wypełnioną gorącym białym światłem. Strumień gorąca uderza w górę wzdłuż mojego kręgosłupa i rozchodzi się aż do palców stóp i rąk, po czym wraca i trafia z powrotem w moje podbrzusze, gdzie Colton wprawnymi ruchami doprowadza mnie poza granice wszelkiej rozkoszy. Słowo „intensywny” jest zbyt słabe i płaskie w konfrontacji z tym, co przeżywam.

*Za każdym razem.* Uderza mnie ta prosta myśl, że Colton za każdym razem jest dla mnie najlepszym kochankiem, jaki mógłby być.

Moje mięśnie są tak cholernie napięte, umysł zatracą się w postorgazmicznej fali przyjemności, a ja kurczowo wbijam się paznokciami w jego ramiona. Nie mam pojęcia, jakim cudem uwalnia się z kleszczy moich ud. Udaje mu się to jednak i gdy patrzę w jego pożądlive oczy i na usta, które błyszczą od mojej wilgoci, nie mogę się powstrzymać i dziękuję w myślach wszystkim szczęśliwym gwiazdom za to, że jest mój.

Bo Colton Donovan każdego dnia jest zabójczo przystojny, ale gdy obejmuję go w pasie udami, patrzę na jego nagi, opalony i umięśniony tors, a jego spojrzenie mówi mi, że weźmie mnie tak, jak będzie miał ochotę, bez zahamowań — to jest po prostu niewiarygodny.

*Nieokrzeseanie. Bunt. Brawura.*

Te trzy słowa przebiegają mi przez głowę wraz ze wspomnieniami z innego miejsca. Ten opis wciąż do niego pasuje, gdy ściąga szorty i wyciąga swój członek. Jest gruby, twardy i gotowy, by mnie posiąść. Hormony tak mieszają mi w głowie, że chociaż przed chwilą doszłam, sam ten widok sprawia, że czuję napływ śliny w

ustach.

— Colton. — Jego imię brzmi w moich ustach jak błaganie połączone z żądaniem i sprawia, że na jego twarz wraca ten szelmowski uśmieszek.

Przyciska główkę członka do mojego wejścia, zwilża językiem dolną wargę i zerka mi na chwilę w oczy, po czym opuszcza wzrok, żeby obserwować, jak się we mnie zagłębia.

— Kurwa — jęczy. — Uwielbiam patrzeć, jak twoja cipka rozciąga się wokół mnie. I jak mnie opina, gdy mnie przyjmujesz do środka.

Słyszę jego słowa, ale moje ciało jest całkowicie pochłonięte tym, jak mnie wypełnia i rozpycha, wzbudzając rozkosz każdym ruchem bioder. Zalewają mnie doznania i emocje, które każą mi zamknąć oczy, odchylić głowę i zatracić się w nadchodzącej lawinie pożądania.

Colton jest delikatny, lecz zdecydowany. Wysuwa się ze środka, po czym nakierowuje członek tak, by główką pocierać mnie tam, gdzie tego najbardziej potrzebuję. Moje ciało jest tak wrażliwe, że gdy poprawiam biodra, otwieram oczy, bo nie mogę uwierzyć, że taka rozkosz jest możliwa.

Patrzy na mnie tak, jakby doskonale znał moje reakcje i wiedział, że trafia idealnie w moje potrzeby. Że zrobił to tak dobrze, że chce to powtórzyć. Celowo wyciąga mnie na powierzchnię z postorgazmicznej śpiączki, żebym złapała oddech, nim wrzuci kolejny bieg i wciągnie mnie z powrotem w następną falę.

I tak właśnie robi: podkręca tempo, patrząc na mnie w skupieniu, a jego twarz jest naznaczona rozkoszą. Z napiętymi mięśniami ramion i karku i zaciśniętymi ustami popycha nas oboje poza granice zmysłów.

Puls mi przyspiesza, lecz umysł zwalnia. Kłucie dywanu na plecach. Jego palce ściskające moje uda. Uczucie zapadania się w pustkę, gdy on nabrzmiewa we mnie. Moje imię na jego wargach. Obserwowanie, jak dochodzi do krawędzi.

— Colton — jęczę, wyginając plecy, i kompletnie poddaję się jego działaniom. Nie jestem w stanie wykrztusić nic innego, bo drugi orgazm jest zawsze stokroć silniejszy. I tym razem jest nie inaczej. Szukam czegoś, czego mogłabym się uchwycić, i trafiam na dłoń podawaną mi przez Coltona. Splatamy palce, a ja zatapiam się we wzbudzonych przez niego doznaniach.

Teraz, gdy wie, że mnie zaspokoił, zaczyna pościg za własną satysfakcją. Wciąż dryfuję gdzieś na wyżynach orgazmu, lecz nie mogę oderwać od niego oczu: przygryziona dolna warga, biodra napierające z większym impetem, odrzucona głowa, zatracanie się we własnej rozkoszy.

— Do licha, Ry... — jęczy łamiącym się głosem. To najseksowniejsze słowa świata, bo *ja je wywołałam*. Gdy wystrzela we mnie cały swój ładunek, zastyga bez ruchu, oddając się falom rozkoszy. Znieruchomiałe dłonie, biodra, wstrzymany oddech. W końcu powoli unosi głowę, rozplata nasze palce i spogląda mi w oczy, a na jego ustach pojawia się ten zadowolony uśmiech. — Do licha, kobieto.

— Mhm — mruczę odurzona, zaspokojona i kompletnie nim oczarowana.

— Wystarczająco intensywnie?

*Jakby w ogóle musiał pytać.*

— Myślę, że nie każę ci odejść.

Wybucha głębokim gardłowym śmiechem, po czym wychodzi ze mnie i zbliża się, opierając się na dłoniach. Patrzy na mnie długo, a w jego oczach kryje się tak wiele nieodkrytych tajemnic. Najistotniejsze jest jednak to, co potrafię odczytać. To spojrzenie, które mówi mi, że jestem dla niego całym światem. Nie mam zamiaru podawać tego w wątpliwość. Żadna zdrowa na umyśle kobieta by tego nie kwestionowała. Jest perfekcyjny pod każdym względem: seksowny, troskliwy i życzliwy, a przy tym ma w sobie drania i, co najważniejsze, jest tylko mój. „Miłość” to zbyt słabe słowo, żeby opisać, co do niego czuję.

— Nie sądzę, żebyś miała jakiś wybór w tej kwestii.



### *Rozdział 3.*

#### *Rylee*

— Baxterowi się to nie spodoba.

Odrywam oczy od psa leżącego na plecach przy moich stopach i uśmiecham się z pełną świadomością, że mój pies nie będzie zadowolony, gdy przyjdę do domu z zapachem innego.

— Hej, kolego. Masz rację — mówię do Zandera, który wchodzi do Domu na czele grupy dorastających chłopców. — Jak było w szkole?

Cała czwórka zasypuje mnie słowami typu *spoko, nieźle, nudy*, a ja skupiam się z powrotem na Racerze, który podniósł się, żeby przywitać chłopców. Podoba mi się ich ekscytacja, z jaką podchodzą do najnowszego pupila Domu.

Gładząc brzuch, opieram się o blat i obserwuję, jak siedzą na podłodze wokół tej kuli futra. Ku mojemu zaskoczeniu wszyscy z radością przyjęli obowiązki związane z posiadaniem zwierzaka. I całe szczęście. Mam nadzieję, że sprawdzi się on w roli terapeutycznego psa i pomoże nowemu chłopcu, Auggiemu, odnaleźć się w naszym chaosie.

Auggie siedzi przy stole ze zwieszoną głową i koloruje coś w milczeniu, ale widzę, że od czasu do czasu zerka spod burzy swoich piaskowych włosów w stronę dokazujących chłopców. Obserwuje ich zabawę, poszturchiwania i wzajemną bliskość i widzę, że bardzo chciałby w tym uczestniczyć, lecz jest jak zablokowany. Pragnie należeć do grupy, ale brakuje mu umiejętności społecznych ze względu na zespół stresu pourazowego oraz mnóstwo innych problemów związanych z doświadczaniem przemocy domowej, które przez tak długi czas umykały uwadze pracowników socjalnych. Gdy przez wiele godzin, jeśli nie dni, siedzisz zamknięty przez rodziców w klatce dla psa i rok za rokiem nie doświadczasz żadnych interakcji społecznych, to nie masz się gdzie nauczyć nawiązywania kontaktu z grupą.

To za mało powiedziane, że jego przypadek złamał mi serce. Terapeuci zasugerowali, że pies mógłby pomóc w asymilacji, i mam nadzieję, że dzięki Racerowi Auggie w końcu nawiąże kontakt z resztą chłopców.

Oczywiście to między innymi z jego powodu tak mnie stresuje brak czasu w związku ze zbliżającym się porodem. Desperacko chciałabym przed pójściem na urlop zobaczyć, jak dogaduje się z kimś w takim stopniu jak ze mną. Boję się, że jeśli mu się to nie uda, to po moim odejściu poczuje się tak samo ograniczony i zamknięty jak w klatce u rodziców.

Czuję pod dłonią ruch dziecka i myślę, że ono będzie miało to szczęście — nigdy nie doświadczy podobnych dramatów.

— Hej, Auggie? Chcesz coś zjeść, zanim skończę dyżur? — Odwraca się do mnie i potakuje nieznacznie, a na jego ustach pojawia się cień uśmiechu. Jego uśmiech, nawet tak niemrawy, roznieca we mnie iskierkę nadziei na pozytywne zakończenie tego naszego wspólnego maratonu. — Oreo z mlekiem?

Jego uśmiech nieco się powiększa, ale moją propozycję podłapuje też Scooter.

— O, stary, ja też w to wchodzę!

*Idealnie.* Dokładnie na to liczyłam. Grupa chłopców jedzących razem ciastka z mlekiem. Ich różne dramatyczne historie, które znalazły swój finał w nowym, wspólnym rozdziale.

— O, stary — naśladuję go z uśmiechem na twarzy — odłóżcie plecaki, a ja wszystko przygotowuję.

— W pytkę — rzuca jeden z nich, a mój telefon sygnalizuje przyjście SMS-a. Sięgam do spizarni i jednocześnie zerkam na telefon na blacie. To od Coltona. Nie wiem, czego ode mnie chce, ale moja zmiana kończy się za piętnaście minut, a ta chwila ze wszystkimi chłopakami jest zbyt ważna, żeby ją przerywać.

— No dobrze — mówię, wyciągając dwie paczki ciastek i miseczki. — Ciastka trafią poza kolejnością do tych, którzy powiedzą mi o czymś, co im się podobało w dzisiejszym dniu.

— Plusy i minusy! — stwierdza Ricky z pogardą. Udaje, że jest zbyt stary na ten wprowadzony kilka lat temu zwyczaj, ale wiem, że tak naprawdę to lubi.

— Dokładnie — potwierdzam i zaczynam napełniać miseczki, a Kyle rozdaje serwetki.

— Auggie pierwszy — rzuca Zander ku mojemu zaskoczeniu. I ja, i Auggie wzdrygamy się na te słowa, chociaż z zupełnie różnych powodów. Zander posyła mi ukradkowe spojrzenie, mówiące, że wie, co robi. Minęło już prawie sześć lat od podobnego okresu w jego życiu, ale dokładnie pamięta ten stres i niepokój i próbuje pomóc Auggiemu w jedyny sposób, jaki zna.

Serce rośnie mi z dumy, gdy widzę jego dobre intencje i po raz kolejny uświadamiam sobie, jak daleką drogę przeszedł. Skoro on był w stanie tego dokonać i daje sobie teraz radę, to Auggie też ma szansę na podobny sukces.

— Zander ma rację. Niech Auggie zacznie — mówię.

Najlepsze w tym wszystkim jest to, że mimo nieustannych sprzeczek chłopcy są zdolni do okazywania miłości i współczucia.

#

— Halo? — odbieram telefon, wlekąc się zakorkowaną autostradą. Już tylko kilka kilometrów do domu, a ja jestem kompletnie wyczerpana. Zakładam, że to

Colton oddzwania, więc odebrałam po pierwszym sygnale, nie czekając na pojawienie się numeru rozmówcy na ekranie GPS-a w samochodzie. Po wyjściu z pracy kilka razy dodzwoniłam się na jego pocztę głosową. Spodziewam się wykładu na temat konieczności wzięcia urlopu macierzyńskiego. Mam jednak szczęście, bo chociaż na to naciska, rozumie powody, dla których tego nie robię. Im bardziej brakuje mi tchu i im bardziej puchną mi stopy, tym bardziej słabnie moja wyrozumiałość.

Dlatego właśnie powiedziałam Coltonowi, że pójde sama na wizytę kontrolną — żeby nie słyszał, jak doktor Steele mówi mi, że powinnam trochę odpuścić. Może dlatego odebrałam od razu — żeby pomyślał, że wszystko jest w porządku, i nie domyślił się, że tak naprawdę nabrzmiałe palce u nóg i kostki pulsują mi z bólu.

— Rylee Donovan?

— Przy telefonie. Kto mówi? — Próbuję przyporządkować kobiecy głos do jakiejś znanej mi osoby, ale bez powodzenia.

— Z tej strony Casey z portalu TMZ i...

— Skąd ma pani mój numer? — pytam, przerywając reporterce tabloidu, a jej słowa natychmiast budzą we mnie czujność.

— Chcielibyśmy wiedzieć, czy uzyskana przez nas informacja jest prawdziwa i jak sobie pani z tym wszystkim radzi?

Ciekawość i niepokój ścierają się ze sobą w moim wnętrzu. Z trudem wykrztuszam pytanie, którego nie powinnam zadawać:

— O czym... O czym pani mówi?

— O filmie dowodzącym niewierności pani męża.

Mam wrażenie, jakby jej słowa zniknęły pod naporem niedowierzania i palącego bólu w klatce piersiowej.

— Filmie? — powtarzam to słowo bardziej do siebie, zatracona we własnym poczuciu krzywdy.

— Tak, filmie z nagraniem seksu.

Wiem, że to niemożliwe, ale jednocześnie wzdycham i wstrzymuję oddech. Natychmiast przerywam połączenie. Serce opada mi do żołądka i nie mogę złapać tchu. Na szczęście skręcam już na Broadbeach, bo moje myśli są w takiej rozsypce i czuję taką adrenalinę, że trzęsą mi się ręce.

Zazwyczaj nie pozwalam, by takie ściemy mnie dotykały — w końcu poślubiłam mężczyznę, który cieszył się niegdyś reputacją jednego z największych playboyów w świecie wyścigów.

Colton by mi tego nie zrobił. On mnie kocha. Nas kocha. Jesteśmy dla siebie całym światem.

Ale chociaż wiem to wszystko, ta rozmowa telefoniczna z jakiegoś powodu wytrąca mnie z równowagi. Sprawia, że tracę grunt pod nogami. Rezonuje mi w

uszach, mimo że nie powinna.

Skąd mieli mój numer? I o jaki film jej chodziło?

Jestem zbyt blisko domu, żeby dzwonić. Zresztą nawet gdybym chciała to zrobić, nie sądzę, że tak drżącymi dłońmi byłabym w stanie trafić w odpowiednie cyfry.

*Uspokój się, Rylee.* To jedyne, co mogę sobie powtarzać, bo to przecież nie pierwsza plotka na temat Coltona i seksownej laseczki, w pobliżu której przebywał. Po raz pierwszy jednak zostałam namierzona i spytana o opinię, zanim dowiedziałam się o *skandalu*.

Brama zamyka się za mną, a ja wzdycham jednocześnie z ulgą i niepokojem. Wsiadam z samochodu tak szybko, jak pozwala mi ciężarne ciało. Gdy Sammy otwiera mi drzwi, nim zdążę wyciągnąć klucze, wiem, że to coś więcej niż plotka ze strony TMZ.

Co gorsza, Sammy kiwa mi tylko głową bez słowa i wychodzi, zamykając za sobą drzwi, żeby zostawić mnie i Coltona samych. To nie jest dobry znak.

— Colton? — wołam, rzucając torebkę na stół, po czym wylapuję jego głos w gabinecie. Przez moją głowę przemyka mnóstwo myśli, gdy pokonuję ten krótki dystans, a żadna z nich nie jest przyjemna. Jestem gotowa wparować do gabinetu i żądać odpowiedzi dotyczących zdrady, która według *racjonalnej* części mojego umysłu musi być tylko plotką.

— Chyba ich pogięło, jeśli myślą, że im uwierzę — wykrzykuje Colton, uderzając pięścią w biurko. Staję jak wryta, a wszelkie żądania gasną na mych ustach, gdy go dostrzegam. Stoi tyłem do mnie na tle okna, ma zwieszoną głowę i jest widocznie spięty. Za oknem widać spokojny ocean, ale ja natychmiast orientuję się, że Coltonowi daleko do tego uczucia.

Już dawno nie widziałam go tak wzburzonego. Uderza mnie to i przez chwilę boję się, że informacje od tej redaktorki mogą być prawdą. Niepewność, która dręczyła mnie w samochodzie, powraca z podwójną siłą, rozprzestrzeniając się po moim ciele wraz z falą gorąca i zawrotów głowy. Słowa, które chciałam mu powiedzieć, gdy go zobaczę, zostają wyparte przez lęk wynikający z tej nagłej napaści na nasz doskonale niedoskonały świat.

— Nie obchodzi mnie, co ci się wydaje, że tam widzisz, CJ, to po prostu niemożliwe. Absolutnie — mówi do swojego prawnika, a emanujący z niego gniew rozchodzi się po całym pomieszczeniu. Opieram się o futrynę i próbuję się uspokoić, chociaż mam w sercu chaos, gdy próbuję odczytać coś z tej rozmowy bez żadnych dodatkowych informacji. — Nie potrzebuję żadnego pieprzonego planu działania... Nie rozumiesz, że nigdy nie znalazłem się w sytuacji, z której ktoś mógłby wywnioskować takie bzdury!

Zwiesza głowę i wzdycha ciężko, słuchając odpowiedzi CJ-a. Mam ochotę kazać mu się rozłączyć i wytłumaczyć mi, co tu się, do diabła, dzieje, ale

postanawiam pozwolić mu kontynuować rozmowę bez świadomości, że już wróciłam. *Muszę* usłyszeć coś innego niż złagodzoną wersję, którą z pewnością mnie uraczy. Gdy wysłucham go bez cenzury, łatwiej będzie mi uwierzyć w wyczerpujące wyjaśnienia, których będzie mi musiał udzielić, gdy tylko się rozłączy.

— Ty mnie w ogóle nie słuchasz — cedzi przez zęby z wściekłością. — Mogą sobie wklejać do filmów, co im się podoba, ale TO NIE JEST PRAWDA! Tacy faceci jak ja dostają tylko jedną szansę w tej kwestii. Ja ją dostałem. Mam Rylee. Po co, u licha, miałbym to psuć? — wyrzuca z siebie z jadem, żeby dobitniej wyrazić swoje zdanie, lecz jego słowa owijają się wokół mojego serca i ścisają je mocno, bo wypowiada je w taki sposób, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. Utwierdzam się w przekonaniu, że mój mąż darzy mnie prawdziwym uczuciem, że ta sensacja to zwykła ściema, kaczka dziennikarska, a ja muszę się przygotować na przeżycie tej burzy, która nas czeka.

— No kurwa! Czy ty...? — Colton milknie, gdyż odwraca się i zauważa mnie stojącą w drzwiach z jedną dłonią na brzuchu, a drugą przyłożoną do ust. Patrzymy sobie w oczy w atmosferze wzajemnej niepewności. — Ry... — wykrztusza z siebie szeptem. Wcześniej nie wiedziałam, czy ta sytuacja jest poważna, ale jego napięta postawa i wypisane na twarzy zmartwienie potwierdzają moje obawy. — Chcę zobaczyć całość. Nie jakiś dziesięciosekundowy skrawek. Jeśli żądają pieniędzy, CJ, to muszą pokazać mi swoją kartę przetargową, prawda? — Podchodzi do mnie z niezachwianym, choć pełnym obaw spojrzeniem.

Przyciąga mnie do siebie bez zbędnych słów i przytula mocno, chowając głowę w zagłębieniu mojego karku, mimo że nadal ma telefon przy uchu.

Ta jego emocjonalna wylewność wzbudza we mnie przerażenie. Skręca mnie w żołądku, a moje serce łomocze jak oszalałe. Zamykam oczy i chłonę bliskość Coltona, próbując zaczerpnąć z niej jak najwięcej siły. Bo jeśli on się martwi, to wiem, że mam prawo być przerażona.

— Jestem przy komputerze. Będę czekał na e-maila. — Rzuca telefon na blat obok nas i przytula mnie jeszcze mocniej. Trzymam dłonie na jego plecach, przyciskam usta do jego szyi i wdycham tak dobrze mi znany zapach, lecz mimo to czuję się zupełnie inaczej niż zwykle.

Stoimy tak przez kilka chwil, chociaż w mojej duszy kotłuje się niepokój. Pozwalam Coltonowi się mną pokrzepić, bo boję się tego, co powie, gdy się ode mnie oderwie. Zacznie przeproszać? Wyzna mi coś, czego wolałabym nie słyszeć i co zdruzgotuje ten nasz mały idealny świat?

— Powiedz mi wreszcie — wyduszam z siebie w końcu, chociaż serce mnie boli ze strachu. Czuję napięcie w jego ciele, gdy chwytą mnie za ramiona i odsuwa, żeby na mnie spojrzeć, a w głowie słyszę wciąż słowa dziennikarki.

— Ry... — Znowu wypowiada tylko moje imię. Mam ochotę błagać go, by

dodał coś więcej, lecz jednocześnie się tego obawiam. Cieszę się z ciszy, chociaż wolałabym, żeby została przerwana. — Ktoś twierdzi, że ma film.

— Czyli to prawda — stwierdzam, starając się zachować obojętny ton, mimo że natychmiast czuję wzbierające lzy. Boję się, że wypłyną, więc zamykam oczy i poruszam głową, jakbym próbowała otrząsnąć się ze złego snu, który wciąga nas swoimi mackami.

— Co jest prawdą? — pyta natarczywie Colton.

— Rozmowa telefoniczna. — Nie mówię nic więcej, bo chcę wydusić z niego jakąś reakcję, żeby wyjaśnił mi, co się tu dzieje.

— Rozmowa telefoniczna? O czym ty, do cholery, mówisz, Ry? — Odchodzi o krok, opiera się biodrem o biurko i przeczesuje dłonią włosy.

— Myślę, że to ty powinienesz mi to wyjaśnić, Colton, bo trochę mnie to przeraża. Coś tu jest nie tak, a ja powinnam się o tym dowiedzieć od ciebie... a nie od jakiejś dziennikarki z TMZ, która pyta mnie przez telefon, czy chcę złożyć oświadczenie na temat jakiegoś filmu dowodzącego niewierności mojego męża! — krzyczę, wymachując rękami. Już nie jestem taka przekonana, że to wszystko bzdury, gdy widzę rozwartą szczękę Coltona i dłonie zaciśnięte na krawędzi biurka.

Mruga kilka razy, przetrawiając moje słowa, a w jego spojrzeniu dostrzegam poczucie krzywdy.

— Jezu Chryste, Ry. Ty naprawdę wierzysz, że mógłbym cię zdradzić? — Jestem zdumiona zszokowanym wyrazem jego twarzy. Wygląda, jakby szczerze nie wierzył, że w ogóle dopuściłam do siebie myśl, że mógłby być niewierny. Wytrąca mnie to z mojego chwilowego zwątpienia. Znam tego mężczyznę, czuję jego miłość i wiem, że szaleństwem było w ogóle to rozważać.

— Nie wiem, co o tym myśleć — szepczę, a moje wyznanie zawisa w powietrzu między nami. A potem przypomina mi się, co powiedział do CJ-a, i uświadamiam sobie, że niepotrzebnie w ogóle dopuściłam do siebie taką myśl. Wchodzę dalej, żeby usiąść, bo nagle moje ciało staje się równie zmęczone jak głowa.

— Ktoś nas szantażuje.

— Co? — Zaśmiałabym się z niedorzeczności tego stwierdzenia, gdyby nie to, że siedzę tu i mam mdłości. — Kto?

Colton potrząsa głową.

— CJ nie jest w stanie stwierdzić. On, ona lub oni ukrywają się za prawnikiem, który ich reprezentuje. — W mojej głowie kotłuje się mnóstwo pytań, ale przez chwilę czekam na ciąg dalszy.

— Szantażowanie jest nielegalne, prawda? — pytam w końcu, zastanawiając się, jak ktoś może ukrywać się za prawnikiem i robić coś takiego.

Colton śmieje się bez wesołości, co w żaden sposób mnie nie pociesza, a dodatkowo sprawia, że czuję się głupio, pytając o takie rzeczy.

— Pieniądze w zamian za coś, co ich zdaniem będę chciał kupić, to inaczej transakcja — stwierdza, robiąc palcami znak cudzysłowu przy ostatnim słowie, co wzbudza we mnie przekonanie, że właśnie o to sprzeczał się z CJ-em. Chcę go dopytać o więcej, ale on dodaje coś, po czym zaczyna mi szumieć w uszach, a moje myśli zupełnie zmieniają kierunek. — Oni twierdzą, że mają film, na którym uprawiam seks z inną kobietą.

Chociaż dowiedziałam się już tego w trakcie mojej krótkiej konwersacji z dziennikarką, robię głośny wdech i odruchowo zaczynam potrząsać głową, jakbym próbowała odrzucić wypowiedziane przez Coltona słowa. Wszystko, co chciałam powiedzieć i o co chciałam zapytać, zamiera mi w gardle, bo mimo że mu wierzę, to nagle przygniata mnie obezwładniające przerażenie.

Przerażenie. Ciekawość. Niepokój. Te trzy emocje tworzą we mnie dysonansowy wir, gdy próbuję to wszystko przetworzyć.

Widzę, że Colton zaczyna się martwić moim milczeniem. Podchodzi do mnie, lecz zaraz robi krok wstecz. Jest zaniepokojony i zirytowany.

— Wątpisz we mnie? — pyta coraz głośniej z każdym słowem. Nie odpowiadam. Jestem zbyt zaabsorbowana tym, co dzieje się w mojej głowie, i zbyt przytłoczona tymi wszystkimi wydarzeniami.

— Nie — wykrztuszam, bo nie potrafię odnaleźć głosu.

— Nie waż się nigdy wątpić w moją miłość do ciebie! — Podskakuję, gdy słyszę jego grzmiący głos i uderzenie dłoni w blat, mające podkreślić jego słowa. Natychmiast jednak żałuje tej reakcji, bo zaciska pięści i odchyła głowę w próbie okiełznania gniewu. Po chwili się wyprostowuje i spogląda mi w oczy z taką determinacją, jakiej jeszcze nigdy u niego nie widziałam. — Ry, przysięgam na życie tego dziecka, że nie dotykałem, nie całowałem i nie robiłem niczego z inną kobietą, nie mówiąc już o znalezieniu się w sytuacji, w której możliwe byłoby nagranie z tego filmu.

Zmuszam się do przełknięcia śliny. Wierzę mu. Nie mam wątpliwości. Ale mimo to...

— Chcę zobaczyć ten film — mówię z większym przekonaniem niż czuję.

— Przysłał akurat w chwili, gdy CJ dostał całość. Wysłała mi go e-mailem. — Colton marszczy na chwilę nos i widzę, że trochę się obawia. Ale nie nagraniem, lecz raczej tym, jak to na mnie wpłynie. I na nas. — Nie musisz tego oglądać.

— Nie mów mi, czego nie muszę robić, Colton. Jeśli niczego nie zrobiłeś, to przecież nie ma problemu, żebym obejrzała ten film, prawda? — Powoli wstaję i podchodzę do biurka, żeby usiąść przed komputerem, a Colton zostaje na swoim miejscu, oparty o nie. Ma opuszczoną głowę i z pewnością przygotowuje się psychicznie na to, co za chwilę obejrzymy.

Poruszam myszką, żeby wybudzić ekran, i wzdrygam się odruchowo, gdy

zauważam w skrzynce odbiorczej wiadomość od CJ-a o wymownym temacie „Film”, który wygląda jak szyderstwo. Czekam, aż Colton podejdzie.

— Słuchaj, Ry — mówi błagalnie. — Nie wiem, o co tutaj chodzi... a gdy już to zobaczysz, nie będziesz w stanie tego wycofać. Na sto procent nie będę to ja, ale jednocześnie nie chcę, żebyś miała w głowie spreparowane przez nich obrazy, które mogłyby wzbudzić w tobie nieufność wobec mnie. — Zwiesza głowę na chwilę, po czym podnosi ją i spogląda na mnie z determinacją. — Nigdy bym cię nie zdradził, Ry. *Nigdy*.

Obracam obrączkę na palcu. Wierzę Coltonowi, lecz jednocześnie wiem, że muszę to zobaczyć na własne oczy, więc zamiast odpowiedzieć, otwieram wiadomość. Ciszę przerywa jego pokrzepiający wdech, któremu akompaniuje dudnienie mojego serca.

Klikam załącznik.

Na ekranie pojawia się śnieg. Szare, białe i czarne kropki zniewalają moją uwagę. Czekam, aż obraz się oczyści, chociaż jednocześnie wolałabym, żeby do końca się nie zmienił. Gdy w końcu tak się dzieje, przez chwilę nie mogę uwierzyć w to, co widzę.

— O kurwa! — wyrywa się Coltonowi w tej samej chwili, gdy ja wypowiadam to samo w myślach.

Obraz jest ciemny i zaśnieżony, ale nie ma problemu, aby poznać *aktorów* i *miejsce akcji*. Wspomnienia uderzają z pełną mocą, gdy patrzę na osobę, której nie sposób nie rozpoznać, bo w pewnym momencie nieświadomie spogląda w kamerę. To Colton, który trzyma dłonie na biodrach kobiety i wbija się w nie z determinacją.

I to nie jakiejś byle jakiej kobiety.

Kobieta ma na sobie sukienkę, która jest zadarta aż do pasa, więc dokładnie widać jej anatomię.

Chociaż film jest czarno-biały, wiem, że sukienka ma czerwony kolor. A dokładnie rzecz ujmując, krwistoczerwony.

Ta kobieta to ja.

Na parkingu.

Na masce samochodu nazywanego przez Coltona Sex.

Na wypadek, gdybym zapomniała, na betonowej ścianie parkingu widać nazwę hotelu. Nie ma wątpliwości co do miejsca i przebiegu zdarzeń. *I uczestników*.

Oboje odruchowo nachylamy się bliżej, oglądając kolejne sekundy filmu i kolejne pchnięcia. Nie wiem, czy jestem bardziej zahipnotyzowana, czy przerażona tym, co się dzieje. Dopiero po chwili dociera do mnie, co to właściwie oznacza. Film jest bez dźwięku, więc w gabinecie Coltona panuje nieznośna cisza. W końcu obraz robi się czarny.



Oboje jesteśmy jak oniemiała. Nie wiemy, co powiedzieć i co zrobić. Czuję, jakby spadł mi z serca dziesięcotonowy kamień, bo Colton mówił prawdę: nie zdradził mnie.

W miejsce tego kamienia pojawiło się balansujące na krawędzi przepaści kowadło, które za chwilę spadnie, wyrządzając krzywdę każdej osobie na swojej drodze.

A my jesteśmy na tej drodze.

*Ktoś ma film, na którym uprawiam seks z Coltonem.*

Nawet gdybym obejrzała to nagranie sto razy, wciąż nie mogłabym w to uwierzyć.

— Chyba ich pogięło, jeśli myślą, że zapłacę im za to trzy miliony dolarów — stwierdza Colton zdecydowanym głosem, przerywając milczenie, a jego słowa pod wieloma względami mnie zaskakują. Oslupiała i z dłonią na ustach zmuszam się do oderwania wzroku od czarnego prostokąta na ekranie i spojrzenia na Coltona.

Jest jeszcze bardziej wściekły.

— Coś ty powiedział? — wykrztuszam w końcu. Nie wiem, czy bardziej szokują mnie te trzy miliony, czy to, że Colton nie przejmuje się tym, że ktoś nas nagrał w trakcie seksu.

— To, co słyszałaś — mówi do ściany. Wstaje z biurka i zaczyna chodzić po pomieszczeniu. Chcę się dowiedzieć, co ma na myśli, ale muszę poczekać... poczekać, aż opanuje gniew. Bo nie ma mowy, żebyśmy nie zapłacili. To ja. I on. Nago. W trakcie seksu. Każdy będzie mógł nas zobaczyć. O mój Boże!

Nie mówi nic więcej, tylko mruczy pod nosem, przerabiając coś w myślach. Wolałabym, żeby się tym ze mną podzielił. Po kilku minutach podchodzi do komputera i nachyla się nade mną, kładąc dłonie na oparciu krzesła.

— Obejrzyjmy to jeszcze raz.

— Dzwoniłeś na policję? Czy...

— Nie ma sensu — przerywa mi. — To nie nasza własność. Nie skradziono nam tego ani nie włamano się do domu, więc nie mamy się czego domagać.

— Ale to my! — podkreślam łamiącym się głosem i z oczami jak spodki.

— Puść to jeszcze raz — nakazuje tonem, który zdarzyło mi się już słyszeć, gdy obserwowałam go w pracy. To ton typu „lepiej ze mną nie zadzieraj”, który dla rozmówcy oznacza, że ma natychmiast wykonać to, co się do niego mówi.

Waham się, bo nie wiem, dlaczego znowu chce to oglądać, więc sam kładzie dłoń na mojej dłoni z myszką i klika „odtwórz”. Po raz kolejny przeżywamy tę samą scenę i po raz kolejny jestem jak wmurowana. To jak wypadek samochodowy: wiem, że muszę odwrócić wzrok, ale nie potrafię. Mimo szoku obserwowanie nas razem z zewnątrz ma w sobie coś magicznego. Płynność naszych wzajemnych ruchów dowodzi niezbitości, że byliśmy sobie pisani.

— CJ uznał, że to jest prawdziwe — mruczy bardziej do siebie niż do mnie. Próbuję nadażyć za tokiem jego rozumowania, ale ponowne puszczenie filmu znów wzbudziło we mnie ogłuszającą panikę. Każdy oddech i każda myśl to dla mnie niesłychany wysiłek. *Jak my z tego wybrniemy?* — Więc wszyscy inni też tak uznają.

„No właśnie” — mam ochotę krzyknąć. Wszyscy uznają, że to my. Dlaczego mieliby sądzić inaczej?

Colton odwraca moje krzesło, żebym spojrzała mu w oczy.

— Ufasz mi? — pyta, lecz ja potrząsam głową, bo *ten* błysk w jego oku oznacza, że chce mi powiedzieć coś, czego wolałabym nie słyszeć. Owszem, ufam mu, ale to nie jest normalne pytanie typu „ufasz mi?”. — CJ to oglądał. *Uwierzył w to, co mu powiedzieli.*

— Hę? — Nie nadażam za nim.

— Nie rozumiesz, Ry? Oni nie mają pojęcia, że ta kobieta to *ty*. Twoja twarz... Na żadnej klatce nie ma twojej twarzy.

— Ale inne części ciała są — piszczę, bo nagle dociera do mnie, co zamierza zrobić. Chyba nie mówi poważnie. Żołądek zwija mi się w supeł i przez chwilę muszę skupić się na oddychaniu. Patrzę przy tym Coltonowi głęboko w oczy i nie wierzę w to, co w nich widzę.

— Obejrzyj jeszcze raz.

— Nie chcę już tego oglądać — krzyczę, strząsając jego dłonie z ramion, bo w ogóle nie podoba mi się to, co sugeruje. — I nie bawi mnie to, co tam sobie uroiłeś w głowie. — Panika powraca z podwójną siłą.

— Wysłuchaj mnie, Ry — prosi, obniżając się na wysokość moich oczu, lecz ja opuszczam wzrok na dłoń na brzuchu. — Proszę, spójrz na mnie. — Waham się chwilę, a gdy w końcu spoglądam mu w oczy, cieszy mnie to, że wydaje się równie zagubiony jak ja. — Naprawdę sądzisz, że jeśli zapłacimy tym ludziom, to nie zostawią sobie dodatkowej kopii na wszelki wypadek? Nie boisz się, że wezmą pieniądze, a potem *przypadkiem* wypuszczą to nagranie do internetu?

— Colton...

— Nie, Ry. Sama powiedziałaś, że TMZ do ciebie dzwoniło. Oni już skontaktowali się z mediami i zasiali ziarno. Naprawdę sądzisz, że zrobiliby to, gdyby planowali wziąć pieniądze i zniknąć na dobre? Coś tu nie gra, ale nie potrafię tego rozgryźć, do cholery.

Jego słowa zawisają ciężko w powietrzu, a ja zmuszam się, żeby mrugać powiekami, oddychać i myśleć, bo to przecież nie może dziać się naprawdę. Colton ma rację. Zawiadomienie tabloidów świadczy o tym, że chodzi tu o coś więcej... ale nie mam pojęcia, o co, ani dlaczego ten film wypływa właśnie teraz.

— Przemyślałem to od każdej strony i miałem kilka pomysłów, ale w tej chwili straciło to sens. Oni chcą pieniędzy i próbują wzbudzić w nas panikę...

Chcą nas poróżnić w chwili, gdy jesteśmy o krok od największego szczęścia świata, narodzin dziecka. — Jego spojrzenie łagodnieje na moment, gdy spogląda w dół na moją dłoń na brzuchu, lecz kiedy podnosi wzrok na mnie, jest bardziej zdecydowany niż bym sobie życzyła. — Zastanów się nad tym, Ry — naciska, a mnie wcale nie podoba się to, że ma tyle racji.

Dostrzega, że kotłuje mi się w myślach i że przestaję go słuchać. Zgrzytam zębami i tłumię falę mdłości.

— Co właściwie planujesz?

Jego pierś unosi się wraz z głębokim wdechem, a ja zaczynam się bać, że przygotowuje się na moją reakcję na to, co zamierza powiedzieć.

— To nie jest tak złe, jak się wydaje.

— Co? Film? Sytuacja? Twój pomysł? — mówię, stopniowo podnosząc głos.

— Wszystko — odpowiada.

— Żartujesz sobie ze mnie? — pytam z szeroko otwartymi z niedowierzania oczami. — To jest film, na którym pieprzysz mnie na masce ferrari!

— Nie. To jest film, na którym pieprzę *jakaś kobietę* na masce ferrari. Twojej twarzy nie widać w żadnym ujęciu. Jedyni ludzie, którzy wiedzą, że ta sukienka jest czerwona, to ty i ja. Jedyni ludzie, którzy wiedzą, że chwytasz się za piersi tuż przed orgazmem i że drapiesz mnie w biodra, gdy ja dochodzę, to ty i ja. Nikt inny tego nie wie.

Nie potrafię przestać potrząsać głową, mrugam nerwowo powiekami, a puls łomocze mi w uszach.

— Chyba oszalałeś! — Bezradna i zdumiona wyrzucam ręce w górę. — Łatwo ci powiedzieć, bo film jest tak ciemny, że twojego członka praktycznie nie widać, za to moje ciało jest całe na wierzchu, z szeroko rozłożonymi nogami.

— Posłuchaj mnie, Ry. Nie obchodzi mnie to, czy widać mój członek, czy nie.

— No tak. Zapomniałam, że twój członek widziała masa ludzi. W końcu byłeś swego czasu playboyem. Twój członek widziało przypuszczalnie więcej kobiet niż byłabym w stanie zliczyć. — Próbuję mu dopiec, bo chcę, żeby przejął się tym tak samo jak ja.

— Dokładnie o to mi chodzi. Mam sławę playboya. Bawidamka. Ludzie spodziewają się po mnie takiego gówna.

— Ale będą myśleli, że mnie zdradziłeś — mówię kompletnie zaskoczona obrotem spraw. Bo chociaż nauczyłam się nie przejmować opinią ludzi, to akurat w tej kwestii się przejmuję.

— Nie obchodzi mnie, co ludzie będą o mnie myśleli... wiesz o tym. Jedyłą osobą, która się dla mnie liczy, jesteś ty. Wiesz, że cię nie zdradziłem...

— To zły pomysł, Colton.

— Nie zapłacę jakiemuś bałwanowi trzech baniek, bo on przypuszczalnie i tak opublikuje to nagranie. Nie uginam się pod groźbami, Ry. Nigdy się nie uginałem i nigdy się nie ugnę. — Patrzymy na siebie w milczeniu, a jego słowa powoli zapuszczają we mnie korzenie i chociaż odruchowo chciałabym odrzucić ten pomysł, boję się, że Colton ma rację.

— Ale co z twoimi rodzicami? Moimi rodzicami? Dzieckiem? — pytam, a w każdym kolejnym słowie pobrzmiwa coraz większa panika. — W internecie będzie film, który będą mogli sobie wygooglować i zobaczyć. — Muszę zamilknąć. Wzdycham krótko, bo dziecko przemieszcza się pod żebrami i nie nadążam z nabieraniem powietrza.

— Uspokój się, Ry. Proszę. — Opuszcza się znowu na kolana i przyciąga mnie do siebie. Zamykam oczy z pragnieniem, by to wszystko okazało się snem, ale wiem, że to niemożliwe. — Powiemy rodzinom, że to nie jest tak, jak im się wydaje. Że to jakiś fotomontaż. Chase wyda oświadczenie dla mediów o tym, że dostaliśmy jakieś spreparowane nagranie. I że żądano od nas nedorzecznnej kwoty, lecz my nie zamierzamy płacić, bo moja twarz została tam jakoś wklejona, a całe nagranie jest fałszerstwem.

Odpycham go i patrzę na niego w milczeniu, bo w jego słowach jest jakaś logika, ale z drugiej strony, przecież na tym nagraniu jesteśmy *my*. On i ja.

— Nikt w to nie uwierzy, Colton. Wiesz lepiej niż ktokolwiek, że prasa podchwyci tę sprawę i przedstawi ją w najgorszym możliwym świetle. Zrobi z tego wielką sensację. Reporterzy będą próbowali pokazać, że jestem rozbita. Wykopią stare zdjęcia z innymi kobietami do artykułów na pierwszych stronach, w których będą dowodzić, że taki już jesteś.

— I kogo to obchodzi?

— Mnie! — krzyczę tak, że podrywa głowę. Patrę na niego pustym, pełnym niedowierzania spojrzeniem. My chyba żyjemy w zupełnie innych światach. — Obchodzi mnie to, co według ludzi robisz za moimi plecami. Nie mam zamiaru stać się w ich oczach potulną kobietą, która trzyma się kurczowo sławnego męża, bo urodziła dziecko i nie ma przed sobą lepszych opcji. — Po moim policzku spływa pierwsza łza. Ocieram ją, wściekła na siebie, że popłynęła, i gardzę sobą za to, do czego się przyznałam.

— Nie! Liczy się tylko to, co my wiemy — podkreśla, ale ja nie słucham. — Prasa nie będzie...

— Z tego przecież żyją.

— Rylee...

— Nie próbuj mnie przekonać! Naprawdę chcesz, żeby jakiś półgłówek walił konia do filmu, na którym uprawiam z tobą seks? Serio? Nie robi ci się od tego niedobrze, Colton? Jestem twoją żoną. Nie jakąś dziwką, którą przeleciałeś i o której potem zapomniałeś. — Odpycham się od krzesła, bo muszę się oddalić i

spojrzeć na to z dystansu. Colton gada od rzeczy, a moje życie jest w tej chwili wystarczająco pokręcone.

Ruszam w głąb domu i słyszę za sobą sfrustrowane westchnienie Coltona. Wychodzę na taras z widokiem na plażę. Muszę pomyśleć o tym sama, żeby nie sugerować się jego wnioskami. Dopiero tu mogę odetchnąć od jego teorii na temat rozwoju wydarzeń po zapłaceniu żądanej kwoty. Teorii, która być może jest w stu procentach słuszna.

Wpadliśmy w sytuację bez wyjścia. Cokolwiek zrobimy, będzie źle.

Zatapiam się w fotel na obrzeżu tarasu i głaszczę Baxtera po głowie, gdy ukradkiem podchodzi i kładzie się obok. Wracam myślami do obrazów, które są wytrawione w mojej głowie w najwyższej rozdzielczości. Dobrych. Osobistych. Intymnych. Do kłótni w ogrodzie po podsłuchaniu komentarza Tawny w łazience. Do sytuacji, w której myślałam, że tracę Coltona, a tymczasem okazało się, że on chce spróbować związku ze mną. Do radości, która oładnęła moim sercem, gdy wchodziliśmy do windy. Do niedowierzania, gdy podchodziłam do czerwonego ferrari ze świadomością tego, co Colton zamierza zrobić. Do pożądania, które opanowało wszystkie moje zmysły i kazało poddać się emocjom i uprawiać seks z Coltonem na masce samochodu. Seks przypieczętowujący naszą więź i to uczucie bycia królową świata.

I ta chwila została uchwycona przez kamerę. A ktoś ukrywający się za nią nas podglądał.

Przechodzą mnie ciarki. Mam w żołądku kulę kwasu, której gorzki smak czuję na języku.

To jest tak popieprzone, że nie wiem, co myśleć, gdzie pójść i co zrobić. Raz w życiu pozwoliłam sobie na złamanie zasad przyzwoitości i proszę, do czego to doprowadziło. Chciałabym się wściec na Coltona, bo seks na masce był jego pomysłem, ale nie mogę. Nie odmówiłam mu. Zgodziłam się na to, przekonana namiętnością zatraciłam się w chwili i rozkoszowałam każdą minutą tylko dlatego, że byłam z Coltonem.

Kto by pomyślał, że to zdarzenie powróci po niemal sześciu latach, żeby nas prześladować?

— Hej — mówi Colton za moimi plecami. Nie odpowiadam, bo kompletnie nie wiem już, co mam mówić i myśleć. — Przepraszam.

— Kto mógłby nam coś takiego zrobić, Colton? Dlaczego dopiero po tylu latach? To nie ma sensu. — Gdy kończę wypowiadać te słowa, odzywa się we mnie ta uzasadniona gorycz, gdyż przychodzi mi na myśl jedyna osoba, której mogłoby zależeć na zniszczeniu naszego szczęścia. — Tawny.

Colton zamyka oczy na sekundę, z czego wiem, że rozważał tę możliwość.

— Nie sądzę.

— Co? — Prostuję się i zalewam wściekłością, a on przygryza policzek od

środka i nie odrywa wzroku od moich oczu. — Jak śmiesz jej bronić! — rzucam oskarżycielskim tonem, chociaż wiem, że wcale jej nie bronił i że zachowuję się irracjonalnie.

— Nie bronię jej — mówi pojednawczym tonem, który kompletnie do mnie nie trafia. — To byłoby objawem skrajnej głupoty z jej strony. Może i jest mściwą suką, ale nie pozwoliłaby sobie na atakowanie mnie. Nie po tym, co musiała podpisać, gdy ją zwalniałem. Konsekwencje zadzierania z nami zostały tam bardzo wyraźnie wyszczególnione i zapewniam cię, że ona nie jest tak głupia...

— O. — Nie potrafię wykrztusić nic więcej, a Colton nie odrywa wzroku od moich oczu. Nie miałam pojęcia o tych szczegółach ich pożegnania. — Ale ona wiedziała, że byliśmy tamtej nocy na parkingu, i wiedziała, co robiliśmy. Powiedziałam jej o tym, gdy wróciliśmy... — milknę, bo w głowie przeblyskują mi wspomnienia tamtej chwili. Przypominam sobie, że na jej widok odruchowo pomyślałam, że *oto deszcz, który zgasi mój ogień szczęścia*, i że poczułam się naprawdę dobrze, gdy powiedziałam jej o seksie z Coltonem na masce jego ferrari. I że po raz pierwszy poczułam się pewnie w mojej relacji z Coltonem.

*O mój Boże! Czyżbym sama to sprowokowała?*

— Nie, Ry. To nie twoja wina. Uwierz mi — błaga, bo zna mnie na tyle dobrze, że wie, o czym myślę. — Nadepnałem na odcisk wielu ludziom. Na torze. Na randkach. W biznesie. *Przez to, że żyję*. To mógł być ktokolwiek z tych ludzi.

— No to kto jeszcze wiedział o tej nocy? Pracownicy parkingu? Sammy? — Zastanawiam się na głos i widzę przeblysk wściekłości w jego oczach, gdy wypowiadam imię jego najbardziej zaufanego człowieka.

— Sammy podpisał podobną umowę jak Tawny, plus jeszcze z dwadzieścia innych. To nie on. — Dostrzega moje przymrużone powieki, bo dodaje: — To nie on, Ry. Gdyby chciał mnie zaszantażować, mógłby wyciągnąć znacznie większe brudy niż to.

Zalewa mnie gniew. To chyba przez te emocje i dręczącą nas niepewność, bo nie pamiętam, kiedy ostatnio przejmowałam się tym, że Colton kiedyś był playboyem. Tym razem jednak *takie* stwierdzenie z jego strony sprawia, że jeżą mi się włosy.

— To świetnie — odpowiadam z sarkazmem.

— Nie jest żadną tajemnicą, że swego czasu ostro korzystałem z życia, Rylee. Nie będę przeproszał za to, kim byłem, i jestem wdzięczny za to, że pomogłaś mi się stać tym, kim jestem teraz. *Zrozumiano?* — Jego ostry ton trafia dokładnie tam gdzie trzeba i mam poczucie winy z powodu swojej uwagi. Patrzymy sobie w oczy. W jego spojrzeniu kryje się tak wiele emocji. Uderza mnie, jak bardzo jest wzburzony. Przypuszczalnie sądzi, że to przez niego do tego doszło, lecz i tak w pierwszym odruchu pomyślał o tym, żeby mnie chronić. Jak mogłam w niego zwątpić? Przygryzam dolną wargę i odpowiadam mu kiwnięciem głową.

— Więc kto jeszcze wiedział? Obsługa parkingu? Ochrona?

— Hm, mało prawdopodobne. Nie po takim czasie. Przecież to dość stare zdarzenie, prawda? — pyta, a ja potakuję. — Instykt podpowiada mi, że to Eddie lub ktoś z nim powiązany. Mało prawdopodobne, ale w sumie możliwe... Sam nie wiem. — Wzdycha ciężko i pociera twarz dłonią, a odgłos drapania zarostu wypełnia zapadłą ciszę. — Dzwoniłem do Kelly'ego, żeby spróbował go wywęszyć, ale nie sądzę, by cokolwiek znalazł.

Jego oczy błagają, bym mu uwierzyła, lecz serce mówi mi, że to moja wina. Tawny musiała kiedyś komuś o tym powiedzieć i teraz, świadomie lub nieświadomie, dowala nam po raz ostatni. Nie mogę na niego spojrzeć, nie mogę patrzeć mu w oczy ze świadomością, że ta jedna noc rozkoszy, która była początkiem tak wielu zmian między nami, wraca, by nas prześladować.

— Ja pierdołę! — wykrzykuje nagle, po czym podnosi palec w geście typu „chwileczkę” i rusza truchtem do domu. Idę za nim w swoim tempie i gdy docieram do gabinetu, siedzi już przed komputerem i ogląda film.

— Spójrz — mówi, wskazując ekran, a na jego twarzy pojawia się wymuszony uśmiech. — Daj mi mój telefon — nakazuje, a jego twarz się rozjaśnia. Nad moją głową nadal krążą czarne chmury, gdy podaję mu komórkę.

Obserwuję, jak czegoś szuka, ale po chwili bezwiednie przenoszę wzrok na monitor, na którym trzyma mnie za nagie biodra.

— Spójrz na datę — mówi z ekscytacją w głosie i pokazuje mi kalendarz w telefonie. Patrę na datę na filmie i uświadamiam sobie, że została sfałszowana, bo jest niewłaściwa. Sugeruje, że film pochodzi sprzed roku, a nie sprzed sześciu lat. Byłam tak skupiona na tym szaleństwie oglądania nas na ekranie, że nie zwróciłam na nią uwagi. — W tym dniu w zeszłym roku był wyścig w Iowa.

— Noo — przyznaję przeciągle, zastanawiając się, do czego zmierza.

— Dokładnie w ten dzień, Ry. Jeśli mu nie zapłacimy i ten palant to opublikuje, mamy dowód, że film jest sfałszowany. Nie mogłem wtedy być na parkingu w Los Angeles, bo *brałem udział* w tym cholernym wyścigu. I mamy dowód na to, że wróciliśmy samolotem dopiero następnego dnia.

Chwytam się za głowę, próbując to wszystko pojąć.

— Ale, Colton... To przecież *MY* — mówię z niedowierzaniem w głosie.

— Wiem — potwierdza, nie mając świadomości, jak bardzo się tym przejmuję. — Ale osoba, która ma ten film, sfałszowała go, żeby był bardziej aktualny, albo zdobyła już sfałszowany... Nieważne, liczy się to, że jeśli nagranie trafi do mediów, możemy udowodnić, że to nie ja na nim jestem.

Siadam naprzeciw niego, bo kręci mi się w głowie i boli mnie serce, gdy próbuję wymyślić najlepszy plan ataku. Wygląda jednak na to, że trafiliśmy w pułapkę.

— Nie ma wyjścia z tej sytuacji — szepczę.

— Próbuje znaleźć takie, które cię nie dotknie — stwierdza skruszonym tonem.

— Wiem... Trudno mi po prostu to wszystko ogarnąć. Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć w spokoju, a nie w atmosferze szoku, która mąci mi w głowie, wiesz?

— Wiem — odpowiada, podchodząc do mnie, po czym kuca, żeby spojrzeć mi prosto w oczy.

— Wyznaczyli jakiś czas na udzielenie odpowiedzi? — pytam, nie wierząc, że w ogóle wypowiadam takie słowa.

— Siedemdziesiąt dwie godziny.

Wyciągam dłoń, gładzę go po pokrytym jednodniowym zarostem policzku i wplatom palce w jego włosy z tyłu głowy. Trudno uwierzyć, jak bardzo rozwinął się jako człowiek od czasu, gdy jesteśmy razem. Nauczył się podejmować odpowiednie decyzje, ma właściwe instynkty i zawsze dba o moje dobro. Dlaczego miałabym wątpić w to, że tym razem też chce zachować się właściwie?

*Zaufaj mi*, błagają mnie jego oczy.

*Zaufaj mu*, prosi mnie zdrowy rozsądek.

— Dowiedzmy się, czy Kelly coś znalazł, a potem zrobimy to, co uznasz za najlepsze. Muszę ci jednak powiedzieć, że powstrzymanie się od działania nie za bardzo mnie przekonuje.

Potakuje i całuje mnie delikatnie w usta, po czym odchyła się i spogląda na mnie poważnie i intensywnie.

— Nie pozwolę, by stała ci się jakakolwiek krzywda.

Zamykam oczy i opieram czoło o jego czoło.

Każdy rycerz ma słaby punkt w swojej zbroi.

Boję się, że to może być jego słaby punkt.



## *Rozdział 4.*

### *Rylee*

— Dziecko rozwija się prawidłowo. Puls jest mocny i w granicach normy... Niepokoi mnie jednak twoje ciśnienie krwi, Rylee — mówi doktor Steele, spoglądając na trzymane w ręce wyniki.

— Wiem. Ja tylko... Wczoraj w nocy przeżyliśmy coś nieoczekiwanego, co jest prawdziwym szaleństwem i... — przerywam i wzdycham, żeby się uspokoić i nie martwić już tym, w jaki sposób Colton zajmie się problemem, ale wiem, że to bezcelowe. Nie potrafię wyrzucić z głowy zaśniewanego filmu ani lęku przed tym, że to wszystko wymknie się nam spod kontroli. — Przepraszam. — Potrząsam głową, żeby odeprzeć zagrażające lzy.

— W porządku. Czasem przy pierwszym dziecku ma się poczucie przytłoczenia. Wiele kobiet stresuje się tym, że ich życie radykalnie się zmieni i że nie będą mogły robić tego co wcześniej — wyjaśnia, ściskając mnie pokrzepiająco za ramię. — Chyba powinnam dać ci zwolnienie z nakazem leżenia w łóżku.

— Nie! — wykrzykuję zszokowana i podnoszę wzrok, trafiając na jej zatroskane spojrzenie, a moje ciśnienie znowu rośnie.

— Nie myśl sobie, że się nie domyślam, dlaczego Colton się nie pojawił. Obie dobrze wiemy, że wolałby, żebyś się nie przemęczała, i bałaś się, że gdy usłyszysz, jak to sugeruję, to cię do tego zmusi — mówi ostrzegawczo surowym głosem. Nie ma sensu zaprzeczać, więc kiwam tylko głową i nerwowo splatam dłonie. — Albo okażesz zdrowy rozsądek, albo będę zmuszona położyć cię do łóżka aż do końca ciąży. Im dłużej dziecko zostanie w macicy, tym lepiej dla niego. Wolałabym uniknąć przedwczesnego porodu z powodu stanu przedrzucawkowego. Pozwól Coltonowi rozwiązać tę wczorajszą sytuację i nie angażuj się w nią, żeby twoje ciśnienie utrzymywało się na równym poziomie.

— Tak zrobię — obiecuję ze świadomością, że nie jestem w stanie tego dotrzymać. Lekarka patrzy na mnie wnikliwie, oceniając szczerłość mojej odpowiedzi. Potakuje, więc chyba mi uwierzyła.

— Dobrze. W takim razie do zobaczenia za dwa tygodnie. Dbaj o siebie — stwierdza, poklepując mnie po ramieniu, po czym wychodzi z gabinetu.

W drodze do domu myślę o wczorajszej nocy, chociaż nie powinnam. Zalecenie lekarskie. Ale wciąż mam przed oczami obrazy mnie z Coltonem na tym parkingu. Te prawdziwe. Te, które pamiętam. Nie tę odartą z piękna czarno-białą wersję, bo ta wydaje się pusta, lecz tę, która na zawsze odcisnęła piętno na mojej

podświadomości, gdyż tak wiele dla mnie znaczyła. Wzdycham głęboko, bo wciąż nie mogę uwierzyć, że noc, która zapoczątkowała tak wiele pozytywnych zdarzeń, mogła powrócić w tak katastrofalny sposób.

Wjeżdżając na Broadbeach Road, jestem tak zaabsorbowana zastanawianiem się nad tym, co powiedzieć Coltonowi o wizycie kontrolnej, że kompletnie zaskakuje mnie tłum na drodze dojazdowej do domu. Wszędzie roi się od dziennikarzy. Gdy podjeżdżam bliżej, dostrzegam dwie grube ryby — Laineya Cartwrighta i Dentona Massey'a — i od razu wiem, że coś się stało. Przez zamknięte okna dobiegają do mnie urywane słowa i pytania typu „film”, „jaki to uczucie?”. Bezpodstawna nadzieja, że chodzi o coś innego niż film, ulatnia się jak kamfora.

Te dupki opublikowały nagranie.

W pierwszym odruchu przychodzi mi do głowy, że Colton bez porozumienia ze mną kazał im spadać na drzewo. Dochodzę jednak do wniosku, że nie zrobiłby tego. Obiecał poczekać z decyzją, aż dowie się, jakie informacje zdobył Kelly.

Serce opada mi do żołądka, gdy przejeżdżam przez bramę, starając się trzymać głowę jak najniżej. Przypomina mi się poprzednia sytuacja, w której pod bramą zgromadził się podobny tłum. Wtedy była to sprawka Tawny, więc wydaje się uzasadnione podejrzenie, że tym razem także musiała maczać w tym palce. Ale z drugiej strony, przecież minęło już sześć lat. Dlaczego teraz? Dlaczego to nagranie? Po co ktoś to w ogóle robi?

Brak odpowiedzi doprowadza mnie do rozpacz.

Parkuję z drżącymi dłońmi i chociaż mam ochotę wypaść z auta, bo chcę się jak najszybciej dowiedzieć, o co tu, do cholery, chodzi, nauczyłam się czekać, aż brama za moimi plecami się zamknie, żeby sępy nie ustrzeliły mi fotki, którą będą mogły sprzedać. Gdy brama się zasuwa, zasłaniając widok, Sammy otwiera mi drzwi.

— Sammy?

— Rylee — odpowiada ze skinieniem głowy i odwraca wzrok, ignorując moje pytające spojrzenie. Ruszam w stronę domu. Nagle dociera do mnie, dlaczego to zrobił, i staję jak wryta. Jeśli film został opublikowany, Sammy wie, kto na nim jest. To on przyproceedził tam samochód. I widział mnie nago. W trakcie uprawiania seksu.

*O cholera.*

Sammy też się zatrzymuje, co tylko potęguję moje zażenowanie. Kładzie dłoń na moich plecach i delikatnie popycha mnie w stronę domu, a ja uświadamiam sobie powagę sytuacji, bo on zasłania moje ciało na wypadek, gdyby ktoś namierzył mnie długim obiektywem.

Tym razem cieszę się, gdy otwiera mi drzwi wejściowe, a potem wycofuje się na zewnątrz, bo nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy. Mam ochotę zapaść się

pod ziemię, ale przynajmniej wiem, że on jest jedyną osobą, która wie, że to ja. Rzucam torebkę na stół i ruszam na poszukiwania Coltona.

Nie ma go w gabinecie ani w kuchni. Ku mojemu zaskoczeniu znajduję go na górnym tarasie. Siedzi z łokciami na kolanach i zwieszoną w skupieniu głową. W jednej dłoni ma szklankę bursztynowego płynu, a w drugiej telefon.

— Zostaliśmy wykiwani, CJ. Przegraliśmy na całej linii, chociaż nawet nie dotknęliśmy piłki. — Jego zrezygnowany głos sprawia, że cierpie mi skóra. Dlaczego jest tak przygnębiony, skoro przewidział, że tak się stanie? Że ci ludzie i tak opublikują film? — Wiem, ale... Kurwa, co za syf. Nie spodziewałem się tego. Kompletnie mnie to zaskoczyło. — Przerywa na chwilę i przypuszczalnie CJ odpowiada coś na jego słowa. — Nie da się nad tym zapanować. Nie rozumiesz tego? — krzyczy. Potrząsa głową, więc sędzę, że nie zgadza się z tym, co słyszy. — Zakończmy tę rozmowę, zanim powiem coś, czego będę żałował i na co nie zasługujesz.

Rzuca telefon na fotel obok i nie podnosząc wzroku, wypija resztę alkoholu. Trafia przy tym na moje spojrzenie, lecz skupia się z powrotem na właśnie opróżnionej szklance.

— Domyślam się, że nie odebrałaś miliona moich wiadomości? — pyta z irytacją.

— Byłam u lekarza. — *O cholera. Tak się przejęłam tym, jak przekazać Coltonowi ostrzeżenie doktor Steele, że kompletnie zapomniałam włączyć dzwonek w telefonie.* — Przepraszam — dodaję, ostrożnie wchodząc na taras. — Co tu się dzieje, Colton? — pytam, chociaż się domyślam z tego fragmentu jego rozmowy z CJ-em.

Colton pociera twarz dłonią, a gdy do niego podchodzę, zauważam, że jest trochę pijany. I nie podoba mi się to, że nie potrafi spojrzeć mi w oczy.

— Te dupki opublikowały film — odpowiada, potwierdzając to, co pomyślałam na widok tłumu dziennikarzy przed bramą. Zbolały wyraz jego twarzy podsyca moje przerażenie.

— Cóż — stwierdzam, przytakując powoli. — Wychodzi na to, że miałeś rację. — Co więcej mogę powiedzieć?

Jego niski chichot nie ma w sobie ani grama radości. Chciałabym spojrzeć mu w oczy, żeby zobaczyć, o czym myśli, ale on na mnie nie patrzy. Ściąga usta, odwraca się do stojącej obok butelki whisky i nalewa sobie następną porcję.

— Ale tak naprawdę nie miałem. — Słowa zawisają w próżni między nami, a Colton w końcu powoli podnosi wzrok. Jego spojrzenie, absolutnie i dogłębnie przepraszające, a przy tym pełne żalu i obaw, wzbudza we mnie jeszcze większe obawy. Stało się coś naprawdę złego.

— Co przez to rozumiesz?

— W ogóle nie chodziło im o pieniądze. — Kolejny długi łyk whisky. To, że

nawet nie mrugnął, świadczy o tym, że ma za sobą więcej niż kilka takich szklanek. — Wcale. Absolutnie. — Potrząsa głową, a ja mam ochotę wytrząsnąć z niego odpowiedź, gdy milczenie zaczyna się przedłużać. — Tak naprawdę — dodaje, wyciągając szklankę w moją stronę — przeskoczyli nas.

— Co masz na myśli, mówiąc, że nas przeskoczyli? — Balansowanie na krawędzi niepewności coraz bardziej grozi nieuchronnym upadkiem.

— Złapali mnie na haczyk jak pieprzoną rybkę. Poprawili datę, jakby wiedzieli, że to zauważę. Przez to uznałem, że to jedyny film z tej nocy... — milknie i w końcu spogląda mi w oczy. — Ale był jeszcze jeden. Z innej strony.

To ostatnie zdanie sprawia, że tracę oddech, a serce zaczyna szaleńczo łomotać.

— Z innej strony? — dopytuję ledwie słyszalnym szeptem.

— Dokładnie, kurwa — odszczekuje, a jego przygnębiony i zrezygnowany śmiech brzmi złowieszczo.

— O czym ty, do cholery, mówisz, Colton? — pytam, a umysł produkuje możliwe scenariusze z prędkością światła. Jestem przerażona, pełna obaw i niepewności, a to wszystko przez to krótkie stwierdzenie. *Z innej strony?* Co takiego wiedzą dziennikarze przed naszą bramą, o czym ja nie wiem?

— Usiądź — nakazuje i wyciąga dłoń, żeby mnie pociągnąć na fotel.

— *Nie!* — krzyczę ostrzegawczo, odtrącając jego dłoń, a to jedno słowo kryje w sobie tak wiele znaczeń. Nie ugłaskuj mnie. Nie ściemniaj. Nie każ mi się uspokoić, bo nie jestem głupia i dobrze wiem, że stało się coś bardzo złego.

Patrzy mi prosto w oczy, a ja mam wrażenie, że to milczenie trwa całe wieki, i z każdą sekundą denerwuję się coraz bardziej. Colton kilka razy otwiera i zamyka usta, ale jakoś żadne słowa nie chcą mu przejść przez gardło.

— No powiedz mi — mówię błagalnie.

Zamyka oczy na chwilę, przeczesuje dłonią włosy i pociąga spory łyk ze szklanki. Gorączkowo próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałam go w takim stanie. To było tak dawno temu, że kompletnie straciłam wprawę w tym, co mówić lub jak go ukoić.

— Zmanipulowali mną. Wiedzieli, że każę im spieprzać i nie zapłacę. Wcale nie zależało im na pieniądzach, Ry — wyznaje. Chociaż nie do końca rozumiem, o czym mówi, w myślach proszę go, by zmierzał do sedna, bo muszę wiedzieć, dlaczego jest taki rozbity. — Wcale. Zależało im na udowodnieniu, że jestem aroganckim skurwielem. I że nawet gdy robię to, co wydaje mi się najlepsze dla mojej rodziny, to nie jestem w stanie cię ochronić.

— Co jest na tym nagraniu, Colton?

— Zbliżenia. Twojej twarzy. Twojego ciała. Nas razem. Właściwa data — mówi tak cicho, że znaczenie jego słów dociera do mnie z sekundowym opóźnieniem.

— Nie! — wykrzykuję. Wyciąga do mnie dłoń, ale robię krok w tył. Kłuje mnie w klatkę piersiowej, a szum w głowie przybiera na sile.

— Ry... — Moje imię brzmi w jego ustach jak błaganie, ale mimo że je słyszę, nie jestem w stanie na nie odpowiedzieć. Nieskładne i pourywane myśli zderzają się ze sobą jak w kalejdoskopie i jednocześnie mnie przytłaczają i dezorientują. — Skąd miałem to wiedzieć?

Jego zdruzgotany głos porusza we mnie każdą czułą strunę, lecz nie potrafię się zdecydować, która z nich powinna wyznaczyć ton mojej reakcji. Mam ochotę wybuchnąć i zacząć krzyczeć, a jednocześnie chciałabym uciec, schować się i udawać, że tego nie słyszałam.

Chwytam się poręczy tarasu i skupiam się na cichej plaży w dole, ale czuję, jakbym miała w sercu szalejący sztorm.

— Widać, że to ja? — pytam ze złudną nadzieją, że Colton powie mi to, co chcę usłyszeć.

— Są tam ujęcia z bliska, gdy wychodzimy z windy i podchodzimy do samochodu. I ciebie w trakcie — mówi pustym głosem, bo jak inaczej miałby mówić. — I jak wracamy po.

Przyciskam dłoń do mostka, bo klucie w piersi niemożliwie się nasila, gdy próbuję zrozumieć, jak to się stało, że sytuacja, która według Coltona była pod kontrolą, zamieniła się w niszczące wszystko tornado.

Nagle coś do mnie dociera. Tak bardzo skupiałam się na słuchaniu Coltona i próbach wydobywania z niego informacji o tym, co się stało, że nie skojarzyłam prawdziwego powodu, dla którego dziennikarze tłoczą się przed bramą. Oni nie przyszli z powodu filmu, na którym Księżę Wyścigów zdradza swoją poczciwą żonę. Nie. Absolutnie. Oni krążą przed bramą jak rekiny, bo widzieli, jak Księżę pieprzy wspomnianą żonę na masce samochodu.

O mój Boże.

Mam sekstaśmę. Która została opublikowana.

O kurwa.

Mimo zamroczenia alkoholowego Colton wyczuwa, że to do mnie dotarło, bo wzdycha głęboko, gdy się do niego odwracam. Obserwuje mnie ostrożnie, prawdopodobnie zastanawiając się, czy zacznę krzyczeć i pomstować, czy wejdę w biznesowy tryb typu „załatwmy to jak najszybciej”.

— Jak bardzo jest źle? — Tylko tyle potrafię wykrztusić, tylko to pytanie przychodzi mi do głowy.

— Chase już się tym zajmuje.

— Nie o to pytałam. — Ale po tej odpowiedzi i tak już wszystko wiem. Jeśli jego specjalistka od wizerunku publicznego już się tym zajmuje, to znaczy, że film jest publicznie dostępny. Bardzo publicznie. Poza wszelką kontrolą. — Jak bardzo jest źle, Colton? — Reakcją jest znowu ten chichot. Zaczynam chodzić tam i z

powrotem, ale zatrzymuję się i zapominam, co robiłam. Nie potrafię się skupić. — Czy to jest w ogóle...? — Mogę się łudzić, ale nie byłabym tak przerażona, gdybym miała teraz usłyszeć coś dobrego. — Wszyscy to udostępniają?

— Ludzie uwielbiają sekstaśmy celebrytów — stwierdza z sarkazmem, patrząc na mnie w sposób, którego nauczyłam się nie lubić. W trakcie starań o dziecko widziałam wiele razy to spojrzenie, mówiące „nie możemy nic zrobić poza mozolnym wykonywaniem kolejnych kroków w przód, żeby zostawić to wszystko za sobą”. Nie to chciałabym teraz zobaczyć na jego twarzy. To ostatnia rzecz, jakiej w tym momencie potrzebuję.

Mam ochotę zaprzeć się rękami i nogami zamiast wykonywać kroki w przód.

Jego oczy, zawsze tak pełne życia, są teraz śmiertelnie poważne. Odruchowo potrząsam głową, gdy otwiera usta, by coś powiedzieć, bo nie chcę już nic więcej słyszeć, chociaż jednocześnie muszę się wszystkiego dowiedzieć.

— Moi prawnicy się tym zajmują, Ry. Dowiemy się...

— Czy to ma jakieś znaczenie, Colton? Co? — Wyrzucam dłoń w górę. Moje ciało wręcz wibruje z wściekłości, a dusza pragnie zapaść się pod ziemię ze wstydu. — Przecież CJ nie doprowadzi do tego, że film zniknie z internetu. Bo tego właśnie mi nie mówisz, prawda? Nie odpowiadasz na pytanie, jak bardzo jest źle, bo boisz się powiedzieć, że film z naszym seksem jest udostępniany na lewo i prawo w całym cholernym internecie, a my nic z tym nie możemy zrobić.

Czuję się zbezczeszczona pod tak wieloma względami, ale nie tylko z powodu nagości. Najbardziej boli mnie to, że ktoś tak podle wykorzystał znaczący i intymny moment w naszym życiu. Odarł go ze znaczenia. Obrzydził nam go.

*Obrzydził nas.*

To nie jest jakiś tam skandal seksualny. *To my*. Para małżonków. Nie zdradzamy się. Nie naruszamy żadnych seksualnych tabu. Naszym jedynym przewinieniem było to, że kochamy się tak bardzo, iż zewnętrzny świat przestał mieć dla nas znaczenie i daliśmy się przyłapać razem.

— Proszę, uspokój się, Ry. To nie jest dobre dla dziecka.

— Uspokój się? Żartujesz sobie? *To* nie jest dobre dla dziecka. Nawet w najmniejszym stopniu — mówię, próbując trzymać w ryzach wymykający się spod kontroli gniew. — Ty jesteś podziwianym playboyem, który wiódł żywot na świeczniku. Takie zamieszanie zwiększa twoją popularność, prawda? Dzięki temu nagraniu staniesz się w oczach fanek prawdziwą supernową. *Ale ja taka nie jestem!* — krzyczę, bo w końcu szok zostaje wyparty przez wściekłość. Wiem, że to podle i że zachowuję się irracjonalnie, ale nie obchodzi mnie to, bo mam poczucie straszliwej niesprawiedliwości.

— Ry... Przestań. To nie...

— To niesprawiedliwe? — wrzeszczę, dokańczając jego słowa, które pokrywają się z moimi myślami. — Chcesz wiedzieć, co jest niesprawiedliwe,

Colton? Konsekwencje tego skandalu dla mnie. Ja jestem tą dobrą dziewczyną, pracującą w organizacji *non profit* z chłopcami, dla których powinnam być przykładem. Jak mam im to wyjaśnić? *Kurwa*. Ja jestem twarzą korporacji, która zajmuje się zdobywaniem dotacji na nasze projekty. Jeśli więc chcesz mówić o sprawiedliwości, pomyśl o tym, jak to na mnie wpłynie.

Muszę jakoś uśmierzyć wściekłość, ten ogień w żyłach, więc zaczynam się poruszać bez celu i bez logiki. Przechodzę od drzwi do balustrady i wracam, a Colton obserwuje mnie bez słowa.

— Słuchaj, Bob, dajmy pieniądze Rylee Donovan. To rasowa kobieta, która rozkłada nogi i nagrywa sekstaśmy dla świata. Może poprosimy ją, żeby dla nas też zrobiła taki film, skoro tym się zajmuje, bo to na pewno sprawi, że ofiarodawcy będą się prześcigać z ofertami pomocy.

— Rylee! — wykrzykuje Colton, próbując powstrzymać mój źle ulokowany gniew, ale ignoruję go, bo to nie jego reputacja jest stawką w tej grze, tylko *moja*. Reputacja, na którą pracowałam w pocie czoła przez wiele lat. — Przecież teraz każdy, kto na mnie spojrzy, będzie miał przed oczami wyraz mojej twarzy, gdy dochodzę z szeroko rozłożonymi nogami.

Wpatrujemy się w siebie w milczeniu. Nie potrafię powstrzymać jadu w głosie i oskarżycielskiego spojrzenia, bo w głowie pojawiają mi się szczegółowe obrazy z tamtej nocy. Colton, stojący przede mną z rozpiętym rozporkiem i poza tym zasadniczo ubrany, i ja, spoglądająca na niego z maski samochodu, z zadartą sukienką i odsłoniętymi piersiami.

— Cały świat widział mnie nago. *Całe moje ciało*. Wyobrażasz sobie, jak się czuję? Masz w ogóle najmniejsze pojęcie? Do diabła, Colton! Przecież to *ty* taki jesteś. Żyjesz na oczach mas i...

— I co? Myślisz, że mnie to nie dotknęło? — Podchodzi do mnie, dysząc ciężko z wściekłości. — Myślisz, że nie jestem zdruzgotany tym, że ta wyjątkowa chwila między nami została wystawiona na widok publiczny? Myślisz, że przejąłem się tym, że ktoś zobaczył mój członek? Otóż nie, Rylee. W ogóle się tym nie przejąłem. Czuję się zbezczeszczony, ale nie ze względu na siebie, tylko ze względu na ciebie. Przejąłem się tym z powodu CIEBIE. Boję się, bo przekonałem cię do tego, chociaż wiedziałem, że to nie jest w twoim stylu, i teraz co? Teraz będziesz mnie obwiniać zarówno o to, jak i o *Bóg wie jakie jeszcze konsekwencje* tego zdarzenia? — Patrzę na pulsujący mięsień jego szczęki, gdy zgrzyta zębami i zaciska pięści, błagając mnie wzrokiem o przebaczenie, o które nie ma powodu błagać. Poszłam z nim z własnej woli. Pozwoliłam się zerznąć na masce samochodu i oto, jakie są tego skutki po latach.

— Nie wiem — szepczę. Mam zbyt wiele emocji, które ciągną mnie w różne strony. Colton wstaje, z brzękiem odkłada szklanekę obok butelki Jacka Danielsa, po czym oddala się na kilka kroków, przeczesuje włosy dłonią i wraca do mnie.

— Jeśli pozwolimy, by to nas dotknęło, oni będą triumfować. Damy im dokładnie to, czego oczekiwali — mówi, a w jego słowach słyhać niewypowiedzianą prośbę, bym go teraz nie odtrącała.

Wiem, że ma rację, ale odsuwam się, gdy wyciąga do mnie dłoń. Nacisk w piersi staje się nieznośny, a głowa za chwilę odpadnie mi z bólu. Czuję się słaba i skrzywdzona, a nie znoszę tego uczucia.

— Mój ojciec — szepczę, a łomotanie serca osiąga takie tempo, że wywołuje mdłości. — Mój ojciec się o tym dowie. I Tanner. — Nie mam pojęcia, dlaczego ta myśl jest dla mnie tak druzgocąca, skoro wiem, że nie podążą za tłumem podglądaczy i nie obejrzą tego, ale nie ma to dla mnie znaczenia.

W moich oczach wzbierają łzy na myśl o zażenowaniu rodziców. Wyobrażam sobie, jak mama musi odpowiadać na niewygodne pytania w pracy, a tata będzie musiał jakoś zareagować, gdy na cotygodniowej partii pokera koledzy spytają, czy na tym nagraniu naprawdę jest jego córka.

Znikąd pojawia się ostry ból, który pozbawia mnie tchu, ale i tak jakimś cudem wydobywam z siebie jęk. Colton natychmiast staje u mego boku. Chwytam dłonią oparcie szezlongu, a drugą obejmuję brzuch. Przez głowę przemyka mi myśl: „Nie, jeszcze za wcześnie”... która budzi moje przerażenie.

— Ry. — Strach w jego głosie odzwierciedla moje uczucia. — Proszę, usiądź.

Strząsam z siebie jego dłonie. Chciałabym, żeby mnie mocno przytulił, lecz jednocześnie nie życzę sobie teraz jakiegokolwiek dotyku. Nie chcę, żeby mnie pocieszał. Nie chcę, żeby mnie uspokoił. Mam nerwy w strzępach, moja dusza została przeciągnięta po rozpalonych węglach. Siadam i patrząc na splecione na kolanach dłonie, próbuję przekonać dziecko, by się poruszyło, a jednocześnie staram się uspokoić pustoszące mnie tornado niepewności.

Oczywiście przyhamowanie zmusza mnie do myślenia, a przez mgłę niedowierzania przebija się rozsądek. Nie cierpię się za łzy, które zaczynają mnie palić w głębi gardła.

— Kto mógłby nam coś takiego zrobić, Colton? — W końcu podnoszę głowę i spoglądam mu w oczy. Jego cierpienie sprawia mi ból, ale nie potrafię zdobyć się na podobne pocieszenie, jakie on zaoferował mnie. Wiem, że zachowuję się jak jędra, ale w tej chwili myślę tylko o swojej pracy. O chłopcach. O rodzicach.

*O nas.*

Wiem, że to przetrwamy, bo mamy za sobą niejedną sztorm, ale teraz jesteśmy na zupełnie innym etapie niż wtedy. Lada dzień na świecie pojawi się splodzone przez nas nowe życie. W jaki sposób mamy opanować chaos na zewnątrz, skoro między nami także wszystko się zmienia? Nawet najmniejsza burza może doprowadzić do zniszczeń, ale jak im zaradzić, jeśli absolutnie się jej



nie spodziewaliśmy?

Siada na stole przede mną, a z jego twarzy wyczytuję, że czeka, aż każę mu, żeby zostawił mnie samą. Patrzymy na siebie przez kilka sekund, przekazując sobie tak wiele rzeczy, których nie potrafię wypowiedzieć.

— Nie wiem. Dowiem się i spróbuję to naprawić. — Tylko tyle mówi, lecz ja wiem, że tego nie da się naprawić. Jedyna droga z tego miejsca prowadzi w przepaść, co przeraża mnie do szpiku kości, bo nie mamy żadnego spadochronu, który umożliwiłby nam unoszenie się nad tym całym chaosem wywołanym przez film.

— Wiem — odpowiadam cicho. Potrząsam głową, próbując powstrzymać bliski atak łez, którego wolałabym uniknąć.

— Dobrze się czujesz? — pyta. Wiem, że chodzi mu o wszystko, ale nie mam siły go okłamywać.

— Dziecko kopnęło. — Nie mogę powiedzieć, że czuję się dobrze, bo wcale tak się nie czuję. Mam w głowie nawał myśli, które trzeba jakoś uporządkować. Colton wpatruje się we mnie, ale w tej chwili nie chcę, żeby się we mnie wpatrywano. W tej chwili wpatruje się we mnie w internecie bardzo wiele osób, a mimo to chcę, by odwrócił wzrok człowiek, który potrafi spojrzeć najgłębiej. Pragnę wczłogać się do jakiejś nory i zostać sama, lecz na tym właśnie polega problem.

Moja prywatność nie istnieje.

— Chcę przez chwilę zostać sama.

— Ry, proszę.

— Nie. Muszę to wszystko przemyśleć.

Widzę po nim, że ma na końcu języka prośbę, bym nie odchodziła, została tu i porozmawiała z nim, ale nie jestem w stanie. Nie wiem nawet, co powiedzieć samej sobie. Nie mam pojęcia, co teraz zrobić i jak się od tego odbić, żeby odzyskać swoje życie.

#

Obserwuję plażę w dole i fale rozbijające się o brzeg. Wiem, że wiatr chłosta moją twarz, bo porywa ze sobą moje włosy, ale w ogóle tego nie czuję. Mam w głowie natłok myśli, a obrazy, które wcześniej były tak znaczące, zmieniły się w chorą przyjemność innych osób. Robi mi się niedobrze na myśl, że gdzieś na świecie ktoś w tej chwili może się masturbować do naszego filmu. I roi sobie coś w głowie na ten temat, tworząc własną ścieżkę dźwiękową.

Przewraca mi się w żołądku, gdy wyobrażam sobie ciemny, obskurny pokój i obrzydliwego faceta z paczką chusteczek higienicznych. Wiem, że przesadzam, ale nie potrafię odpędzić tego obrazu sprzed oczu.

Czuję się tak naga, odsłonięta i słaba, że zwijam się w kulkę na szeszlunku na

dolnym tarasie. Te uczucia są mi tak obce, że z trudem akceptuję realność tej sytuacji. Od ślubu z Coltonem słabość zupełnie zniknęła z mojego życia. Całkowicie zapomniałam o tym uczuciu bezradności. Colton nigdy nie pozwalał mi się tak czuć. Poza sporadycznymi artykułami tu i ówdzie udawało nam się zachować nasze życie dla siebie, a zewnętrzny świat nie miał na nie wpływu. Nigdy nie wątpiłam w to, że Colton jest w stanie zażegnać ewentualną burzę. Byliśmy nastawieni na siebie, pomagaliśmy sobie i opiekowaliśmy się sobą.

Mam jednak świadomość, że tym razem to niczemu nie zaradzi.

Nie możemy powiedzieć, że to ściema i że ktoś próbuje zdobyć rozgłos naszym kosztem, bo to nie ten ktoś zdobędzie rozgłos za sprawą publicznego seksu. To nasze nazwiska będą krążyły w mediach w kontekście jakichś plugawych historii i ja zostanę uznana za dziwkę, bo spójrzmy prawdzie w oczy: facet zazwyczaj w takich sytuacjach jest kozakiem, lecz kobieta traci reputację.

Normalnie byłabym teraz w trybie naprawczym. Tym się zajmuję na co dzień i taka jestem. Gdy pojawia się problem, atakuję go ze zdrowym rozsądkiem i staram się minimalizować i naprawiać szkody. Nie sądzę jednak, że w tej sytuacji można cokolwiek zminimalizować, i to mnie rozkłada na łopatki. Co gorsza, mam ochotę odejść w nieświadomość i przestać myśleć, ale zamiast tego patrzę w telefon i walczę z pragnieniem sprawdzenia, jak bardzo źle to wszystko wygląda. W głębi duszy wydaje mi się, że już znam odpowiedź, skoro godzinę temu musiałam wyciszyć telefon, żeby mieć chociaż trochę spokoju.

— Hej — słyszę. Poduszka koło mnie się zapada, gdy Haddie siada obok i obejmuje mnie ramieniem. Powinnam być zaskoczona jej obecnością, ale nie jestem. Wydaje mi się, że ona zawsze wie, co chciałabym usłyszeć. Nie wiem, czy to Colton zadzwonił do niej w poczuciu zagubienia, że nie chcę z nim rozmawiać, czy sama na to wpadła, ale to nieważne. Może i wolałabym zostać sama, zamknąć się i wylewać bezużyteczne żale nad sobą, ale cieszę się, że się zjawiała. To jedyna osoba, która zna mnie na wylot i wie, co w takiej sytuacji będę chciała usłyszeć, a czego lepiej nie mówić.

Nawykowo głaska mnie po brzuchu, a ja głęboko w środku pod skorupą zażenowania wiem, że to z powodu dziecka jestem tak zagubiona. Trudno mi się pogodzić z tym, że któregoś dnia nasz syn lub córka poszukają w Google informacji o mamie i tacie i zobaczą, jak uprawiamy seks na masce samochodu. Na parkingu. Publicznie. Jak ja im to wyjaśnię?

Całe moje ciało napina się na tę myśl, a groźba łez powraca z podwójną siłą.

— Jak bardzo jest źle? — pytam ją pewnie już dziesiąty raz i, tak samo jak wcześniej, chyba wolałabym nie usłyszeć odpowiedzi. Ocieram łzę, która się wymknęła i spływała po policzku.

— Cóż... — zaczyna Haddie, lecz milknie, próbując znaleźć właściwe słowa. — Gdy ci mówiłam, żebyś zaznała z tym facetem trochę dzikiego seksu bez

zahamowań, mogłam dodać, że ma to być dziki seks bez zahamowań w miejscu, w którym nie ma kamer.

Wzdycham, wdzięczna za jej próbę rozśmieszenia mnie w tej sytuacji, chociaż tak naprawdę wcale nie jest mi do śmiechu.

— To nie było śmieszne.

— No weź. Trochę było — mówi, pokazując kciukiem i palcem wskazującym odległość około centymetra.

— To wszystko w ogóle nie jest śmieszne. No powiedz mi — nalegam. Chcę to usłyszeć od niej, bo boję się sprawdzić sama.

Haddie wzdycha, a ja zamykam oczy i mam ochotę zapaść się pod ziemię.

— Jest źle. Internet oszalał, portale społecznościowe oszalały, dziennikarze będą przez jakiś czas czatować pod bramą. Tak źle.

— *Ja pieprzę.* — Tylko tak można to podsumować.

— Właśnie przez to znalazłaś się w takiej sytuacji, więc może powinniśmy wybrać inne słowo.

Odwracam się do niej w ogóle nierozbawiona, chociaż kąciki moich ust unoszą się w zmęczonym uśmiechu.

— To może: *co za gówno?*

— Lepiej. Zdecydowanie w nie wdepnęłaś.

— Oglądałaś ten film? — pytam, bo ona jako jedyna powie mi prawdę i nie będzie owijać w bawełnę. Potakuje ostrożnie, patrząc na mnie z powagą. — I?

— To zdecydowanie ty i Colton, jeśli o to pytasz — odpowiada, przechodząc od razu do rzeczy, a ja czuję, jakbym dostała w żołądek. Wiem, że powstrzymuje się od nonszalanckiej uwagi w stylu „do licha, dziewczyno” lub „ależ to było gorące”, i jestem jej za to wdzięczna.

— Colton powiedział ci wczoraj o całej... o wszystkim?

— Tak — stwierdza rzeczowo i odwraca się w stronę oceanu.

— Dlaczego? Dlaczego ktoś miałby nam coś takiego robić, Had?

— Gdybym miała tylko jeden strzał, powiedziałabym, że dla pieniędzy — mówi w zadumie. — Ale to nie trzyma się kupy. Jeśli chodziło o pieniądze, to dlaczego ten człowiek nie sprzedał tego filmu, żeby zarobić na nim gazylion dolarów? Jedyne logiczny powód jest taki, że ktoś chciał wam dowalić.

Mam ochotę płakać. Szlochać. Pomstować. Zamiast tego przyciskam dłonie do oczu z nadzieją, że w jakiś cudowny sposób powstrzymają napierające łzy. Bo chociaż nie ma to kompletnie żadnego uzasadnienia, czuję, że gdy się rozplaczę, czy nawet uronię tylko jedną łzę, to to wszystko zamieni się w stuprocentową rzeczywistość i przestanie być koszmarem, z którego w końcu się obudzę.

— To się nie dzieje naprawdę — mruczę bardziej do siebie niż do niej.

— Colton się o ciebie martwi — mówi łagodnie. — Chciałby z tobą porozmawiać.

— I dobrze — odpowiadam bez namysłu, po czym się krzywię. — Słuchaj — wzdycham. — Wiem, że się martwi, ale muszę trochę oczyścić głowę, zanim z nim porozmawiam. Wiesz, dzwonili rodzice, Tanner i Bóg wie kto jeszcze, a na telefonie mam chyba z milion wiadomości, ale nie mam ochoty do kogokolwiek się odzywać.

— Rozumiem — odpowiada, a ja kładę głowę z powrotem na jej ramię. — Ale prędzej czy później będziesz musiała z nimi porozmawiać, bo inaczej eksplodujesz.

— Wiem — szepczę. Zamykam oczy i zastanawiam się, jak mam w ogóle kiedykolwiek się z kimś spotkać. Eksplodowanie wydaje mi się w tej chwili znacznie lepszą opcją.

Ale przecież nie mogę.

Dziecko. Muszę się skupić na naszym małym cudzie i nie dopuścić do tego, by zewnętrzne zdarzenia wpływały na poziom stresu, zdrowie lub ciśnienie krwi, bo wciąż jest zbyt wcześnie na poród. Muszę się pozbierać. Zakopać emocje. Ukryć przed zażenowaniem. Odepchnąć ból. Zrobić wszystko, co będzie konieczne.

To dziecko polega tylko i wyłącznie na mnie.

Jestem teraz matką. Moje potrzeby schodzą na drugi plan.

## *Rozdział 5.*

### *Colton*

— Kto to mógł być, Kelly? — Szczypię się w przegrodę nosową, wpatrując się w ekran komputera. Pieprzony Google i jego wszędobylskie macki. Mam przed sobą dziesiątki zdjęć Rylee. Stopklatki z filmu. Jej ciało wyeksponowane publicznie. Zalewa mnie krew. Płonie w żyłach, wypełniając umysł pragnieniem zemsty. Muszę znaleźć tego skurwiela, który to zrobił, żeby zmasakrować mu twarz i spytać „dlaczego”, jeśli będzie w stanie mówić.

— Pracuję nad tym.

— Cóż, w czasie gdy będę czekał, film zostanie ściągnięty kolejne kilka tysięcy razy. Nic wielkiego — odpowiadam sarkastycznie, mimo że wiem, że to nie *jego* wina. Cholera, film pojawił się w sieci zaledwie godzinę temu, a już jest wszędzie. TMZ, Perez Hilton, YouTube, E!, nawet pieprzone CNN. Wszędzie. — Chcę, żebyś namierzył tego skurwiela.

— I co potem, Colton? Przecież on nie wrzucił w sieć filmu skradzionego z twojego domu. To nagranie wykonane w miejscu publicznym, więc może być strawą dla tłumów.

— Gównu mnie to obchodzi — krzyczę w słuchawkę. Odzywa się sygnał połączenia oczekującego. Wzdrygam się, gdy widzę nazwę rozmówcy. Tato. *Cholera*. — Muszę kończyć. Informuj mnie na bieżąco o wszystkim. — Przez chwilę gapię się w telefon, bo wolałbym jeszcze to odwlec, ale ostatecznie odbieram. — Tato.

— Hej — odpowiada. Wiem, że tym jednym słowem stara się wy badać, jak się czuję. Nigdy mnie nie zawiódł. Zawsze mnie wspierał, niezależnie od tego, na jakim zakręcie życia się znalazłem.

— Zakładam, że dotarł już do ciebie wielki news. — Sarkazm jest dzisiaj moim przyjacielem. I pieprzony Jack Daniels, którego będę musiał odprawić, jeśli nie chcę się upić. Potrzebuję jasności myśli, żeby móc rozwiązać ten problem. I żeby być przy Ry, która jest moim jedynym zmartwieniem w tym całym głównianym tornadzie.

Mam powody, by zrezygnować z jasności umysłu, a wzrok co chwilę ucieka od pustej szklanki do butelki na blacie w kuchni. Whisky wygląda tak zachęcająco. Kusi mnie swym syrenim śpiewem, żebym się rozbił i zatonął.

— Chciałem się dowiedzieć, czy u ciebie i Rylee wszystko w porządku. — Dobrze, że w końcu się odezwał, odrywając mnie od pokusy zatopienia

problemów. Odwracam się plecami do kuchni i do butelki i czekam, aż powie coś więcej. Zada pytania, które na pewno ma na końcu języka. Mimo to w słuchawce zapada cisza. Poruszam ramionami i głośno wzdycham, zmuszając się do tego, by dopuścić do siebie najważniejszego człowieka w moim życiu, mimo że wolałbym się w tej chwili od wszystkich odciąć.

— Martwię się o nią — wyznaję, patrząc przez okno. Rylee od wyjścia Haddie nadal leży skulona na szezlongu. Nie ruszyła jedzenia. Dobija mnie to, że nie mogę tam iść i z nią pogadać, ale to przeze mnie cierpi.

Nie pozwolę jej się oddalić. I nie sądzę, by to zrobiła. Ale prosiła o trochę przestrzeni, więc jej ją daję. *Na razie.*

— Niełatwo mnie przyłapać na nieuważności, tato — dodaję w końcu, a mój umysł produkuje myśli tak szybko, że nie jestem w stanie ich wypowiedzieć. — A to... kurwa... to było jak zupełnie nieoczekiwany cios w plecy.

— Nie musisz się przede mną tłumaczyć, synu. Żyję na tym świecie wystarczająco długo i wiem, jak ludzie potrafią manipulować, by skrzywdzić innych. Dzwonię, żeby ci przekazać, że jesteśmy z wami, i żeby się upewnić, że zaopiekujesz się Rylee. Możesz na mnie liczyć, gdybyś potrzebował rozmowy.

— Usłyszałem od niej, że zaufała mi, gdy mówiłem, że to załatwię, a teraz co? Teraz to nawet nie wiem, co miałbym jej powiedzieć.

— Możesz zacząć od jej imienia.

W pierwszym odruchu mam ochotę nakrzyczeć na niego za tę uwagę, ale przechodzi mi, gdy klikam kolejny link i na ekranie pojawiają się następne zdjęcia Ry: zbliżenia jej twarzy, piersi, rozłożonych nóg, wszystkiego.

Tato na pewno słyszał uderzenie mojej pięści w biurko, ale nic nie mówi. Kusi mnie ścianka z kartongipsu. Uderzenie dałoby mi znacznie większą satysfakcję, bo widziałbym dokonane zniszczenia, ale i tak w niczym by mi to nie pomogło.

— *Jej imienia?* Łatwiej powiedzieć, trudniej wykonać, tato. Wciągnąłem ją do swojego publicznego świata, naciskałem ją i proszę, co otrzymała w zamian za miłość, którą mnie obdarzyła.

— Założę się, że otrzymała znacznie więcej niż tylko to, Colton, bo nie zostałyby z tobą, gdyby tak nie było. — Jego słowa zawisają w ciszy, a ja zastanawiam się, czy w nie uwierzyć. Czy to *więcej* jest dla niej na tyle ważne, że zostanie ze mną mimo całej tej burzy?

Echo jego słów nie chce opuścić mojej głowy.

Owszem, z całego serca liczę na to, że ma rację. Ostatnio układało się nam po prostu zbyt idealnie. Czy to nieuchronny znak, który pokazuje mi, gdzie jest moje miejsce, i przypomina o okrucieństwie losu?

— Pamiętaj, synu, że małżeństwa nie ocenia się po tym, jak szaleńczo jesteście w sobie zakochani w dobrych chwilach, lecz jak bardzo jesteście sobie

oddani w chwilach złych.

Brzmi to sztampowo, ale rozumiem, co chce mi przekazać. Postanawiam się tego trzymać i mieć nadzieję, że to prawda, bo o tej sytuacji z całą pewnością można powiedzieć, że jest zła.

— Ona nie chce nawet ze mną rozmawiać. — Wydaję z siebie sfrustrowany chichot i zmuszam się do wyłączenia komputera. Jeśli zobaczę jeszcze jedno zdjęcie, to nie oprę się pokusie ściany z kartongipsu. Rozluźnij pięści, Donovan. Stłum to pragnienie, by w coś przywalić.

— Ja na jej miejscu też nie chciałbym z tobą w tej chwili rozmawiać — stwierdza. — Dorastałeś w tym świecie. Staraliśmy się z mamą ciebie chronić, ale i tak kamery były wszędzie. Przywykłeś do nich i do intruzów w swoim życiu, a ona nie. Ona zawsze miała prywatne życie, a teraz te dwa światy zderzyły się ze sobą w tak katastrofalny sposób. Musisz dać jej trochę przestrzeni i pozwolić, by pogodziła się z naruszeniem prywatności, a potem zrobić coś, by przypomniała sobie znaczenie, jakie miała dla was ta chwila, bo nie możecie pozwolić, by te sępy wam ją odebrały.

Jasne. Przecież gdy te sępy wyrwą komuś kawałek duszy, to chcą więcej. A ja nie pozwolę, żeby tak się stało.

— Dzięki, tato.

— Możesz na mnie liczyć, gdybyś mnie potrzebował. Miejmy nadzieję, że szybko pojawi się następna sensacja, po której ta historia zostanie zamieciona pod dywan. — *Nadzieja matką głupich*. — Nie jesteś w stanie nad tym zapanować, synu. Jedyne, co możesz zrobić, to wyciągnąć wnioski z otrzymanych ran.

Telefon znowu sygnalizuje rozmowę, a ja zerkam na nieruchomą Rylee, która jest na wyciągnięcie ręki, lecz wydaje się tak odległa.

— Dobrze. Dzięki, tato. Odezwę się za niedługo. Chase do mnie dzwoni — mówię i przełączam rozmowę. — Chase.

— Musisz wydać oświadczenie, Colton. — Normalnie lubię bezpośredniość i konkretność mojej specjalistki od wizerunku publicznego, ale w tej chwili w ogóle nie mam ochoty jej słuchać.

— Wiedziałem, że miałem tego nie odbierać — odpowiadam zgryźliwie, żeby nie miała złudzeń co do mojego nastroju.

— Albo powinniście się pokazać publicznie razem, żeby zademonstrować, że w ogóle się tym nie przejęliście. Ivy czy Chateau Marmont? — pyta, bo dobrze mnie zna i wie, że powinna zignorować moją odpowiedź.

— Chyba najadłaś się szaleju, jeśli sądzisz, że pozwolę, by Rylee pojawiła się teraz w jakimkolwiek miejscu publicznym.

— Rozumiem, ale musisz stawić czoła chaosowi.

— Nie ma mowy. Powiedz mi lepiej, jak bardzo jest źle według twojej skali.

— Cóż, żaden rozgłos nie jest zły — odpowiada, a ja aż jeżę się z

wściekłości.

— Udam, że tego nie słyszałem.

— Cóż, nie będę owijała w bawełnę. Tego można się spodziewać po zmiennych i wygłodniałych seksualnie masach. Wyglądasz jak bóg seksu, który jest wzorem dla tych wszystkich pozorantów, a Ry wygląda jak ucieleśnienie niewinności.

— Ale my jesteśmy małżeństwem — krzyczę, wściekły na to, że traktuje ją jak dziwkę.

— I tak zamierzam to przedstawiać. Intymny moment między mężem i żoną. Nie wiedzieliście o kamerach. Sprzedam historię, że jakiś chory zboczeniec wykorzystał nagranie waszej namiętnej chwili. Tak żeby wszyscy uznali go za złego, a was za jego ofiary.

Tyle że ja nie jestem ofiarą.

I już nigdy więcej nie będę.

#

Słyszę brzęk obroży Baxtera, który podąża za mną, gdy idę przez ciemny dom. Oczy mnie boją od patrzenia w ekran. Nie wytrzymałem zbyt długo z wyłączonym komputerem. Wzywały mnie te zdjęcia i komentarze. Każdy z nich wydawał mi się osobistym atakiem na mnie, bo wszystkie dotyczyły Rylee. A od opublikowania filmu minęło zaledwie kilka godzin. Boję się tego, co przyniesie poranek.

*Wyciągnąć wnioski z otrzymanych ran.* Słowa ojca dźwięczą mi w uszach, ale nie wiem, czy da się je zrealizować w praktyce. Wnioski nie ukarzą skurwiela, który to zrobił. Nie będę dzięki nim lepiej spał. I nie wystarczą, żeby przeprosić Rylee.

Wchodzę do sypialni i staję jak wryty, a dłoń ze szklanką zatrzymuje się w połowie drogi do ust. Rylee twardo śpi, leżąc na lewym boku z poduszką między nogami i pod okrągłym brzuchem. Na jej widok każda część mojego ciała jednocześnie się napina i rozluźnia: ona jest ideałem, na jaki w żadnym stopniu nie zasługuję.

Pieprzona Rylee.

Powietrze dla moich płuc.

Moje życie.

Mój kryptonit.

A ja sprowadziłem na nią ten cały chaos.

Siadam na krześle przy oknie wychodzącym na spowitą w ciemnościach plażę. Muszę wykrzesać całą swoją siłę woli, by nie położyć się obok niej i nie przytulić jej ze słowami, że gdy się obudzi, wszystko będzie dobrze. Bo nie będzie. W żadnym calu.



Lepiej milczeć niż gadać od rzeczy.

Siadam więc w ciszy, opieram nogi na stoliku kawowym i nalewam kolejną szklankę whisky. Teraz już mogę sobie pozwolić na to, by jej palący smak ukołysał mnie do snu, bo jest stanowczo zbyt późno, żeby ktokolwiek mnie potrzebował.

Pociągam łyk i obserwuję, jak Baxter mości się w swoim legowisku. Do diabła, gdyby miał budę, schowałbym się w niej na noc. Mam ku temu uzasadnione powody.

Palący smak alkoholu w ogóle nie uśmierza bólu żołądka i nie łagodzi zmartwień i obaw. Tylko Rylee potrafi to robić, ale ona nadal nie chce ze mną rozmawiać.

Już niemal od sześciu lat pełnię funkcję męża. Myślałam, że nieźle sobie radzę. Ale to zdarzenie przypomniało mi, jak mało rzeczy jestem w stanie kontrolować, szczególnie jeśli chodzi o opiekowanie się najbliższymi. Nie sposób zatrzymać szaleństwa, w jakim obudzimy się rano. W głębi serca — serca, które odżyło właśnie dzięki Rylee — czuję, że tak będzie.

Wiem też jednak, że przetrwamy tę burzę. To nie pierwsza, chociaż mam nadzieję, że ostatnia. Cóż za optymizm jak na człowieka, który kierował się maksymą: *licz na najlepsze, ale bądź przygotowany na najgorsze*.

*Kto mógł nam coś takiego zrobić? I dlaczego?*

Myśli, teorie, spekulacje szaleją w mojej głowie, lecz nic sensownego się z tego nie wyłania.

Rylee. Mój ideał w tym tornadzie chaosu i ściem. Jedyne, co wiem z całą pewnością. Ona jest moją iskrą i moim światłem.

Czuję ukłucie w piersi. *Nasze dziecko urodzi się w tym chaosie*.

Czekająca na obrzeżach umysłu panika wychyla głowę, więc zalewam ją łykiem whisky. Ale ona wciąż tam jest.

Wciąż migocze.

Wciąż powtarza, że w tej sytuacji nie ma odwrotu.

## *Rozdział 6.*

### *Rylee*

Zrywam się ze snu. Nie tylko z powodu dziecka naciskającego na pęcherz. Rozbudziło mnie to, że gdy wyciągnęłam dłoń w stronę Coltona, trafiłam na zimną pościel i uświadomiłam sobie, że go nie ma. Odwracam się, żeby zobaczyć, czy w ogóle spał w nocy w łóżku, i zalewają mnie wspomnienia wczorajszego dnia.

W trójwymiarze.

Całe moje ciało się spina. Mam ochotę nakryć się poduszką i przez chwilę faktycznie to robię — chowam się pod nią, żeby pozbierać myśli i podjąć próbę odnalezienia prawdziwej siebie, zagrzebanej pod warstwami upokorzeń i udręki. Ale nie mogę tak żyć, ukrywając się przed wstydem, więc po chwili użalania się nad sobą wstaję, żeby zmierzyć się z tym przerażającym chaosem.

Przypomina mi się wczorajsza rozmowa telefoniczna z rodzicami. Okazali mi dużo wsparcia, ignorując moje przeprosiny za ten wstyd i zapewnienia, że ani ja, ani Colton nie wiedzieliśmy o istnieniu tego filmu. Mama kilka razy powtórzyła, że jest jej przykro, iż ktoś wykorzystał nas w tak okropny sposób, ale że w tej chwili najważniejsze jest to, bym dbała o dziecko i o swoje zdrowie.

Łatwo im mówić, bo oni nie musieli przeproszać za *coś takiego* swoich rodziców. Ugh.

Poruszenie dziecka przypomina mi o tym, że umieram z głodu i mam pełny pęcherz. Podnoszę się powoli z łóżka, załatwiam poranne potrzeby, po czym ruszam na poszukiwanie Coltona i jedzenia. Musimy porozmawiać. Odcięłam się wczoraj od niego, bo nie chciałam wyładowywać na nim podsycanej niedowierzaniem wściekłości, skoro cała ta sytuacja jest w równej mierze moją winą.

Ostrożnie przymierzam się do tego, by wyrzeć przez okno sypialni na bramę wjazdową. Jestem na piętrze, skąd dobrze widać ulicę, ale gdy tylko odchyłam zasłonę, żałuję, że to zrobiłam.

Wszędzie kręcą się paparazzi, czekając na jakiś ruch w domu. To sępy czatujące na jakikolwiek skrawek ciała, który da się rozszarpać i wykorzystać do tego, by sfabrykować prawdę, zrobić sensację, oszkalować lub upokorzyć.

Co gorsza, nie można powiedzieć, że nie widzieli jeszcze mojego ciała.

Skreca mnie w żołądku, gdy na nich patrzę. To zbyt wiele i zbyt szybko. Krzywię się z obawy o swoje ciśnienie. Przez chwilę widzę wszystko przez mgłę, bo kręci mi się od tego w głowie. Boję się tego, co zobaczę, gdy zejdem na dół i

włączę laptopa. Na samą myśl ściska mnie w piersi.

Siadam na krawędzi łóżka i próbuję się uspokoić. Myślę o dobru dziecka i staram się odzyskać tę determinację sprzed dziesięciu minut, gdy chciałam odważnie stawić czoła temu, co przyniesie dzień. Kilka głębokich oddechów później zaczyna wibrować telefon na stoliku nocnym. Wzdrygam się, gdy dostrzegam imię na ekranie. Uznaję jednak, że nie mam innego wyjścia, jak odebrać.

— Halo?

— Wszystko w porządku, Rylee? — Mój słodki chłopiec, który jest już na studiach, przychodzi mi na ratunek.

— Hej, Shane. W porządku. *Przykro mi* — przepraszam go bez namysłu. Mam wrażenie, że w najbliższych dniach jeszcze wiele razy powiem te dwa słowa.

— Chcesz, żebym przyjechał? — Tym prostym pytaniem sprawia, że w moich oczach wzbierają łzy. Chciałabym to zrzucić na hormony, ale nie mogę. Wczorajszy dzień pokazał mi, że bezimienne masy potrafią być naprawdę okrutne, lecz dzisiaj, w tej chwili, po raz kolejny przekonuję się, że na świecie jest też wiele dobra. Że niegdyś zagubiony chłopiec, któremu przez tak długi czas niosłam pociechę i pomoc, przywiązał się do mnie i traktuje mnie jak rodzinę. To coś naprawdę głębokiego, gdy pomyślę, że dokładnie tego teraz potrzebowałam.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, ile to pytanie dla mnie znaczy, Shane. Niezmiernie się cieszę, że to zaproponowałeś, ale tak naprawdę w tej sytuacji niewiele da się zrobić. Czuję się strasznie upokorzona... To po prostu... — Wzdycham głośno w słuchawkę, bo co właściwie powinnam mu powiedzieć? Wiem, że jest już dojrzałym młodzieńcem i że tak samo jak inni rozumie, że znalazłam się na świeczniku, ale to wcale nie umniejsza niezręczności tej rozmowy.

— Spoko, nie musisz niczego mówić. Rozmawiałem wczoraj z Coltonem i wszystko mi wyjaśnił. — Pozwalam sobie na ciche westchnienie ulgi, bo to oznacza, że nie muszę już wykonywać kolejnych kroków w tym niekomfortowym tańcu. Oczywiście tylko w odniesieniu do Shane'a.

W którymś momencie będę musiała się spotkać z chłopcami w Domu. Na tę myśl przechodzi mnie dreszcz niepokoju.

— Na pewno nie chcesz, żebym przyjechał? — ponawia pytanie. — Mogę jutro opuścić parę zajęć.

— Nie. Ale dziękuję. Nie chcę, żebyś opuszczał zajęcia. Już samo to, że zadzwoniłeś, sprawiło, że poczułam się lepiej.

— No dobrze. Skoro tak uważasz.

— Tak uważam.

— Okej. *Á propos* zajęć, muszę zmykać, bo za chwilę mi się zaczynają.

Żegnamy się, a ja siadam na łóżku z komórką w dłoni. Myślę o Shanie i o

radości, jaką sprawił mi jego telefon. I o tym, że ten chłopiec, którego lata temu przyjmowałam do Domu, wyrósł na tak wspaniałego mężczyznę, że zadzwonił do Coltona, aby sprawdzić, czy wszystko u mnie w porządku.

*Istnieje jeszcze dobro na tym świecie.* A ja przyczyniłam się do jego stworzenia. Chwytam się tej myśli. Mam świadomość, że w najbliższych dniach będę jej potrzebowała.

Schodzę po schodach, nasłuchując, czy Colton jest w kuchni. Martwa cisza przyprawia mnie o chwilową panikę. Gwiżdżę na Baxtera, niestety również bez powodzenia, i ruszam w stronę sypialni na dole, w której znajduje się cały nasz sprzęt do ćwiczeń. Zza zamkniętych drzwi słyszę uderzanie stóp Coltona o bieżnię.

Wiem, że muszę z nim pogadać, ale chcę też w końcu zmierzyć się ze swoją nową rzeczywistością poddaną gruntownej publicznej analizie. Poza tym, sądząc po intensywności uderzeń, Colton potrzebuje teraz wyładowania, jakie daje mu wysiłek fizyczny.

Biorę jabłko po drodze do gabinetu, ale zapominam, żeby je ugryźć, gdy ekran komputera wybudza się z uśpienia i uracza mnie całym mnóstwem zdjęć. Dobrych. Złych. Upokarzających.

Nic dziwnego, że Colton biega, jakby chciał rozwalić bieżnię. Przypuszczalnie także sprawdzał skutki wrzucenia filmu.

Przez chwilę jestem w takim szoku, że nie mogę złapać oddechu i patrzę tylko w przerażeniu na ekran. Wiem, że powinnam wyłączyć komputer i nie klikać linków, żeby sprawdzić opinie ludzi, ale tu chodzi o mnie. O moje życie. Muszę wiedzieć, z czym przyjdzie mi się zmierzyć.

Niechętnie klikam pierwszy wynik w Google i trafiam na znaną stronę plotkarską. Na pierwszy plan wybija się zdjęcie przedstawiające mnie z kilkoma chłopcami na jakiejś imprezie charytatywnej sprzed kilku miesięcy, ale to nagłówek przykuwa moją uwagę: „Ryzykowny interes: bohaterka sekstaśmy wychowuje naszą trudną młodzież”.

Ręce zaczynają mi drżeć, gdy czytam artykuł i komentarze, które nie powinny w ogóle trafić na stronę. „Rylee Donovan z pewnością wie, jak usidlić najbardziej pożądanego kawalera w świecie wyścigów. Ciekawe, co jest w stanie zrobić w zamian za darowiznę?”. Albo: „Czy tak wygląda nowoczesna działalność charytatywna? Czyżby Corporate Cares miało taki problem z zebraniem środków na swój nowy projekt, że kluczowa pracownica musi wziąć sprawę we własne ręce, aby zdobyć odpowiedni rozgłos? Wielokrotnie powtarzała, że *robi wszystko dla chłopców*. Nie wiedzieliśmy, że mówiąc »wszystko«, miała na myśli coś takiego”.

Link za linkiem.

Komentarz za komentarzem.

Nie chce mi się wierzyć w to, co czytam i co widzę, ale nie przerywam. Wciąż klikam i czytam, zszokowana okrucieństwem przypadkowych osób.

O mój Boże. To się nie dzieje naprawdę. To niemożliwe. Ja nie jestem *tą osobą*. Tą medialną dziwką, która dla kariery zrobi wszystko. Ale *tak* właśnie jestem przedstawiana.

Bolą mnie oczy, ale usilnie staram się znaleźć w wynikach wyszukiwania cokolwiek pozytywnego, przy czym dobrze wiem, że sama się oszukuję. W końcu trafiam na taki materiał, ale dopiero po czterech stronach sensacyjnych bzdur, które klikają ludzie.

Jestem zszokowana zdjęciami, których wcześniej nie widziałam. Stopklatkami z filmu kręconego z innej kamery. Lecz mimo to nie potrafię przestać klikać linków i czytać nagłówków. Nie potrafię przestać patrzeć, jak lata moich poświęceń i ciężkiej pracy idą na marne, bo jakiś idiota postanowił udowodnić coś, czego nie rozumiemy ani ja, ani Colton.

Oglądam to jeszcze raz. Jestem jak sparaliżowana. Przytłoczona obrazami. Upokorzona. Zaczynam się zastanawiać, czy czasem nie chodzi o coś innego niż atak na Coltona. Bo może najbardziej oczywista odpowiedź jest błędna? *Może tu chodzi o mnie?* Może ktoś chce się na mnie zemścić za to, że zajęłam się jego synem?

Niedorzeczna myśl. Potrząsam głową, żeby ją wyrzucić. To niemożliwe. Nawet gdyby było możliwe, ci ludzie nie mieliby pojęcia o istnieniu takiego filmu.

Ale myśl nie znika, lecz zapuszcza korzenie. Krąży mi po głowie. Każe mi spojrzeć znowu na ekran i na ostatnią klatkę filmu, na której zatrzymało się odtwarzanie. Zamykam oczy i wzdycham, bo to zdjęcie jest gorsze niż sam seks. Jest na nim zbliżenie mnie i Coltona, gdy wracamy z parkingu. On ogląda się na mnie, a ja patrzę przed siebie, jakbym kierowała twarz w stronę kamery. Jakbym wiedziała o jej istnieniu. Najgorsze jest to, że mam na twarzy najszcześniejszy uśmiech świata. Mimo upływu czasu zalewają mnie emocje, ale czystość tej chwili przepadła. Bo na tym zaśniewanym zdjęciu mój uśmiech można odczytać zupełnie inaczej.

Wyglądam jak zadowolona z siebie manipulantka. Patrzę prosto w kamerę, jakbym dokładnie znała jej położenie i chciała przekazać wszystkim oglądającym: *spójrzcie, kogo upolowałam*.

Odwracam się w stronę okna i zatapiam się w myślach. Co ja mam teraz zrobić i jak zareagować, skoro najbardziej bałam się, że ten skandal w jakiś sposób zaszkodzi chłopcom? Oni i tak już zbyt wiele przeszli w swoim krótkim życiu.

— Ry? — woła mnie Colton. Stoi w drzwiach z ręcznikiem na szyi i trzyma się za oba jego końce, a jego klatka piersiowa jest pokryta potreningowym potem. Patrzy na mnie ostrożnie, a w tej jednej wypowiedzianej przez niego sylabie kryje się tak wiele pytań. Czy dobrze się czujesz? Czy w końcu ze mną porozmawiasz? Czy wiesz, jak bardzo mi ciebie brakowało?

Jego głos wycisza moją wewnętrzną burzę. Wczoraj miałam ochotę się na

nim wyładować i obwinać go za coś, co nie jest jego winą, lecz dzisiaj pragnę, by mnie objął i mocno przytulił.

— Hej — odpowiadam, patrząc na niego w zupełnie nowym świetle. To nasz pierwszy prawdziwy problem od początku małżeństwa, a on był w stanie oddalić się i dać mi przestrzeń, której potrzebowałam, chociaż dobrze wiem, jak dobijało go to, że nie może przyjść mi z pomocą i naprawić tego, czego nie da się naprawić.

— Dobrze się biegało?

Wzrusza ramionami.

— Musiałem po prostu wyrzucić z siebie ten syf — mruży, po czym podchodzi do biurka, przy którym siedzę, i wyłącza monitor. — Nie oglądaj już tego, proszę.

— Słuchaj, jestem zwyczajną dziewczyną. Nie robię niczego dla rozgłosu, więc to... — urywam w połowie zdania i wzdycham, bo nie wiem, jak to ująć. — Chciałam sprawdzić, jak bardzo jest źle — wyjaśniam cicho i podążam za nim wzrokiem, gdy opiera się biodrami o biurko. Trwamy przez chwilę w milczeniu. W końcu wyciągam rękę i trafiam na jego dłoń w połowie drogi. Splatamy palce w nieoczekiwanym geście zjednoczenia, który wydaje się głupi, ale tak wiele dla nas znaczy.

My kontra oni.

— I...

— Jest źle — stwierdzam i odrywam wzrok od naszych dłoni, żeby spojrzeć w jego smutne oczy. Ściągam usta i kiwam głową, bo nie mam już nic więcej do dodania, a on ściska moją dłoń.

— Rozmawiałam z rodzicami. Z Tannerem. I z Shane'em — milknę, bo nagle nie mogę uwierzyć, że muszę mu wymieniać, z kim już próbowałam wyjaśnić tę sytuację. Zawsze wiedział, co mi odpowiedzieć, ale teraz tylko potakuje, nie odrywając ode mnie wzroku. — Nasze dziecko będzie dorastało ze świadomością istnienia takiego filmu — dodaję głosem, który jest całkowitym przeciwieństwem szalejącego we mnie sztormu, ale nie potrafię się zdobyć na okazanie tych emocji. Czuję, jak jego dłoń zaciska się po moich słowach, i dostrzegam pulsujący mięsień szczęki, gdy zmusza się do przełknięcia śliny.

— Poradzimy sobie z tym.

Wyrywa mi się żaloszny chichot, który jest jak pierwsza rysa na mojej pozbawionej emocji masce. Łatwo mu mówić.

— Wiem. — Wycofany głos, stłumione emocje, niepewny ton.

Colton patrzy na mnie, czekając, aż powiem coś jeszcze, lecz ja milczę. Oddaję mu puste spojrzenie, a przez głowę przelatują mi obrazy z wyszukiwarki. W końcu odwraca wzrok i szczypie się w przegrodę nosową, po czym wzdycha ciężko.

— Krzycz na mnie, Ry. Wrzeszcz. Pomstuj. Wyżyj się na mnie. Cokolwiek,

tylko nie siedź tak cicho, bo nie radzę sobie z twoim milczeniem — błaga. Ale ja tylko potrząsam głową i zagłębiam się w siebie, żeby pozwolić wypłynąć emocjom. Nie potrafię jednak ich w żaden sposób wyrazić, co deprymuje Coltona i rozbudza jego obawy. — Przykro mi, kochanie. Czy zachowaliśmy się głupio tamtej nocy? Może. Czy żałuję? — Potrząsa głową. — Żałuję, że doszło do tego wszystkiego, ale tamta noc była wyjątkowa. Wydarzyło się wówczas tak wiele rzeczy, które doprowadziły nas do punktu, w którym dzisiaj jesteśmy. I za to nie przepraszam. Sprowokowałaś mnie wtedy do zastanowienia się, czy jestem w stanie dać komuś więcej siebie. — Wyciąga drugą dłoń i wodzi kciukiem wzdłuż krawędzi mojej szczęki. Jego dotyk jest kojący, a słowa nieco łagodzą beznadziejność naszej sytuacji.

— To nie twoja wina — odpowiadam, bo chcę, by zniknął ten niepokój w jego oczach.

— Może nie bezpośrednio... Ale skłoniłem cię do wykroczenia poza twoje perfekcjonistycznie nakreślone granice zrobienia czegoś niezgodnie ze swoją naturą i takie są skutki. Strasznie mi przykro. Żałuję, że nie mogę tego naprawić — mówi, opuszczając potulnie głowę. — Jedyne, co mogę zrobić, to minimalizować zniszczenia. I tyle. — Rozkłada ręce. — Dobija mnie fakt, że nie jestem w stanie temu zaradzić. — Jego łamany głos i napięte ciało przekazałyby mi to wszystko, nawet gdyby nie wypowiedział ani słowa.

Patrzę na rozpacz mojego nieziemsko przystojnego męża, który desperacko pragnie naprawić błędy, za które nie ponosi odpowiedzialności. Czuję się trochę lepiej, gdy widzę, jak bardzo go to poruszyło, i w końcu zagłębiam się w swoje emocje. Już wiem, co chcę mu powiedzieć. Przypominają mi się decyzje podjęte wczoraj wieczorem, gdy siedziałam na tarasie i zastanawiałam się nad tą zmieniającą życie sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy.

— Stop. Przestań się za to obwiniać. Nie uważam, żeby to była twoja wina. — Przerywam, żeby dobrze usłyszał to ostatnie zdanie, i przygryzam dolną wargę, zastanawiając się nad dobrorem słów. — Dziękuję ci za danie mi wczoraj przestrzeni. Początkowo byłam wściekła na ciebie... bo byłeś najbliżej i najłatwiej byłoby się wyżyć na tobie. Ale im dłużej siedziałam i rozmyślałam, tym jaśniejsze stawało się dla mnie to, że moja furia powinna być skierowana w ludzi, którzy to zrobili. To oni odebrali nam naszą intymną chwilę i zrobili z niej sensację i pośmiewisko.

Colton ciągnie mnie za rękę, przez co podjeżdżam do niego na krześle. Nachyla się nade mną i spogląda mi głęboko w oczy.

— Nikt nas nie zna. Nikt poza nami nie rozumie, dlaczego ten związek działa. Ja znam prawdziwą ciebie, Rylee Jade Thomas Donovan. Oni nie mają pojęcia o tym, jaka jesteś niesamowita. Tylko ja mam przywilej wiedzieć, że lubisz lody na śniadanie i naleśniki na kolację. Tylko ja wiem z doświadczenia, że gdy

krzyczysz i pomstujesz, robi ci się na czole taka cholernie urocza malutka zmarszczka. Uwielbiam to, że kochasz swoich chłopców nad życie i nigdy nie pozwoliłabyś ich skrzywdzić. Wiem, że jesteś zdyscyplinowana i skromna i że nie lubisz przekraczać granic, ale że czasem się na to decydujesz dla mnie. Uwielbiam, gdy to robisz. A najważniejsze jest to, że wyścigowałam mnie już wtedy, gdy ja nawet jeszcze nie wszedłem na tor.

Jego słowa mnie zaskakują. Owijają się dokoła mojego serca jak wstążeczka wokół pudełka z rozdartym i poniszczonym papierem ozdobnym. Wpełzają do duszy i zadomawiają się w niej, bo dokładnie ich potrzebowałam, żeby jeszcze bardziej utwierdzić się w miłości do niego. Mój mrukliwy i arogancki mąż potrafi zachować się tak, jak tego potrzebuję w sytuacji, w której jest mi niezbędny, a to bardzo wiele mówi o tym, ile dla niego znaczę.

Nachyla się i całuje mnie w usta z czułością, która wzbudza we mnie jeszcze większą miłość. Odchyła się i opiera czoło na moim. Stykamy się nosami, a nasze oddechy splatają się ze sobą. Trochę mnie to uspokaja, mimo że tak naprawdę nic się nie zmieniło.

— Poradzimy sobie z tym, Ry. Tak jak kiedyś. Zawsze damy sobie radę. To, co nas łączy — mówi pełnym emocji głosem i przerywa, żeby znaleźć właściwe słowa — jest piękne.

— To, co piękne, nigdy nie jest doskonałe — szepczę.

— Masz rację. Daleko nam do doskonałości. Jesteśmy *doskonale niedoskonali*.

Gdyby nie to, że już od dawna kocham mojego męża na zabój, tym krótkim opisem bez wątpienia by mnie zdobył. Czuję na nowo strzałę przeszywającą moje serce, gdy słowa, którymi kiedyś go określałam, wracają jako opis tego, co nas łączy. Co najważniejsze, Colton o tym wie, akceptuje to i daje temu wyraz.

— Masz rację — odpowiadam łamiącym się głosem. Całuje mnie w nos, po czym odsuwa się, odgarnia włosy z mojej twarzy i ujmuje ją w dłonie, żebym zauważyła jego zdeterminowane spojrzenie.

— Obiecuję ci, że znajdę tego, kto to zrobił, i odpłacę mu za to. — Jego oświadczenie bardzo wiele dla mnie znaczy, ale wiem, że nawet jeśli faktycznie znajdzie winowajcę, to tego, co się stało, i tak nie da się odwrócić. Nigdy nie uda nam się przejąć tych zdjęć i przywrócić intymności tej chwili, potakuję więc tylko bez słowa.

— Muszę jakoś pogadać o tym ze starszymi chłopcami. — Nawet jeśli nie mam pojęcia, co powinnam im powiedzieć. Wszyscy poza Auggiem są nastolatkami, a dzieci w tym wieku są dobrze zaznajomione z portalami społecznościowymi i na pewno się o tym dowiedzą. Na tę myśl serce przestaje mi na chwilę bić.

— Nie, nie musisz. — Colton wyciera włosy, po czym potrząsa głową,



jakbym zwariowała.

— Oni są na niektórych zdjęciach wrzucanych w związku z tą aferą, Colton. Oczywiście, że muszę — protestuję z gniewem zabarwionym nutką hysterii. — Dzieci w szkole będą plotkować. Chłopcy powinni dowiedzieć się o tym ode mnie. Muszę z nimi pogadać. Nie chcę, żeby uznali, że jestem jakąś... — milknę i zaczynam się zastanawiać, co właściwie sobie o mnie teraz myślą.

— Ry, posłuchaj mnie. Oni cię kochają. Nie musisz nic...

— Owszem, muszę.

— Ja z nimi pogadam — stwierdza rzeczowo, a ja podnoszę głowę z zaskoczenia jego reakcją, bo wiem, jak bardzo nie lubi takich sytuacji.

— Że co?

— Nie będziesz teraz wychodzić z domu na pastwę tych wszystkich reporterów. Nie pozwolę, żeby zrobili ci zdjęcie, które wykorzystają jako pożywkę dla swoich kłamstw. Mogą mieć mnie... Niech mnie szkalują, a nie ciebie. Nie pozwolę na to. — Szokują mnie jego słowa, chociaż w sumie nie powinny. — Chase opracowuje nasze oświadczenie do mediów. Miejmy nadzieję, że dzięki niemu ta sprawa szybciej ucichnie.

— Uhm. — Patrzę na niego jak sarna w świetle reflektorów, bo zdaję sobie sprawę z tego, że prędzej czy później wrzawa ucichnie, ale ludzie już zawsze będą wiedzieli, jak wyglądam nago. Niełatwo się z tym pogodzić. Ani teraz, ani później.

A oświadczenie przypuszczalnie w niewielkim stopniu przytłumi ognisko sensacji.

— Muszę wziąć prysznic. Zamierzam pracować w domu przez resztę tygodnia — stwierdza i wstaje, a ja czuję niepokój w żołądku po jego słowach.

— Mam jutro zmianę — mówię, uświadamiając sobie nagle konieczność realizowania normalnego rozkładu zajęć w tym całym chaosie. — Mógłbyś z Sammym wymyślić jakiś sposób na przetransportowanie mnie tam?

Widzę, jak jego ciało się spina, i wiem, że czeka mnie konfrontacja. I faktycznie, tak właśnie się dzieje.

— Doktor Steele dzwoniła dziś rano — mówi, a ja natychmiast wpadam w irytację i mam ochotę się tłumaczyć. Odnoszę wrażenie, jakby czekał z tym komentarzem. Jęczę pod nosem, bo to oznacza, że wie o moich kłopotach z ciśnieniem.

— I? — dopytuję nonszalancko, chociaż w środku przygotowuję się na Donovanową wojnę światową.

— Z tego, co się dowiedziałem, jutro zostajesz w domu.

— Akurat! — odpowiadam, a on unosi brew, jakby chciał powiedzieć „sprawdź mnie”.

— Dzwoniła, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz. Powiedziała, że martwi się twoim ciśnieniem krwi... po tym wszystkim. — Spuszczam wzrok na dłoń

spoczywające na kolanach.

— Nic mi nie jest — wyjaśniam i kiwam głową z wymuszonym uśmiechem, który ma to zademonstrować.

— Ona twierdziła inaczej — odpowiada, a ja czuję, jak omawiane przez nas ciśnienie zaczyna rosnać.

— Colton, pójdę jutro do pracy z twoją pomocą lub bez niej. Jeśli nie chcesz, żebym miała zbyt wysokie ciśnienie, to mi w tym pomożesz — odszczekuję, unosząc brwi i ściągając usta. Ja też potrafię być uparta. Patrzymy sobie w oczy, prowokując się nawzajem do ustąpienia, ale żadne z nas się nie wycofuje.

— Dokładnie. Pomogę ci. Pojadę tam za ciebie i porozmawiam o tym z chłopcami — oznajmia, marszcząc czoło — a ty tu zostaniesz.

— Nie prowokuj mnie — ostrzegam go.

Pomieszczenie wypełnia jego chichot.

— Niezłe, Donavan — stwierdza i potrząsając głową, kieruje się w stronę drzwi. — Muszę wziąć prysznic, ale ta dyskusja jest skończona.

Prycham w odpowiedzi. Colton staje w miejscu i nie odwracając się do mnie, dodaje:

— Kocham chłopców, Rylee. Bardziej niż ci się wydaje. Wiem, że obiecałem, że nigdy nie stanę na drodze między nimi a tobą... Ale ty i to dziecko, które nosisz, jesteście dla mnie najważniejsi. *Numero uno*. Lepiej, żebyś też zaczęła tak na to patrzeć, bo w przeciwnym razie czeka nas poważna konfrontacja. Koniec dyskusji. — Nie czeka, aż pozbieram szczękę z podłogi, lecz wychodzi, rzucając jeszcze przez ramię: — I proszę mi już więcej nie zaglądać do komputera.

Patrzę za nim w pusty korytarz i nie wiem, co o tym myśleć, więc odchyłam się na krześle i robię długi, powolny wydech, żeby się uspokoić. Colton nigdy wcześniej nie powiedział mi czegoś takiego i chociaż brzmi to całkiem sensownie, i tak jestem zaskoczona. Jakaś część mnie czuje się zadbana i pod opieką, ale te uczucia są przysyłane przez zirytowanie tym, że Colton się tak rządzi. Ironia.

To oczywiście nie oznacza, że muszę przestrzegać jego praw.

Spoglądam na sufit i zamykam na chwilę oczy. Przez głowę przebiega mi to wszystko, co powinnam zrobić, lecz nie zrobię, bo jestem uwięziona w domu i nie mogę prowadzić normalnego życia. Utknęłam tu, co wzbudza we mnie poczucie klaustrofobii.

Jestem obnażona przed światem, lecz uwięziona w domu.

W poczuciu klęski otwieram oczy i patrzę na plażę za oknami. Po raz pierwszy, od kiedy się poznaliśmy, naprawdę rozumiem, dlaczego Colton tak lubi na nią uciekać. Rozbijające się fale, piasek pod stopami i wrażenie, że dla matki natury jest zaledwie pyłkiem.

Wyrywa mi się krótki chichot, gdy sobie to uświadamiam. On czuje się na plaży *nieistotny*. To dziwne, że mężczyzna, który powiedział mi, że nigdy taka dla

niego nie będę, ma czasem potrzebę się tak poczuć.

Oddaję się wspomnieniom tamtej chwili i na mojej twarzy pojawia się cień uśmiechu, gdy przypominam sobie imprezę rumu Merit. Taniec, po którym poszedł za mną korytarzem. Wściekłe słowa. Pełne pogardy pocałunki. Głodne spojrzenia. Jazda windą do pokoju rozkoszy i to ekscytująco groźne pytanie: *Tak. Czy. Nie.*

Znajduję pociechę w tym wspomnieniu. Gdyby nie tamta noc, nie byłoby tego wszystkiego. Nie miałabym Coltona. Nie spodziewałabym się dziecka. Nie musiałabym się kryć przed chaosem.

Znowu kieruję wzrok na plażę. Kusi mnie ulubiony cel ucieczek Coltona. Niestety, w tej chwili nie mogę tam uciec, gdybym tego zapragnęła. On może przynajmniej wziąć deskę i odpłynąć gdzieś poza zasięg fotografów, ale ja nie mam tyle szczęścia.

Co ja bym dała za to, żeby być teraz nieistotną.

Ale głęboko w środku czuję, że niezależnie od tego, co zrobię, nigdy się taką nie stanę dla Coltona. On na to nie pozwoli. Mój przystojny, skomplikowany i niezwykle uparty mąż jest zbyt dumny z tych dwóch rzeczy, których kompletnie nie spodziewał się w swoim życiu — z tego, że ma żonę, i z jej miłości — żeby pozwolić mi poczuć się nieistotną.

## Rozdział 7.

### Colton

— Weźcie sobie po piwie, chłopcy — mówię, wskazując na przenośną lodówkę obok stołu.

Wyraz ich twarzy? Bezcenny. Aiden ma otwartą buzię, jakby polował na przelatujące muchy. Oczy Ricky'ego i Kyle'a wyglądają, jakby miały wypaść z orbit. Zander i Scooter wiercą się na ławie i oglądają za siebie, jakby bali się, że przyjdzie Jax i będą w tarapatkach.

— No, śmiało — zachęcam ich i sam biorę i otwieram jedną z puszek.

Aiden orientuje się pierwszy i wybucha dźwięcznym śmiechem.

— To piwo korzenne, chłopaki — mówi, a w jego głosie ulga przeplata się z niedowierzaniem. Potrząsa głową i zaczyna rozdawać wszystkim srebrne puszki z napojem.

Grupa się ożywia. Chłopcy zerkają to na puszki, to na mnie, zastanawiając się, po co przyszedłem i co się dzieje. Stukamy się puszkami, a potem czekam, aż pociągną pierwszy łyk i skupią się z powrotem na mnie.

— Muszę z wami pogadać jak z mężczyznami, dlatego uznałem, że możemy wypić piwo lub dwa podczas tej pogawędki. — Kiwam głową, żeby podkreślić swoje słowa, i otrzymuję w odpowiedzi pięć kiwnięć.

— Mamy kłopoty? — pyta Ricky, bawiąc się zawleczką puszeki.

— Nie, ale muszę z wami o czymś porozmawiać. — Kurwa, kurwa, kurwa. Skąd te nagłe nerwy? Opuszczam wzrok i patrzę na swoje dłonie. *Głowa do góry, Donovan.* Oni wszyscy mają poniżej czternastu lat. Jak mam to zrobić? Cholera.

— O czym? — dopytuje Zander niewinnym głosem z uniesionymi brwiami.

No właśnie. To jest kluczowe słowo w tej sytuacji: niewinność. Co ja wiedziałem o seksie w wieku trzynastu lat? Nic. Chociaż nie, coś wiedziałem. Ten chaotyczny francuski pocałunek z Laurą Parker. Pościel, którą związałem w kulę, żeby mama niczego nie znalazła.

— Hm... Rzecz w tym, że w szkole, w telewizji lub w internecie mogliście słyszeć lub widzieć coś na temat Rylee i mnie. — Zmarszczone brwi. Ściągnięte usta. Pocące się dłonie. Chrząkam. — Czasem dorośli poddają się chwili i robią coś, co prowadzi do... ehm... hm... konsekwencji.

— Poddają się chwili? — dopytuje Aiden, chichocząc. Przysięgam, że po raz pierwszy od nie wiem jak dawna oblewam się rumieńcem.

— Wiecie, czasem robi się coś bez namysłu...

— Na przykład wchodzi na blat kuchenny, żeby ściągnąć ciastka z lodówki i...

— Nie, nie o coś takiego chodzi — przerywam Kyle'owi. Słodki Jezu, to będzie trudne. — Bardziej o to, że gdy dwoje ludzi po ślubie bardzo się kocha, to...

— Muszą być po ślubie? — pyta Scooter.

*Serio?* Będziemy się w to zagłębiać? Czuję się, jakbym siedział na rozżarzonych węglach. Pali mnie w kroczu i nie potrafię wytrzymać bez ruchu.

— Zazwyczaj tak. — Za te słowa chyba za chwilę uderzy mnie piorun. Za takie bezczelne kłamstwo.

Aiden znowu chichocze. Jako czternastolatek chyba wie, do czego zmierzam, i dobrze się bawi, obserwując, jak się pocę.

— W każdym razie ludzie będą o nas plotkowali, więc chciałem wam przypomnieć, że dobrze znacie Rylee. Wiecie, jaką jest osobą. Dlatego nie wiercie w żadne oszczerstwa na jej temat.

Uff. Może to wystarczy.

— Ale dlaczego? Co jest w internecie?

Ależ to koncertowo spieprzyłem. Gdybym był w ich wieku i ktoś powiedziałby mi coś takiego, to pierwsze, co bym zrobił, to poszukał tego w internecie. Ciekawość i takie tam.

Aiden znowu chichocze. Albo już wie, o co chodzi, bo słyszał od kogoś w szkole, albo się domyśla.

*Nie strać opanowania, Donavan.*

— Pięć trzy iks — mruczy pod nosem, zupełnie zbijając mnie z tropu. Pozostała czwórka najwyraźniej jednak doskonale rozumie ten kod, bo jak na komendę podnoszą głowy i otwierają z zaskoczenia usta. Jakby wiedzieli, o czym on mówi.

— *Co?* — pytam.

Pięć par oczu skupia się na puszkach z napojem, zostawiając mnie w kompletnym mroku.

— Czy ktoś mi wyjaśni, co oznacza pięć trzy iks?

Chichot razy pięć.

— Aiden?

Aiden podnosi głowę i patrzy mi w oczy, przekazując wzrokiem, że dobrze wie, po co tu przyszedłem. Krótkie zjadliwe spojrzenie, którym pokazuje, że jest na mnie wkurzony za to, co zapewne przeczytał o Ry, jakby uważał, że to moja wina. Wzdycham i przeczesuję dłonią włosy, próbując rozszyfrować ten jego kod.

Jakaś część mnie cieszy się z tego spojrzenia. Jest zły, bo troszczy się o Ry, ale jednocześnie, hm... Nie mogę uwierzyć w to, że czternastolatek skrytykował mnie wzrokiem.

Wtedy mnie olśniewa. Pięć trzy iks na papierze. 53X.

SEX.

O w mordę. Kiedy ja się tak zestarzałem, że nie znam tego szyfru, i kiedy oni się tak zestarzelili, że go znają?

Poruszam kolanem. Biorę głęboki wdech. Co mam im teraz, do cholery, powiedzieć? Nie byłem przygotowany na wyjaśnianie im kwestii seksu. Byłem? Nie wiem. Myślałem, że to będzie proste. Krótka pogawędka w stylu „nie wiercie w to, co zobaczycie w internecie”.

Tymczasem utknąłem na dyskusji o pszczołkach i kwiatkach, a ten skurczybyk Aiden zrzucił na mnie całe gniazdo szerszeni, gdy nie patrzyłem.

Jak się z tego wyplątać?

— Stary. Jest zupełnie spoko — mówi Aiden, wysuwając się przed gromadkę, mimo że dwaj najmłodsi, Zander i Scooter, się czerwienią.

— Nie, nie jest spoko. — W końcu odzyskuję grunt pod nogami. — Rylee bardzo się martwiła, że to na was wpłynie, i nie chciała, żebyście...

— Nie będziemy niczego klikać, okej? — Gdy to słyszę, oczy wyłażą mi z orbit. — Nikt nie chce widzieć, jak się stukacie... a szczególnie my.

Cóż, tak też można to ująć. Robi mi się sucho w ustach. Wszyscy chichoczą, czerwienią się i błędzą wzrokiem po suficie.

— Hm... W takim razie... — Kurwa. *Świetna robota, Donovan. Wkurzyłeś Aiden, ale nadal nie udało ci się im wyjaśnić, że tu chodzi o coś więcej niż tylko seks.* Pocieram twarz, zastanawiając się, co mam im powiedzieć, żeby mnie zrozumieli. — Słuchajcie, chłopcy, kochacie Rylee tak jak ja, prawda? — Wszystkie pięć głów potakuje i wszystkie pięć par oczu wbija się we mnie z zaciekawieniem. — Tak właśnie myślałem. Musicie wiedzieć, że ludzie będą mówić o niej bardzo brzydkie rzeczy z powodu zdjęć, na których jest ze mną. Rylee jest tym zasmucona i bardzo ją to boli. Najbardziej jednak przejmuję się tym, że to na was wpłynie. Dlatego jeśli proszę was, żebyście nie klikali niczego w internecie, nie klikajcie. Gdy proszę was, żebyście nie wierzyli w żadne paskudztwa o niej lub o powodach, dla których wspiera Dom, nie wiercie w nie. Jesteście dla niej całym światem i znienawidziłaby się, gdybyście w jakikolwiek sposób ucierpieli z powodu tej afery. Możecie to dla mnie zrobić? Możecie to wszystko zignorować i udawać, że nic się nie stało, żeby Rylee nie musiała się o was martwić?

*Na litość boską, zrozumcie, o co was proszę.*

Trafiam na spojrzenie Aiden, w którym nie ma już tego wcześniejszego niedojrzałego zadowolenia z siebie. Jego oczy emanują zrozumieniem, które wykracza daleko poza jego wiek. Kiwa głową, przekazując mi wzrokiem: *obiecujemy.*

Poprawiam się na ławie, chociaż tak naprawdę mam ochotę odetchnąć z ulgą. *Dzięki Bogu.* Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale mam pustkę w głowie.

— Dodgersi — mówi Aiden, który zauważa moją niepewność i bez zająknięcia przejmuje tę konwersację. — Porozmawiajmy o wczorajszym meczu Dodgersów.

Potrząsam głową bez słowa.

Nie jestem gotowy na to pieprzone rodzicielstwo.

## *Rozdział 8.*

### *Rylee*

— Co, do cholery, rozumiesz przez zwolnienie warunkowe? — Colton w końcu wrócił, bo jego głos niesie się echem po schodach i dociera do mojego pokoju, odrywając mnie od opisu przypadku, który próbuję dokończyć. Bez namysłu odkładam laptopa i ruszam w dół, żeby sprawdzić, co się stało.

— Wiem, CJ, wiem — mówi Colton, gdy wchodzi do salonu. Stoi tyłem do mnie w otwartych drzwiach tarasowych, jedną dłoń zaciska w pięść i wygląda na spiętego. — Ale to chyba zbyt duży zbieg okoliczności, nie sądzisz? Zbieżność czasu, oczyszczenie z zarzutów... to wszystko się sumuje.

Chyba wyczuwa moją obecność, bo odwraca się i spogląda mi w oczy, po czym wyciąga palec, żebym poczekała, aż skończy rozmowę. Obserwuję grę emocji na jego twarzy, gdy słucha swojego prawnika. Przechodzi od obojętności do zaniepokojenia słowami CJ-a i krążenia po pokoju, a ja zastanawiam się, o co może chodzić. W końcu się żegnają i Colton odwraca się do mnie.

— Eddie.

Nie mówi nic więcej i uderza dłonią o dłoń. To imię — cień z przeszłości — i automatyczna reakcja Coltona wywołują we mnie wspomnienia sprzed trzech lat. Wszystko zaczęło się od tego, że zgłoszony przez CD Enterprises wniosek patentowy na innowacyjny system ochrony karku został odrzucony, bo wcześniej zgłoszono już do opatentowania bardzo podobne urządzenie. A właściwie identyczne. Potem było śledztwo, z którego wynikało, że wcześniejszy wniosek bazuje na tych samych projektach, a po sprawdzeniu składającej go korporacji okazało się, że w radzie nadzorczej zasiada Eddie Kimball.

Ten sam Eddie Kimball, który został zwolniony przez Coltona za kradzież rzeczonych projektów.

Gdy widzę zawzięte spojrzenie Coltona, bezwiednie myślę o dwuletniej walce o prawa własności i prawa do czerpania dochodów z urządzenia bazującego na tych projektach. Przypomina mi się stres, kłamstwa, oskarżenia, spotkania mediacyjne i proponowane przez Eddiego ugody, żeby kupić trochę czasu. Po wydaniu fortuny na prawników sędzia ostatecznie wydał korzystny dla nas wyrok i skazał Eddiego na cztery lata więzienia między innymi za oszustwo, krzywoprzysięstwo i składanie fałszywych zeznań.

— Jak? — pytam, przeprowadzając w głowie obliczenia dotyczące osoby, która miała już zniknąć z naszego życia. Proces skończył się trzy lata temu, a Eddie



dostał cztery lata.

— Zwolnienie warunkowe. Za dobre zachowanie. Więzienia są przepelnione z powodu ustawy o trzecim przestępstwie — odpowiada na niewypowiedziane przeze mnie pytania i przeczesuje dłonią włosy. Widzę, jak kiwając głową, próbuje poskładać to wszystko w całość.

— Tawny wiedziała, co wtedy robiliśmy — mówię cicho, nie odrywając od niego wzroku. Spogląda na mnie, przymykając powieki, i zgrzyta zębami, bo najwyraźniej wolałby, żebym już tego nie sugerowała.

— Wiem — przyznaje z westchnieniem. — Ale nie wiem, jak to wszystko ze sobą połączyć. Załóżmy, że Tawny poszła wtedy na górę i w jakiś sposób zdobyła film z nami. Gdyby tak faktycznie było, to po co czekałaby z publikacją przez te wszystkie lata? — Opada na kanapę i chowa głowę w dłoniach, próbując to wszystko zrozumieć.

Podchodzę do niego, siadam obok i kładę głowę na jego ramieniu.

— Nie potrafię na to odpowiedzieć, ale wydaje się mało prawdopodobne, żeby nie maczała w tym palców. — Mój głos jest spokojny, ale w moich żyłach zaczyna płynąć ogień na myśl, że ona lub Eddie mogli mieć z tym coś wspólnego. W sumie można by się tego po nich spodziewać.

Jędza nigdy nie straci pasków. Nie, to przecież było o *tygrysach*. Hmm. Nieważne, nie chcę już o niej myśleć. Jeśli to zrobiła, niech Bóg ma ją w opiece, gdy Colton ją dorwie.

Ta myśl wcale nie ułatwia pogodzenia się z publicznym upokorzeniem, ale informacja o wcześniejszym wypuszczeniu Eddiego jest już jakimś punktem zaczepienia.

— Kelly próbuje go namierzyć poprzez kuratora — stwierdza Colton, wrywając mnie z zamyślenia. Ścisza dłonią moje kolano, żeby okazać mi swoją bliskość, chociaż wiem, że myślami jest milion kilometrów stąd.

— To wszystko jest strasznie popieprzone — wyrażam szeptem swoje myśli, a on przytakuje. Siedzimy tak przez kilka chwil. Cisza przynosi nam ukojenie, bo mamy świadomość, że poza tą naszą bezpieczną bańką czyhają na nas ludzie, którzy chcą nas rozszarpać na strzępy.

Z kuchni dobiega dzwonek mojego telefonu. Wzdycham, bo jestem przekonana, że to znowu jakiś dziennikarz tabloidu.

— Muszę zmienić numer — jęczę.

— Załatwię to — stwierdza, uprzedzając moją reakcję, i wstaje z kanapy. W sumie i tak włączyłaby się poczta głosowa, zanim z takim brzuchem dowlokłabym się do kuchni.

Zatapiam się z powrotem w kanapę i czekam, aż Colton odbierze i wyładuje się na tej biednej duszyczce, która myśli, że dzwoni do mnie. Ku mojemu zaskoczeniu jego głos jest bardzo ciepły.

— Hej, witaj — mówi. — Tak, jest przy mnie, Teddy. Już ją daję.

Mój umysł, tak przytłoczony przez wszystkie dzisiejsze wydarzenia, w ułamku sekundy wchodzi na najwyższe obroty. Pomyślałam o rodzicach i chłopcach. Czytałam artykuły potępiające pobudki moich działań i sugerujące, że wypuściłam sekstaśmę dla własnej korzyści. Dzwoniłam do Jaxa i poprosiłam, by wziął moją zmianę w Domu. Zapomniałam jednak o własnym szefie. Ani razu nie pomyślałam o negatywnych skutkach dla korporacji i o tym, co ten uwielbiany i podziwiany przeze mnie człowiek sobie o mnie pomyśli.

Zaćmienie ciążowe.

O cholera.

Przez głowę przelatują mi różne scenariusze, gdy biorę telefon z ręki Coltona. Spoglądamy sobie na chwilę w oczy i widzę, że myśli o tym samym co ja.

— Hej, Teddy — mówię głosem, w którym jest dziesięć razy więcej entuzjazmu niż czuję.

— Co u ciebie, dziewczyno? — pyta ostrożnie.

— Przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłam — odpowiadam, po raz kolejny automatycznie wpadając w skruchę, chociaż teoretycznie nie zrobiłam nic złego.

— Nie musisz — stwierdza, po czym w słuchawce zapada cisza. Czuję, że w tym niezręcznym tańcu niewypowiedzianych słów próbuje znaleźć odpowiednie podejście do tej konwersacji. — Ale musimy porozmawiać.

Niepokój, który udało mi się zażegnać, powraca z pełną siłą.

— Czego ode mnie oczekujesz, Teddy? — Mam ochotę wstać i chodzić tam i z powrotem, żeby stłumić ten wewnętrzny dysonans, ale nie mam na to siły. Colton staje za kanapą, kładzie dłonie na moich ramionach i zaczyna rozmasowywać moje napięcie.

Szef wzdycha po drugiej stronie, co upewnia mnie w przekonaniu, że moje obawy dotyczące tej rozmowy są uzasadnione.

— Niektórzy ofiarodawcy podnoszą swoje hipokryzyjne wypielęgnowane dłonie, aby zaprotestować przeciwko temu, że stoisz na czele tego projektu.

Biorę głęboki wdech i powstrzymuję się od komentarza, który mam na końcu języka.

— Rozumiem. Cóż, w takim razie zdejmij mnie z funkcji kierowniczej. Zostaw mi zmiany w Domu, a ja będę pracowała nad projektem za kulisami.

Teddy nie odpowiada od razu, a ja zaczynam gryźć dolną wargę.

— Chciałbym móc tak zrobić. — I znowu ta cisza. Wzdychamy jednocześnie, a ten odgłos jest jak symfonia niepokoju.

— Co przez to rozumiesz?

— Ry...

Wtedy to do mnie dociera. Nie chodzi o to, żebym zajęła tylne miejsce w

projekcie, tylko żebym zupełnie z niego zniknęła. I z Domu.

— Ach — mówię. Palce Coltona tężeją, gdy wyczuwa moją reakcję fizyczną. Cieszę się, że nie widzi mojej twarzy, bo domyśliłby się, jak bardzo jestem zdruzgotana. I tak ma już wystarczające poczucie winy z powodu zdarzeń, na które nie miał wpływu. — Nie będę narażała projektu. Chłopcy, nasza misja, to wszystko zbyt wiele dla mnie znaczy. Włożyłam w to mnóstwo wysiłku i całe swoje serce i nie mogę ryzykować tym, że nie pomożemy kolejnym dzieciakom. Wiem, że to dla ciebie trudne i nie chcę cię zmuszać do proszenia mnie o to, więc sama to powiem. Pójdę na wcześniejszy urlop macierzyński. Nie podoba mi się to. Nie chcę zostawiać Auggiego właśnie teraz, gdy zaczyna robić postępy i wydaje mi się, że lada dzień nastąpi przełom... — urywam swoją bezładną tyradę, w której starałam się przekazać, że jest to dla mnie bardzo trudne. Jednocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że dla niego stokroć trudniejsze było wybranie mojego numeru i zadzwonienie do mnie w tej sprawie.

— Oni żądają czegoś więcej niż wcześniejszy urlop macierzyński.

— Co przez to rozumiesz?

— Rada nadzorcza chce, żebym posłał cię na przymusowy urlop na czas nieokreślony.

— Na czas nieokreślony? — wyjąkuję niepewnym głosem, w którym pobrzmiewa niedowierzanie, próbując dookreślić to, co nie do końca jest jasne. — Taki jak na przykład trzy miesiące?

— Wiesz, że cię szanuję. Wiesz, że *ja* wiem, że dzięki twojej ciężkiej pracy ten projekt jest pasmem sukcesów, a chłopcy odnajdują się w społeczeństwie. — Nie podoba mi się to, że Teddy nagle zaczął brzmieć, jakby przemawiał do grupy ludzi w garniturach, a nie do mnie, czyli do kobiety, która pracowała dla niego ponad dwanaście lat. Dobrze rozumiem jego obronę, dystansującą ścianę, bo sama właśnie wnoszę własną. Muszę. Tylko tak mogę przetrwać do końca tej konwersacji, w której on mówi mi, że już nie będę pełniła funkcji matki dla moich chłopców. Dla mojej rodziny. Nie odpowiadam, więc Teddy mówi dalej, próbując odnaleźć grunt pod nogami w świecie, w którym jest szefem, mentorem i przyjacielem. — Przysięgam, że poszedłbym za tobą w ogień, ale ponieważ zbliża się głosowanie rady... — mówi zawstydzony, ale ja dobrze wiem, o co mu chodzi. Za miesiąc odbędzie się coroczne głosowanie rady nadzorczej w sprawie jego stanowiska i jeśli będzie zbyt mocno walczył, może je stracić.

A to byłby olbrzymi błąd, bo chłopcy straciliby jednocześnie obu swoich najbardziej zagorzałych adwokatów. Przełykam gorycz i chęć wdania się w polemikę, bo jeśli on zostanie na pozycji, to przynajmniej jedno z nas będzie wciąż pracowało z chłopcami.

— To tymczasowe. Obiecuję ci. Niech tylko ucichnie ta wrzawa.

Jasne, tymczasowe. Gorycz powraca. Przytłaczające niedowierzanie rodzi

nową myśl: a co, jeśli rada nie przedłuży mu kontraktu? Czy tym samym *moja* droga powrotu do Corporate Cares zostanie odcięta?

Wściekłość zostaje wyparta przez strach. Gdy krew w żyłach przestaje wrzeć, uświadamiam sobie, że dyskusowanie z nim jest bez sensu, bo on jest po tej samej stronie barykady. Muszę zniknąć za kulisami, niezależnie od tego, że pod pewnymi względami stoję w świetle jupiterów. To będzie trudne, ale nie chcę jeszcze bardziej kołysać łodzią Teddy'ego.

— Dobrze — odpowiadam cicho głosem, w którym nie ma za grosz przekonania. Chciałabym go spytać, skąd wie, że to tylko tymczasowe, bo potrzebuję jakichkolwiek konkretów, ale wiem, że to bezcelowe. Cała ta sytuacja jest dla nas wystarczająco trudna i nie powinnam zmuszać go do składania obietnic bez pokrycia.

— Czuję się, jakbym sprzedawał cię w zamian za datki...

— Nie...

— Ale ich potrzebujemy — kończy szeptem.

*Desperacko.* Organizacje *non profit* zawsze potrzebują funduszy. Zajmuję się tym nie od dziś i dobrze wiem, że pieniędzy nigdy nie jest za dużo i zawsze znajdzie się wiele osób, którym także moglibyśmy pomóc.

— Nie będę ryzykowała projektu, Teddy. — Wiem, że jest mu trudno prosić mnie o odejście. Samo to świadczy o jego olbrzymiej wierze we mnie, co bardzo dużo dla mnie znaczy. — Wycofam się ze skutkiem natychmiastowym. — Krztuszę się, wypowiadając te słowa, bo łzy zatykają mi gardło i tłumią przez chwilę struny głosowe. Próbuję jakoś przerobić w głowie to, co właśnie powiedziałam. Czuję, jak palce Coltona sztywnieją na moich ramionach, ale strząsam je z siebie, wstaję z kanapy i przechodzę na przeciwległy koniec salonu. To niemal odruchowa reakcja wynikająca z potrzeby pogodzenia się z tym na własną rękę. Jednak gdy odwracam się do Coltona i trafiam na jego pełne niezachwianej miłości spojrzenie, wiem, że nie jestem sama. Wiem, że tworzymy wspólny front.

— Ry... — Zrezygnowany smutek w głosie Teddy'ego jest jak sól na moje otwarte rany.

— Nie. Jest okej. W porządku. Ja tylko... Jest w porządku — powtarzam, chociaż nie jestem pewna, kogo bardziej chcę podnieść na duchu: jego czy siebie. Wiem tylko, że nie przekonuje to żadnego z nas.

— Przestań powtarzać, że jest w porządku, Rylee, bo nie jest. To *ściema* — mówi z emfazą, przekazując mi swoje emocje tym jednym słowem, które wciąż wpływa na wierzch.

— Ale masz związane ręce. Chłopcy są najważniejsi — stwierdzam, przypominając sobie wcześniejsze słowa Coltona. — Oni są na pierwszym miejscu, Teddy.

— Dzięki za zrozumienie mojej sytuacji.

Przytakuję, bo nie potrafię wykrztusić ani słowa, po czym uświadamiam sobie, że on mnie nie widzi. Problem w tym, że ja tego *nie rozumiem*. Mam ochotę krzyczeć i pomstować, powiedzieć mu, że nie ma prawa na mnie naciskać, bo film w żadnym stopniu nie ujmuje mi kompetencji do wykonywania pracy, ale kości zostały rzucone. Film trafił do sieci. Moja praca nie jest już moja.

*Jasny gwint.* Właśnie straciłam coś, co od zawsze było w moim życiu. Jeszcze przed chwilą miałam poczucie celu, a teraz jestem kompletnie zagubiona.

Jak film, dokumentujący jedną chwilę z naszego życia, mógł wywołać tak gigantyczną falę zniszczeń?

— Muszę pożegnać się z chłopcami. — To jedyna myśl, jaka przychodzi mi do głowy.

— Przykro mi, Rylee, ale w tej chwili nie jest to najlepszy pomysł, skoro... Sama wiesz.

— Ach. — Wszystko, co miałam z nimi zrobić przed odejściem na urlop macierzyński, nagle przepadło i gdy wrócę, będę musiała od nowa wypracowywać więź z Auggiem.

*Jeśli wrócę.*

Ta myśl uderza mnie najbardziej. Teddy jeszcze się nie rozłączył, ale ja rzucam telefon i biegnę do łazienki, gdzie opróżniam zawartość żołądka do toalety.

Chwilę później czuję na sobie dłonie Coltona. Jedną trzyma mi włosy, a drugą gładzi mnie wzdłuż kręgosłupa, dodając mi w milczeniu otuchy, gdy wstrząsają mną gwałtowne torsje.

— Przykro mi, Rylee. Wiem, że praca z chłopcami była dla ciebie wszystkim — szepcze, gdy siedzę nad ubikacją z czołem opartym na wierzchu dłoni.

Pojawia się pierwsza łza, ale nie pozwalam sobie na emocje. Czuję, jak bardzo powoli zsuwa się po policzku. Zamykam oczy i z kochającym mnie mężczyzną za sobą zastanawiam się nad życiem w ciągłej niepewności.

Czy w tym wszystkim chodziło o mnie? Jeśli tak, to człowiek, który to zrobił, uzyskał to, co zamierzał. Zdruzgotał mnie. Odebrał mi chłopców, którzy byli dla mnie całym światem. Zadał mi cios, po którym mogę się nie podnieść.

Tylko odebranie mi Coltona i dziecka byłoby gorsze. Ale na to na pewno nie pozwolę.

Może i jestem na łopatkach, ale nie zamierzam się poddać.

## Rozdział 9.

### Colton

— Miejmy nadzieję, że nie będzie nam to potrzebne.

— To tylko środek zapobiegawczy — mówię o zakazie zbliżania dotyczącym Eddiego Kimballa, który Rylee właśnie podpisała na posterunku. Wrzucam kierunkowskaz, zerkam w lusterko wsteczne, żeby się upewnić, że nadal nie mamy na ogonie żadnych dziennikarzy, i skręcam w nieznaną ulicę.

— Ale i tak się z tym nie zgadzam. Ty też powinieneś zgłosić taki wniosek.

Nie. Ja nie. Liczę na to, że ten skurwiel się do mnie zbliży. To bardzo przyjemna myśl. Z chęcią skorzystałbym z okazji, żeby wytłuc z niego prawdę.

— Ja sobie z tym poradzę — wyjaśniam spokojnie.

Słyszę jej niezadowolone stęknienie, ale je ignoruję. Jadę powoli ulicami wśród drzew i od czasu do czasu nachylam się nad deską rozdzielczą, żeby sprawdzić numery domów po stronie Rylee. Zauważa to i zaczyna się zastanawiać, czego szukam, porzucając wcześniejszy temat. Przynajmniej na razie. Na pewno do niego wróci, ale na razie mam spokój.

— Ostatni punkt — oznajmiam i parkuję, bo znalazłem szukany numer.

— Gdzie jesteśmy? — pyta, rozglądając się z zaciekawieniem.

— W miejscu, w którym okaże się, kto z nas dwojga miał rację — odpowiadam. — Zostań tu.

Otwieram drzwi i wysiadam, ucinając jej pytania. Obchodzę samochód i staję na chodniku. Rylee otwiera drzwi, lecz patrzę na nią ostrzegawczo.

— *Nie* — rzucam nieznoszącym sprzeciwu tonem. Widzę temperament w jej oczach, ale tym razem jej nie ustąpię i dobrze o tym wie. W końcu mruczy coś pod nosem i zamyka drzwi.

Owszem, zachowuję się jak palant. Też mi nowość. Skoro jednak mam zagrać w otwarte karty, muszę to zrobić sam. Nie mogę sobie pozwolić na walkę kobiet, którą zainicjowałaby Rylee, gdyby była ze mną, bo utrudniłoby mi to przeglądanie kart Tawny.

Idąc betonowym chodnikiem, po raz kolejny sprawdzam adres i czuję na plecach dziury wypalane przez ostre spojrzenie Rylee. Mam przed sobą zwyczajny dom — nieco zaniedbany, z kwiatkami w donicach i czerwonym wózkiem na ganku — i bezwiednie porównuję go z ekskluzywnym mieszkankiem, w którym odwiedzałem ją ostatnio.

Pukam do drzwi. Szczeka pies. Przeszuję z nogi na nogę. Ściągam okulary

przeciwsłoneczne, bo nie chcę, żeby były jakiekolwiek wątpliwości co do moich słów lub intencji. Załatwmy to, żeby mieć to już z głowy. Sęk w tym, że mam wrażenie, że gdy to załatwię, będę musiał ukorzyć się przed Rylee, a ta perspektywa niekoniecznie mnie cieszy.

Powinienem to już wiedzieć, że Ry zazwyczaj ma rację w takich kwestiach. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Pukam jeszcze raz. Oglądam się przez ramię w stronę Ry w samochodzie. Ma otwarte okno i przechyloną głowę, jakby próbowała rozszyfrować, co ja właściwie wyprawiam.

No dalej. Otwórz te pieprzone drzwi. Nie mam czasu na takie zabawy. Tracenie cennych minut.

To ona czy nie? Oto pytanie dnia.

*Tawny.*

Zgrzytam zębami, gdy wypowiadam w myślach to imię. Imię osoby, którą wykreśliłem ze swojego życia. Może i była jedną z moich najlepszych i najdawniejszych przyjaciółek, ale próbowała mnie oszukać, związać ze sobą cholernymi kłamstwami i, co najgorsze, pogrywać z Rylee. To niewybaczalne.

Zaciskam pięści. Zalewające mnie wspomnienia są zabarwione gniewem.

Otwierają się drzwi i wzdrygam się, widząc kogoś, z kim urwałem wszelki kontakt.

— Colton! — Jej niebieskie oczy powiększają się ze zdumienia. Zmarszczki wokół nich mówią, że życie jej nie oszczędzało. I dobrze jej tak. Królowa piękności straciła swoją koronę. Cóż, jeśli siejesz wiatr, zbierasz burzę. Tawny automatycznym ruchem przygładza włosy i poprawia bluzkę.

*Bez obaw, słonko, nie dotknąłbym cię nawet trzymetrowym kijem.*

— Co ty, do cholery, próbujesz ugrać z Eddiem, Tawny? — atakuję z zaskoczenia i szukam jakiegoś przebłysku w oczach. Czegokolwiek. Jakiegokolwiek wskazówki sugerującej, że miała z tym coś wspólnego.

— O co ci...? — Nie dokańcza i potrząsa głową. Mruga przy tym powiekami, jakby nie wierzyła, że tu stoję. Podzielam to uczucie.

*Odebrało ci mowę, T.?*

— Colton... Proszę, wejdź. — Wyciąga dłoń i kładzie ją na moim ramieniu, lecz ja odruchowo ją strząsam. Ona naprawdę sądzi, że przyszedłem tu dla niej? To może... Kurwa, nie mam pojęcia, co ona sobie myśli, ale sądząc po przebłysku bólu w jej oczach, nie spodziewała się odtrącenia z mojej strony.

*Świetnie.* Przynajmniej jedno mamy już ustalone. Stłumiliśmy jej nadzieję. Wyrzuciliśmy jej oczekiwania za pieprzone drzwi.

— Nie, dziękuję. W samochodzie czeka mnie coś lepszego — odpowiadam z uniesionym podbródkiem, po czym odsuwam się nieco na bok, żeby zauważyła Rylee.

*I żeby Rylee zauważyła ją. Zrozumiała, po co tu jestem. Że ją wysłuchałem, przyjąłem jej słowa i dążę do uzyskania jakichś odpowiedzi. Mam tylko nadzieję, że Rylee nie będzie się wtrącać i pozwoli mi podbić stawkę. A potem zebrać pulę i skończyć na moich warunkach. Bo jest mi to potrzebne.*

— Och.

Tak. *Och.* Cieszę się, że ustaliliśmy już także to, że wciąż jestem żonaty. *Szczęśliwie.* A teraz wracajmy do interesów.

— Powiedz mi, co wiesz o filmie. — Przez głowę przebiegają mi obrazy: Rylee płacząca po rozmowie z Teddym, Rylee siedząca samotnie na tarasie, wulgarne komentarze pod filmem na YouTube, w których chorzy pojebańcy wypisywali, co chcieliby z nią zrobić.

— Jakim filmie? — Potrząsa głową i patrzy na mnie zdeorientowana.

— Skończ z tymi ściemami, T. Raz mnie nabrałaś na swoje kłamstwa, lecz drugi raz już się nie dam. — Krzyżuję ręce na piersi i unoszę brwi.

— Przykro mi, Colton, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Nie wierzę w tę jej udawaną niewinność.

— Nie oglądałaś telewizji w tym tygodniu? Nie byłaś w żadnym sklepie? Nie widziałas magazynu „People”? Nic?

— Mój syn był chory przez ostatnie kilka dni, więc nie licząc bajek o Scooby Doo, nie miałam kontaktu z telewizją. A dlaczego? Co się stało? — pyta obronnym tonem, lecz ja celowo nie odpowiadam. Chcę, by milczenie wytrąciło ją z równowagi. I faktycznie, zaczyna bawić się palcami, przestępuje z nogi na nogę i przygryza język.

Do licha. *Ry miała rację.* Ona coś wie. Niech to szlag.

— Kurczę, nie widziałam Eddiego już od ponad czterech lat — dodaje w końcu.

Wpatruję się w nią, usilnie próbując znaleźć jakiegokolwiek oznaki oszustwa, ale widzę tylko kobietę, którą kiedyś dobrze znałem, nieco bardziej zaokrągloną, niestarannie ubraną, ze zmęczeniem w oczach.

Nie interesuje mnie to, czy życie było dla niej łaskawe. Wygląd może być mylący. Nadal jej nie ufam. Ani trochę. Nie po tym, co zrobiła nam wtedy, i po tym, co dzieje się teraz, w czym z całą pewnością maczała palce.

— W sieci pojawił się film z Ry i ze mną sprzed sześciu lat. Tylko ty wiedziałaś, gdzie wtedy byliśmy i co robiliśmy. — Pozwalam, by słowa zawisły w przestrzeni między nami. Tawny próbuje ukryć swoją reakcję. Zwilża usta, zerka w stronę przejeżdżającego samochodu. Ale osoby, z którymi było się w związku, są dla nas jak otwarta książka. Z pieprzonymi obrazkami. Dobrze wiem, że Tawny ma coś więcej do powiedzenia. — Impreza Kids Now. Gdy uprawiałem z Rylee seks na parkingu. Film z tym robi furorę w mediach, Tawny. Tylko ty o tym wiedziałaś.

Zmusza się do przełknięcia śliny. Zerka za siebie na podłogę, na której wala



się mnóstwo resoraków. Przesłupuje z nogi na nogę. Przygryza dolną wargę. Dopiero po tym wszystkim zbiera się na odwagę, by ponownie spojrzeć mi w oczy.

— Chcesz coś zmienić w swojej odpowiedzi?

— O mój Boże — szepcze bardziej do siebie niż do mnie. Coś mi nie pasuje w sposobie, w jaki to mówi. Wydaje się szczerą, zaskoczona, prawdziwą. Nie kupuję tego. Gra swoją rolę, nawet gdy nie miała czasu się przygotować. — Kompletnie zapomniałam o tym filmie.

— Zapomniałaś? — rzucam szyderczo, a mój głos aż kipi od sarkazmu. — Cóż za zbieg okoliczności!

— Nie, serio — mówi i wyciąga dłoń, ale wycofuje się, bo przypuszczalnie przypomina sobie moją wcześniejszą reakcję. Bystra kobieta.

— Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu — cedzę przez zęby.

— Tamtej nocy spotkałam Eddiego po wyjściu z imprezy. Wypiliśmy trochę. Zbyt dużo. Opowiedziałam mu o tym wszystkim. Że widziałam cię tam z Rylee i że Rylee chwaliła się seksem na masce Sexu. Byłam wtedy wściekła i czułam się odtrącona, ale zapomniałam o tym wszystkim do momentu, gdy Eddie został zwolniony. Zadzwoił do mnie, kipiąc z wściekłości. Stwierdził, że ma świetny sposób, żeby się na tobie odegrać, bo zdobył nagranie z tamtej nocy i trzyma je w bezpiecznym miejscu.

Bingo. Kropki połączone. Mamy potwierdzenie. Spróbujmy teraz uzyskać pełniejszy obraz.

— I nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć? — krzyczę. Zaciskam pięści, próbując okiełznać pragnienie potrząśnięcia nią z frustracji.

— To były inne czasy. Niedługo potem mnie też wyrzuciłeś. Czułam wściekłość i wstyd, a do tego odtrąciła mnie własna matka... Dlatego przykro mi, ale nie powiedziałam ci o tym. Byłam zbyt pochłonięta myśleniem o sobie i o swoim życiu. — Wzdycha i splata dłoń, po czym je rozplata. Nie podoba mi się to, że patrzy na mnie z taką szczerością, z jaką nigdy wcześniej się u niej nie spotkałem. Wolałbym tego nie widzieć, zignorować to, ale nie potrafię. — Byłam wtedy inną osobą. Czas... zdarzenia... dzieci, życie, to wszystko nas zmienia.

— Dzieci? — pryham, ukrywając się za gniewem jak za tarczą, gdy przypomina mi się jej szokujące kłamstwo sprzed lat. — Masz na myśli dziecko, które wmawiałaś mi, że jest moje? Które było pionkiem w twojej popieprzonej grze? — Podchodzę o krok bliżej z zaciśniętymi pięściami, owładnięty wściekłością.

— Tak, to dziecko — przyznaje ledwie słyszalnym głosem. — Ja... Tak bardzo cię...

— Oszczędź sobie przeprosin, Tawny. Przez twoje ściemy i oskarżenia niemal straciłem najważniejszą osobę na świecie. — Czuję na języku gorzki smak odrazy. — Czegoś takiego się nie wybacza.

Moje słowa uderzają ją jak cios w brzuch — ostro i boleśnie. Czy ona myśli, że wzruszę się jej drżącą dolną wargą? Że zapomnę o przeszłości?

Nie ma mowy.

— Wiem — odpowiada ku mojemu zaskoczeniu. Spodziewałem się zaprzeczania, oporu i arogancji, lecz jej reakcja jest zupełnie inna. Patrzymy sobie przez chwilę w oczy i nagle mam wrażenie, jakbym po raz pierwszy zobaczył ją w innym świetle. *Nie nabieraj się na jej grę, Donavan.* Tacy ludzie się nie zmieniają. Nie mogą. To niemożliwe.

*Ale ty się zmieniłeś.*

Ten ledwo słyszalny głos z tyłu głowy brzmi jak krzyk i każe mi powstrzymać się od jadowitego komentarza, który zostaje wyparty przez wątpliwości.

Przypomina mi się wyraz twarzy Rylee, gdy Tawny wparadowała do mojego domu i obwieściła, że jest ze mną w ciąży. Manipulacja godna mistrzyni. Na nieszczęście dla niej sam też potrafiłem w to grać. Bez problemu poradziłem sobie z wszystkimi jej podkreconymi piłkami, ale Rylee... Rylee nawet nie wiedziała, jak trzyma się kij bejsbolowy.

Uczepiam się tych myśli — łyżę Ry, paskudna kłótnia, zerwanie ze sobą — żeby ten przebłysk litości dla Tawny się ode mnie odczepił. Sama zgotowała sobie taki los. Ja jej tego nie zrobiłem. Ani Rylee. To jej zasługa.

Tawny otwiera i zamyka usta.

— Gdybym wiedziała, że Eddie naprawdę ma ten film... Gdybym wiedziała, co zamierza z nim zrobić, powiedziałabym ci o tym.

Patrzę na nią podejrzliwie, bo ta jej nagła uczciwość i przyzwoitość kompletnie nie pasują do kobiety, którą kiedyś znałem, więc przekazuję jej spojrzeniem: *lepiej ze mną nie pogrywaj.*

— Powiedz mi, co wiesz — mówię mrukliwie. Nie wierzę, że zmieniła się aż tak, żeby się o mnie troszczyć. Już to widzę, jak by mi powiedziała.

*A może by powiedziała?*

*Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, Donavan?* Wydobądź z niej tyle, ile się da, a potem odwróć się i odejść. Nie interesuj się tym, czy się zmieniła i czy życie było dla niej łaskawe, bo liczy się dla ciebie tylko kobieta, która siedzi w samochodzie.

— Szczerze powiedziawszy...

— Chciałbym ci wierzyć, że jesteś zdolna do szczerości, ale to nie ty masz na głowie... — urywam w połowie zdania, bo łapię się na tym, że wtajemniczam ją w nasze prywatne sprawy. Nie chcę, żeby wiedziała o katastrofalnym wpływie tego filmu na wszystkie aspekty życia Rylee. Jeśli ze mną pogrywa i w jakiś sposób maczała w tym palce, to zdradziłbym jej, że uzyskała to, na czym jej zależało. Że Rylee została skrzywdzona, a tym samym też ja. Czasem okazuję współczucie, ale

jego adresatami są wyłącznie moja żona, chłopcy i ludzie, o których się troszcę. Może i mam z Tawny wspólną przeszłość, ale z całą pewnością ta kobieta nie należy do tej grupy.

— Słuchaj, wiem, że cię to nie interesuje, ale spieprzyłam. Znalazłam się w niewłaściwym miejscu i pod naciskami, o których nie masz pojęcia i których nie uważam za wytłumaczenie... Ale to było dawno temu. Jak już mówiłam, jestem teraz inną osobą, Colton. Nie spodziewam się, że mi uwierzysz... i że przyjmiesz moje przeprosiny za intrygi, które snułam, ale i tak cię przepraszam — mówi, patrząc mi w oczy. Zaciskam szczękę i czuję łomotanie serca.

Myślałem, że będę musiał z nią walczyć i groźbą wydobyć jakiekolwiek informacje. Nigdy bym się nie spodziewał, że zastanę ją właśnie taką: pełną skruchy, przyzwoitą, szczerą. Ale nawet jeśli naprawdę taka się stała, to co z tego? Niczego to nie zmienia. Przyszedłem tu po odpowiedzi, które pozwolą mi pomóc mojej żonie.

— Początkowo myślałam, że kłamie w kwestii tego filmu. — Słowa Tawny wrywają mnie z zamyślenia. — Myślałam, że próbuje dobrać mi się do majtek i dlatego podsyciła moją gorycz po tym, jak wybrałaś Rylee... Cóż, taki był Eddie. Sam dobrze wiesz, że nie można mu było ufać.

Opiera się plecami o futrynę, a ja przestępuję z nogi na nogę. Chcę to jak najszybciej zakończyć i stąd zniknąć, ale potrzebuję informacji. Widok Tawny obudził we mnie wspomnienia. Jej kłamstw. Jej manipulacji. Tego, że podejrzewałem ją o współpracę z Eddiem w kradzieży projektów, ale mimo rozległego śledztwa i podjęcia wszelkich możliwych kroków prawnych CJ nie był w stanie znaleźć żadnych dowodów na jej zaangażowanie. Nie powiem, żeby łatwo mi było uwierzyć w jej niewinność, ale uwierzyłem. Nie miałem wyboru.

Pytanie brzmi: czy ufam jej teraz?

— Oglądałaś ten film? — To głupie pytanie, ale myśl, że miałyby widzieć, jak uprawiamy seks, kłuje mnie bardziej niż to, że widziały to tysiące osób w sieci.

— Nie. Nie oglądałam — stwierdza stanowczo, na co unoszę w niedowierzaniu brew. — Naprawdę. Dlatego o tym zapomniałam.

Świetnie. A ja właśnie podsunąłem jej myśl, by go obejrzeć. *Błyskotliwe, Donavan*. Cholernie błyskotliwe. No ale musiałem spytać. Musiałem to wiedzieć.

Wzdycham ciężko, poruszam ramionami, żeby je rozluźnić, i pytam ją o to, czego kompletnie nie potrafię zrozumieć.

— Jeśli zdobył ten film tak dawno temu, to po co tyle czekał?

Tawny przechyla głowę, przestępuje z nogi na nogę i krzyżuje ręce na piersiach.

— Nie wiem, Colton. Po prostu nie wiem.

Zniecierpliwiony tą niezręczną sytuacją z kobietą, która wygląda tak samo, lecz zachowuje się zupełnie inaczej, chociaż wciąż budzi moją niechęć, kiwam

głową, odwracam się i odchodzę w stronę samochodu. Nie wiem, co jeszcze miałbym zrobić. Nie istnieje żadne właściwe pożegnanie w tej sytuacji. Po prostu zamykam kolejny rozdział z przeszłości.

— Colton.

Wszystkie mięśnie mojego ciała się spinają. Stopy chciałyby iść dalej, lecz ciekawość każe mi się zatrzymać. Nie odwracając się, czekam, aż powie to, co ma do powiedzenia.

— Dobrze cię widzieć tak szczęśliwym. Pasuje ci to. Teraz wiem, że to dzięki Rylee.

Podnoszę wzrok i trafiam na spojrzenie Rylee w tej samej chwili, gdy Tawny wypowiada jej imię. Słyszę jej słowa, przyjmuję je i nie znajduję w nich żadnego ukrytego znaczenia czy drwiny. Nie odrywając wzroku od Rylee, potakuję i ruszam dalej.

Czas zmienia ludzi. Kobieta o fioletowych oczach, która oddaje mi spojrzenie, jest żywym dowodem na to, że tego właśnie dokonałem. *Że się zmieniłem.*

Tawny być może też się zmieniła, ale nie chce mi się nad tym zastanawiać. Mam żonę, która jest dla mnie ważniejsza niż powietrze, którym oddycham, a przebywając w pobliżu Tawny, zacząłem się dusić.

*Potrzebuję mojego powietrza.*

## *Rozdział 10.*

### *Colton*

— Nieźle ją zaskoczyłeś — stwierdza Becks.

— Która? — pytam ze śmiechem i wypijam whisky do dna, po czym wydaję z siebie syknięcie. Macallan jest przyjemny, ale pali jak cholera.

— Chodziło mi o Tawny, ale faktycznie masz trochę racji — wyjaśnia Becks z uśmiechem. — Rylee musiała się poczuć, jakby ktoś wylał jej kubel zimnej wody na głowę, gdy zobaczyła w drzwiach swoją dawną rywalkę.

— Podejrzewam, że tak, ale na szczęście została w samochodzie, bo sytuacja mogłaby wymknąć się spod kontroli.

— Odważne z twojej strony, że zabrałeś Ry ze sobą po tym wszystkim, co Tawny wam zrobiła — mówi i podnosi dwa palce, pokazując kelnerce, by przyniosła nam następną kolejkę.

— Odważne lub głupie. Ale ponieważ mam to — wskazuję obrączkę na palcu lewej dłoni — nie odważyłbym się odwiedzić Tawny bez Rylee. Narobiłbym sobie tylko kłopotów. Poza tym Rylee miała prawo ją zobaczyć, bo to ona wskazała ten trop.

— Stary, ciągle nie mogę uwierzyć, że spotkałeś się z Tawny po tylu latach.

— No cóż... — Wzruszam ramionami, przypominając sobie, jak się zarzekałem, że już nigdy się do niej nie zbliżę na odległość mniejszą niż sto metrów. — Najłatwiej złamać obietnice złożone samemu sobie. Wracaliśmy z policji i przyszło mi do głowy, że mógłbym upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, skoro udało nam się zgubić sępy.

— To nie do wiary, że paparazzi wciąż za wami gonią. Jak czuje się Ry po wczoraj?

Wzdycham ciężko. Pieprzone dupki.

— Trochę wstrząśnięta, ale nie daje się. — Zaciskam pięść pod stołem, gdy przypominam sobie jej wczorajszy telefon. Chciała iść na spacer na plażę, żeby pooddychać świeżym powietrzem, lecz dziennikarze przenieśli się spod bramy nad ocean i otoczyli ją, zanim dotarła do wody.

Doskonale rozumiem jej potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, bo sam też się tak czuję. No bo przecież po to tu jestem. Żeby zmniejszyć ciśnienie. Odetchnąć kilka chwil w trakcie jej drzemki po pełnej wrażeń wizycie u Tawny. Spotkać się z Becksem, pogadać o niczym i zmienić scenerię, żeby odzyskać równowagę psychiczną. Siedzenie we własnym domu dzień po dniu dobiłoby

każdego mężczyznę. Czuję się jak zwierzę w klatce: zamknięty, uwięziony i drażniony przez obserwatorów za ogrodzeniem.

Zgrzytam zębami i w myślach dziękuję Bogu za to, że tylne wejście pubu Sully's nie było obsadzone przez paparazzich, dzięki czemu Sammy mógł mnie tu podrzucić i nienękany wśliznąłem się do środka na spotkanie z Becksem. Po tym, jak wczoraj potraktowali Ry, moja cierpliwość jest na wyczerpaniu i w każdej chwili mogę wybuchnąć.

— Czuleś się dziwnie, spotykając się z nią po takim czasie? — pyta Becks, podnosząc piwo do ust.

— A czy niebo jest niebieskie? Kurczę, stary... No taak. Ale dowiedziałem się od niej tego, czego chciałem się dowiedzieć, więc może trochę się zmieniła.

— Nie przesadzałbym z zaufaniem — mruczy.

— Nie ufam jej za grosz.

— Bystry chłopak — stwierdza i rozkłada na stole kartonowe podkładki. — W sumie mogliśmy się domyślić, że Eddie jest zdolny do takich świństw. Skurwiel.

— Skurwiel — powtarzam, bo dodawanie czegokolwiek od siebie byłoby marnotrawstwem powietrza. Zerkam na telefon, żeby sprawdzić, czy nie ma jakiejś wiadomości od Ry lub Kelly'ego, bo od czasu, gdy przyszliśmy, zrobiło się tu dość głośno.

— Wszystko w porządku?

— Będzie po dziesięciu kolejkach. Muszę się napić, żeby zapomnieć — odpowiadam, poruszając ramionami dla rozluźnienia i wzdycham z frustracją. Tego wszystkiego jest zbyt dużo w zbyt krótkim czasie. Chciałbym odzyskać swoją szczęśliwą, zakręconą na punkcie dziecka żonę. Jej pracę. Nasze życie. — W niczym mi to nie pomoże i rano będę zdechły jak pies, ale nawet lekarze czasem zalecają się zresetować.

— Racja. A ja mam dla nas odpowiednią receptę — mówi i znowu podnosi dwa palce. Tym razem kelnerka podchodzi do naszego ukrytego z tyłu stolika.

— Co wam podać, chłopcy? — pyta z szerokim uśmiechem i odsłoniętym dekoltem.

— Butelkę tequili Patron Gold. I dwa kieliszki. Mamy coś do zapomnienia — odpowiada Becks.

— Ten trunek z pewnością załatwi sprawę — stwierdza z uniesionymi brwiami. — W każdym razie zanoszą się na to, że musicie tu jeszcze trochę posiedzieć, bo na zewnątrz tłoczą się paparazzi.

— Kurwa — mruczę pod nosem.

— Przykro mi. Dowiedzieliśmy się, kto zadzwonił, i wywaliliśmy ich na zbity pysk — wyjaśnia głośniejszym głosem, żeby wszyscy wokół nas to usłyszeli. Odwraca się i odchodzi, ale po chwili zatrzymuje się i dodaje: — I dopiszemy im to, co wypiliście.

Wybucham głośnym śmiechem.

— Podoba mi się twoje podejście.

Wraca po kilku minutach. Nasz otwarty rachunek i dawane z góry hojne napiwki zawsze zapewniają nam najlepszą obsługę.

— Proszę, chłopcy — mówi, stawiając na stoliku dwa pełne kieliszki i butelkę. — Niech Bóg ma w opiece wasze dusze.

— Amen — odpowiada Becks i unosi kieliszek. — O czym przede wszystkim musimy zapomnieć?

— O paparazzich.

— Zdrówko — rzuca i stuka się ze mną kieliszkiem. — Pieprzyć paparazzich.

Wypijamy tequilę. Pali mnie gardło i czuję ciepło rozchodzące się po całym ciele. Becks sięga do miski po cytrynę.

— *Cieniarz* — mruczę pod nosem, a on pokazuje mi środkowy palec. — Hmm. — Chyba wiem, o czym jeszcze chcę zapomnieć. — Pieprzyć CJ-a.

— Okej — odpowiada przeciągle, nalewając następną kolejkę. — Ale jeśli mam pić, żeby zapomnieć, to muszę wiedzieć, o czym powinienem zapomnieć, bo chyba nie o tym, że pieprzysz CJ-a.

— Nie. Nie pieprzę CJ-a — śmieję się. Rozglądam się po barze i czuję, że kręci mi się w głowie. — O tym, że mam związane ręce, i to nie w pozytywnym tego słowa znaczeniu. CJ dzwonił do mnie wcześniej i wyjaśnił, że w świetle prawa film był publiczny. Eddie nam go nie ukradł. Wrzucił go do sieci za darmo, nie zarabia na nim, więc nie mamy się do czego przyczepić. Dowalił nam, a my nie mamy żadnych prawnych możliwości, żeby się odgryźć.

— Są też inne możliwości — stwierdza z uśmiechem i pokazuje mi pięść, a ja unoszę kieliszek.

— Za to mogę wypić. Zdrowie, brachu.

— Zdrowie.

Stukamy się kieliszkami. Tequila pali, a potem rozgrzewa. Śmiejemy się coraz głośniej i coraz trudniej nam wymyślić kolejne toasty.

Ale przynajmniej zaczynam zapominać.

O Eddiem. O presji, by to wszystko naprawić. O tysiącach mężczyzn męczących kapucyna do zdjęcia mojej żony chwytającej się za piersi, gdy dochodzi. O wściekłości na to, że straciła pracę. O tym, że będę ojcem. O potrzebie wygrania następnego wyścigu. I o tym, że muszę się gryźć w język w kontaktach z prasą.

Ależ przyjemnie pogrążyć się w zapomnieniu.

Próbuję obliczyć, ile kieliszków już opróżniliśmy, lecz z zamyślenia wyrывa mnie dzwonek telefonu. Odbieram nie bez trudu.

— Jeśli to jest na tyle dobre, żeby mnie otrzeźwić, to wybaczę ci, że

rujnujesz mi fazę, Kelly — mówię ze śmiechem do słuchawki.

— Jesteś pijany?

— Dość trochę.

— Zrozumiałe — stwierdza tym swoim rzeczowym tonem. — Eddie melduje się u swojego kuratora raz w miesiącu.

— Hm — odpowiadam, a głowę wypełniają mi wizje, w których czekam, aż Eddie wyjdzie od kuratora, żeby przywitać go uderzeniem pięści w twarz.

— Nawet o tym nie myśl, Donovan. Załatwiłeś zakaz zbliżania się dla Rylee i to wystarczy. Powtarzam ci to od tygodnia: jeśli go dotkniesz, pozwie cię i oskubie jak bezbronną kaczkę. Nie warto.

*Przestań mi mówić, co mam robić.*

— Niech tylko spróbuje — rzucam szyderczo, bo chociaż w myślach przyznaję Kelly'emu rację, to mam świadomość, że zemsta zapewnia zupełnie inny rodzaj satysfakcji. Otwieram usta, żeby jeszcze coś dodać, ale olśniewa mnie, że mogę dobrać się Eddiemu do skóry, nawet jeśli się z nim nie spotkam. Sęk w tym, że mam wielką ochotę na to spotkanie. Na spotkanie mojej pięści z jego twarzą. — Dzięki, Kelly. Informuj mnie na bieżąco — dodaję i mimo lekkiego zamroczenia zaczynam się zastanawiać nad tym, w jaki sposób najlepiej wykorzystać tę sytuację. Dowalić Eddiemu. Dotrzymać obietnicy złożonej Rylee. Wrócić do „żyli długo i szczęśliwie”.

*Mój plan ma szanse powodzenia.*

— Wszystko w porządku? — pyta Becks, odrywając wzrok od swojego telefonu.

*Później, Donovan. Pomyślisz o tym później. Teraz pij.*

— Najlepszym na świecie — odpowiadam, wykorzystując jedno z jego powiedzonek. — Kelly zdobył informacje o Eddiem.

— I to cię wkurza? Dlaczego?

— E, ja tylko myślę.

— To właśnie mnie przeraża — żartuje, a ja w odpowiedzi puszczam moją szklankę po stole tak, że uderza w jego szklankę. — O co chodzi?

— Zła karma, stary — odpowiadam w końcu, próbując jakoś zamknąć w słowa to, co męczy mnie od kilku dni. Picie dla zapomnienia wcale tego nie przytłumiło. — Mam takie przeczucie, które nie chce się ode mnie odczepić.

— Nie nadażam za tobą.

— Wszystko było zbyt idealne. Żyłem jak w pieprzonej bajce, Becks. Księżniczka, zamek...

— Świniopas — wtrąca, wskazując na mnie, czym wywołuje mój śmiech. Dupek. — Sorry, nie mogłem się powstrzymać — tłumaczy i unosi dłonie w geście poddania się. — Mów dalej, proszę.

— Ehm. Nieważne. — Zamknij się, Donovan. Brzmisz jak idiota. Pijany



idiota.

— Nie, serio. Mów.

Skupiam się na wodzeniu palcem wzdłuż wyżłobień na podniszczonym blacie stolika.

— Nasze życie było po prostu zbyt piękne. Zbyt idealne. A teraz ten film, praca Ry i... — próbuję wyrazić uczucie, którego sam nie pojmuję, ale które nagle uczepliło się mnie jak rzep psiego ogona. — Boję się, że okaże się to lawiną, która pogrzebie tę naszą szczęśliwą bajkę. Gówniane uczucie.

— Uczucia są jak fale, brachu. Nie powstrzymasz ich, ale możesz wybierać, które przepuścić, a na których surfować.

— Jasne. Miejmy nadzieję, że nie zepsuję wszystkiego, wybierając niewłaściwą.

#

Uznajemy z Becksem, że jesteśmy już wystarczająco nabuzowani, żeby zmierzyć się z chaosem.

Otwieramy tylne drzwi pubu i trafiamy pod oślepiającą kanonadę fleszy i wrzasków. Krzywię się. Alkohol sprawia, że wszystkie odgłosy i krzyki wydają się dziesięciokrotnie głośniejsze. Przygniatają mnie. Oślepiają.

I doprowadzają do szewskiej pasji.

Sammy jest przy nas. Odpycha ludzi na boki, żebyśmy centymetr po centymetrze mogli dojść do samochodu. Ale każdy krok w tej ciżbie coraz bardziej rozpala moją wściekłość.

Aparat uderza mnie w ramię. Zaciskam pięści.

— *Colton, jakie to uczucie być na najczęściej oglądanym filmie w YouTube z ostatnich pięciu lat?*

Kolejny krok, kolejne wykrzyczane pytania. Dłonie Sammy'ego odpychają ludzi na boki.

— *Colton, czy myślicie z Rylee o nakręceniu porno?*

Kolejny krok. Myśl o tym, że wczoraj na plaży Rylee musiała się zmierzyć z tym samym, tyle że bez niczyjej pomocy. Kurwa.

— *Colton, jak Rylee radzi sobie z tą sytuacją?*

Kolejny krok. Samochód jest już blisko. Flesz błyska mi prosto w oczy. W żyłach krąży już czysta furia.

Pieprzyć zalecenie Chase o *niekomentowaniu*. Pieprzyć wszystkich. *Mam dość*. Zostałem doprowadzony do ostateczności i już nie mogę się dłużej wycofywać.

— Chcecie usłyszeć mój komentarz? — krzyczę. Niemal natychmiast zapada cisza. — Cóż, w takim razie go wygłoszę. — Zerkam w stronę Becksa, który stoi w otwartych drzwiach samochodu i patrzy na mnie z podziwem w oczach,

utwierdzając mnie w przekonaniu, że postępuję właściwie. — Pytanie jest takie, czy naprawdę chcecie się dowiedzieć, jak się czujemy, czy może raczej chodzi wam o przekręcenie naszej historii, bo seks sprzedaje się lepiej niż prawda? Otóż rozumiem was. Naprawdę. Skoro zależy wam na tym, by bezinteresowną osobę, która przez całe życie pomaga innym, przedstawiać jako dziwkę publikującą sekstaśmy dla dotacji... cóż, rozumiem, że to się naprawdę dobrze sprzedaje. Ale Rylee Donovan wcale taka nie jest. — Przerywam, by wziąć oddech. Moje ciało wibruje z gniewu, a myśli powoli układają się w całościowy plan.

W zemstę, dla której właśnie znalazłem idealną scenę.

— A co powiecie na lepszą historię? Dlaczego nie skupicie się na popieprzonym dupku, który opublikował ten film, przedstawiający intymną chwilę między mną a moją żoną? Może lepiej byłoby prześladować palanta, który to zrobił, zamiast nękać moją żonę? Dam wam nawet punkt zaczepienia. *Eddie Kimball* — mówię, wprowadzając swój plan w życie. — Dowiedźcie się, dlaczego próbował nas zaszantażować, bo zapewniam, że zdecydowanie miał ukryty cel, wypuszczając ten film. Seks zwiększa sprzedaż. Rozumiem to... Ale odkrycie historii stojącej za tymi beznadziejnymi atakami na reputację mojej żony zapewni wam znacznie lepszy materiał.

*Powodzenia w ukrywaniu się, pieprzony skurwielu.*

Noc znowu wybucha hałasem, ale dziennikarze otwierają mi przejście, bo coś im dałem. Kiwam głową na pożegnanie.

Błyskają flesze. Każdy błysk coraz bardziej mnie otrzeźwia. Z każdym błyskiem coraz wyraźniej dociera do mnie to, co zrobiłem. Wsiadam do auta obok Becksa i wyłapuję wzrokiem jego aprobujące kiwnięcie głową. Z westchnieniem opieram głowę na zagłówku.

*Pieprz się, Eddie.*

Chcesz grać ostro? Mam cię na widelcu, ty pozbawiony skrupułów skurwielu. W tej chwili jacyś dociekliwi reporterzy szukają szczegółów. Na pewno skojarzą fakty i zwrócą uwagę na twoje zwolnienie warunkowe. Opiszą cię w prasie i twoje nazwisko będzie świeciło jak pieprzony neon dla tych wszystkich, którym wiesz kupę forsy.

*Już oni cię znajdą.* Nie wątpię w to, biorąc pod uwagę twoje długi. I trzyletnie odsetki. Wykopią cię choćby spod ziemi i zapewnią los, na jaki zasługujesz.

Najlepsze jest to, że jeśli nie będę chciał, nie muszę nawet kiwnąć palcem, żeby ci się odplacić, bo właśnie to zrobiłem.

Media społecznościowe są paskudne, gdy ma się coś do ukrycia. Na szczęście ja nie mam. *Na szczęście ty masz.*

Zemsta bywa czasem naprawdę słodka.

— Wszystko w porządku? — pyta Sammy, wyjeżdżając z parkingu i

zostawiając za nami błyskające flesze.

— Tak — odpowiadam i patrząc mu w oczy w lusterku wstecznym, wydaję z siebie długie westchnienie. *Wprost nie do wiary, jak bardzo potrzebuję teraz Rylee.* — Poproszę do domu. Tęsknię za żoną.

## *Rozdział 11.*

### *Rylee*

— Cholera — krzyczę z frustracją, gdy w całej kuchni wznoszą się tumany mąki, bo zapomniałam założyć osłonę na łopatki miksera. Patrzę na powstały bałagan i łzy palą mnie w oczach. Normalnie uznałabym to za zabawne i śmiała się z tego, ale teraz nie potrafię. Po wydarzeniach tego tygodnia nic nie jest w stanie wyrwać mnie z chandry, w której tkwię.

Zamykam oczy i ignoruję głos mówiący, że za chwilę zwariuję, bo boję się, że tak się już stało. Lawina konsekwencji publikacji filmu kompletnie mnie przytłoczyła. Zniknęło to wszystko, co zwykle wypełniało moje dni: chłopcy, wolność poza domem, praca. Nawet wizyta u Tawny wytrąciła mnie na chwilę z równowagi. Owszem, poczułam się doceniona, gdy Colton uwierzył mi na tyle, żeby ją odwiedzić i z nią porozmawiać, ale i tak zobaczenie jej zwaliło mnie z nóg.

*Otrząśnij się, Rylee.* To tymczasowe. Ciesz się domowym życiem, wykorzystaj tę ciszę przed pojawieniem się dziecka, bo wtedy życie przewróci się do góry nogami z powodu braku snu i nocnych karmień.

Biorę z blatu pudełko jajek i zdmuchuję z nich mąkę, żeby odłożyć je na bok i posprzątać po tej katastrofie. Skupiona na bałaganie nie zauważam leżącego za mną Baxtera i przydeptuję mu łapę. Zrywa się jak szalony i odskakuje ode mnie, a ja tracę równowagę. W ostatniej chwili chwytam się blatu, co oznacza, że wszystkie dziewięć jajek podrywa się do lotu przez kuchnię zakończonego symfonią rozbić o kafelki na podłodze, blat i drzwi lodówki.

— Kurwa! — Najpierw pojawia się adrenalina, ale niemal natychmiast przeradza się w strumień tak wielu emocji, że nagle muszę walczyć z potężnym, rozdierającym szloch. Ta walka jest z góry skazana na klęskę, bo i tak czuję targające ciałem wstrząsy, dlatego ostrożnie opuszczam swoje ciężarne ciało na pokrytą mąką podłogę. Opieram się o szafkę i poddaję się łzom.

Fala za falą. Targnięcie za targnięciem. Łza za łzą.

Gniew, upokorzenie, rozpacz opanowują kolejno moją duszę i ustępują następnym emocjom, które od tygodnia czekają na to, by się wydostać. A ja nie mam już siły z nimi walczyć.

— Rylee? — Słyszę od strony drzwi głos Coltona, więc zamykam oczy i próbuję otrzeć łzy, ale nie ma mowy, żeby udało mi się je przed nim ukryć. — Co, do...? Ry, wszystko w porządku? — pyta, podbiegając do mnie, a ja potrząsam głową w emocjonalnej agonii i nie potrafię pohamować łez.

Kłęka przy mnie, a troska na jego twarzy wzbudza we mnie irracjonalne rozdrażnienie.

— Zostaw mnie — wykrztuszam między spazmami.

— Co się stało? — dopytuje błagalnie i sięga dłonią do mojego policzka, żeby obetrzeć z niego łzy, co tylko intensyfikuje mój płacz.

— Zostaw — odpowiadam i strącam jego dłoń z twarzy. Colton siada na podłodze. Czuję na sobie jego wzrok i wiem, że próbuje mnie rozgryźć, a to z jakiegoś powodu strasznie mnie denerwuje. Mam już dość oceniających i wartościujących spojrzeń skierowanych na moje ciało. Sama ta myśl jest dla mnie udręką. — Chcesz wiedzieć, co się stało? — krzyczę niespodziewanie, aż się wzdryga.

— Tak — odpowiada spokojnie.

— To! — wrzeszczę, wskazując go palcem. — Chodzisz po domu, jakby wszystko było w porządku, a wcale nie jest. Traktujesz mnie jak dziecko i unikasz kontaktu, gdy wpadam w histerię, bo czujesz się winny z powodu filmu, który nie jest twoją winą. Cały czas próbuję doprowadzić do jakiejś konfrontacji z tobą, bo za chwilę oszaleję w tym pieprzonym domu, ale ty w ogóle nie łapiesz żadnej przynęty. Potakujesz tylko, mówisz, żebym się uspokoiła, i odchodzisz. Walcz ze mną, do jasnej cholery! Wydrzyj się na mnie! Każ mi się z tego otrząsnąć! — Dyszę ciężko i znowu zaczynam drżeć. Wiem, że zachowuję się nieracjonalnie i że pozwalam, by zawładnęły mną hormony, ale mam to gdzieś, bo w końcu wyrzucam z siebie to wszystko.

— O co chcesz się pokłócić?

— O cokolwiek. O nic. Nie wiem — odpowiadam kompletnie sfrustrowana tym, że nie potrafię podać powodu, gdy on dopytuje o szczegóły. — Jestem zła na ciebie, bo martwię się wyścigiem w przyszłym tygodniu. Przeraza mnie to, że będziesz rozproszony i nieuważny i że... i...

— Uspokój się, Rylee. Nic mi się nie stanie. — Chce chwycić mnie za rękę, ale ja ją wrywam.

— NIE mów mi, żebym się uspokoiła — krzyczę, bo robi dokładnie to, o czym przed chwilą mu powiedziałam, że tego nienawidzę. Przez głowę przelatują mi obrazy zderzenia w St. Petersburgu, które odbierają mi oddech. Odsuwam je na bok, ale czuję coraz większą histerię. — Tęsknię za chłopcami. Martwię się o Auggiego, bo nie wiem, jak sobie radzi. *Tęsknię za swoją normalnością*. Nie mam już żadnej normalności! Wszystko jest w zawieszeniu, a ja nie potrafię tak funkcjonować, Colton. Dobrze o tym wiesz — wylewam z siebie chaotyczne myśli i widzę, że próbuje nadążyć za moim schizofrenicznym tokiem rozumowania.

— Zróbmy więc sobie nową normalność. Może zaczniemy od urządzenia pokoju dla dziecka? To chyba możemy zrobić, prawda? — pyta z szeroko otwartymi oczami i z paniką wypisaną na twarzy. Słyszac jego słowa, zaczynam się

dusić ze strachu. — Spójrz na mnie — mówi. — Urządzenie pokoju MURB-a wcale nie sprawi, że coś mu się stanie, rozumiesz? Wiem, że dlatego jeszcze tego nie zrobiłaś... ale już czas. Dobrze?

Po tych słowach uchodzi ze mnie wszelka chęć walki. Targające ciałem spazmy sprzed kilku chwil zniknęły bez śladu. W oczach wzbierają mi łzy, ale nie potrafię się zdobyć na to, by spojrzeć na niego i przekazać mu, że ma rację. Pokój jest nadal niedokończony, bo panicznie boję się, że mogłabym w ten sposób coś zapeszyć. Że okrutny los stwierdzi, iż skoro uważam dziecko za pewnik, to on mi je po raz kolejny odbierze.

Gdy w końcu jestem w stanie przełknąć kulę w gardle, podnoszę wzrok, spoglądam w jego krystalicznie zielone oczy i potakuję, a po moim policzku spływa cicha łza.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie — mówi Colton łagodnie. Nie zasługuję na jego czułość po tym, jak na niego nawrzeszczałam. To oczywiście jeszcze bardziej mnie rozbraja i po moim policzku spływa kolejna łza. — Jesteś absolutnie piękna — mruczy i odgarnia włosy z mojego policzka, a ja zamykam oczy.

— Nie, wcale nie jestem.

— Ja jestem mężem, ja ustaląm reguły — mówi, śmiejąc się cicho.

— Jak możesz tak twierdzić? Jestem cała w mące, bo próbowałam upiec ciastka i udało mi się tak spektakularnie to spieprzyć, że rozrzuciłam po kuchni prawie cały karton jajek. Mój brzuch jest tak wielki, że nie dosięgam do palców i nie mogę ich pomalować, więc wyglądają okropnie, a ja nie lubię, gdy moje palce wyglądają okropnie. Próbowałam się dzisiaj ogolić, ale nie jestem w stanie zajrzeć między nogi, co oznacza, że pójdę do porodu z gąszczem włosów i wszyscy pomyślą, że nie dbam o siebie i... i... Będziemy mieli dziecko, a co, jeśli okaże się beznadziejną matką? — wyznaję to wszystko, siedząc z Coltonem na pokrytej mąką podłodze w towarzystwie psa liżącego stłuczone jajka, lecz mimo to Colton patrzy na mnie tak, jakby nic więcej nie widział.

Pociesza mnie ta myśl. Że nawet w największym chaosie mój mąż widzi tylko mnie. Że wciąż potrafię powstrzymać rozmycie. Że jestem jego iskrą.

*Bądź moją iskrą, Ry.*

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, a w głowie kotłują mi się obrazy z tamtej nocy w St. Petersburgu. Colton trzyma dłoń na moim policzku i patrzy mi prosto w oczy. Nagle doznaję olśnienia. Z nim przy boku wszystko będzie tak, jak ma być. Zawsze było. On wie, jak mnie uspokoić nawet podczas najdzikszych sztormów.

Nachyla się i całuje mnie najpierw w brzuch, a potem w usta.

— No chodź — mówi i ciągnie mnie za rękę do góry, mimo że wolałabym zostać tu, gdzie jestem, i pograć się w użalaniu nad sobą.

— Po co? — pytam, spoglądając na niego spod opuszczonych rzęs, i wydymam usta.

— Zabierzemy się do tworzenia własnej normalności. — Ta odpowiedź w połączeniu z jego szerokim uśmiechem łamie mój opór. *Nie potrafię mu się oprzeć.* Delikatnie mnie podnosi i nagle orientuję się, że wziął mnie na ręce i niesie w stronę schodów.

— Colton — śmieję się.

— O właśnie... Tęskniłem za tym uśmiechem — mruczy w czubek mojej głowy, gdy docieramy do półpiętra.

Zanosi mnie do sypialni i sadza na krawędzi łóżka, układa w głowie górę poduszek, po czym pomaga mi się o nie oprzeć. Nasze spojrzenia stykają się na moment — fiolet z zielenią — i zauważam, że nad czymś się zastanawia. Moja ciekawość szybuje w górę.

— Czerwony czy różowy? — pyta. Patrzę na niego, jakby oszalał.

— Co?

— Wybierz kolor.

— Czerwony — odpowiadam ze zdecydowanym przytaknięciem.

— Dobry wybór — komentuje, po czym odwraca się i znika w łazience. Słyszę otwieranie szuflady, brzęk szkła i zamknięcie szuflady. Wraca z ręcznikiem kąpielowym w jednej dłoni i czymś, co wygląda na lakier do paznokci w drugiej, a do tego z szerokim uśmiechem na twarzy. Usadawia się na łóżku przy moich stopach. — Do twoich usług, *madame*.

Patrzę na niego lekko zszokowana i niezmiernie ukontentowana. Zalewa mnie nieskończona miłość, gdy widzę jego skupienie na tym, za co się zabiera. I chociaż moja perfekcjonistyczna osobowość wyrywa się, żeby udzielić mu wskazówek, gryzę się w język. Mój mąż próbuje się mną zaopiekować, nie zważając na niezręczność tej sytuacji, a to naprawdę coś wyjątkowego.

Rozkłada ręcznik na kołdrze, po czym delikatnie kładzie na nim moją nogę. Tłumię śmiech, gdy przygryza dolną wargę i ze zmarszczonymi brwiami i absolutnym skupieniem na twarzy czyta instrukcję z tyłu lakieru. Po chwili chichocze, potrząsając głową, i chwytą mnie za nogę.

— Muszę naprawdę cię kochać, bo dla nikogo wcześniej tego nie robiłem. — Jego policzki pokrywają się rumieńcami, a dołek w brodzie się pogłębia. Odchylam się na poduszkach z szerokim uśmiechem i jeszcze większym uznaniem dla jego gestu.

— Nawet Quin, gdy byliście nastolatkami? — pytam i przypomina mi się, jak Tanner pomagał mi czasem w dziewczynskich sprawach pod warunkiem, że najpierw pomogę mu w paskudnych sprawach chłopięcych.

— Nie — odpowiada skupiony na malowaniu paznokcia największego palca. Krzywi się i czuję, że wyciera skórę przy paznokciu. Walczę z cisnącym się na usta

uśmiechem z tego, że prawdopodobnie będę miała więcej lakieru na skórze niż na paznokciach. Ale *to dobrze*. Nie przeszkadza mi to. Colton się stara i to jest najważniejsze.

Patrzę na mojego męża, wspaniałego zarówno z zewnątrz, jak i w środku. Wysłuchał moich pomstowań i wybrał coś, w czym mógłby spróbować mi pomóc. Zawsze wiedziałam, iż jestem szczęściarą, że go znalazłam, ale aż do teraz nie miałam świadomości, że aż taką.

Obserwuję jego skupienie i próbuję jakoś poukładać sobie w głowie chaos tego tygodnia.

Szok połączony z wściekłością: tak się poczułam, gdy znalazłam swoje zdjęcie na okładce magazynu „People”. A w środku szczegółowy opis filmu i dziesiątki kłamstw na temat moich rzekomych preferencji seksualnych. Z opiniami psychologów o podnieceniu, jakie niektórzy ludzie czują, uprawiając seks w miejscu publicznym i ryzykując bycie przyłapanym. Miałam ochotę wrzeszczeć i wykrzyczeć im prosto w twarz, żeby przestali wypisywać bzdury. Wyjaśnić im, że to był wynik dzikiej namiętności, która wymknęła się nam spod kontroli. I miłości, jaką się darzyliśmy.

*I jaką wciąż do siebie czujemy.*

Poczucie uwięzienia: tak się poczułam, gdy doktor Steele zadzwoniła do mnie do domu — co nie jest normalną procedurą — bo nie mogłam przyjść na wizytę ze względu na czatujących paparazzich. Doktor Steele, która ma wśród klientów naprawdę znane osobistości, nie była zbyt zadowolona ze zdjęć jej gabinetu wykonywanych w godzinach przyjmowania pacjentów.

Obnażenie: bo za każdym razem, gdy włączałam telewizor, odbierałam pocztę lub szukałam czegoś w internecie, miałam spore szanse trafić na swoje zdjęcie.

Osamotnienie: bo straciłam możliwość kontaktu z chłopcami. Tęsknię za ich radością, przekomarzaniem się i wspólnym śmiechem.

Docenienie: gdy przez ramię Coltona zobaczyłam Tawny i uświadomiłam sobie, że zauważył moje uczucia i skonfrontował się z nią w mojej obecności, chociaż przysiągł sobie, że już więcej się z nią nie spotka.

Skrzydzenie, ale z iskrą nadziei w sercu: po niespodziewanej przemowie Coltona w zeszłym tygodniu pod pubem Sully's. Użycie mojego imienia i słowa „dziwka” w jednym zdaniu zachwiało moją pewność siebie i było na tyle bolesne, że zrobiłam mu z tego powodu awanturę. Jednocześnie jednak cieszyłam się, że coś powiedział. *Że zrobił cokolwiek*, żeby wystawić Eddiego.

Przez tę mnogość nieoczekiwanych doświadczeń miałam nieustanny mętlik w głowie i żyłam w napięciu, mimo że nie wychodziłam poza granice naszej posiadłości.

— Ciekawe, czy twoje małe przemówienie przed pubem skłoniło



dziennikarzy do szukania informacji o Eddiem — mruczę, patrząc na czubek jego głowy.

Colton podnosi głowę i spogląda mi w oczy.

— Nie teraz, Ry. Nie chcę teraz rozmawiać na żaden z tych tematów. Chcę spędzić czas z żoną, pomalować jej paznokcie, pogadać z nią i odciąć się od zewnętrznego świata. — Przytakuje, żeby zaakcentować swoje słowa. — Jesteśmy teraz tylko ty i ja, i...

— Nic prócz prześcieradeł — dokańczam za niego, wywołując szeroki uśmiech na jego twarzy.

— Dawno już tego nie słyszałem — stwierdza w zamyśleniu, zakręcając buteleczkę. Zauważam jego poplamione od wycierania nadmiaru lakieru dłonie. Spogląda w dół i potrząsa głową.

— Nie jest tak dobrze, jak wtedy, gdy sama to robisz, ale...

— Jest idealnie — przerywam mu, nie patrząc na paznokcie. Nadmiar lakieru na skórze jest dla mnie symbolem jego miłości do mnie. — Poza tym to, co jest na skórze, zejdzie pod prysznicem.

— Tak? — pyta, po czym rozpościera palce i ogląda swoje upstrzone czerwienią dłonie. Mój niegrzeczny chłopiec ma na sobie dowód bycia dobrym mężem. — Dzięki Bogu, bo myślałem, że się tego nie pozbędę bez pumeksu.

Wyrywa mi się chichot; czuję się naprawdę przyjemnie. Wszystko to jest przyjemne: jego starania, łagodna część jego natury, obserwowanie go w tak nietypowym dla niego położeniu i zwykle spędzanie razem czasu.

Dmucha delikatnie na moje palce, żeby przyspieszyć schnięcie lakieru. Zapada kojąca cisza. Kładę głowę na poduszkach i zamykam oczy, a on przechodzi do drugiej stopy.

— Wiem, że dasz sobie radę na wyścigu w przyszłym tygodniu — mruczę w końcu, bo nie chcę, żeby wywnioskował z mojego wcześniejszego wybuchu emocji, że się tym martwię.

— Obiecuję, że wrócę do ciebie i dziecka cały i zdrowy — odpowiada, patrząc mi intensywnie w oczy. Jego emocje są równie odsłonięte jak tatuaże na boku. Mam świadomość, że dotrzymanie tej obietnicy tak naprawdę nie zależy od niego. Po tych wszystkich latach razem wiem, że nie jest w stanie kontrolować zachowania innych kierowców na torze, ale cieszę się, że to powiedział, i o nic więcej go nie proszę. — I z szarlotką z lodami.

Śmiech wraca, bo dokładnie na to mam w tej chwili niewyobrażalną ochotę. Na to... i na seks z nim, rzecz jasna.

— Wiesz, jak trafić do serca kobiety.

— Nie. Wiem, jak trafić do serca mojej kobiety — mówi z rozpromienionym spojrzeniem i schodzi z łóżka, a mnie od razu robi się smutno z obawy, że nasz wspólny czas dobiegł końca. Wiem, że ma mnóstwo zaległej pracy przez to, że tak

długo został ze mną w domu, więc nie domagam się więcej. Poza tym był naprawdę słodki mimo mojego zachowania w kuchni.

Tym bardziej zaskakuje mnie, gdy wsuwa dłoń pod moje plecy i pod kolana i podnosi mnie z łóżka. On chyba chce sobie nadwyreżyć kręgosłup, dźwigając po raz kolejny moje ciężarne ciało, ale zamiast zaprotestować, wydaję z siebie tylko ciche westchnienie i trafiam prosto na jego łobuzerskie spojrzenie.

— Trzymaj się mocno.

— Co ty...? — pytam zdumiona, gdy sadza mnie na krawędzi wanny. Patrzę tęsknie na nią i myślę o tym, że dałabym wszystko, żeby do niej wejść i poczuć, jak obmywa mnie gorąca woda. Ale nie jestem w stanie tego zrobić, będąc w ciąży, więc siedzę cicho i czekam.

Colton wchodzi do wanny i przekłada moje nogi do środka. Patrzę na niego i chciałabym, żeby kazał mi zignorować zalecenia lekarki i wziąć kąpiel. Jestem też zaskoczona tym, że mój mąż, który nigdy nie stosował się do reguł, nie licząc tych wyznaczonych przez lekarkę i dotyczących dziecka, sprawia wrażenie, jakby chciał zrobić coś niegrzecznego.

Oczywiście nie powiem, żeby mi się to nie podobało.

— Wstań — mówi, biorąc mnie za ręce, i pomaga mi się podnieść. Stajemy boso i kompletnie ubrani w pustej wannie, a Colton, nie odrywając ode mnie wzroku, opuszcza się na kolana i bardzo powoli zsuwa mi szorty. Wzrok mu się rozpromienia i z uśmiechem na ustach ostrożnie ściąga nogawki przez stopy, żeby nie zepsuć lakieru. Patrzę na niego, jakby oszalał, a on wstaje i nakazuje:

— Przesuń się do brzegu i oprzyj plecami o ścianę.

Wykonuję to polecenie. Opieram się pośladkami o krawędź wanny, przyciskam plecy do chłodnej ściany i obserwuję z ciekawością, jak opuszcza się z powrotem na kolana. Wypychając językiem policzek, przysuwa się, rozszerza mi kolana i wchodzi między nie.

Wstrzymuję oddech i spoglądam mu prosto w oczy. Wydarzenia tego tygodnia przesłoniły moje niespożyte pragnienie, które teraz znowu wychodzi na powierzchnię. Moje ciało żywo reaguje na jego dłonie. Fala gorąca rozpływa się w żyłach, sutki stają się sztywne, serce zaczyna bić żwawiej i wyrównuje mój oddech.

— Ufasz mi? — pyta, odrywając mnie od wyobrażeń o tym, jak rozchyła palcami moje wargi i zadaje mi rozkosz językiem.

— Zawsze — wykrztuszam z pełną świadomością, że poprzednio po takim jego pytaniu doszło do opublikowania filmu. Wstrzymuję oddech, gdy ściąga ręcznik z brzegu wanny, odsłaniając jednorazową maszynkę i balsam do golenia. Cóż, może jednak nie zawsze. Patrzę z szeroko otwartymi oczami i uświadamiam sobie, że Colton zamierza rozwiązać drugi problem, na jaki narzekałam w trakcie tego dziecinnego wybuchu w kuchni.

Gryzę się w język, żeby odruchowo nie odwołać swojego zapewnienia o

zaufaniu, chociaż wizja żyletki między nogami skłania mnie do ponownego zastanowienia się nad jego pytaniem. Colton dostrzega moje wahanie, bo pyta mnie wzrokiem o zgodę.

On chce mnie ogolić. Trochę się denerwuję, lecz jednocześnie zalewa mnie fala ciepła między nogami na myśl o seksowności tego prostego pomysłu. Potakuję ostrożnie, patrząc mu w oczy, bo owszem, jestem jego żoną od sześciu lat i ufam mu pod każdym względem... ale golenie mnie? To zupełnie inny poziom zaufania.

Dawna ja byłaby strasznie zakłopotana tym, że w pełnym świetle siedzę na brzegu wanny z szeroko rozstawionymi nogami, a mój mąż wyciska trochę kremu na dłoń, ale dzisiejsza ja wcale się tak teraz nie czuje. Cały świat widział mnie już nago, ale ta sytuacja jest tak bliska i osobista, że gdy patrzę, jak jego dłoń znika pod moim brzuchem, a sekundę później czuję między nogami wilgoć rozprowadzanej pianki, coś się we mnie zmienia. Mam wrażenie, jakbyśmy częściowo odzyskali intymność utraconą po publikacji filmu.

Odkręca kran i wkłada maszynkę pod strumień, żeby trochę ją ogrzać. Posyła mi zachęcający uśmiech i maszynka powoli znika pod moim nabrzmiałym brzuchem. Oboje wstrzymujemy oddech. Po chwili w łazience słychać tylko ciche odgłosy drapania ostrza o ciało i szmer strumyka wody spływającego do pustej wanny.

Po kilku minutach pozwalam sobie na relaks. To, że jego działania są poza zasięgiem mojego wzroku, zwiększa zmysłowość tego aktu i intensywność, z jaką go przeżywam. Colton marszczy brwi, skupiając się na miejscach, których nie widzę, ale z całą pewnością czuję. I nie jest to wcale ból, którego się obawiałam. Raczej łagodne napieranie jego palców, gdy przyciska moje ciało, żeby ułatwić sobie dostęp. Ciepła woda, którą nabiera w dłonie, żeby obmyć moją kobiecość. Muśnięcia dłonią między moimi nogami, żeby wytrzeć resztki pianki, której nie udało się zmyć wodą.

To wszystko składa się na intensywne doznania, których w ogóle się nie spodziewałam. Nie chcę, żeby przestał. Publikacja filmu i jej skutki negatywnie wpłynęły na naszą bliskość i przez cały ten tydzień nie poświęciliśmy sobie zbyt dużo uwagi poza zdawkowymi pytaniami typu: „Wszystko w porządku?” lub „Jak sobie radzisz?”.

Przeciąga kciukiem w dół między moimi nogami, a ja odruchowo unoszę nieco biodra w niewerbalnym błaganiu, by zanurzył palce w środku i odkrył, jak bardzo go teraz pragnę. Gdy zabiera dłoń, wydaję z siebie zawiedziony jęk, wywołując jego chichot.

— Coś cię śmieszy? — wykrztuszam przez zaciśnięte zęby.

Potrząsa głową.

— Nie. Sprawdziłem tylko, czy ten mały pasek włosów jest równy i ładny — wyjaśnia i przygryza język w skupieniu, zupełnie nieświadomy mojej erotycznej

udręki. Chociaż może nie? Może robi to celowo? Niemożliwe, żeby był tak ślepy. Zbyt dobrze zna moje ciało i na pewno wie, że taki dotyk rozpala mnie do białości.

— Super — stwierdza z dumą, odchylając się i podziwiając efekt swojej pracy, po czym spogląda na mnie z zadowoleniem, a na jego twarzy wykwita szelmowski uśmiech, gdy dostrzega moją seksualną desperację. — Co się stało? — pyta z udawaną nieświadomością.

Z całą pewnością się mną bawi. A ja muszę przyznać, że niczego innego nie pragnę. Nie ma lepszego sposobu na zapomnienie o zewnętrznym świecie niż oddanie się we sprawne dłonie mojego męża.

— Nic — mruczę, a on ściąga słuchawkę prysznic, kieruje ją w zwieńczenie moich ud i odkręca wodę. Jej ciśnienie wywiera tak przyjemny nacisk, że wrywa mi się pożądlive syknięcie.

— O, tutaj zostało jeszcze trochę kremu — stwierdza z zatroskanym wyrazem twarzy i znowu czuję na sobie jego dotyk. Tym razem przejeżdża palcami między moimi wargami, po czym rozchyła je, żeby strumień wody trafił w łechtaczkę. Jęczę z rozkoszy i instynktownie mu się poddaję: rozchyłam szerzej kolana i próbuję wypchnąć biodra do góry. — O tak. Gotowe — mówi, wodząc palcem po moim najwrażliwszym punkcie, po czym zabiera dłoń i zakręca wodę.

— Co? — skamle i wyłapuję jego charakterystyczny uśmiech, gdy wstaje.

— Gotowe — powtarza obojętnie i zaczyna osuszać mnie ręcznikiem leżącym na krawędzi wanny.

— Nie, wcale nie.

Ciszę wypełnia jego rozbawiony śmiech.

— Masz pomalowane paznokcie i jesteś ogolona między nogami — stwierdza, odhaczając zadania na palcach. — Co jeszcze zostało do zrobienia? — Zderzamy się na chwilę spojrzeniami, lecz ja szybko zbaczam w dół, na jego dłonie na lamówce koszulki. Ściąga ją przez głowę i rzuca na podłogę, a potem nonszalancko rozpina pas, wyciąga go ze szlufek i teatralnym gestem także rzuca na podłogę. Ściąga spodnie i bokserki, a kiedy się prostuje, jego członek sterczy w pełnej gotowości.

— Nie wiem — odpowiadam sugestywnym tonem, unosząc brwi.

— Dobrze, w takim razie wezmę prysznic — stwierdza z uśmiechem i wychodzi z wanny, a ja parskam śmiechem.

— Nie ma mowy. — Na te słowa odwraca się do mnie. Jego oczy płoną pożądaniem i przez ułamek sekundy zastanawiam się, dlaczego nie bierze tego, co ma przed sobą, skoro widzę po jego twarzy, że tego pragnie. Zresztą *nie tylko* po twarzy.

— Nie ma mowy?

— Nie.

Przez kilka chwil patrzymy na siebie i bez słów przekazujemy sobie tak

wiele emocji. W końcu wyrażam na głos to, co chodzi mi po głowie.

— Tęsknię za tobą. Pragnę cię. — W jego oczach przebłyskuje coś, czego nie potrafię odczytać, dostrzegam jednak, że go to męczy. — Co się dzieje, Colton?

Uznaję, że to najlepsza chwila na takie pytanie, bo w końcu oboje jesteśmy dosłownie i w przenośni nadzy. Nie ma między nami nic prócz prawdy.

— To ja to wszystko zacząłem, biorąc cię tamtej nocy na masce. Poprosiłem cię, byś wykroczyła poza ten swój idealnie uporządkowany świat, w którym żyłaś, i zobacz, do czego to doprowadziło. Jasne, że cię pragnę, Ry. W każdej sekundzie każdego pieprzonego dnia. Ale po tym wszystkim, co się stało... Nie wiem... Nie dotknę cię, dopóki nie powiesz mi, że tego właśnie pragniesz — wyznaje. Mam ochotę mu przypomnieć, że przed chwilą mnie dotykał i z dość dużą łatwością wzniecił we mnie erotyczny płomień, znam jednak mojego wiecznie nabuzowanego męża i rozumiem, jak trudno mu powstrzymać się od dotyku i wzięcia tego, czego chce.

Przechylam głowę i patrzę na niego z uśmiechem na ustach i sercem przepelnionym miłością.

— Wydaje mi się, że nasze motto brzmi: *w każdym czasie, w każdym miejscu...* prawda, kotku? — pytam, naśladując jego sposób mówienia.

Twarz mu się rozjaśnia, a postura z ostrożnej zmienia się w drapieżną. Wypręża klatkę piersiową, pociera palce, jakby palił się do dotyku, i zwilża językiem dolną wargę. Starannie taksuje wzrokiem całe moje ciało, które pod wpływem tego spojrzenia staje w ogniu.

— To dobre motto — stwierdza. — Czas wprowadzić je w życie.

— Ależ proszę — szepczę. Colton nachyla się i opiera dłońmi na krawędzi wanny po obu stronach moich bioder. W boleśnie wolnym tempie zbliża usta do moich ust i bez pośpiechu zaczyna je muskać. Jego pocałunek jest w równej mierze torturą, jak i rozkoszą, skraplając narastające we mnie pożądanie, aż czuję w podbrzuszu wzburzony ocean.

— Ujeżdżaj mnie.

Więcej mi nie trzeba. Z ustami przyciśniętymi do moich powiedział dokładnie to, co chciałam usłyszeć. Kładę dłonie na jego ramionach, a on pomaga mi wstać i przejść do łóżka.

Kładzie się na nim, podsuwając sobie poduszkę pod biodra. Wdrapuję się na łóżko za nim, ściągam bluzkę i nachylam się, by po raz kolejny zakosztować jego pocałunków, a potem robię to, o co mnie prosił. Prosił? Kogo ja chcę nabrać? Raczej zażądał, ale takiemu poleceniu mogę się podporządkować, skoro mam pewność, że rezultat sprawi mi olbrzymią przyjemność.

Stykamy się ustami. Czuję jego pożądanie w sposobie, w jaki wodzi dłońmi wzdłuż moich ramion i tułowia. Chwyta mnie zdecydowanie za biodra i pomaga mi usadowić się nad nim. Nasze ciała milcząco wyrażają wszystko, czego od siebie

nawzajem pragniemy.

Kontakt wzrokowy jest znacznie bardziej intymny niż jakiegokolwiek słowa.

Kłęcząc nad jego biodrami, przesuwam się tak, by główka jego członka znalazła się dokładnie pod moim wejściem. Colton chwytą dłonią członek i przesuwa nim wzdłuż moich warg, żeby go nawilżyć moim podnieceniem. Gdy oboje jesteśmy już śliscy z pożądania, powoli, centymetr po centymetrze, opuszczam się na niego, aż w końcu wchłaniam go całego. Odrzucam głowę i wydaję z siebie jęk uznania w tym samym momencie, gdy Colton wypowiada moje imię. Od ostatniego razu minął zaledwie tydzień, ale w naszym związku, w którym za pomocą dotyku wyrażamy to, czego nie wypowiadamy na głos, to bardzo długo.

Zatrzymuję się na chwilę, rozkoszując się uczuciem wypełnienia. Ale w jego reakcji jest coś stokroć seksowniejszego niż sposób, w jaki jego członek pobudza każdą strefę erogenną w moim wnętrzu. Odchyła głowę na poduszce i z mojej perspektywy widzę tylko jego dolną szczękę i szyję, czyli miejsce, w którym uwielbiam się chować. Ściągną jego szyi napinają się od wzbudzonego przeze mnie pożądania. Ciemny zarost na jego twarzy kontrastuje z brązową skórą. Dłoni ścisną moje biodra i ma napięte bicepsy, a sutki są sztywne z podniecenia.

Wszystko to jest wizualnym afrodyzjakiem, potęgującym doznania płynące z kołysania biodrami. Oliwy do tego ognia dolewa jeszcze gardłowy jęk Coltona:

— Do diabła, Ry.

Zaczynam więc poruszać się w górę i w dół, zmieniając kąt natarcia co kilka uderzeń, aby jego główka trafiała wszędzie tam, gdzie trzeba, żeby posłać mnie na szczyt. Mój Boże, jak ja tego potrzebowałam. Jak ja potrzebowałam jego.

Zdumiewające, że chociaż tak bardzo się od siebie oddaliliśmy i czułam, że jestem u kresu wytrzymałości po huraganie wydarzeń ostatniego tygodnia, to gdy to robimy, niemal od razu wraca mi poczucie spełnienia. Więzi. Spójności. Niezniszczalności.

*Jedności.*

Podnoszę się i opuszczam, pozwalając, by główka członka trafiła dokładnie tam, gdzie chcę, a potem przesuwam biodra do przodu, żeby jeszcze bardziej zintensyfikować przyjemność. Moje uda bezwiednie się napinają pod wpływem grubości jego berła. W moim ciele wzbiera kula ciepła, pobudzana iskrami pożądania. Odchylam głowę i sięgam za siebie dłonią, żeby podrapać Coltona po udach, a on reaguje poderwaniem bioder w górę i wypełnia mnie jeszcze bardziej, chociaż myślałam, że to niemożliwe.

— O Boże — jęczę z odchylną głową i podpieram się dłońmi po bokach. Moje słowa zachęcają Coltona do działania. Wyrzuca biodra do góry, poruszając członkiem w więzieniu mych ud, a ja przechylam biodra w tył, żeby jego członek ocierał się o lechtaczkę. Przestaję cokolwiek widzieć i wydaję z siebie chaotyczne jęki, gdyż kaskada doznań wzbudzanych przez pocieranie jednego najwrażliwszego

miejsca w moim ciele, a potem uderzanie w drugie jest jak podwójny nokaut.

— No dalej, kotku. Twoja cipka jest tak niewiarygodnie rozkoszna. Kurwa, uwielbiam, gdy mnie ujeżdżasz. — Kończy swoją wypowiedź jękiem, bo ja znowu zaczynam się na nim kołysać. Świadomość, że potrafię go tak zadowolić, napędza mnie poczuciem własnej potęgi.

Zaczynamy poruszać się synchronicznie. Powolne wsuwanie i szybkie zderzenia bioder w niespiesznej wędrówce w stronę majaczącego coraz bliżej orgazmu. Nieprzyzwoite słowa szeptane w komfortowej ciszy. Jego palce wbijające się w moje biodra. Żyły nabrzmiałe z wysiłku, gdy próbuje się opanować i odzyskać wymykającą mu się z rąk samokontrolę. Spoglądamy sobie w oczy i wyznajemy sobie uczucia poprzez to, co robimy. Potem podkręcamy tempo. Oddychamy ciężko, a nasze ciała pokrywają się potem.

Mimo tego powolnego i słodkiego narastania orgazm dosięga mnie zupełnie zaskoczenia. Mrowienie w środku zaczyna się łagodnie i stopniowo, nagle jednak eksploduje iskrzeniem, które zaczyna pulsować w ciele z taką intensywnością, że zapiera mi dech w piersi. Ciało zatapia się w rozkosznej mgle, w której wszystkie doznania są wzmocnione. Słyszę, jak Colton wstrzymuje oddech, gdy moje mięśnie się na nim zaciskają, czuję zwiększoną wrażliwość po orgazmie i ujeżdżam olbrzymią, otumaniającą falę przyjemności.

Jestem o krok od zapadnięcia w orgazmiczny trans — w głowie mam pustkę, a serce wypełnione miłością — ale Colton zaczyna się ruszać. Odpowiadam tym samym, aby doprowadzić go do krawędzi i zepchnąć w otchłań rozkoszy. Poruszamy się w tym samym rytmie. Za każdym razem, gdy wchodzi do końca, czuję jego włosy łonowe na mojej nabrzmiałej łechtaczce, co na nowo roznieca gasnącą już falę.

— Co ja bym dał za to, by cię odwrócić i dziko zerznąć — jęczy przy kolejnym wejściu.

— O tak, zrób to — mruczę, a on unosi pytająco brwi. Wiem, że boi się zaszkodzić dziecku, ale moja reakcja wystarcza, żeby przekonać go, że nic się nie stanie. Bo chociaż działa powoli i delikatnie, to mam świadomość, że robi to dla mnie. Daje mi to, czego pragnę.

Jako jego żona wiem, czego potrzebuje. *I co uwielbia.*

Schodzę z niego z jego pomocą. Klękam i wypinam pośladki, podpierając się dłońmi, po czym odwracam się, żeby zobaczyć, jak patrzy na mnie — nabrzmiałą, wilgotną i tylko jego. Gdy nasze spojrzenia się krzyżują, jego wzrok emanuje tak silną zwierzęcą żądzą, że cieszę się, że się na to zgodziłam. Po tygodniu, w którym wszystko wymykało się mu spod kontroli, potrzebuje tego poczucia własności mojej cipki, żeby odzyskać równowagę w *swoim* świecie. Jesteśmy już tak długo razem, że wiem, iż oddanie mu pełnej kontroli pozwoli mu ją odnaleźć.

— Do diabła, uwielbiam patrzeć na ciebie w ten sposób — mruczy i

przeciąga palcem w dół i w górę wzdłuż mojej szparki. Wracając, zatacza krąg na ciasnej obręczy mięśni nieco wyżej. Przechodzi mnie dreszcz, a jego dotyk wyzwala głęboko ukryte pragnienia, bo przypomina mi nasze zabawy, gdy potrzebowaliśmy urozmaicenia. — Uwielbiam widzieć, jak bardzo jesteś dla mnie mokra. Uwielbiam róż twojej cipki. Krągłości tyłeczka. Drgania skóry, gdy wbijam się w ciebie od tyłu. I to, jak wyginasz plecy i biodra, żeby zmieścić mnie całego. Cholernie uzależniające.

Kładzie dłoń na moim karku i przeciąga ją w dół wzdłuż kręgosłupa. Pod wpływem tego dotyku moje uwrażliwione zakończenia nerwowe wpadają w szaleństwo wibracji wzmacnianych przez oczekiwanie na jego wejście. Owszem, miałam już orgazm, ale w przypadku Coltona zawsze nie mogę się doczekać, kiedy znowu we mnie wejdzie. Wiem, że po tym łagodnym dotyku nastąpi przytłaczająca lawina doznań. Całe moje ciało się napina, a ja wstrzymuję oddech w oczekiwaniu.

Dociera dłonią do biodra, zjeżdża nią w dół po udzie i wraca, dotykając mnie między nogami. Tym razem rozszerza moje wargi palcami, wkłada jeden z nich do środka, po czym wyciąga go i zastępuje główką członka.

Panującą w sypialni ciszę przerywa jego westchnienie. Chwyta mnie za biodra i nie poruszając się, nabija je na siebie i wydaje gardłowy jęk, który idealnie odzwierciedla tę moją wewnętrzną walkę między pragnieniem kolejnego orgazmu a czerpaniem przyjemności z tego, co dostaję, i z pomagania mu w osiągnięciu szczytu.

Moje rozterki nie trwają jednak długo, bo Colton od razu zaczyna się we mnie ruszać. Narzuca tak mordercze tempo, że nie mam wątpliwości, iż chodzi mu wyłącznie o własną rozkosz, ale nie przeszkadza mi to. Bo jest coś odurzającego w tym, że bierze mnie z taką władczością. Coś zwierzęcego, dzikiego, zachłannego i niezbędnego dla naszego związku. Takiego właśnie go kocham.

— O kurwa! — jęczy w rytm odgłosów uderzania ciała o ciało. W rytm naszej symfonii seksu.

— Pieprz mnie! — krzyczę, gdy czuję, jak jego członek robi się coraz twardszy, co zapowiada bardzo rychle szczytowanie. Sięgam więc dłonią do tyłu i drapię go po wewnętrznej stronie ud, a on wydaje z siebie jęk. Wiem, że to już koniec. Po kilku sekundach jego dłonie zaciskają się na moich biodrach, wbija się mocniej i kompletnie nieruchomieje, wypowiadając urywanym jękiem moje imię.

Po kilku chwilach wydobywa z siebie usatysfakcjonowane westchnienie, które tak wiele dla mnie znaczy. Wysuwa się ze mnie i zaczyna się śmiać. Siadam na poślądkach, żeby zobaczyć, co go tak rozbawiło, i zauważam, że patrzy na czerwone kropki, którymi upstrzona jest nasza jasnoniebieska pościel.

— Myślałem, że już bardziej nie jestem w stanie zepsuć wyglądu twoich paznokci, ale się myliłem.

Podnoszę wzrok na jego twarz i dostrzegam w niej miłość, rozbawienie i



zadowolenie. Uśmiecham się.

— Hmm, cóż. To oznacza, że niektóre punkty trzeba będzie powtórzyć.

— Tylko niektóre? — pyta, przymykając podejrzliwie powieki. Gdy przytakuję, na jego twarzy pojawia się mój ulubiony dołek. — Które?

— Szukanie własnej normalności.

— Jedynie ten punkt? — pyta z przechyloną głową. Jego członek wciąż błyszczy od naszego podniecenia. Bierze ręcznik, który wcześniej był podkładką do paznokci, i pomaga mi się wytrzeć.

— I seks. Zdecydowanie seks też — odpowiadam z bardziej niż zadowolonym uśmiechem. Colton nachyla się i przypieczętowuje moją deklarację pocałunkiem.

— Zdecydowanie seks też — potwierdza.

## *Rozdział 12.*

### *Rylee*

— Ry, zaczęło się — krzyczy Haddie z salonu. Wychodzę z kuchni mocno podenerwowana. Nie czuję się dzisiaj zbyt dobrze, więc mam powód do tego, by nie być w sosie i nie mieć z tego powodu poczucia winy.

Na domiar złego to pierwszy wyścig od początku naszego małżeństwa, którego nie oglądałam na żywo. Dobija mnie to. Ale biorąc pod uwagę bliskość porodu i szum medialny z powodu filmu, z całą pewnością niewskazane byłoby pokazanie się w ogólnokrajowej telewizji, gdzie każdy miałby szansę podejść mnie z zaskoczenia i zadać dowolne pytanie.

Dwa tygodnie od publikacji filmu, a szaleństwo opinii publicznej niemal w ogóle się nie zmniejszyło. Wyjścia na zewnątrz są wciąż ograniczone i odbywają się pod ścisłą ochroną.

Dlaczego jakiś celebryta nie zrobi czegoś głupiego, co odciągnęłoby uwagę ludzi ode mnie, żebym mogła normalnie wychodzić?

— Masz radio? — Haddie nalewa sobie wina. Strasznie chciałabym się napić, ale odwracam wzrok w kierunku miseczki czekoladek Hershey, którą stawia dla mnie na stoliku. Dobrze mieć przyjaciółkę, która zna wszystkie twoje słabości.

— Nie. Chyba zostawiłaś je w gabinecie — odpowiada. Zatrzymuję ją gestem, żeby nie wstawiała, i ruszam po odbiornik, który pozwoli nam słuchać rozmów Coltona i Becksa w trakcie wyścigu.

Biorę radio leżące obok komórki, która dokładnie w tym momencie zaczyna dzwonić. Na ekranie pojawia się numer Domu. Ogarnia mnie radość, bo odkąd poszłam na przymusowy urlop, zdecydowanie brakuje mi rozmów z chłopcami. A gdy już dzwonili, dręczyło mnie poczucie, że nie jestem im potrzebna, bo nasze konwersacje sprowadzały się do wymiany ogólnych uprzejmości i miałam wrażenie, że woleliby pobawić się na podwórku lub pograć na konsoli.

Nie ukrywam, że trochę mnie to kłuje. Że to nie do mnie teraz przychodzą. Kogo ja próbuję nabrać? Boli mnie to jak cholera.

Na widok tego numeru rzucam się więc na telefon i od razu odbieram, bo liczę na rozmowę, której tak bardzo pragnę.

— Halo?

— Cześć, Rylee.

— Cześć, Zander. Jak się mie... Co się stało? — Jestem tak podekscytowana, że zadzwonił, że dopiero po chwili dociera do mnie nuta

niepokoju w jego głosie.

— Ja... — zaczyna i urywa, kończąc wypowiedź ciężkim westchnieniem.

— Co się stało, kolego? Jestem tu. Możesz mi to opowiedzieć. — Zalewa mnie troska, gdy wyostrzam słuch, żeby usłyszeć to, czego mi nie mówi.

— Będę miał kłopoty, że ci o tym mówię, ale wiem, że ty mi pomożesz — mówi pospiesznie słowa, które stawiają mnie na baczność.

— Co przez to rozumiesz? — pytam odruchowo, ale niepotrzebnie, bo nagle wszystko układa się w całość. Te ogólnikowe rozmowy, wrażenie, że chłopcy nie chcą ze mną rozmawiać, zmiana tematu, gdy pytam o cokolwiek związanego z ich problemami. Ktoś im powiedział, że nie mogą udzielać mi żadnych informacji. Byłam tak zaabsorbowana swoim pochrzanionym światem, że przyjąłam wszystko dosłownie i osobiście, nie zauważając tego, co kryje się pod maską ogólników.

Jak mogłam być tak głupia?

Nóż absolutnego niedowierzania wbija się głęboko między moje łopatki i wzbudza całą paletę emocji. Skupiam się jednak na najważniejszym: Zandera coś trapi i muszę mu pomóc. Później będę się wściekać i zadzwonię do Teddy'ego, żeby wygarnąć mu swoje niezadowolenie. Teraz jeden z chłopców mnie potrzebuje, chociaż myślałam, że o mnie zapomnieli.

— Nieważne — poprawiam się, bo nie chcę stawiać go w położeniu, w którym nie powinien się znaleźć, i wracam do tego co ważne. — Powiedz mi, czego potrzebujesz, Zand.

— Ci ludzie... chcą mnie adoptować — mówi drżącym głosem, najciszej jak się da.

Egoistyczna część mnie pragnie natychmiast wykrzyknąć „NIE!” i odrzucić ten pomysł, bo Zander w pewnym sensie jest mój. Jednocześnie mam świadomość, że właśnie do takiego rozwiązania powinnam przecież dążyć. Wygląda na to, że zbyt mocno przywiązałam się do tego chłopca, który przyszedł do nas złamany i zdruzgotany, a teraz wyrasta na wspaniałego młodego mężczyznę.

— To dobra wiadomość — odpowiadam entuzjastycznym tonem, chociaż wcale się tak nie czuję.

— Wcale nie.

— Wiem, że to przeraża...

— Chodzi o mojego wujka — wyjaśnia i cały mój sztuczny entuzjazm zostaje wyparty przez wspomnienia wywołane przez jego słowa. Przypominam sobie historię jedyne go pozostałego członka rodziny Zandera.

Jak to możliwe? Gorączkowo próbuję dopasować tę nową część układanki. Przez chwilę mam skurcze Braxtona-Hicksa, które utrudniają mi oddychanie, ale próbuję skupić się na Zanderze, a nie na nagłym bólu.

Otwieram usta, ale nie potrafię znaleźć właściwych słów, bo jedyne, co mam do powiedzenia, to „nie ma mowy”, a tego nie mogę mu przecież obiecać.

— Powiedz mi, jak to się stało — proszę, bo potrzebuję pełniejszego obrazu sytuacji, od której zostałam odcięta.

— On... zobaczył moje zdjęcie z tobą w gazecie i w wiadomościach. — Cały mój świat się wali, bo to oznacza, że *ja* to spowodowałam. Moim zadaniem była opieka nad chłopcami, a nie krzywdzenie ich, a do tego właśnie doprowadził ten cholerny film. Zdjęcie Zandera ze mną z jakiejś imprezy pojawiło się w ogólnokrajowych mediach i teraz ktoś chce go zabrać.

*Lub wykorzystać.*

Przełykam rosnącą mi w gardle gulę, a żołądek skręca się w supły, na które sobie zasłużyłam.

— Jax powiedział mi, że oni...

— Jacy *oni*? — przerywam mu i zaczynam chodzić po pokoju, żeby wyrzucić z głowy wspomnienie ostatniej sytuacji, gdy widziałam jego wujka. Ćpał wtedy tak dużo, że nie było go nawet na pogrzebie siostry. Gdy zgłosił się do nas, miał ślady po wkluciach na ramionach, tłuste włosy, brudne paznokcie i cały czas niekontrolowanie się wiercił. Chciał przygarnąć Zandera tylko ze względu na miesięczną zapomogę na przybrane dziecko. Nie jest to zbyt duża suma, ale dla uzależnionego to prawdziwy skarb. Cóż, mieszkanie ćpunów w domu opieki w getcie to z całą pewnością idealne miejsce na wychowywanie dotkniętego traumą siedmiolatka i ułatwienie mu powrotu do normalności.

Przechodzą mnie ciarki na myśl, że wujek miał wtedy nawet czelność pojawić się drugi raz. I teraz, po sześciu latach, wraca, żeby rozbić fundamenty odzyskanej przez Zandera normalności.

— Chyba się ożenił. Zobaczyli moje zdjęcie w magazynie „People” i postanowili mnie przygarnąć, bo jestem jedyną rodziną, jaką mają. — Jego słowa wywołują niezrozumiałe szarpnięcia w moim sercu. Wiem, że ma prawo być przerażony i że chciałby uciec, bo zbyt boi się zostać. — Człowiek zajmujący się tą sprawą zadzwonił do Jaxa i powiedział, że zorganizują kilka nadzorowanych wizyt, żeby zobaczyć, jak to będzie wyglądać — dodaje i chociaż nie wypowiada tego na głos, odbieram jego błaganie, żebym pomogła mu nie pójść na te spotkania.

— Wykonam kilka telefonów i sprawdzę, co się dzieje, okej? — Staram się brzmieć optymistycznie, ale obawiam się, że nie mam wpływu na tę maszynę opieki społecznej. Jedyne, co mogę zrobić, to wyrazić swoje stanowisko i liczyć na to, że wciąż mam coś do powiedzenia, bo przecież opiekowałam się tym chłopcem dłużej niż ktokolwiek inny.

— Proszę, Rylee. Ja nie chcę... — Znowu brzmi jak skrzywdzony mały chłopiec, chociaż myślałam, że już nigdy nie usłyszę tego głosu. Włożyłam tyle pracy w to, żeby nie musiał już tak mówić.

— Wiem — odpowiadam i czuję łyzy palące mnie z tyłu gardła. — Wiem.

— Nie mogłem ci nie powiedzieć — dodaje, a ja uśmiecham się, słysząc

jego ulubione podwójne zaprzeczenie. W pewnym sensie przynosi mi to ulgę.

— Postąpiłeś właściwie. A teraz idź oglądać wyścig i postaraj się tym nie przejmować, a ja zobaczę, co mogę zrobić ze swojej strony, okej?

— Boję się.

Oto one. Dwa proste słowa, które wkradają się do mojego serca i doprowadzają do powstania mikropęknięć.

— Nie pozwól, żeby oni mnie wzięli.

— Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić — odpowiadam. Nie za bardzo jeszcze wiem, co mogę zrobić poza karczemną awanturą. — Obiecuję. Futboluję cię, Z. — dodaję na koniec, żeby pokazać mu, że nadal ma miejsce w moim życiu i sercu.

— No. Ja też. — I rozmowa się urywa, chociaż nie powiedział słów, którymi zawsze mi odpowiada.

Patrzę w okno z lękiem, że być może jest to ta jedyna obietnica, której nie będę w stanie dotrzymać. Przed oczami staje mi Zander z czasów, gdy do nas trafił — zagubiony, przerażony i zdruzgotany chłopiec. Przypominają mi się bezsenne noce spędzone przy jego łóżku, budowanie zaufania i tworzenie więzi. A teraz go zawiodłam, bo nie byłam przy nim, gdy mnie potrzebował.

Chociaż tak naprawdę ktoś inny związał mi ręce, żebym *nie mogła* się o tym dowiedzieć.

Stukam telefonem w podbródek w zadumie, bo nie potrafię rozgryźć, po co wujek Zandera zjawia się po tylu latach i dlaczego opieka społeczna w ogóle dopuszcza taką opcję. Zbyt dużo dzieci, zbyt mało opiekunów, więc kiedy niechciany staje się chciany, ludzie chcą jak najszybciej pozbyć się problemu ze swojej teczki z dokumentacjami spraw.

Nie podoba mi się moje zgorzknienie. Wiem, że nie wszyscy pracownicy socjalni tak postępują, ale teraz dźwięczący mi w uszach głos przerażonego chłopca wzbudza moje zwątpienie.

Wybieram numer, spycham na bok wątpliwości dotyczące tego, czy powinnam zadzwonić do Teddy'ego. Nie podoba mi się to, że jeszcze niedawno nie musiałabym się nad tym w ogóle zastanawiać. Mam gdzieś korporacje, rady nadzorcze i wszystkie te ściemy.

To oni są temu winni. Bo zmusili mnie do odejścia. Odsunęli mnie i przez to nie mogłam ochronić jednego ze swoich chłopców. Zawiodłam Zandera w chwili, gdy najbardziej mnie potrzebował.

Zalewa mnie gniew. Gdy Teddy odbiera, jestem w pełni gotowa do walki.

— Rylee — wita mnie, a ja zaczynam nerwowo bawić się obrączką na palcu.

— Teddy. Wiem, że jest niedziela, ale...

— Colton jest na wyścigu, prawda? Wszystko w porządku? — dopytuje z troską w głosie.

— Colton ma się dobrze — obwieszczam chłodno. Nie mam zamiaru odzywać się ciepło tylko dlatego, że okazał troskę o Coltona. Zamykam oczy, szczypię się w przegrodę nosa i przypominam sobie, że nie dał mi znać o sprawie Zandera. Wiem, że wydaje się to głupie, ale moje zdezorientowane emocje przyczepiają się do tego, że ktoś nie pozwolił mnie poinformować. I tym kimś był najprawdopodobniej Teddy. — Dlaczego uznałeś, że nie powinienes powiedzieć mi o Zanderze?

Zapada cisza. Wyobrażam sobie, jak zbiera szczękę z podłogi. Niesubordynowana Rylee to rzadkość, ale nie powinien się dziwić, bo dla chłopców jestem w stanie zrobić wszystko.

— Rylee — wzdycha ciężko z frustracją.

— Dwanaście lat dla ciebie pracowałam, a ty nie uznałeś za stosowne powiadomić mnie, że...

— Chroniłem cię.

— Chroniłeś mnie? — krzyczę w słuchawkę wzburzona i cała aż drzę z niedowierzania. — Może lepiej, żebyś zaczął wykonywać to, co do ciebie należy, i chronić tych, którzy są najważniejsi? Chłopców? Zandera?

— Wykonuję — odpowiada ledwie słyszalnym szeptem. — Gdybym powiedział ci o tym, nie mając pełnego obrazu sytuacji, przypuszczalnie bez namysłu przyjechałabyś do Domu, nim cokolwiek się wyjaśni... i ten przymusowy urlop zamieniłby się w definitywne zwolnienie. W ten sposób nie tylko ty byś ucierpiała, lecz także chłopcy. Jesteś ich najważniejszym sprzymierzeńcem i adwokatem, więc nie informując cię o tym, chroniłem Zandera. Gdybyś została zwolniona, nie mogłabyś być przy nim, gdy będzie cię potrzebował.

Jego słowa odbierają impet tyradzie, którą miałam na końcu języka. Powinny też wyciągnąć mnie z emocjonalnego dołka, ale wtrącają mnie jeszcze głębiej, bo uświadamiają mi, jak bardzo tęsknię za chłopcami i jak bardzo czuję się zagubiona, gdy nie mogę ich bronić, nawet jeśli wiem, że tak jest najlepiej dla dziecka, które za niedługo urodzę.

— Teddy — mówię w końcu, a w moim głosie niedowierzanie spiera się z wdzięcznością wynikającą z tego, że Teddy tak naprawdę ma rację.

— Chciałem porozmawiać z osobą z opieki społecznej, która prowadzi sprawę Zandera, i uzyskać jakieś informacje, a potem do ciebie zadzwonić.

— Rozumiem. Ja tylko... — milknę i potrząsam głową, bo nie mam pojęcia, co teraz powiedzieć, chociaż jeszcze dwie minuty temu miałam gotową całą przemowę. — Po co on się znowu pokazał?

— Zbieg okoliczności? Poczucie zobowiązania? — strzela po omacku, ale ja w głębi duszy wiem, że motywacje wujka nie są w najmniejszym stopniu altruistyczne.

— Zander do mnie zadzwonił, Teddy. Jest przerażony do szpiku kości. — *I*

*ja też.*

— Wiem, że jest, Ry, ale do tego właśnie dążymy. By znaleźć dobre domy dla tych chłopców i dać im życie, na jakie zasługują. Wiem, że jesteś z nim związana i masz obawy, ale opieka społeczna się na tym zna i sprawdzi tę parę...

— To nie jest zwykła para — przerywam mu z niedowierzaniem — lecz jego wujek, który miał poważny problem z narkotykami. Im chodzi o pieniądze. — Nie potrafię wyobrazić sobie żadnego innego powodu, dla którego ktoś miałby przez siedem lat ignorować członka swojej rodziny, a potem nagle sobie o nim przypomnieć.

— Tego nie wiemy. Ludzie się zmieniają.

Odpowiadam śmiechem, który jest tak przesiąknięty niedowierzaniem, że go nie poznaję. Czuję napięcie w żołądku i kwas zalewający wnętrzności.

*Oni go nie kochają.* Mam w głowie istne tornado myśli, ale to tej najbardziej się trzymam.

— Być może, ale trudno mi uwierzyć, że jemu chodzi o coś więcej niż miesięczną zapomogę na wychowywanie siostrzeńca. Tak długo nie dawał znaku życia, a teraz zobaczył Zandera ze mną w telewizji i nagle poczuł głębokie pragnienie, by znowu stać się przykładowym wujkiem? Nie kupuję tego.

*To jedna wielka ściema i tyle.*

Teddy wzdycha po drugiej stronie. Jestem coraz bardziej zestresowana, co z całą pewnością nie wpływa korzystnie na ciśnienie krwi.

— Zobaczmy, jak to się rozwinie, dobrze? Po kilku monitorowanych wizytach będziemy wiedzieli coś więcej i wtedy wyciągniemy jakieś wnioski.

— Ale Zander nie chce tych wizyt — krzyczę.

— Oczywiście, że nie chce. To dla niego przerażające, ale na tym polega nasza praca. Na przywróceniu dzieci rodzinom i zapewnieniu im możliwie najnormalniejszego życia.

— Ja i tak nie wierzę, że ktokolwiek prócz mnie szczerze troszczy się o dobro Zandera.

— Obrażasz mnie, Rylee, ale uznam to za efekt bycia wytraconą z równowagi — mówi ostrzegawczym tonem, lecz jakaś część mnie w ogóle się tym nie przejmuje. — Uwierz mi, że potrafię wykonywać swoją pracę.

— Tak jest! — odpowiadam, próbując ukryć szyderczy ton, który ciśnie mi się na usta mimo otrzymanej reprimendy. — Jestem wytracona z równowagi, Teddy, bo on jest wytracony z równowagi, a ja nie mogę nic w tej sprawie zrobić.

— Wiem, Ry. Dlatego jesteś ich najważniejszym obrońcą. Będę cię informował o rozwoju sytuacji. A teraz muszę kończyć, zanim Mallory zacznie się żołądkować, że pracuję w niedzielę.

— Przepraszam, że ci przeszkodziłam w wolnym czasie — przyznaję, bo wiem, że ma też swoje życie poza chłopcami. Tak jak ja. Przypominam sobie słowa

Coltona o tym, że powinnam zacząć troszczyć się także o naszą rodzinę.

Wzdycham głęboko, siadając na krześle przed biurkiem, i próbuję przetworzyć wydarzenia z ostatnich dziesięciu minut.

Ale chyba żadna ilość czasu nie pomoże mi tego zrozumieć.

Gdyby pojawił się ktoś, kto chciałby go przygarnąć z miłości, kto chciałby mu zapewnić tradycyjny dom z ogródkiem i kto wzbudziłby zaufanie Zandera, byłabym za tym. W stu procentach. Ale w łamiącym się głosie chłopca słychać było olbrzymi stres i przerażenie. Z brzmienia tego głosu wyczytałam więcej niż wyraziłyby jakiegokolwiek słowa.

Wszystko wokół mnie w lawinowym tempie wymyka mi się spod kontroli, a ja nie mogę nic zrobić. Jedyne wyjście to wziąć Zandera do siebie, ale chociaż bardzo bym tego chciała, sześciu pozostałych chłopców poczułoby, że wołałam jego. Nie mogę do tego dopuścić, bo kocham ich wszystkich.

Odruchowo chwytam się za żołądek, bo czuję ostry skurcz. Zaczynam głęboko oddychać i próbuję się uspokoić. Sęk w tym, że nie jestem w stanie, bo ostatnio wszyscy wydają się czegoś chcieć.

A to wzbudza we mnie obawy. Jak mam urodzić dziecko w takim świecie i czy będę w stanie chronić je tak zagorzale, jak bym chciała?

— Ry? Idziesz? — Głos Haddie przebija się przez mgłę niedowierzania i obaw, które nie pozwalają mi swobodnie myśleć.

— Już schodzę — odpowiadam. Chociaż wołałabym tu zostać i zastanowić się nad tym, jak to wszystko naprawić.

#

— Donovan świetnie sobie radzi na torze w tym sezonie, Larry. Miejmy nadzieję, że jego aktywność poza torem nie wpłynie na jego dzisiejszy wynik — stwierdza komentator telewizyjny, a na ekranie pojawia się panorama samochodu Coltona w alei serwisowej. Blednę, słysząc te słowa, ale z każdym dniem jestem coraz bardziej odporna na takie uwagi.

Nie jest mi ani trochę łatwiej. Przyzwyczajam się do swojej nowej normalności, ale nie wiem, czy mi się ona w ogóle podoba.

Kątem oka dostrzegam Haddie obserwującą moją reakcję na komentarz w telewizji. Nie chcę o tym rozmawiać, więc koncentruję się na tym, co dzieje się na ekranie. Widzę głowę Becksa od tyłu i skupioną twarz Smitty'ego, który poprawia coś w skrzydle. W tle Colton rozmawia o czymś z innym zawodnikiem. Uspokaja mnie ten widok i odruchowo sięgam po telefon, czekając na obiecaną rozmowę przed startem. Tego teraz najbardziej potrzebuję — głosu Coltona.

— Pieprzcie się — mówi Haddie i wyciąga środkowy palec w stronę telewizora, a ja parskam śmiechem. Po jej twarzy widzę, że o taką reakcję jej chodziło.



— Mogłaś polecieć z nimi. Dałabym sobie radę sama — stwierdzam. Tak naprawdę jednak cieszę się, że została i pomaga mi uśmierzyć nerwowość związaną z nieobecnością na wyścigu.

— Co? Miałabym porzucić biedną kobietę w ciąży? Nie. Nie ma mowy. — Uśmiecha się i podnosi kieliszek z winem do ust. — Poza tym potrzebujesz tu kogoś, kto opiekuje się waszą piwniczką.

— Opiekuje czy raczej ją uszczupla? — pytam, unosząc brwi, a ona parska śmiechem i wzrusza ramionami.

— Przecież wino jest po to, żeby je pić.

— Racja — odpowiadam w zadumie i poprawiam się na kanapie. Nagle czuję ostry ból w dole kręgosłupa. Próbuję to jakoś ukryć przed Haddie, ale nie umyka jej mój bolesny grymas. Zaciskam zęby, żeby jakoś przetrwać przewracanie w żołądku i tymczasową falę mdłości.

— Wszystko w porządku? — pyta Haddie i zaczyna wstawać z kanapy, lecz zatrzymuję ją gestem, biorę głęboki wdech i przyklejam do twarzy sztuczny uśmiech.

— Tak. Dziecko chyba nie zapalało miłością do czegoś, co zjadłam — kłamię, próbując przekonać do tego także siebie, chociaż doskonale wiem, że przyczyną jest na dziewięćdziesiąt dziewięć procent ten cały stres związany z filmem, Zanderem i wyścigiem. Zbyt dużo na raz.

— Aha — odpowiada w sposób, który mówi mi, że wcale nie dała się nabrać. — Oczywiście nie ma to nic wspólnego z telefonem w sprawie Zandera lub...

Przerywa jej dzwonek telefonu. Nerwowo próbuję go odebrać i sprawia mi to kłopot, mimo że trzymam go w dłoni. Muszę jak najszybciej usłyszeć głos Coltona, który uciszy tę kotłowaną myśl.

— Colton? — brzmię jak desperatka, ale nie zważam na to.

— Cześć, kochanie. Za chwilę zostanę porządnie opakowany, ale chciałem jeszcze do ciebie zadzwonić, żeby ci powiedzieć, że cię kocham — odpowiada mrukliwym głosem. W tle słychać otaczający go chaos.

— Ja też cię kocham — szepczę do słuchawki i głośno wzdycham.

— Wszystko w porządku? — pyta. Brzmi, jakby chciał poznać powód mojej mało wylewnej reakcji.

Czuję z tyłu gardła palące łzy, więc potakuję bez słowa. Dopiero po chwili dociera do mnie, że on mnie nie widzi. Przetykam gulę.

— Tak. Dziś wyścig. Wiesz, że się wtedy denerwuję. — Teoretycznie nie można mi zarzucić kłamstwa. Naprawdę się denerwuję, ale rozstraja mnie to, że nie mogę podzielić się z nim problemem Zandera przed wyścigiem, a desperacko tego potrzebuję.

Nie mogę pozwolić, żeby zaprzętało mu to głowę, gdy ma być skupiony na

torze.

— Nic mi nie będzie, Ry. Co więcej, wygram, a potem wrócę do domu po pocałunek dla zwycięzcy i zdobycie flagi w szachownicę.

Myślę o swoim tajnym składzie z majtkami w szachownicę, które stały się moim nieoficjalnym, lecz zaaprobowanym przez Coltona strojem na dzień wyścigu. Zakładałam takie majtki na każdy wyścig po tym pamiętnym starcie w St. Petersburgu bardzo dawno temu.

Dzisiejszy wyścig nie jest wyjątkiem.

— Gładko powiedziane, As — śmieję się i mój nastrój trochę się poprawia, nawet jeśli nic nie jest w stanie uśmierzyć niepokoju związanego z oglądaniem na ekranie, jak pędzi ponad trzysta kilometrów na godzinę między betonowymi barierami a innymi masami gnającego metalu.

— Podobało ci się? — chichocze w odpowiedzi. — Masz je na sobie?

— Wygraj i wróć do domu, to się przekonasz.

— Niech cię.

— Uważaj na siebie — mówię, gdy słyszę w tle, że woła go Becks.

— Zawsze. — Wiem, że ma teraz na twarzy ten swój zawadiacki uśmiech, którym zawsze mnie rozbraja, i oddycham nieco swobodniej.

— Dobrze.

— Hej, Ryles? — rzuca jeszcze, gdy zaczynam oddalać słuchawkę od ucha.

— Tak?

— Wyściguję cię — stwierdza ze śmiechem i rozłącza się, lecz wzbudzone przez jego słowa uczucia pozostają we mnie na długo po zapadnięciu ciszy. Siedzę z telefonem przyciśniętym do piersi i w milczeniu błagam los, żeby pozwolił Coltonowi wrócić cało i bezpiecznie do domu.

— W porządku? — pyta cicho Haddie.

— Powiem mu o Zanderze, gdy wróci do domu — wyjaśniam, jakbym czuła potrzebę usprawiedliwienia swojego zachowania, lecz naszą rozmowę urywa dobiegający z odbiornika głos obserwatora Coltona.

— Próba radia, raz, dwa, trzy.

— Próba radia, A, B, C — odpowiada Colton, a na mojej twarzy po raz pierwszy od nie wiem jak dawna pojawia się uśmiech.

Ale głęboko w brzuchu wciąż czuję ten dręczący ból, a napięcie w piersi przybiera na sile, gdy słyszę w telewizji znajome wezwanie.

— Panowie, odpalcie silniki.

## *Rozdział 13.*

### *Colton*

Cholera, ależ gorąco.

Ognioodporny kombinezon lepi mi się do ciała. Rękawiczki ociekają potem. Od ściskania kierownicy drętwieją mi dłonie. Całe ciało boli mnie ze zmęczenia.

Ale zwycięstwo jest tak blisko, że niemal czuję już jego smak.

*Przestań mnie blokować, Mason!*

Jego samochód jest wolniejszy i z każdym okrążeniem ma słabszy czas, ale gdy tylko próbuję go wyprzedzić, żeby przejść na drugą pozycję, blokuje mi przejazd.

Pieprzony dupek.

— Cierpliwości, Wood — mówi Becks przez radio stanowczym tonem.

— Pieprzyć to. Jest wolniejszy. Powinien ustąpić — odpowiadam głosem zniekształconym przez siłę odśrodkową czwartego zakrętu.

Mijam linię mety. Jeszcze cztery okrążenia.

— Kończy mu się paliwo — wyjaśnia Becks. To jego sposób na uspokojenie mnie, na przekonanie mnie chociaż na chwilę, żebym nie jechał zbyt ostro i zbyt szybko i nie zatarł silnika tuż przed metą. Wie, że zdaję sobie z tego sprawę. Obaj mamy ten sam cel. Ale on dodatkowo wie, że pod koniec wyścigu daję się ponieść adrenalinie i mogę zapomnieć o szczegółach.

— U nas spoko? — pytam o nasz zapas paliwa.

— Dojedziemy na oparach, ale tak, u nas spoko.

Zjeżdżam w prawo, żeby przemknąć obok Masona, ale znowu mnie blokuje, przez co tył mojego auta przejeżdża niebezpiecznie blisko ściany.

— Dupek — mruczę przez zęby, próbując odzyskać kontrolę nad tyłem samochodu.

— Uważaj na śmieci — mówi obserwator do mikrofonu. Powstrzymuję się przed nieuprzejmą odpowiedzią w stylu „przecież wiem”, bo jestem zbyt skupiony na walce ze ściąganiem na bok. Uderzenie w betonową boczną ścianę z prędkością trzystu kilometrów na godzinę z powodu luźnych szczątków na krawędziach asfaltu nie jest na naszej liście celów.

Jeszcze trzy okrążenia.

Ramiona palą mnie z wysiłku, gdy wchodzę w kolejny zakręt. Analizuję ruch samochodów obok mnie i przede mną, szukając odrobiny miejsca na to, by się wcisnąć.

Dostrzegam je i w tym samym momencie słyszę, jak Becks krzyczy do mikrofonu:

— Zjeżdża! Zjeżdża! Dalej, dajesz, Wood!

Ułamki sekund. Luke Mason obok mnie. Luke Mason za barierką w wewnętrznej części toru, gdy go mijam.

*Trzeba było pomyśleć o paliwie, dupku.*

Super. O jednego mniej. Jeszcze jeden. *Dalej, maleńka.* Dodaję gazu i zerkam na wskaźniki, żeby wycisnąć z samochodu co się da, bo zostało już tylko jedno okrążenie. Nie ma się co oszczędzać — lepiej zużyć wszystko przed linią mety.

*Spokojnie, Colton. Spokojnie.* Wskaźniki docierają do czerwonych linii, ale udaje mi się dogonić Stewarta. Zaoszczędzę trochę paliwa, jadąc za nim, w jego ciągu powietrza. Dobrze, że to się udało, bo Becks z całą pewnością wychodzi z siebie w alei serwisowej, zastanawiając się, czy spalę silnik.

Biała flaga. Ostatnie okrążenie.

Musi nam się udać, mała. Musi nam się udać.

— Na drugim zakręcie jest tłoczno — mówi obserwator. Wychodzę z pierwszego zakrętu i dostrzegam na wprost maruderów do zdublowania. — Trzymaj się nisko — instruuje. Becks klnie do mikrofonu, bo to oznacza, że będę musiał trochę odpuścić, a nie mogę sobie na to pozwolić, gdy moim celem jest zwycięstwo.

— Jesteś pewien? — pyta, chociaż normalnie nigdy tego nie kwestionuje. Nie mam czasu, żeby czekać na odpowiedź, bo jestem już nisko, w pobliżu białej linii przy barierce wewnętrznej, i modlę się, by ta taktyka się sprawdziła. Zazwyczaj dublowani trzymają się nisko, żeby przepuszczać liderów.

Zaczynam wątpić w tę strategię i w tej samej chwili w górnej części toru otwiera się luka na jeden samochód: Stewarta lub mój. Wyjeżdżam zza niego z impetem, wykorzystując energię oszczędzoną przez jazdę w jego strumieniu powietrza. Ocieramy się oponami. Stewart jedzie od zewnętrznej, a ja od wewnętrznej.

To jak gra w tchórza. Wszystko zależy od instynktownej reakcji. Kto się wycofa? Kto będzie gnał aż do końca? Zmierzyłem się już w życiu z taką dawką strachu, że nie pozwolę mu się teraz owładnąć. Nie ma mowy.

Słyszę pisk opon, gdy się stykamy, i samochód znowu traci przyczepność. Trzymam mocno kierownicę w wyprostowanych dłoniach i dokładam starań, by koła szły prosto, gdy w czwórkę wychodzimy z drugiego zakrętu.

Wiem, że to szaleństwo. Z zewnątrz musi wyglądać na próbę samobójczą, bo nie wystarczy toru dla całej czwórki, a nie wygląda na to, by ktoś zamierzał odpuścić. Ktoś jednak musi i na pewno nie będę to ja. Strach jest tymczasowy. Żal pozostaje do końca życia. Dodaję gazu, co świadczy o tym, że nie mam w sobie ani

pierwszego, ani drugiego.

Wchodzimy w trzeci zakręt i dwa skrajne samochody odpuszczają. Zostają tylko ja i Stewart. Ramię w ramię zbliżamy się do ostatniego zakrętu.

I ostatniej prostej, na której rozstrzygną się losy wyścigu.

Wypadam z zakrętu i dociskam samochód jak tylko się da. Wszystko świeci się na czerwono, ale mam nadzieję, że się uda. Nie jestem w stanie stwierdzić, kto jest pierwszy. Nosy wydają się iść równo, gdy obaj testujemy granice wytrzymałości swoich maszyn.

*No dalej, maleńka. No jeszcze.*

Sto metrów przed sobą widzę człowieka machającego flagą w szachownicę. Prosty tor jazdy, Donavan. Z daleka od ściany i od Stewarta. Nie zetknijcie się, bo to będzie koniec dla was obu.

— Dajesz, Wood! — krzyczy Becks do mikrofonu. Mijam flagę, a w radiu wybucha wrzawa. Nie mam pojęcia, kto wygrał. Ułamki sekund ciągną się jak godziny.

— Wygraliśmy, do jasnej cholery! — wrzeszczy Becks. Radość zalewa moje sterane ciało i napędza je nową energią.

— Juhu! — odpowiadam, unosząc zaciśniętą pięść.

#

Pas zwycięzcy. Parkuję w tłumie ludzi i kamer i wita mnie moja ekipa. Zabawne, że wypatruję twarzy, której nie mam szans tu zobaczyć.

Aż do dzisiaj nie zdawałem sobie sprawy z istotności tego faktu, że była ze mną na każdym wyścigu. Wjazd na pas zwycięstwa bez niej wydaje mi się jakiś niepełny. Ona jest dla mnie kimś więcej niż tylko żoną. Ona jest dla mnie wszystkim.

Wybucham śmiechem, gdy ściągam sworzeń kierownicy i dostrzegam Becksa.

— Mamy pieprzone zwycięstwo, Wood — mówi. Zrywa mi kask i kominiarkę, przekazuje je komuś innemu i pomaga mi wysiąść. Chwieję się na nogach i jestem rozgrzany jak diabli, ale mój najlepszy przyjaciel obdarza mnie szybkim uściskiem i w końcu dociera do mnie, że zdobyłem ten nieuchwytny tytuł, na który od tak dawna polowałem.

— Dobra robota, brachu — odpowiadam i biorę od Smitty'ego bejsbolówkę, którą zakładam na głowę. Jestem śmiertelnie wyczerpany, lecz zalewa mnie adrenalina po zwycięstwie.

Następne kilka minut przemyka niepostrzeżenie: deszcz konfetti, podziękowania od sponsorów, wywiady, zimny Gatorade, który smakuje jak niebo, oblewanie ludzi szampanem. Upajam się tym wszystkim, bo w końcu mam to już za sobą. Odgrywam grzecznie swoją rolę w tym cyrku, dziękuję sponsorom,

gawędzę z rywalami, dziękuję fanom, ale tak naprawdę pragnę wrócić do naszej alei serwisowej, zadzwonić do Ry, wziąć prysznic i napić się czegoś z Becksem, zanim wybuchnie jeszcze większa medialna wrzawa.

Kończę wywiad numer pięć. Poruszam ramionami, żeby je rozluźnić, pociągam łyk Gatorade i przygotowuję się do udzielania tych samych odpowiedzi następnemu w kolejce.

Zapominam jednak o nim, gdy zauważam minę mojego ojca. Zwycięstwo przestaje mi smakować. Serce więźnie mi w gardle, a przez głowę przemyka milion myśli na sekundę. Jak na autopilocie ruszam w stronę ojca.

— Tato — mówię. Mój przerażony głos jest idealnym odzwierciedleniem wyrazu jego twarzy.

— Chodzi o Rylee.

## *Rozdział 14.*

### *Rylee*

Jestem zatopiona w snach.

W ciemnościach, ciepłe i wizjach małej dziewczynki z anielskimi loczkami i ustami w kształcie serca, która trzyma mnie pulchną dłonią za mały palec lewej dłoni. Patrzę na nią jak zahipnotyzowana, a jej chichot rozgrzewa mą duszę i wypełnia mi serce, lecz jednocześnie jest dziwnie bolesny.

Z tych marzeń wyrywa mnie ciągnięcie za prawą dłoń. Byłam tak zatopiona w wyobrażeniach o swojej utraconej dziewczynce, że nie zauważyłam, że ktoś jest obok mnie. Patrzę z góry na głowę pokrytą ciemnymi włosami, a on podnosi wzrok i oddaje mi spojrzenie. Ma twarz upstrzoną piegami, szelmowski uśmiech i zielone oczy, które wyglądają bardzo znajomo.

— Zgubiłeś się?

— Nie — odpowiada, kiwając naszymi złączonymi dłońmi, i uśmiecha się szerzej, co pogłębia dołek w jego brodzie. — Już nie.

Czuję dłonie obejmujące mnie w pasie. Przyjemne ciepło jego ciała odrywa mnie od snu, który natychmiast zapominam. Wtulam się w mojego męża, a jego niepowtarzalny zapach — mydła i wody kolońskiej — sprawia, że odzyskuję spokój.

Pikanie urządzenia monitorującego i szum bicia serca dziecka przywracają mnie gwałtownie do rzeczywistości. Nie jestem w naszym przytulnym domu, tylko w łóżku szpitalnym, podłączona do urządzeń medycznych.

— To tylko ja — szepcze w tył mojej głowy i przytula mnie mocniej. Rozgrzewam się w środku od jego oddechu. Leżymy na łyżeczkę i nasze serca biją obok siebie w leniwym rytmie.

— Jesteś tu — mówię zaspanym głosem.

— Ekspresowa przesyłka — odpowiada, a ja wyczuwam uśmiech w jego głosie. — Prosto z pasa dla zwycięzcy.

— Gratulacje. Jestem z ciebie dumna i przykro mi, że zepsułam ci celebrowanie. — Przez tyle lat dążył do zdobycia Grand Prix i oczywiście, gdy mu się to udało, to przeze mnie nie mógł świętować swojego osiągnięcia.

— Hm. — Całuje mnie ponownie w głowę i splata palce z moimi. — Wolę być tutaj. Bez ciebie to nie było to samo. Tęskniłem za tobą, Ryles.

Niemożliwe, z jaką łatwością wywołuje mój uśmiech i rozpędza wszelkie obawy.

— Ja też za tobą tęskniłam... — odpowiadam i czekam na jego pytania, a on, jak na komendę, wzdycha ze świadomością, że zrukuje tę chwilę.

— Chcecie razem z dzieckiem doprowadzić mnie do ataku serca? — pyta, a jego słowa wręcz kipią od emocji.

— Nie. Wszystko jest już w porządku. Miałam tylko kilka skurczów, które udało się powstrzymać. Zrobili mi USG. Podłączyli przyrządy monitorujące dziecko. Rutynowe badania, żeby upewnić się, że jest okej — wyjaśniam. Nie wspominam o tym, jak bardzo byłam przerażona, gdy podłączono mnie do tych urządzeń. Wszędzie krzatali się lekarze i pielęgniarki i chociaż Haddie trzymała mnie za rękę, żeby mnie uspokoić, to ja tęskniłam za nim.

— Rutynowe badania? — pyta sceptycznie. — Wciąż masz problemy z ciśnieniem. To na pewno nie jest rutynowe, jeśli mowa o tobie i dziecku.

*Cholera.* Zamykam na chwilę oczy, kielznam swój strach i przygotowuję się na wyznanie mu prawdy.

— Powiesz mi w końcu, o co chodzi, Ry?

Przypominają mi się liczne ostrzeżenia dotyczące mojej ciąży. Ryzyko wcześniejszego porodu, uszkodzone tętnice po wypadku, poronienie, którego skutkiem może być obfite krwawienie w czasie porodu, obciążenie macicy, zwiększające się wraz z rozwojem dziecka.

— Masz prawo się na mnie gniewać — szepczę, bo z jakiegoś powodu łatwiej mi wyznać to w taki sposób. — Staralam się nie stresować i pilnować, aby ciśnienie krwi nie wykraczało poza dopuszczalny zakres... ale potem był ten wyścig i... — milknę i wzdycham ciężko na myśl o Zanderze.

— I co? — pyta. — Co jeszcze wytrąciło cię z równowagi? — Gdy tylko wypowiada te słowa, całe jego ciało się napina i wiem, że żałuje, że to zrobił.

Mam mu wyliczyć wszystko, co dotychczas potęgowało mój stres?

— Tuż przed wyścigiem zadzwonił do mnie Zander. Był przerażony i skołowany. W rozsypce. Jego wujek chce go adoptować — mówię cicho. Staram się trzymać emocje w ryzach, bo na monitorze przed nami widać wykres bicia mojego serca.

— Taaak — mówi przeciągle i czuję, że próbuje zrozumieć, do czego zmierzam. — Musisz mi to lepiej wyjaśnić, bo nie rozumiem, dlaczego miałabyś z tego powodu wylądować w szpitalu.

— To jego wujek. — Przełykam gulę wściekłości. — Narkoman, który nie chciał mieć z Zanderem nic wspólnego, gdy go przyjęliśmy.

— Dlaczego pojawił się właśnie teraz? — To proste pytanie i zagubiony głos Coltona doskonale odzwierciedlają moje uczucia. Wzdycham z ulgą i cieszę się z jego pytania, bo uzasadnia ono moją instynktowną reakcję.

— Jak myślisz? — pytam zdegustowana i chociaż moje oburzenie nie jest skierowane w niego, wiem, że tak je odbiera.



— Z powodu filmu. Twoje zdjęcia z imprez były we wszystkich mediach — odpowiada, gdy układa sobie to w głowie.

— No. — Niespecjalnie mogę powiedzieć coś więcej, jeśli nie chcę, żeby pomyślał, że go obwiniam o taki rozwój wydarzeń.

— Pieniądze? — pyta.

— Miesięczna zapomoga to nie majątek, ale...

— Ale przyda się na wspieranie nałogu, jeśli takowy posiadasz — kończy w zadumie.

— Może też chodzić o coś innego — dodaję, bo nagle mnie olśniewa. Staram się nie ekscytować tym odkryciem, ale i tak jestem oszołomiona. — Może chce sprzedać wywiad z Zanderem zdradzającym pikantne tajemnice pracownicy Corporate Cares, która aktualnie przebywa na zwolnieniu z powodu publikacji sekstaśmy.

— To by wyjaśniało tę nagłą inicjatywę.

— Właśnie. — Wzruszam ramionami, po czym zamykam oczy i skupiam się na poczuciu bezpieczeństwa w jego ramionach.

— Ludzie zrobią wszystko dla pieniędzy.

— Niektórzy nie potrzebują nawet pieniędzy — komentuję odruchowo, ale wiem, że Colton zrozumie, iż mam na myśli Eddiego. Ten cholerny film spowodował to wszystko: stratę prywatności i możliwości swobodnego przemieszczania się, wstyd, utratę pracy, sytuację Zandera, moją hospitalizację i rozpadanie się naszego życia. *To zbyt wiele.*

— Ry. — Moje imię brzmi w jego ustach jak zrezygnowane westchnienie. Colton ociera się zarośniętym policzkiem o moją szyję i całe moje ciało staje na baczność. — Powinnaś myśleć przede wszystkim o sobie i o dziecku.

— Wiem. Powinam. Staram się... — Colton ma w stu procentach rację... Lecz Zander też jest w pewnym sensie moim dzieckiem. — Ale ty go nie słyszałaś. Był przerażony. Do szpiku kości. I zagubiony. *A ja o tym nie wiedziałam.* — Biorę głęboki wdech i skupiam się na szumach urządzenia monitorującego ruchy dziecka. Koncentruję się na tym, bo mnie to uspokaja. — Teddy rzucił mi jakieś wyjaśnienie, wiesz, korporacyjną gadkę o tym, że to jest przecież naszym celem. Ale ja w to nie wierzę. On nie ma takiej więzi z chłopcami jak ja... I nie zna ich historii w takim stopniu jak ja.

— Będzie o nich walczył, jeśli zajdzie taka potrzeba — stwierdza cicho Colton, a jego słowa niosą mi pokrzepienie, lecz jednocześnie są niezamierzonym policzkiem. Mimo to nie czuję pieczenia na twarzy. Wiem, że powiedział to z miłości.

To moi chłopcy. Moje serduszka. Nikt nie będzie o nich walczył z taką zaciętością jak ja. Tyle wiem na pewno.

— To powinam być ja — mruczę z ciężkim sercem i rezygnacją w głosie.

— Ale nie sędę, żebym była w stanie cokolwiek wywalczyć. Jeśli opieka społeczna jak zwykle wykona swoją robotę po łebkach i nie sprawdzi faceta zbyt dokładnie, to odda mu Zandera.

— Chyba że zostanie adoptowany — stwierdza zwyczajnie Colton. Przytula mnie mocniej, a ja przytakuję.

Leżymy w milczeniu w tym sterylnym pokoju, który z Coltonem przy mnie stał się znacznie bardziej znośny. Ciepło jego oddechu, zapach wody kolońskiej, dotyk jego ciała — wszystko to pomaga mi odzyskać równowagę i łagodzi ten nieopanowany strach, z jakim przybyłam do szpitala.

Słyszalne dzięki urządzeniom medycznym ruchy dziecka, zarówno te, które czuję, jak i te niewyczuwalne, przypominają mi o tym, co jest najważniejsze, i wzbudzają nieograniczoną miłość. Ukołysana tymi odgłosami i obecnością Coltona powoli zaczynam odpływać.

— Moglibyśmy adoptować Zandera.

Słowa Coltona wyrrywają mnie gwałtownie z objęć snu. Mój oddech przyspiesza, wzdrygam się cała, a serce zalewa mi nadzieja, szybko jednak dopada mnie rzeczywistość. Ale i tak w oczach wzbierają mi łzy na myśl o leżącym za mną mężczyźnie o czułym sercu. Zarzekał się, że nie potrafi odczuwać miłości, a mimo to każdego dnia zakochuję się w nim na nowo, gdy pokazuje, do czego jest zdolny w głębi duszy.

— To naprawdę wiele dla mnie znaczy, że tak mówisz, ale... nie mogę wybrać tylko jednego z chłopców — mówię z rozdartym sercem, bo owszem, to by wszystko rozwiązało, lecz pozostali chłopcy otrzymaliby sygnał, że Zandera kocham bardziej, a przecież nie o to tutaj chodzi. — Mimo wszystko dziękuję, że to zaproponowałeś. Samo to, że w ogóle rozważyłeś taką opcję, jest dla mnie bardzo ważne.

— Sędę, że powinniśmy wykroczyć poza samo rozważanie. — Przytakuję jego słowom, bo mówi to z takim przekonaniem, że żadna polemika nie wchodzi w grę. Mam świadomość, że motywuje się własnym doświadczeniem, gdyż doskonale wie, co to znaczy być sierotą. — Nie wykluczaj tej opcji.

— Dobrze — zgadzam się dla świętego spokoju. — Ale nie mogę tego zrobić pozostałym, którzy tak samo jak Zander potrzebują poczucia przynależności.

— Mają siebie nawzajem — odpowiada — a to jest najważniejsze.

Zostaję bez słowa. Jego stwierdzenie jest zaskakujące, a jednocześnie tak bardzo prawdziwe. I wewnętrznie sprzeczne. Jakim cudem adoptowanie jednego z nich miałyby nie zniszczyć ich więzi?

— Wyłącz umysł, Ryles. Wyłącz go na chwilę. Dla mnie. Dla dziecka. Dla siebie. — Gładzi mnie wzdłuż ramienia, a potem zsuwa dłoń na brzuch, do którego są podpięte dwa urządzenia. To na pewno przypadek, ale w tej samej sekundzie słyszę poruszające się dziecko. Serce mi rośnie, gdy słyszę, jak Colton z emocji

wstrzymuje na chwilę oddech.

— Przykro mi, że przeze mnie musiałeś zrezygnować ze świętowania — szepczę — a jednocześnie wcale nie jest mi przykro, bo cieszę się, że tu jesteś.

— Nie ma takiego miejsca, w którym wolałbym teraz być — stwierdza, kładąc podbródek na moim ramieniu, i całuje mnie w policzek. — Kłamałem. Zdecydowanie jest jedno miejsce, w którym wolałbym teraz być — dodaje sugestywnym tonem, a ja wydaję z siebie jęk, bo seks to moje jedyne niezmiennie ciężowe pragnienie.

— Mam wrażenie, że ten pas zwycięzcy jest na pewien czas zamknięty — mówię.

— Dobrze, że zdobyłem go w Alabamie.

— Lepiej, żebyś mówił o trofeum, As.

— Nie. Trofeum mam teraz w ramionach.

## *Rozdział 15.*

### *Rylee*

— Potrzebuję twojej pomocy, Shane — mówię jak desperatka, ale nie obchodzi mnie to.

— Rylee — chichocze. Brzmi jak dojrzały facet, a nie jak samotny i sponiewierany przez życie nastolatek, którym był, gdy swego czasu trafił do nas. Nie umyka mi ironia kryjąca się w tym, że teraz to ja zwracam się do niego z prośbą o pomoc. — Colton mówił, że do mnie zadzwonisz i będziesz próbowała mnie przekupić, żebym pomógł ci wyrwać się z domu.

Cholera! Colton pomyślał o wszystkim, żebym tylko nie wyszła poza te ściany, które z każdym dniem coraz bardziej mnie przytłaczają. Owszem, paparazzi nieco spuścili z tonu, ale wciąż czatują, łasi na wszelką sensację. Niekoniecznie siedzą przed bramą, ale na okładkach szmatławców wciąż królują zaśniewane zdjęcia ze mną na parkingu, tyle że teraz obok nich znajduje się zdjęcie przedstawiające mnie na wózku inwalidzkim, z podpisem godnym tego, o czym rozmawiałam z Coltonem na pierwszej randce, czyli o chupacabrach i trójgłowych kosmitach.

— Nie próbuję cię przekupić, żeby uciec. Będę tu grzecznie siedzieć i wypełniać zalecenia lekarza, ale muszę mieć pewność, że z Zanderem jest wszystko w porządku — wyznaję. — Rozmawiałam z nim i sprawia wrażenie, jakby czuł się lepiej. Colton i Jax też twierdzą, że jest dobrze, ale, Shane, on przed tobą nie będzie niczego ukrywał — podkreślam ostatnie słowa, żeby Shane zrozumiał aluzję do braterskiej więzi, jaka wytworzyła się między nimi przez te wszystkie lata. Więzy dwóch sponiewieranych dusz, które pomagały sobie w leczeniu ran i dzieliły się doświadczeniami, jakich nikt nie powinien przeżywać. To, że razem wyszli z tego piekła złych wspomnień, niesamowicie ich do siebie zbliżyło.

Mam nadzieję, że teraz dzięki tej bliskości uda mi się dowiedzieć, jak jest naprawdę.

— Pod jednym warunkiem — mówi, zbijając mnie z tropu.

— Eh... Hm? — wyjąkuję. Ciekawe, czy Colton miał coś wspólnego z tym jednym warunkiem.

— Że pozwolisz mi to załatwić. Nie chcę, żebyś się stresowała i znowu wylądowała w szpitalu. Powiem ci wszystko, czego się dowiem, jeśli obiecasz, że będziesz myślała przede wszystkim o sobie i o dziecku. — W pierwszym

momencie irytuje mnie jego ultimatum, ale prócz tego zalewa mnie poczucie dumy z niego, które każe mi go wysłuchać. Usłyszeć troskę w jego głosie i zrozumienie w jego słowach oraz dostrzec, jakim wspaniałym mężczyzną się stał.

To oznacza, że dobrze wykonałam swoją pracę. Trzymam się kurczowo tej myśli, bo w tej chwili nie jestem już w stanie się nimi opiekować. Muszę wierzyć, że zainwestowany w nich obu czas przyniesie owoce, a ich więź sprawdzi się w chwili, gdy jeden z nich jest w poważnych tarapatkach.

— Możesz mi to obiecać, Rylee? — pyta, przebijając się przez emocje, które mącą mi myśli i zatykają gardło.

— Tak — odpowiadam. Czuję się jak zestrofowane dziecko, ale prócz tego zalewa mnie miłość.

— Jest mu ciężko. Jest przerażony i pełen obaw. Tylko nam ufa. Boi się powrotu do życia, w którym nic nie jest pewne... a ja go rozumiem — mruczy, bez wątpienia pochłonięty przez własne wspomnienia.

Dokładnie tego się spodziewałam, ale nikt inny nie był w stanie tego potwierdzić.

— Dziękuję, że mi to powiedziałeś. — Mój umysł z zawrotną prędkością przerabia możliwe scenariusze. Chciałabym zobaczyć się z Zanderem, żeby udzielić mu osobistego wsparcia, a potem błagać Teddy'ego, by pozwolił mi wrócić, chociaż wiem, że on czeka na sygnał od pracownika socjalnego.

— W przyszłym tygodniu pojawię się tam na kilka dni. Planuję zatrzymać się w Domu, rozmawiałem już o tym z Jaxem. Spędzę trochę czasu z Zanderem i zadbam o to, by poczuł się lepiej.

— Dziękuję — odpowiadam cicho z zamkniętymi oczami i sercem pełnym miłości. — To naprawdę super z twojej strony. On bardzo cię lubi.

— Należy do rodziny — stwierdza Shane. Wyobrażam sobie ten jego chłopięcy uśmiech i typowe dla niego obojętne wzruszenie ramion. Uśmiecham się także i po raz kolejny uświadamiam sobie, że solidnie wykonałam swoją pracę.

— Należy do rodziny.

#

Składanie dziecięcych ubranek wydaje mi się niedorzeczne. Owszem, mam taki brzuch, że nie widzę palców u nóg, i otacza mnie góra żółtych ciuszków, ale biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, perspektywa macierzyństwa wydaje mi się bardzo odległa, a jednocześnie tak bliska.

— Pomysł z przywiązaniem cię do łóżka wydaje mi się dość kręcący, ale wolałbym to zrobić za twoją zgodą, a nie dlatego, że nie przestrzegasz zaleceń lekarki — mówi Colton, a ja odwracam się w stronę drzwi. Stoi z bezczelnym uśmiechem na ustach i patrzy na mnie ostrzegawczo.

— Urocze. Bardzo urocze — odpowiadam z przekąsem.

— Cóż, byłabyś jeszcze bardziej urocza, gdybyś leżała na łóżku — odparowuje i przez chwilę toczymy cichą wojnę na spojrzenia. W końcu odrywa wzrok ode mnie i rozgląda się z widocznym zaskoczeniem. — Porządkujesz rzeczy?

— Uznałam, że już najwyższy czas — odpowiadam cicho, trochę zażenowana tym, że tak długo strach nie pozwalał mi się za to zabrać. — Można bezpiecznie zakładać, że gdyby się teraz urodził, powinna sobie poradzić.

— Ładnie zmieniłaś rodzaj — zauważa ze śmiechem, podchodząc do mnie. Obejmuje mnie od tyłu i kładzie podbródek na moim ramieniu.

— Nie chcę, żebyś myślał, że znam płęć MURB-a.

Wybuch głośnym śmiechem, którego wibracja przechodzi z jego klatki piersiowej na moje plecy, a ja kończę składać wyprane przed użyciem kocyki.

— MURB, tak? Przeszłaś na moją mroczną stronę i też go tak nazywaś?

— Zawsze lubiłam twoją mroczną stronę — mówię sugestywnie, ale gdy czuję, jak jego dłoń zamiera na moim brzuchu, uświadamiam sobie, że zrozumiał to zupełnie inaczej. Stoimy przez chwilę w milczeniu, żeby mógł otrząsnąć się z wywołanych przez moje słowa duchów z przeszłości.

— Poczuleś to? — pytam i błyskawicznie kładę dłoń na jego dłoni, żeby nakierować go na miejsce, w którym poruszyło się dziecko.

— Nie mieści mi się to w głowie — mruczy z podziwem w głosie, z czego wnioskuję, że mroczna strona opuściła już jego myśli. Przyciska dłoń do brzucha, żeby sprowokować dziecko do ponownego ruchu, i udaje mu się to.

— MURB lub głos tatusia — stwierdzam łagodnym głosem, ciesząc się z chwil, których nie będziemy już w stanie przeżyć po porodzie. Colton przyciska usta do mojej szyi i zostaje tak. Mam wrażenie, jakby wiedział, co myślę, czuł tak samo i starał się maksymalnie przedłużyć tę chwilę.

— Mam coś dla ciebie. Pójdiesz ze mną? — pyta.

— Czy to ma coś wspólnego z wiązaniem i kajdankami? — rzucam zaczepnie.

— Nie, chyba że tego właśnie pragniesz — odpowiada ze śmiechem, po czym bierze mnie za rękę i prowadzi korytarzem do sypialni.

Rzucam mu rozczarowane spojrzenie, gdy klepie dłonią łóżko, żebym na nim usiadła.

— I ja się na to nabrałam — stwierdzam, a on pomaga mi się usadowić. Ciekawe, do czego zmierza, skoro doktor Steele kazała nam na razie powstrzymać się od seksu. Dotychczas przestrzegał wszystkich jej zaleceń, więc albo chce mnie zmusić do odpoczynku, albo potrzebuje zaznać odrobiny rozkosznego ruchu.

Stawiam na ruch.

— Wcale nie chodzi o to, o czym myślisz, nimfomanko — mówi, podkładając mi poduszki pod plecy i pod kolana, po czym nachyla się i delikatnie

całuje mnie w usta. Jak zwykle nie mogę mu się oprzeć, więc chwytam go za kark i przyciągam do siebie, żeby ukraść jeszcze jeden pocałunek.

— Zawsze warto mieć nadzieję — szepczę w jego usta, gdy się odsuwa. Uśmiecha się, a w oczach ma błysk chłopca, który coś zmalował.

— Nie ma mowy, dopóki lekarka się nie zgodzi — odpowiada. Obchodzi łóżko, bierze coś ze swojego stolika nocnego i chowa to za sobą, żebym nie widziała. Najbardziej urocze jest to, że w trakcie tych czynności mój pewny siebie i wymagający mąż zachowuje się, jakby był zmieszany, z czego wiem, że ukrywa za plecami coś, co narusza jego strefę komfortu.

— No więc mam coś dla ciebie — obwieszcza, zatrzymuje się i potrząsa głową tak jak chłopcy, gdy są zażenowani. Chwyta mnie tym za serce, bo wiem, że jeśli MURB okaże się chłopcem, to tak właśnie będzie wyglądał. Ze spuszczonego wzrokiem wyciąga dłoń z prostokątnym pudełkiem w brązowym papierze. Łapię go za dłoń i trzymam tak długo, aż podnosi wzrok i spogląda na mnie.

— Dziękuję, ale naprawdę nie musiałeś.

— Wcześniej wydawało mi się to dobrym pomysłem... ale teraz czuję, że to jednak jest beznadziejne, więc możesz się śmiać do roz...

— Na pewno mi się spodoba — mówię z pełnym przekonaniem, bo jeśli ten prezent wywołuje w nim taką niepewność, to z całą pewnością kolorując go, powychodził za kontury.

Czując na sobie ciężar jego spojrzenia, powoli odpakowuję prezent. W środku jest gruba drewniana ramka na fotografię, ale bez żadnego zdjęcia w środku. Wpatruję się w nią przez chwilę, bo owszem, jest ładna, ale z całą pewnością chodzi tu o jakieś głębsze znaczenie, tyle że nie potrafię rozszyfrować tego, co Colton próbuje mi przekazać.

— Jest pusta — wyjaśnia. Podnoszę wzrok na niego, badając dłonią fakturę drewna. Jest zwyczajne, lecz wytworne, surowe, lecz przyjemne w dotyku. Coś jak my. Ta myśl wywołuje mój uśmiech.

— No widzę.

— To był ciężki miesiąc — mówi i wchodzi na łóżko obok mnie. Kładzie się na boku i podpira ręką głowę, a ja potakuję, próbując to wszystko jakoś ze sobą połączyć. — Kelly szuka mojego ojca. — Mój umysł wciska hamulec, bo kompletnie nie rozumiem, w jaki sposób przeszliśmy od ramki do osoby, o której Colton nigdy wcześniej nie mówił.

— *Co?* — Patrzę na niego, lecz on skupia się na swojej dłoni na moim brzuchu. Otwieram i zamykam usta jak gupik, bo nie wiem, co powiedzieć, i nie rozumiem połączenia między tymi tematami. Widzę, że on też jest zagubiony, więc powstrzymuję gorączkową chęć odkrycia prawdy i czekam, aż znajdzie właściwe słowa.

— Przeraza mnie perspektywa bycia ojcem — wyjaśnia, kontynuując swoje

wyznania. Rozumiem jego strach, bo sama go czuję, zaczynam jednak powoli łączyć kropki. On chyba się boi, że będzie taki jak ojciec, którego nie zna. — I pomyślałem, że jeśli poznam swojego dawcę spermy, to przestanę się bać, że będę jak on.

Tłumię pragnienie ujęcia jego twarzy w dłonie i skierowania jej na mnie, bo wiem, że potrzebuje przestrzeni.

— *Na pewno* nie będziesz taki jak on, Colton. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Widziałam go z chłopcami w Domu. Obserwowałam, jak pomaga im zmierzyć się z przeciwnościami, które tylko on jest w stanie zrozumieć. Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, jakie to jest ważne? Przecież te interakcje to coś więcej niż sugestia, że będzie niesamowitym ojcem. Chciałabym, żeby patrząc w lustro, widział tego samego mężczyznę, na którego ja patrzę każdego dnia.

Potakuje, ale przez chwilę nic nie odpowiada. Żałuję, że nie mogę niczego powiedzieć i zrobić, aby dodać mu otuchy. Wiem, że tylko czas jest w stanie dowieść prawdziwości mojego przekonania.

— Nie wiem — odzywam się w końcu, potrząsając głową. — To chyba nie jest zbyt dobry pomysł... Nie rozumiem, w jaki sposób znalezienie go miałyby ci pomóc. — Zapewne lepiej by było, gdybym trzymała język za zębami i pozwoliła mu uporać się z przeszłością tak, jak tego potrzebuje, ale ostatnio przeżyliśmy tyle katastrof, że nie wiem, ile jeszcze jestem w stanie znieść. — Na co właściwie liczysz, gdy go znajdziesz?

— Na czystą kartę. — Chrząka, oczyszczając gardło z więznących w nim emocji. — Ta ramka jest pusta, bo chcę zacząć nowy rozdział naszego życia z całkowicie czystą kartą. Nasza rodzina na to zasługuje. To... — mówi i milknie. Wyciągam dłoń i splatam palce z jego palcami. Jego słowa świadczą o tym, że wszystko ma starannie przemyślane, co tak mnie porusza, że nie potrafię nic wykrztusić. — Nieważne — dodaje.

— Nie. Proszę, dokończ. Milczę, bo jestem wstrząśnięta i wzruszona, że o tym pomyślałeś i że zrobiłeś to dla nas... Szczególnie po tych wszystkich wydarzeniach ostatniego miesiąca.

— Gadam jak jakaś laska, ale ta pusta ramka jest jednocześnie moją obietnicą, że od dzisiaj nie chcę robić sobie z tobą zdjęć, tylko tworzyć wspomnienia. Raczej dobre niż złe. Zabawne. Pamiętne. Bezценne. One będą się zmieniały wraz z upływem czasu, bo każdy etap naszego wspólnego życia podpowie nam, co umieścić w tej ramce, najważniejsze jest jednak to, że za każdym razem będzie ona przedstawiała naszą nową normalność... — milknie, a moje oczy wzbierają łzami. Przygniata mnie głębia emocji związana z tym niesamowitym prezentem od mężczyzny, który uważa się za nieromantycznego, a mimo to co rusz zaskakuje mnie oszłamiającymi gestami.



— Uwielbiam ją — szepczę i spoglądam mu w oczy przez kalejdoskop łez. — Jest absolutnie idealna. — Przyciskam do piersi tę swoją pustą szkatułkę na skarby i rozkoszuję się myślą o tym, jak bardzo Colton dojrzał od chwili, gdy się poznaliśmy.

Przewracam się na lewy bok twarzą do niego, tak że nasze ciała są jak w lustrzanym odbiciu. Wpatrujemy się w siebie przez kilka chwil. W trakcie tej niesłyszanej intensywnej komunikacji wzrokowej przekazujemy sobie mnóstwo emocji.

— Ja nie mam nic dla ciebie — mówię w końcu.

W odpowiedzi błyska nieśmiałym uśmiechem.

— Dałaś mi więcej niż kiedykolwiek pragnąłem.

To głupie, że mimo upływu czasu wciąż tak mocno reaguję na jego komplementy, ale nie da się temu zaprzeczyć. Biorę poszarpany wdech i wodzę palcami po wyżłobieniach leżącej między nami ramki, a on przymyka powieki.

— Czasem bawię się z chłopcami w pewną grę... Chcesz się ze mną pobawić? — pytam. Uświadamiam sobie sugestywność swoich słów, gdy jego uśmiech się poszerza.

— Wiesz, że nigdy nie odmówię propozycji zabawienia się z tobą — odpowiada i kiwnięciem głowy zachęca mnie do kontynuowania. — Na czym to polega?

— Muszę powiedzieć coś, co zaczyna się od „jestem”, „czuję” lub jakiegoś czasownika w pierwszej osobie, a potem ty zrobisz to samo. Nie można zadawać pytań... Dzięki temu musisz słuchać, co ma do powiedzenia ta druga osoba. I tak mówimy na zmianę. — Trudno mi uwierzyć, że przez ten cały czas razem jeszcze nigdy mu tego nie wyjaśniłam, ale czuję, że to jest idealna chwila. — Ja zacznę. *Jestem przerażona tak jak ty* — mówię szeptem, jakby przyciszony głos miał w jakiś sposób złagodzić moje wyznanie.

Zaczyna mówić coś, co nie zaczyna się od „jestem”, więc uciszam go, kładąc mu palec na ustach.

— Żadnego pocieszania. Czasem przez to można się poczuć, jakby uczucia, które się ma, były bezzasadne. Twoja kolej.

Widzę, jak trzusi się, by ująć w słowa to, co ciąży mu na duszy. Bierze głęboki wdech, patrzy przez kilka chwil za moje ramię i skubie palcami pościel. Przez ostatnie pięć lat poczynił olbrzymie postępy w identyfikowaniu i wyrażaniu swoich emocji, lecz teraz wyraźnie dostrzegam, że ma z tym problem.

Milczenie się wydłuża i zaczynam się obawiać tego, czego nie potrafi mi powiedzieć.

— Boję się, że nigdy mi nie wybacysz tego filmu i tego, że nie potrafię naprawić tej sytuacji — wyznaje, nie patrząc na mnie.

Zamykam na chwilę oczy, pozwalając, by jego skruszony ton ukoił otwarte

rany zadane przez publikację filmu, i potakuję, żeby wiedział, że go zrozumiałam. Nie powinnam się dziwić temu wyznaniu, biorąc pod uwagę to, ile razy mnie już za to przeproszał. Jednocześnie jednak cieszę się, że czuł potrzebę, by powiedzieć mi to jeszcze raz.

— Boję się, że gdy wyjdziemy między ludzi, już zawsze będą nas kojarzyć z tym filmem. Mogę jedynie mieć cichą nadzieję, że to się kiedyś skończy. — Colton zamyka na chwilę oczy i nieznacznie potakuje. Nie potrzebuję niczego więcej, żeby wiedzieć, że czuje dokładnie tak samo.

— Ja liczę na to, że Eddie dostanie to, na co zasługuje — odpowiada ze wstrętem i złością.

— Ja się z tym zgadzam — stwierdzam ze śmiechem, bo niczego nie wyznałam, ale teoretycznie nie złamałam zasad.

— Łamaczka reguł — mruczy z nieśmiałym uśmiechem.

— Wcale nie — ripostuję. — Twoja kolej.

— Boję się, że będziesz tak bardzo skupiona na Zanderze, że znowu wyładujesz w szpitalu — mówi z uniesionymi brwiami i rzuca spojrzenie na mój brzuch.

— Boję się, że go zawiodę i nie będę w stanie mu pomóc w sytuacji, w której najbardziej mnie potrzebuje. — Próbuję stłumić niepokój wywołany przez to wyznanie i opanować jego bardzo realne skutki. Nie chcę, żeby potwierdziły się obawy Coltona.

— Jestem pewien, że wymyślimy jakiś sposób, żeby mu pomóc — stwierdza, powstrzymując mnie gestem przed odezwaniem się. Tak dobrze mnie zna.

— Jestem pewna, że mój mąż uwielbia tę zabawę za to, że nie mogę za dużo mówić i się z nim sprzeczać — wyznaję rzeczowo, a on w odpowiedzi parska śmiechem. Ja też się uśmiecham. Potem powraca cisza, a Colton zastanawia się, co powiedzieć.

— Boję się, że nie będę wystarczająco męski, by dać ci to, czego będziesz potrzebowała w chwili największej próby. — Zwilża usta językiem i zmusza się do przełknięcia śliny. Ani na moment nie odrywa oczu ode mnie mimo głębi tańczących w nich emocji.

Łał. Wygląda na to, że przeszliśmy do najgłębszych wyznań. Absolutnie nie spodziewałam się po nim takich słów. Przez chwilę leżę jak oniemiała, próbując to przetworzyć. Czy on ma na myśli wszystkie aspekty życia, czy tylko narodziny dziecka? Ciekawe, o jaką chwilę próby może mu chodzić?

Wątpliwości są jak dłuto, które rzeźbi szczeliny doprowadzające do rozpadu nawet najbardziej solidnych związków. Nie podoba mi się to, że on sądzi, że mogę mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do niego.

— Colton — zaczynam, łamiąc własne reguły, bo muszę mu powiedzieć, że

jest dla mnie wystarczająco męski pod każdym względem, lecz on kładzie palec na moich wargach.

— Nie, nie, nie. — Potrząsa głową. — Twoja kolej.

Patrzę więc na niego bez słowa i desperacko pragnę go zapewnić, że jest w absolutnym błędzie, ale tego nie robię. Nie mogę. Muszę mu pozwolić powiedzieć to, co potrzebuje powiedzieć. Wzdycham ciężko z frustracją i zakłopotaniem, bo może i znamy się na wylot, ale już dawno nie robiliśmy czegoś tak intymnego. Jest to oczyszczające, ale jednocześnie przeraża mnie do szpiku kości.

— Boję się, że gdy urodzę dziecko, przestaniesz mnie uważać za seksowną.

Nie mówi nic, ale potrząsa głową przecząco, żeby pokazać mi, że chyba oszalałam.

— Boję się, że za każdym razem, gdy na mnie patrzysz, myślisz, że popełniłaś błąd, wychodząc za mnie.

*Czy on postradał rozum?* Jego słowa są jak dźgnięcie w serce. To niewiarygodne, że świat uważa Coltona za aroganckiego i zarozumiałego faceta. Przy mnie — a *szczególnie* tu i teraz — odsłania wspólne wszystkim ludziom lęki, które zazwyczaj ukrywa się głęboko w duszy.

— Boję się, że oddalisz się po narodzinach dziecka — mówię bez namysłu i uświadamiam sobie, że właśnie wypowiedziałam na głos swoją najgłębiej skrywaną obawę. Colton na chwilę zamiera, z czego wnioskuję, że dręczy go ta sama obawa. Czuję przebłysk paniki, a strach więźnie mi w gardle. Wiem, że muszę to jakoś złagodzić, więc dodaję, jakbym dokańczała zdanie: — Ale chcę, żebyś wiedział, że bez ciebie sobie nie poradzę.

Zapada cisza. Krzyżujemy spojrzenia. W głębi serca liczę na to, że usłyszał to, co naprawdę chciałam mu przekazać.

— Boję się, że spanikuję na sali porodowej, zobaczę coś, czego nie będę mógł wymazać z pamięci, lub nie będę w stanie znieść twoich cierpień.

To, że wyraża na głos powszechne u mężczyzn obawy, w pewnym sensie mnie uspokaja. Daje mi złudzenie, że jednak jesteśmy zwyczajni, mimo że nasz związek i wszystko, co nas otacza, jest dalekie od normalności.

— Boję się porodu. — *Kto by się nie bał?* Nieznany ból i całkowicie nowe doświadczenie ze wspinałym zwieńczeniem. Colton unosi brwi i potakuje w odpowiedzi.

— Boję się, że okażę się taki sam jak *oni* — wyznaje, a ja od razu się domyślam, o kim mówi: o swojej matce i swoim ojcu. Wpatruje się we mnie intensywnie, a ja nie mogę znieść myśli, że w ogóle przyszło mu do głowy takie porównanie. Owszem, ma ich geny, ale to nie znaczy, że jego serce nie jest inne.

Krew płynie w ciele, lecz nie ona tworzy człowieka.

— Boję się, że popełnię strasznie dużo błędów jako matka.

Colton przewraca oczami, a ja odgarniam mu z czoła zbłąkany kosmyk.

Łapie mnie za nadgarstek, przysuwa dłoń do ust, całuje ją, po czym przykłada sobie do serca.

— Jestem przekonany, że popełnię znacznie więcej błędów jako ojciec, ale wiem, że gdy będziemy razem, nasze dziecko wyrośnie na wspaniałego człowieka... Tak jak jego mama — dopowiada szeptem. Łzy stają mi w oczach, lecz jednocześnie uśmiecham się na myśl o tym, że swoje wyznanie przerobił na komplement.

Powinnam się domyślić, że znajdzie sposób, żeby przemknąć pod radarem i rozpedzić nieco moje obawy, nie łamiąc tak naprawdę zasad gry.

— Jestem pewna, że MURB będzie miał po tobie zielone oczy, upartość i zacięcie oraz serce pełne miłości — mówię, na co Colton odpowiada chrząknięciem i zaciska palce na mojej dłoni. Czuję, że ma ochotę podważyć moje słowa, które wypowiedziałam, by zmniejszyć jego obawy związane z podobieństwem do biologicznych rodziców. Nie robi jednak tego.

To dobry znak. Jeśli powiem to odpowiednio wiele razy, w końcu zaczniesz w to wierzyć.

— Boję się, że wszystko układało nam się zbyt dobrze. A potem pojawił się ten film... i ja... — wzdycha ciężko, a ja zastanawiam się nad tym, co go gnębi. — Wiesz, jak w tym dowcipie o facecie w hotelu, który zszedł jeden but i rzucił go na ziemię, a gość zza ściany nie spał pół nocy, bo czekał na stuknięcie drugiego buta... W pewnym sensie ja też nerwowo czekam, aż spadnie drugi.

Patrzę na mojego doskonale niedoskonałego i tak jak ja dręczonego obawami mężczyznę, który przyszedł do mnie dziś wieczorem i wręczył prezent, o jakim większość mężów nawet by nie pomyślała. Mimo to w nas wątpi i martwi się, że jakiegokolwiek obrzucanie błotem może nam zaszkodzić, a przecież najważniejsze jest to, że mamy siebie.

I niczego więcej nie potrzebujemy.

— Jestem pewna, że nawet jeśli spadnie kolejny but i będzie to but ośmiornicy noszącej mnóstwo butów, to my poradzimy sobie ze wszystkimi, bo wyszłam za mężczyznę, który jest dla mnie najważniejszy na świecie. Damy radę każdemu butowi, jaki pojawi się na naszej ścieżce.

Colton przewraca się na plecy i wybucha głębokim i serdecznym śmiechem. Widzę po nim, że potrzebował humoru, żeby uporać się z męczącym go stresem. To całkiem przyjemne, że gra wymyślona przeze mnie na potrzeby chłopców jest w stanie pomóc nawet dorosłemu mężczyźnie.

Ale przecież tak naprawdę mężczyźni nigdy nie przestają być chłopcami.

Po chwili przekręca się z powrotem na bok, przytula się do mnie tak, że dotykamy się brzuchami, i ujmuje moją twarz w dłonie.

— Buty ośmiornicy? — Unosi brwi i uśmiecha się znowu, a na podbródku pojawia się ten uroczy dołeczek.

— Tak. One mają osiem odnóży. To całe mnóstwo butów do zrzucania — mówię ze śmiechem, bo chcę przedłużyć ten stan, w którym udało nam się pozbyć kamieni na sercu.

Colton potrząsa głową z uśmiechem na ustach, miłością w oczach i czułością w dotyku. Jak to możliwe, że dzielę życie z tym niesamowitym i pełnym sprzeczności facetem?

— Boże, wyściguję cię, Ryles — mówi, przypieczętowując swoje słowa pocałunkiem, czym po raz kolejny kradnie moje serce.

Zamykam oczy. Stykamy się ustami, nasze serca biją jak jedno, a ja przypominam sobie dzień ślubu, nasze przysięgi oraz obietnice, jakie sobie złożyliśmy i jakich dotrzyaliśmy. I jego pytanie: „Wiesz, że to jest trwałe, co?”. Niczego bym w tym nie zmieniła, bo on jest tu, jest mój i niezależnie od wyzwań, na jakie natrafimy w życiu, będzie tu ze mną. Zawsze mnie chronił i stawiał na pierwszym miejscu. Sprawił, że stałam się *istotna*. I że poczułam pełnię życia.

Uwielbiam każdą pokiereszowaną i skrzywioną część jego osobowości.

## *Rozdział 16.*

### *Colton*

— Spralesz go na kwaśne jabłko?

Odrywam wzrok od leżącego na biurku stosu, a Becks siada naprzeciw mnie i kładzie nogi na krawędzi blatu.

— Proszę, czuj się jak u siebie w domu.

— Nigdy ci to nie przeszkadzało — stwierdza tym swoim przeciągłym głosem, który jednocześnie mnie irytuje i uspokaja. — Więc?

— Nie pojawił się — wyjaśniam, potrząsając głową. — Byłem przed tym pieprzonym budynkiem już godzinę przed planowanym spotkaniem z kuratorem i czekałem godzinę po, ale skurwiel się nie pojawił.

Co za strata czasu. Gapienie się na drzwi przez dwie godziny okalające termin wizyty Eddiego. Widziałem sprzedaż narkotyków i prostytutkę, która wsiadła do samochodu jakiegoś faceta, żeby zrobić mu laskę, ale nie doczekałem się Eddiego, któremu zamierzałem odpłacić na swój sposób.

— Nie narobisz sobie kłopotów przez to, że szukasz go mimo zakazu zbliżania się? — pyta.

— Zakaz dotyczy Ry, a nie mnie — odpowiadam z uśmiechem. Nie chcę, żeby się do niej zbliżał, ale jeśli chodzi o mnie, nie mam problemu z ewentualnym spotkaniem twarzą w twarz. Tak naprawdę o niczym innym nie marzę.

— Czyli podejdiesz do niego, skopiesz mu dupę i...

— I wrócę w nienaruszonym stanie. — Wzruszam ramionami. — A on będzie trochę naruszony.

— Można powstrzymać mężczyznę od wpadnięcia w kłopoty, ale nie da się powstrzymać chłopca w jego duszy od ich poszukiwania — stwierdza, potrząsając głową.

— Święte słowa.

— Ale zaraz, przecież on się nie pojawił. Co teraz? Pójdzie do więzienia za naruszenie warunków zwolnienia czy co? — Splata palce i zakłada dłonie za głowę.

— Nie mam pojęcia. Być może... Ale mam przecucie, że on znacznie bardziej obawia się rekinów, którym wisi kasę, niż tego, że opuścił spotkanie z kuratorem. Powrót do więzienia może być dla niego najbezpieczniejszym wyjściem, biorąc pod uwagę liczbę telefonów z pytaniami o miejsce jego pobytu, jakie otrzymałem.

— Dobre zagranie, brachu — mówi, potrząsając głową. — To, że rzuciłeś jego nazwisko prasie.

— Olśniło mnie wtedy w barze. Przypomniało mi się, ilu ludzi zgłosiło się po pieniądze, gdy go zwolniłem. I że ten skurczybyk wykradł nasze projekty i je sprzedał, żeby im zapłacić. Pomyślałem, że mogę zrobić mu psikusa i wykorzystać ich, żeby się mu odwdzięczyli w moim imieniu.

Kolejny zamknięty krąg. One są wszędzie.

— Przeróżające, stary — stwierdza w zadumie. Zerkam na parking w dole.  
— A tak poza tym co u ciebie? Jak Ry?

— W porządku.

— Nie brzmi to zbyt przekonująco.

Odchylam się na fotelu i podobnie jak on opieram stopy na biurku. Splatam dłonie za głową i wbijam wzrok w sufit.

— Co byś powiedział na to, że zastanawiam się nad adoptowaniem Zandera?

Przez chwilę nic nie mówi, ale na pewno mnie usłyszał, bo kątem oka widziałem, jak się wzdrygnął.

— Subtelność nie jest czymś, w czym jesteś dobry, co? — wykrztusza.

— Nie. To jak?

— Spytałbym, czy postradałeś rozum. Pod wieloma względami. Szczególnie że powiedziałeś „zastanawiam się”, a nie „zastanawiamy się”.

Pieprzona odmiana czasowników.

Przewracam oczami.

— Gramatyka.

— Nie brzmisz, jakbyś był tego pewien — mówi, obnażając dziury mojego planu.

— Rylee stwierdziła, że nie możemy tego zrobić. Że nie może wybrać jednego kosztem innych chłopców. Rozumiem to, ale odparłem jej, że i tak biorę to pod uwagę. Cała ta afera z Zanderem poważnie ją martwi.

— Ją czy ciebie? — pyta i spogląda mi wyzywająco w oczy.

*Cholera.* Sprawdza moje karty, a ja niczego się przed nim nie wyprę, bo dobrze zna moją przeszłość. Cóż, jakaś część mnie pragnie dać Zanderowi taką samą szansę, jaką ja dostałem. Ocalić go tak, jak ja zostałem ocalony.

Z drugiej strony rozumiem stanowisko Ry, bo przecież nie mogę wybrać jego kosztem pozostałych chłopców.

— Powiedziałeś mi kiedyś „walcz lub uciekaj”. Wybrałem walkę — mówię, myśląc o tej nocy dawno temu, gdy Ry straciła dziecko. Becks mną potrząsnęła i obudził we mnie zupełnie innego mężczyznę, zmuszając do konfrontacji z prawdami, z którymi nie chciałem się zmierzyć. Uświadomiłem sobie wtedy, że Ry jest w stu procentach warta tego, by skoczyć za nią w ogień. — I teraz też walczę.

— Ale o co, Wood? O co tak właściwie teraz walczysz? — Nachyla się w

moją stronę, opiera dłonie na kolanach i spogląda mi prosto w oczy.

Wstaję z krzesła i podchodzę do ściany okien, z których widać w dole warsztat. Łatwiej mi patrzeć na swoją ekipę niż konfrontować się z tym problemem.

Niespodziewanie przypomina mi się, jak każde pukanie do drzwi wzbudzało we mnie lęk, że to matka przyszła, żeby zabrać mnie od Dorothei i Andy'ego. Nietrafianie w dłoń podczas przybijania piątki. Zostawianie zaświeconego światła w korytarzu ze względu na lęk przed tym, co działo się w ciemnościach. Plakaty superbohaterów na ścianach, na które patrzyłem, gdy wracały koszmary nocne. Strach, który zmienił się w nadzieję. Nadzieja, która dała mi nowe życie.

Życie, które dało mi miłość, czyli Rylee.

— Walczę, bo jak sam powiedziałaś, ona jest pierdolonym alfabetem, Becks.  
— Odwracam się do niego, wzruszając ramionami. — Ci chłopcy są całym jej życiem, a ona jest moim.

Ta rozmowa, te wyznania i te uczucia — wszystko to wzbudza mój niepokój. Niepewność. Poczucie bycia odsłoniętym na ciosy.

Kolejne emocje, których wcale nie potrzebuję.

Dzwoni telefon. I całe szczęście, bo zaczynało się robić ciężko. A jedyny ciężar, jaki lubię, to ciężar ciała Ry, gdy jest na górze.

— Kelly.

— Mam informacje o twoim ojcu. — Zamieram. Umysł wyrzuca nietrafione myśli. Dłoń zatrzymuje się w powietrzu i opada.

Po co ja to właściwie zrobiłem? Wątpliwości wyciągają swoje paskudne szyje, żeby wykrzyknąć, że to jeszcze nie koniec. Że wciąż mogę to wszystko schrzanić.

Nie potrafię wykrztusić ani słowa. Chrząkam tylko nerwowo.

— Za jakąś godzinę dostanę potwierdzenie i wyślę ci jego adres na e-maila.

— Okej. Dzięki — mówię i wypuszczam telefon z dłoni. Uderza głucho w biurko, a ja patrzę na niego bez słowa. Próbuję podjąć decyzję. Zastanawiam się. Waham.

*Masz to, czego chciałeś, Donovan.*

I co zamierzasz z tym zrobić?



## *Rozdział 17.*

### *Rylee*

#### **Jadę do Domu. Zander spotyka się z wujkiem. Właśnie się dowiedziałem i pędzę, żeby zdążyć na czas.**

Mam przed oczami tę wiadomość od Shane'a, gdy gorączkowo szukam kluczyków w torebce. Potem idę do pralni, przez którą przechodzi się do garażu, żeby sprawdzić, czy nie wiszą na haczykach. Nie ma ich. Czuję coraz większy niepokój, a serce więźnie mi w gardle, bo muszę dostać się do Zandera, żeby go przez to przeprowadzić.

I żeby wychwycić wszystkie szczegóły zachowania wujka, które dowiodą, że nie nadaje się na przybranego ojca.

Wiem, że łamię złożoną Shane'owi obietnicę, że pozwolę mu zająć się sprawą Zandera, ale... tu chodzi o jednego z moich chłopców. Muszę tam być. Zachowałabym się dokładnie tak samo, gdyby to Shane był w tarapatach.

— Sammy! — krzyczę, bo nie wiem, czy jest w swoim gabinecie na dole, czy zajmuje się na zewnątrz różnymi rzeczami, które wciąż są dla mnie zagadką. Jestem na tyle bystra, że wiem, iż Colton kazał mu trzymać się w pobliżu domu i mieć na mnie oko. Wcale mi się to nie podoba. — Sammy. Nie wiesz, gdzie są moje kluczyki? — Próbuję nie brzmieć na spanikowaną, ale ponoszę klęskę, bo muszę być w Domu NATYCHMIAST.

— Wszystko w porządku? — pyta z zatroskanym wyrazem twarzy, podbiegając do mnie korytarzem. Sądząc po jego spanikowanym spojrzeniu, na pewno uznał, że zaczął się poród.

— Tak. Szukam kluczyków.

— Chcesz, żebym przywiózł ci coś ze sklepu? — dopytuje, patrząc na mnie podejrzliwie.

— Nie, dziękuję. Muszę się dostać do Domu — wyjaśniam, po czym splatam ręce na piersiach i patrzę na niego.

— Przykro mi, ale nie powinnaś nigdzie wychodzić. Colton po...

— Czy on schował moje kluczyki? — pytam z każdym słowem bardziej piskliwie. Dociera do mnie, że wcale nie miesza mi się w głowie od tej ciąży, tylko Colton celowo ukrył moje kluczyki. — To jakieś żarty? — wrzeszczę, wyrzucając ręce w górę, niesłusznie wyładowując gniew na Sammym.

— Chciał mieć pewność, że będziesz bezpieczna — wyjaśnia cicho, bo dobrze wie, że w takim stanie lepiej ze mną nie zadzierać.

Odwracam się do niego i odchodzę, zastanawiając się nad możliwymi rozwiązaniami tej sytuacji, ale zawracam i mówię:

— To zawieź mnie.

Sammy wzdyga się po tym poleceniu, co jest zrozumiałe, skoro od początku małżeństwa z Coltonem jeszcze nigdy go o nic nie prosiłam, nie mówiąc już o wysuwaniu żądań.

— Pozwól, że zadzwonię do Coltona — odpowiada i zaczyna odchodzić.

— *Nie.* — Zatrzymuje się i patrzy na mnie, jakbym postradała zmysły. Najśmieszniejsze jest to, że faktycznie postradałam, ale w ogóle mnie to nie obchodzi. — Ja też jestem twoim szefem, tak samo jak on. Wezmę winę na siebie, Sammy, ale jeden z moich chłopców mnie potrzebuje. — Wiem, że stawiam go w okropnym położeniu, bo albo wkurzy męża, albo będzie musiał się zmierzyć z wściekłością ciężarnej żony, ale w tym momencie jest mi to zupełnie obojętne, bo myślę tylko i wyłącznie o Zanderze.

— Rylee — wzdycha z rezygnacją.

— Nieważne — odpowiadam, bo wpada mi do głowy pewien pomysł. Mijam go i idę do miejsca, w którym Colton trzyma swoje zapasowe kluczyki. — W takim razie wezmę Sex. — Słyszając jego syknięcie, wiem, że groźba użycia ulubionej zabawki Coltona była decydującym ciosem. Mój mąż jest bardzo hojnym człowiekiem, ale nie dotyczy to jego ukochanego ferrari.

Przypomina mi się ostatni raz, gdy spytałam go, czy da mi się przejechać. *Nie ma szans, złotko. Możesz co najwyżej ujeżdżać mnie na masce.* Dobrze pamiętam jego sugestywny uśmiezek i pożądlive spojrzenie, gdy zawiedziona odsuwałam się od drzwi kierowcy.

To było trzy lata temu. Jestem na tyle inteligentna, żeby wiedzieć, że nie należy wchodzić między faceta a jego samochód, ale to nie oznacza, że nie mogę wykorzystać rzeczonoego samochodu, żeby dostać to, czego pragnę.

Z ciężkim spojrzeniem Sammy'ego na plecach otwieram środkową szufladę biurka i demonstracyjnie w niej grzebię, żeby dowieść, że nie żartuję.

— Obiecałam Coltonowi, że dopilnuję, żebyś nie wychodziła.

— Załatwię to z nim, jeśli mnie zawieszysz, Sammy. Niezrobienie tego jest dziesięć razy gorsze dla mojego zdrowia i dla zdrowia dziecka. *Zadowolona żona to największy skarb* — mówię z fałszywym entuzjazmem. — No i proszę! — Odwracam się do niego, machając kluczykami.

Mierzymy się spojrzeniami. Sammy zerka na kluczyki.

— Kurwa — mruczy pod nosem przez zaciśnięte zęby. To jedno słowo może mieć bardzo różne znaczenia, ale w tej sytuacji oznacza, że wygrałam.

Ciężarne kobiety górą!

#

Otwieram Dom swoimi kluczami. Nie obchodzi mnie to, czy będę przez to w tarapatkach, bo sądząc po nieznanym mi samochodach na podjeździe, ktoś się już pojawił. Uspokajają mnie trochę zaparkowane na ulicy samochody Jaxa i Kellana. Dobrze wiem, że poradziliby sobie z tą sytuacją beze mnie, ale *tu chodzi o Zandera. Mojego Zandera*. Chłopca, z którym spędziłam niezliczone godziny, by uleczyć jego zranione serce. Chłopca, który mnie *futboluje*.

W salonie wita mnie zbiorowe zaskoczone westchnienie. Chłopcy odrywają się od zadania domowego i podbiegają do mnie, a Racer spieszy za nimi. Auggie zostaje na miejscu i uśmiecha się nieznacznie, a pozostali obdarzają mnie tak utęsknionymi uściskami i wszyscy naraz próbują mi opowiedzieć, co u nich słyszą. Dotykają mnie swoimi małymi dłońmi po brzuchu, komentują to, jak bardzo urósł, i pytają, kiedy urodzi się dziecko, bo nie mogą się go już doczekać. Bo w domu pełnym chłopców oczywiste jest, że dziecko *musi* być chłopcem. Dziewczynka nie wchodzi w grę. Jestem wzruszona i jednocześnie boli mnie serce, bo chociaż minęło zaledwie kilka tygodni, mam wrażenie, jakbym nie widziała się z nimi pół życia.

Tłumię gniew na Eddiego za to, że mi to odebrał. Ciągłe rozmowy, lepkie dłonie i przybrudzone uśmiechy. Wszystkie te drobiazgi, które mnie uszczęśliwiały i dawały pełnię życia. Oczywiście jestem na niego wściekła, ale w tej chwili spędzam czas z chłopcami i nie chcę, żeby jego mściwość zepsuła mi tę krótką chwilę z nimi.

Później będę się gorączkować. Później będę wściekle boksować poduszkę. Teraz się powstrzymam i zapomnę o tym, że zacznę za nimi tęsknić od razu, gdy tylko stąd wyjdę.

— Rylee? — Kellan wchodzi do salonu i patrzy na mnie ze zdumieniem i szerokim uśmiechem na twarzy.

— Cześć. Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale...

— Jesteś tu z tego samego powodu co Shane, który wciąż wydzwania i mówi, że za sekundę będzie na miejscu, tak? — pyta obojętnym głosem, żeby nie zdradzić chłopcom tego, co przekazuje mi spojrzeniem, ale widzę po nim, że także martwi się o Zandera. Na wzmiankę o przyjeździe Shane'a na nowo wybucha wrzawa. Wszyscy są podekscytowani wizytą starszego brata, który będzie opowiadał o tym, jak super jest na studiach.

— Tak. — Przytakuję. — On mnie potrzebuje — poruszam bezgłośnie ustami w tym zgiełku, a on wskazuje podbródkiem na ukryty za zamkniętymi żaluzjami taras z tyłu domu. — Okej, chłopaki, dokończcie teraz zadanie — mówię, wchodząc w rolę, do której jestem przeznaczona, ze świadomością, że Kellan nie obrazi się za to chwilowe przejście władzy — a ja sprawdzę, co u Zandera, a gdy wrócę i będziecie mieli zrobione zadanie, to zostanę na kolacji.

Wybucha kolejna fala radości, po której następuje skrzypienie krzeseł i

wzajemne przepychanki, by wrócić na swoje miejsca przy stole i dokończyć zadania.

Kellan znowu spogląda mi w oczy. Tym razem chłopcy nie patrzą i wyraźnie widzę, że jest równie wstrząśnięty tą sytuacją jak ja.

— Jak długo już tam siedzą? — pytam i drapię Racera między uszami.

— Jax jest z nimi jako obserwator. Poza tym pracownik opieki społecznej, wujek z ciocią i Zander — wyjaśnia, odpowiadając na pytanie, które chciałam zadać jako następne.

— Dzięki. — Patrzymy sobie znowu w oczy i nagle przypominam sobie, jak bardzo się denerwowałam osobistym spotkaniem z nim i z Jaxem. To oni najbardziej odczuli konsekwencje mojego odejścia. Dodatkowe zmiany, nerwowość chłopców, ciągłe pytania. Tymczasem on, zamiast potrząsnąć głową i odejść od wywołanego przeze mnie bałaganu, obdarza mnie łagodnym, szczerym uśmiechem. Wbrew moim obawom nie dostrzegam ani śladu urazy czy litości. Wyczuwam raczej jego zrozumienie, jakby wiedział, że poruszę niebo i ziemię, by rozwiązać tę sytuację, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że jej skutki dotknęły nie tylko mnie, lecz wszystkie osoby w moim otoczeniu.

Odpowiadam mu uśmiechem, którym bez słowa dziękuję za to, że mnie nie ocenia. Potakuje, a ja powoli odsuwam drzwi na taras, wychodzę na zewnątrz i zamykam je za sobą. Widok Zandera natychmiast łamie mi serce. W wyobraźni przenoszę się sześć lat wstecz, gdy przyszedł do nas zdruzgotany i złamany. Siedział bokiem do mnie na krześle, obejmując kolana rękami i przyciskając je do piersi, i wpatrywał się pustym wzrokiem w drewniane ogrodzenie. Z tego, co widzę, ma taki sam jak wtedy wyraz twarzy. Brakuje mu tylko tego pluszowego pieska, którego wszędzie ze sobą nosił, a który teraz jest schowany w jakiejś szafce.

Wystarczyło jedno popołudnie, żeby ta para naprzeciw niego — wujek i ciocia — zniweczyła lata pracy i niezliczone godziny wyczerpujących starań, by zdobyć jego zaufanie i uwolnić go od koszmarów prześladowających jego duszę. *Czyżbym straciła tego utalentowanego, słodkiego chłopca, którego tak bardzo kocham?*

Zander podnosi głowę i jego pusty wzrok trafia we mnie, rozbijając wszelkie złudzenia, że z tej sytuacji może wyniknąć jakikolwiek pozytywny skutek. Wykrzesuję z siebie całą swoją siłę woli, żeby zmusić się do uśmiechu i kiwnięciem głowy zachęcić go, żeby z nimi pogadał. Patrzy na mnie, jakbym go zdradziła, ale pracownik opieki społecznej musi widzieć, że staram się ułatwić nawiązanie więzi. Gdy podejść do niego po spotkaniu i powiem, że nie może do tego dopuścić, nie będzie to wyglądało tak nieprofesjonalnie.

Przenoszę wzrok na wujka i ciocię. Wujek mnie zauważa. *Cholera*. Widzę w jego spojrzeniu, że mnie rozpoznał, jeszcze zanim sugestywnie taksuje moje ciało,

niezbyt subtelnie dając mi do zrozumienia, że wie, jak wyglądam nago.

Przechodzą mnie ciarki i przewraca mi się w żołądku z obrzydzenia, gdy na jego ustach pojawia się naprawdę nieznaczny uśmiezek, ot, tylko lekko uniesione kąciki ust. Zupełnie jakby chciał mi przekazać, że wie, jak się z tym czuję, i że go to cieszy. Wypycha językiem policzek, po czym kiwa głową w moją stronę i odwraca się z powrotem do żony.

Obserwuję ich interakcję z Zanderem. Ich próby nawiązania rozmowy o czymś, co go nie interesuje. Bo ma trzynaście lat, a nie siedem, jak ostatnim razem, gdy się z nim widzieli. Mam ochotę wrzasnąć, że SpongeBob i Xbox wcale nie są już u niego na topie. Uwielbia futbol, zabawę zestawami Halo Lego oraz książki o Harrym Potterze i Percym Jacksonie.

*Nic o nim nie wiecie! Zależy wam tylko na pieniądzach, jakie na niego otrzymacie.*

Potrafię ich przejrzeć mimo uczesanych włosów i najlepszych ciuchów. Widzę wilki przebrane za owce. Jestem przekonana, że w ogóle nie troszczą się o Zandera. Wszystko to staje się tym oczywistsze, im dłużej chłopak siedzi bez słowa, nie reagując na nich. Zaczynają się wiercić na swoich miejscach, wymieniają spojrzenia i wzruszają ramionami, pytając się nawzajem o to, co robić, żeby uzyskać jakąkolwiek reakcję Zandera.

Zerkam na pracownika opieki społecznej po drugiej stronie. Siedzi z nogą na nodze podparty łokciem o przeciwległe kolano, na którym trzyma teczkę z dokumentami. Ma długopis i papier, na którym powinien robić notatki, ale przeszkadza mu leżący na papierze telefon. Jest tak pochłonięty pisaniem wiadomości, że przez cały ten czas ani razu nie podniósł wzroku, żeby zobaczyć interakcję — a raczej jej brak. Tym bardziej więc nie ma świadomości, że Zander coraz dalej odsuwa się w swój bezpieczny świat, który wymyślił sobie tak dawno temu. Ten sam świat, z którego tak długo go wyciągałam, pokazując mu, że nie wszyscy ludzie są źli, że nie wszyscy krzywdzą najbliższych i że może bezpiecznie wyjść na zewnątrz.

Moje ciało wręcz wibruje z gniewu, ale gryzę się w język, bo bardzo chciałabym podejść do Zandera, przytulić go i powtórzyć obietnicę złożoną wiele lat temu: że nigdy nie pozwolę, aby stało mu się coś złego.

Skupiona na obserwacji zapominam o obecności Jaxa, który kiwa do mnie dłonią, żeby zwrócić moją uwagę. Patrzy mi w oczy, a jego spojrzenie wyraża to samo co spojrzenie Kellana, z czego wnioskuję, że tak samo w to nie wierzy.

Nie ma mowy, żebyśmy oddali im Zandera.

Muszę tylko wymyślić, jak tego dokonać.

#

— Zander? — wołam, wchodząc do jego pokoju. Zasłony są szczelnie

zasunięte, a wszystkie lampy zgaszone, lecz przez otwarte drzwi wpada wystarczająco dużo światła, żebym dostrzegła go skulonego na łóżku.

Gdy nie odpowiada, czuję na plecach dreszcz przerażenia, po którym przewraca mi się w żołądku. Zerkam na Shane'a stojącego obok mnie w korytarzu, a troska w jego oczach odzwierciedla to, jak się czuję.

Wchodzimy razem do pokoju. Shane mieszkał tu tak długo, że wie, co zrobić. Zatrzymuje się przy ścianie, a ja podchodzę bliżej, żeby nawiązać kontakt z Zanderem. Boję się, że jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Przez pięć minut razem z Jaxem wyłuszczaliśmy pracownikowi opieki społecznej powody, dla których wujek niespecjalnie nadaje się na rodzinę zastępczą dla Zandera, ale miałam wrażenie, że mówimy do ściany. I gdy teraz widzę, jak Zander kołysze się na łóżku, przyciskając do piersi swojego pieska, jestem naprawdę pełna obaw. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wdrapał się na najwyższą półkę swojej szafki i wyciągnął z pudła tę ukochaną zabawkę. Jedyne namacalne wspomnienie jego dawnego życia.

Siadam na krześle przy łóżku i odżywa we mnie nadzieja, bo Zander przesuwa się, jakby robił mi miejsce.

— Mogę? — pytam, wyciągając dłoń. Mam wrażenie, że wróciliśmy do punktu wyjścia, co wcale mi się nie podoba. Na szczęście Zander potakuje. Jeszcze się przede mną nie zamknął, ale zapada niezręczna cisza. Wyczuwam jego strach; niestety ten sam, który tak dobrze poznałam w pracy z chłopcami.

Boże, jak ja za nimi tęskniłam.

Uspokajam go dotykiem, bo wiem, że słowami nic bym nie zdziałała. Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl.

— Mam pomysł. — Wstaję z krzesła i powoli klękam na ziemi. Opieram podbródek na leżących na kołdrze dłoniach, żebyśmy byli twarzą w twarz. Patrzę na jego skrzywioną buzię i czekam, aż na mnie spojrzy i uwierzy, że tu jestem i że nigdzie się nie wybieram. — Zagrajmy w mówienie o sobie — proponuję z nadzieją, że się na to zgodzi, bo to pozwoliłoby mi sprawdzić, jak daleko się wycofał.

Patrzy na mnie, a w jego oczach coś przeblyskuje. Czekam jednak, bo wiem, że w tej chwili najważniejsza jest cierpliwość. Biorę go za rękę, żeby uśmierzyć nieco poczucie samotności, które wyraźnie z niego emanuje.

Kilka razy otwiera i zamyka usta. W końcu wyznaje szeptem:

— Boję się.

Dwa słowa. *Boję się*. Tyle wystarczy, żebym zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech, bo przypomina mi się wyznanie Coltona sprzed kilku dni. Uświadamiam sobie, że chłopcy zawsze się czegoś boją, niezależnie od wieku. Strach ewoluuje wraz z upływem czasu, ale zawsze ma olbrzymi wpływ na to, jak radzą sobie z emocjami i zmianami.

— Ja też się boję — mówię, na co jego oczy się powiększają, skłaniając mnie do głębszego wyjaśnienia. — Boję się, że się odsuniesz i że nie będziesz wiedział, z jaką zaciętością walczyć o twoje dobro i bezpieczeństwo.

— Boję się, że dla nich to nie ma znaczenia, bo widzą we mnie tylko numer przypadku w wadliwym systemie, który chcą jak najszybciej odhaczyć — wyjaśnia, wprawiając mnie w zdumienie swoim wyczuciem dotyczącym procesów, które tak bardzo staraliśmy się przed nim ukryć.

— Jestem pewna, że jesteś kimś więcej. Jesteś inteligentnym, dowcipnym i wrażliwym nastolatkiem, a do tego wspaniałym piłkarzem — mówię z nadzieją, że ten komplement rozgoni czarne chmury. I faktycznie, na jego ustach pojawia się cień uśmiechu. Patrzy na mnie błyszczącymi oczami i mruga, by odpędzić łzy.

— Jestem... — milknie na chwilę, żeby pozbierać myśli. — Jestem pewien, że mój wujek bardziej troszczy się o miesięczne świadczenie, które dostałby jako rodzic zastępczy, niż o trzynastolatka, jaki pojawiłby się u niego w domu — dokańcza i robi długi i równy wydech. Przetrzęsam myśli w poszukiwaniu czegoś, co skłoniłoby go do większego otwarcia, ale ku mojemu zaskoczeniu Zander kontynuuje bez żadnej zachęty. — Pamiętam jego dom — szepcze. — Zapach papierosów, wygięte łyżeczki, zapalniczki i folia aluminiowa na stoliku kawowym, a obok tego igły, których nie wolno mi było dotykać. Niegdyś brązowa kanapa była biała na szwach i cała w plamach, wyraźnie widocznych mimo zaciągniętych zasłon. Pamiętam, jak siedziałem w rogu pokoju, a tato z wujkiem klepali się po wewnętrznej stronie łokcia, po czym odwracali się do mnie plecami... A potem kładli się na kanapie z oczami wbitymi w sufit i z dziwnymi uśmiechami na twarzach. — Nie odrywa wzroku od mojego kciuka, którym głaszczę wierzch jego dłoni. Wiem, że złamał reguły tej gry, bo dodatkowe wyznaczenie nie zaczęło się od mówienia o sobie, ale w tej chwili najważniejsze, że w ogóle mówi, wbrew temu, czego się spodziewałam, gdy klękałam przy jego łóżku.

— Przykro mi, że musiałeś przechodzić przez coś takiego. — Staram się, by mój głos brzmiał pewnie, bo nie chcę, żeby Zander zauważył, jak bardzo przejęłam się jego słowami. — I jestem naprawdę dumna, że mimo to wyrosłeś na tak wspaniałego człowieka.

Spogląda mi w oczy po tych słowach i potrząsa kilka razy głową, jakby nie chciał dopuścić, by zakorzeniły się w jego duszy.

— Powiedziałaś dwie rzeczy o sobie.

— Powiedziałam. — Poprawiam się, bo czuję w żołądku maleńkie ukłucie strachu. Nagle dopadają mnie mdłości. Biorę głęboki wdech i próbuję je stłumić. — Możesz mieć dwie kolejki, jeśli chcesz.

— Zamierzam stąd uciec, jeśli się dowiem, że mam trafić do ich domu. — Zszokowana otwieram usta, żeby zaprzeczyć, ale on kiwa przecząco głową, przypominając mi, że to nie moja kolej. Gryzę się w język i przełykam te wszystkie

błagania, które miałam na jego końcu.

— Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby do tego nie doszło — mówię mimo wszystko, a w jego oczach znowu pojawia się smutek i zrezygnowanie. Robi mi się ciężko na sercu i czuję wzbierające łyzy. Tej jednej obietnicy *muszę* dotrzymać.

— Jestem przekonany, że... — zaczyna, lecz potrząsa głową. — Nieważne.

— Nie, proszę, powiedz mi — nalegam, bo niepokoi mnie jego załamany głos. *Cholera*. Kolejne bolesne ukłucie. Zander ma zamknięte oczy i w zamyśleniu zaciska usta.

Po jakimś czasie bierze długi, nierówny wdech i gdy gdzieś w innym pomieszczeniu wybucha zbiorowy śmiech, otwiera oczy i spogląda w moje.

— Jestem przekonany, że jeśli trafię do nich, umrę.

Wiem, że ma trzynaście lat i że większość ludzi uznałaby to za dramatyzowanie, ale on nie jest dzieckiem, które mówi coś po to, żeby zdobyć uwagę. Jego słowa zawisają w powietrzu i zaczynają nas dusić. Rozpaczliwie próbuję wymyślić odpowiedź, która da mu do zrozumienia, że go wysłuchałam i go nie odtrącam. Nie umiem się zdecydować, bo jego wypowiedź można bardzo różnie zinterpretować, a ja nie jestem pewna, co dokładnie miał na myśli.

— Zander... — Ostry ból wymazuje dalsze słowa z mojej głowy i zmusza mnie do zgięcia się wpół. Próbuję ukryć grymas cierpienia na twarzy i stłumić pragnienie położenia się w pozycji embrionalnej. Po kolejnym ukłuciu całe moje ciało się napina, a ja kurczowo ściskam kołdrę. Wzdrygam się, czując wilgoć między nogami, bo pełny pęcherz, naciskające na niego dziecko i napięte ciało to niezbyt dobre połączenie.

Mijają sekundy, gdy próbuję opanować ból i wymyślić jakieś wyjaśnienie dla chłopców, którzy są w fazie obsesji na punkcie czynności fizjologicznych ciała. Uświadamiam sobie jednak, że robi się coraz bardziej mokro.

Kolejne ukłucie. Tym razem nie potrafię powstrzymać jęku. Mózg pracuje gorączkowo, napędzany przez adrenalinę i hormony ciężowe, wywołując radość pomieszaną ze strachem.

— Rylee? — Shane podbiega błyskawicznie. Zander podnosi się i siada na łóżku z przestachem na twarzy, prosząc wzrokiem o pomoc Shane'a, który wygląda na równie spanikowanego.

— Wody mi odeszły — mówię z zabarwionym histerią śmiechem.

— *Co?* — wykrzykuje Shane, a jego oczy powiększają się ze strachu. — Nie możesz... To nie... O cholera. Czego ci potrzeba? — Odchodzi w odległy kąt pokoju i wraca, bo nie wie, co zrobić, a ja biorę głęboki wdech i powoli wstaję z ziemi. Nagle zatrzymuje się i patrzy na mnie z otwartymi ustami. — To dlatego, że cię tu sprowadziłem, prawda? Stres. Zander. Jasny gwint!

— Nie. — Potrząsam głową, próbując ukryć własny strach.



— Tak, dlatego. Obiecałaś — krzyczy, dając się ponieść obawom. — O mój Boże. O mój Boże! — Wymachuje dłońmi, chodząc tam i z powrotem. — Colton mnie zabije. On mnie, kurna, zabije.

— Shane — mówię łagodnie. — Shane! — Zatrzymuje się i odwraca do mnie. — Nie. Nie zabije cię.

— To za wcześnie — szepcze z oczami szeroko otwartymi ze strachu.

— Idź po Sammy'ego. — O cholera.

*To za wcześnie.*

Ta myśl zakorzenia się w mojej głowie, paraliżując mnie mieszanką niepokoju, strachu i obaw, ale pociągnięcie nosem za moimi plecami sprowadza mnie z powrotem na ziemię.

*Dziecko nie jest jeszcze w pełni rozwinięte.* Przez całą ciężę się o nie bałam, więc ta myśl nie pozwala mi się pozbierać.

— Nic mi nie jest, Zand — mówię. Mam nadzieję, że to prawda, lecz boję się, że nie.

Odwracam się i trafiam na jego załzawione oczy.

— To moja wina — szepcze.

Nie. Nie, to nieprawda.

Ale po raz pierwszy w życiu wyciągam tylko dłoń i kładę na jego dłoni, nie mówiąc nic, co mogłoby uśmierzyć jego strach.

Bo mój jest w tej chwili większy.

I gdy ściskam jego dłoń, nie jestem pewna, czy robię to po to, by dodać otuchy jemu, czy sobie.

## *Rozdział 18.*

### *Colton*

Kołysze się. Gapi się w dal. Robi kilka kroków. Drapie się po głowie z namysłem. I od nowa.

Kompletnie nie rozumiem, jak można regularnie co tydzień grać w golfa. Jestem tak znudzony, że wolałbym obserwować schnięcie farby na ścianie.

Nie bez powodu jestem kierowcą wyścigowym. Adrenalina. Prędkość. Ekscytacja. Szkoda, że nie mogę wziąć tego meleksa i trochę poszaleć. Ozdobić tę nudną zieleń śladami opon. *To* dopiero byłaby zabawa.

Ale obowiązki wzywają. Trzeba odegrać to przedstawienie przed sponsorami i jakoś przeżyć to całowanie się po zadkach.

Zerkam na Becksa, a ten z uśmiechem na ustach rzuca mi spojrzenie mówiące: „Przestań być taką królowną”. Ma rację. Muszę przestać, ale mam jeszcze na głowie mnóstwo rzeczy i zbyt mało czasu, żeby je wykonać. Drapię się środkowym palcem z boku głowy, żeby pokazać Beckowski, co o nim myślę, a on uśmiecha się szerzej i potrząsa głową. Najwyraźniej bawi go moja udręka.

Dzwonek mojego telefonu rozdziera ciszę w chwili, gdy jakiś decydent z Pennzoil jest w połowie uderzenia. Posyła piłkę w krzaki i spogląda na mnie tak, jakby niewyciszenie telefonu na trawie było kardynalnym błędem.

Kurwa. Chyba znowu narozrabiałem.

Mruczę pod nosem przeprosiny, Becks podchodzi do niego, żeby naprawić mój błąd, a ja odbieram, aby sprawdzić, czego chce ode mnie Sammy.

— Sammy.

— Już czas! — Słyszę w słuchawce głos Rylee. Zdezorientowany odsuwam telefon od ucha, żeby spojrzeć na ekran. Nie pomyliłem się, to numer Sammy’ego.

— Czas na CO? — krzyczę, po raz kolejny zakłócając ciszę na polu, ale w ogóle mnie to nie obchodzi. Mam mętlik w głowie, a serce łomocze mi jak oszalałe.

— Na dziecko — szepcze Ry głosem przesyconym tak wieloma emocjami, że nie jestem w stanie uchwycić żadnej z nich.

— Jesteś pewna? — pytam jak idiota. Oczywiście, że jest pewna.

— Wody mi odeszły.

Chyba nie można być bardziej pewnym. *O cholera*. To się dzieje naprawdę.

— Już jadę.

Ruszam w jedną stronę, ale zatrzymuję się i zawracam. Trzęsą mi się dłonie,

w głowie mam zamęt i kompletnie nie wiem, co ze sobą zrobić. Adrenalina, za którą chwilę temu tak tęskniłem, krąży w mych żyłach jak paliwo odrzutowe i nie pozwala się na niczym skupić. Ale przecież muszę coś zrobić.

— Wood. Wszystko w porządku? — pyta Becks, bo chodzę tam i z powrotem jak pieprzony struś z głową wetkniętą w tyłek.

— Muszę iść. — Wrzucam telefon do kieszeni. Wyciągam go. Biorę swój kij. Wkładam go na odwrót do torby golfowej. Rozglądam się za rękawiczką i nie potrafię jej znaleźć. No tak, bo mam ją założoną na dłoń.

— Colton. — Ostrzegawczy ton Becksa przebija się przez chaos w mojej głowie i każe mi się zatrzymać.

— Dziecko... Ry rodzi. Muszę iść — wyjaśniam, na co Becks odrzuca głowę i wybucha śmiechem.

— Nie jesteś już taki spokojny i opanowany, co? — chichocze.

Gdyby wzrokiem dało się zabijać, leżałby już w plastikowym worku. Szukam kluczyków w torbie golfowej, ale dociera do mnie, że jesteśmy na dziewiątym dołku, strasznie daleko od parkingu.

— Wyluzuj, stary. — Kładzie mi dłoń na ramieniu i ściska je. — Zawiozę cię na parking, a potem wrócę i dogadam się z szychami — mówi, trafnie odczytując moje nieskładne zachowanie. — Powiedz mi tylko, że jesteś w stanie prowadzić.

Nie ma sensu na to odpowiadać.

#

Przyciskam przycisk w górę. Dwa razy. Robię trzy kroki. Burczę coś. Przyciskam jeszcze raz.

*Nie jestem zdenerwowany. Ani trochę.*

Słyszę odgłos otwieranych drzwi. Wchodzę do środka. Przyciskam trzecie piętro. Uśmiecham się grzecznie do mężczyzny w windzie, ale wbijam wzrok z powrotem w ziemię.

*Pieprzyć to. Jeszcze nigdy tak się nie bałem.*

Zatrzymujemy się na pierwszym piętrze. Mężczyzna wysiada. Wciskam przycisk zamknięcia drzwi. Jeszcze raz. Zamknijcie się, do cholery!

*Dziecko. Jasny gwint.*

Drzwi się zamykają.

*Już idę, Ryles.*

Drzwi otwierają się i jednocześnie dzwoni moja komórka. Odbieram, ruszając w stronę dyżurki pielęgniarek.

— Mam mało czasu, Shane. Co tam?

— Wszystko z nią w porządku? — pyta.

— Jeszcze nie wiem. Już prawie dotarłem. Napiszę...

— Przepraszam. To wszystko przeze mnie.

Ze co?

— O czym ty mówisz?

— Powiedziałem Rylee, że zaopiekuję się Zanderem, a potem dałem jej znać, że jadę do Domu, bo ten dupek ma się z nim spotkać, no i ona już tam była przede mną. Zander powiedział jej mnóstwo rzeczy, że umrze, jeśli trafi pod ich opiekę, i przez to ona zaczęła rodzić i boję się, że to przeze mnie...

— Hola! Przyhamuj trochę — mówię, żeby przerwać te jego słowne wymioty. O czym on, do cholery, mówi? Irytuje mnie to. Kto? Po co?

Powoli wszystko zaczyna się układać w całość. Ry była w Domu. Sammy wiozł ją do szpitala. Niech to szlag! Sammy musiał więc zawieźć ją najpierw do Domu. Wbrew mojemu poleceniu.

Teraz to naprawdę jestem wściekły. Będę musiał zamienić z nim parę słów. Bez wątpienia.

— Colton? — Słyszę w głosie Shane'a, że boi się, iż jestem wściekły.

Mam taki mętlik w głowie, że skręcam w zły korytarz w tym olbrzymim budynku.

— Nie jestem na ciebie zły — kłamię przez zaciśnięte zęby. Owszem, jestem zły, ale nie na niego. Jestem zły na moją żonę.

— Ona chciała tylko pomóc Zanderowi — mówi cicho, a moje serce natychmiast zwraca się w stronę tego dzieciaka. Dzieciaka? Jasne. On jest już mężczyzną. *Kiedy to się stało?* Wciąż nie potrafię uwierzyć w to, że jestem tu, żeby wziąć udział w narodzinach naszego dziecka, ale zauważam, że Shane próbuje ochronić Rylee przed moim gniewem.

I chociaż jestem zmęczony i zgubiłem się w tym cholernym szpitalu, próbując ją znaleźć, nie umyka mi to, że mojej wspaniałej żonie udało się nauczyć tych chłopaków współczucia.

Nasze dziecko będzie szczęściarzem, mając taką matkę.

— Colton? — Głos Shane'a wyrywa mnie z zamyślenia. W idealnej chwili, bo właśnie miałem skręcić w niewłaściwą stronę.

*Weź się w garść, Donovan.* Bądź uważny. Dotrzyj do Ry.

— A z nim jest wszystko dobrze? — W końcu docierają do mnie jego słowa sprzed minuty na temat Zandera. Buty piszczą na gładkiej podłodze, gdy spieszę korytarzem, rozglądając się za jakimiś drogowskazami.

— Tak, jestem z nim. Ale Ry nie wiedziała, co zrobić i...

— Słuchaj, ja to jakoś rozwiążę, okej? — mówię, mijając to samo miejsce po raz drugi. Denerwuję się. I boję. Muszę dotrzeć do Ry, ale w tej chwili nie potrafiłbym się wydostać nawet z mokrej papierowej torby.

— Tego się nie da rozwiązać — stwierdza zrezygnowanym tonem.

— Da się, jeśli go adoptujemy — wypalam zdeorientowany i przytłoczony.

Muszę odnaleźć się w tym miejscu i trafić do Rylee, a prowadzenie rozmowy, której nie powinienem teraz prowadzić, wcale mi tego nie ułatwia.

— Och.

Dociera do mnie, co właśnie powiedziałem i komu. Do diabła! Pamiętałem o tym, czego obawiała się Ry, a mimo to nie ugryzłem się w język i zrobiłem dokładnie to, czego nie chciała zrobić — skrzywdziłem jednego z jej chłopców. Dałem mu do zrozumienia, że wybieramy innego.

— Cholera! — cedzę przez zaciśnięte zęby, zatrzymuję się i szczypię w przegrodę nosa. Muszę to jakoś naprawić. Znam to z autopsji. Też byłem niechciany. Nieważny. Zazdrosny. Zawsze wybierany do drużyny jako ostatni. *Napraw to, Donavan.* — Nie o to mi chodziło. Mam teraz za dużo na głowie. Rozmawiam z tobą, idę i próbuję trafić do Ry. Zasugerowałem pomysł naprawienia tej sytuacji, ale nie wiem, czy moglibyśmy go przeprowadzić, bo przecież nie adoptujemy tylko jednego z was, zamiast wszystkich. A opieka społeczna...

— Nie pozwoli wam adoptować wszystkich — dokańcza za mnie i milknie.

W słuchawce zapada cisza, a ja krzywię się na myśl o tym, co właśnie powiedziałem. Bez zastanowienia. Cholera, cholera, cholera. Mów do mnie, Shane. *Bo, stary, chociaż strasznie chciałbym jakoś załagodzić tę sytuację z tobą, to jest jeszcze inne miejsce, w którym miałem być jakieś dziesięć minut temu.*

— Shane?

— Jasne. To zrozumiałe — odpowiada. Do licha, jestem rozdarty, bo chciałbym się upewnić, że nie jest mu smutno, a jednocześnie muszę dostać się do Ry. Podnoszę wzrok i przyspieszam kroku, bo zauważam po lewej dyżurkę pielęgniarek.

— Jestem na miejscu. Muszę kończyć. Pogadamy później. Będę cię informował na bieżąco, okej?

— Okej. — Nic więcej nie słyszę, bo rozłączam się i niecierpliwie czekam, aż pielęgniarka na mnie spojrzy. W końcu to robi. Jej reakcja jest dość typowa: szeroko otwarte oczy, głośne westchnienie, rumieńce na policzkach.

— Witam. W... w czym... w czym mogę panu pomóc? — wyjąkuje, a jej dłoń automatycznie wędruje do włosów, żeby je przyklepać ruchem, który widziałem w życiu więcej razy niż potrafię zliczyć.

— Proszę o numer pokoju Rylee Donavan. — Mój uśmiech jest wymuszony, a cierpliwość na wyczerpaniu. Bo gdy już tu jestem, muszę jak najszybciej się z nią zobaczyć, dotknąć jej i upewnić się, że nie cierpi.

*Błyskotliwe, Donavan.* Poród. To słowo oznacza, że nie będzie łatwo, a cierpienie jest nieuniknione.

— Trzysta jednaście to jej pokój, a pan będzie potrzebował tego — odpowiada i wyciąga plakietkę gościa z półki obok. — Jakie imię wpisać? — Puszczą mi oczko. — Pana sekret jest u mnie bezpieczny.

— As Thomas — rzuca bez namysłu. *Skąd mi się to wzięło?*

— As Thomas, bardzo proszę — mówi, pisząc, po czym wręcza mi plakietkę. — Powodzenia, panie Donav... Thomas.

Błyskam uśmiechem w odpowiedzi i ruszam korytarzem. Zauważam Sammy'ego na krześle przed pokojem Rylee. Podnosi wzrok i spogląda mi w oczy. Prostuje się, bo wie, że wiem, i wie, że jestem wkurzony.

— Jej bezpieczeństwo jest na pierwszym miejscu — cedzę przez zaciśnięte zęby. — Zawsze. Zrozumiano?

Widzę w jego oczach słowa, które chce mi powiedzieć, ale zobowiązania wynikające z bycia moim pracownikiem i szefem ochrony każą mu ugryźć się w język.

— Zrozumiano.

Nic więcej nie mówi. I ja nie chcę nic więcej słyszeć. Koniec dyskusji. Zrozumiał.

Popycham drzwi i wchodzę pełen niepokoju przed tym, co tu zastanę. *Nie ma już odwrotu. To się dzieje naprawdę.*

Ry jest tyłem do mnie, a doktor Steele właśnie wychodzi. Uśmiecha się na mój widok.

— Wszystko wygląda dobrze, Colton. Do dwudziestu czterech godzin powinieneś być ojcem — mówi i ściska mi dłoń na powitanie.

— Colton! — Ulga. Słyszę ją w jej głosie i sam też w końcu trochę się rozluźniam.

— Chyba nie zdążyliśmy poprawić tych paznokci — stwierdzam, podchodząc do jej łóżka, i całuję ją w usta. Tego potrzebowałem. Małej dawki Ry, żeby się uspokoić.

— I zrobić paru innych rzeczy — szepcze z uśmiechem.

— Przyjechałem najszybciej jak się dało.

— As Thomas, co? — pyta, zerkając na moją plakietkę, po czym spogląda mi w oczy z rozbawieniem. — Mam wrażenie, że gdzieś już to kiedyś słyszałam.

— Hm. Nie mam pojęcia, o czym mówisz — udaję ignorancję.

— Tylko nie mów mojemu mężowi, że tu jesteś. On ma naprawdę paskudny prawy sierpowy.

Parskam. *Boże, jak ja kocham tę kobietę.* Ujmuję jej twarz w dłonie i wzdycham z ulgą, gdy czuję jej skórę pod palcami.

— Wszystko w porządku? — pytam. Potakuje i patrzy mi uważnie w oczy. Wiem, czego tam szuka, bo ma świadomość, że wszystkiego się domyśliłem. — Tak, jestem na ciebie zły...

Wściekły. Szaleńczo.

*Ale kocham cię jeszcze bardziej szaleńczo.*

— Nie gniewaj się na Sammy'ego. Zmusiłam go, żeby mnie zawiózł —

mówi z zawstydzieniem. Z trudem tłumię parsknięcie, bo Sammy to kawał chłopca. Wątpię, żeby była w stanie do czegokolwiek go *zmusić*, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, jak zachowuje się Rylee, gdy w grę wchodzi jej chłopcy.

— Rozmawiałeś z Zanderem? Muszę sprawdzić, jak się czuje.

*Święta.* W chwili, w której powinna skupić się na sobie, nadal myśli o nich.

— Rylee — mówię z głośnym westchnieniem, ale dobrze wiem, że nie odpuści i nie wyluzuje, dopóki nie będzie miała pewności, że z chłopcami wszystko w porządku. — Właśnie rozmawiałem z Shane'em.

— Co powiedział o Zanderze?

— Rozmawialiśmy o nim. Shane z nim jest. Jestem pewien, że się nim zaopiekuje. Skupmy się raczej...

— Nie, wcale nie. Zander był przerażony i mówił coś o...

— Zadzwoń do niego, dobrze? Upewnię się, że nic mu nie jest. Jeśli ci to obiecuję, przestaniesz się zamartwiać o wszystkich innych i zaczniesz dla odmiany myśleć o sobie? — pytam. Podnosi na mnie swoje fioletowe oczy i obserwuje mnie badawczo, jakby chciała sprawdzić, czy mówię serio. W końcu przygryza dolną wargę i przytakuje z wahaniem. — Całe szczęście, bo negatywna odpowiedź nie wchodziła w rachubę. — Błyskam uśmiechem, od którego według niej spadają majtki. Przewraca oczami.

— Czyżbyś zapomniał, że to moje przedstawienie, As? — śmieje się i przyciąga mnie za koszulę, żeby skraść kolejny pocałunek. Z przyjemnością. Pocałunek, który rozprasza wszelkie smutki. — Nie musisz się tak uśmiechać, bo ja i tak nie mam na sobie majtek.

Śmieję się z tego długo i dźwięcznie. Szpitalny kitel, urządzenia podpięte do jej brzucha, gumowe rękawiczki. To wszystko jest niesłychanie seksowne. *Jasne, chyba w innym wymiarze.*

— Czyli nie ma szans...

— Żadnych — wtrąca się, odpychając mnie. Może to dziwne, ale to przekomarzanie sprawia, że coraz spokojniej patrzę na to, co nas za chwilę czeka.

— Boli cię? — pytam, bo nie wiem za bardzo, co powinienem zrobić lub o co zapytać.

— Tylko gdy mam skurcze — odpowiada z uśmiechem. Mądrała.

— Czyli siedzimy i czekamy?

— Siedzimy i czekamy — potwierdza. Chwytam ją za dłoń i siadam na krześle obok łóżka.

#

Mijają godziny.

Wleką się minuty. Sekundy stoją w miejscu.

Niecierpliwię się. Jestem znudzony. Zaczyna mnie dopadać zwątpienie.

Czuję ekscytację. Nie mogę się doczekać poznania tego małego człowieczka.  
Skurcze.

*Co ja robię? Cholera, cholera, cholera.* Nie jestem jeszcze gotowy na to, żeby zostać ojcem.

I po skurczach.

*Weź się w garść.*

Jestem kapryśnym, posępnym egoistą i za dużo przeklinam.

*Przestań być takim mięczakiem.*

Skurcze.

Nigdy w życiu nie zmieniałem pieluchy. Nigdy nie trzymałem noworodka.  
*Boże, co ja robię?* Jestem kompletnie nieprzygotowany. Nie mam o niczym zielonego pojęcia. Jak mogłem się łudzić, że temu podołam?

Po skurczach.

*Trochę za późno na wycofywanie się, Donovan.*

Panika chwyta mnie za gardło. Strach zatyka tchawicę. Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju, żeby się uspokoić, gdy Rylee śpi.

*Oddychaj, Donovan. Oddychaj, do cholery.* To Ry będzie rodzić, a ty się spinasz? Pomyśl o niej. Martw się o nią.

To, czym się zajmujesz, po prostu się stanie.

Uspokój się.

Wyluzuj.

Dzwonię do Shane'a, żeby zabić czas. Próbuję wyjaśnić mu moje słowa i upewnić się, że jest okej. I że Zander czuje się lepiej. Rozłączam się. Wysłałam Sammy'ego na dół po jakąś porządną kawę. Czekam.

Wyglądam przez okno na miasto, w którym noc powoli zwycięża z dniem. Biorę głęboki wdech. Wydycham wszystko co niepotrzebne. Podnoszę wzrok i z zaskoczeniem zauważam w odbiciu w oknie, że Ry nie śpi.

Patrzmy sobie w oczy, na jej ustach pojawia się zaspany uśmiech, a ja czuję, że mój świat znowu wrócił na właściwe tory. Jak mogłem w to wątpić? W naszą więź? W naszą miłość? I przyszłość? Ona jest moim Midasem. Wszystko, czego dotknęła w moim życiu, stało się złotem, łącznie ze mną.

Odwracam się do niej. Jestem na to gotowy.

Koła na torze.

Dłonie na kierownicy.

Czas wypełnić ramkę pierwszym wspomnieniem.



## *Rozdział 19.*

### *Rylee*

— Świetnie ci idzie, kochanie — mruczy mi Colton do ucha. Opieram głowę na poduszce i mam zamknięte oczy, a on odgarnia mi włosy z czoła i całuje wierzch dłoni, którą trzyma w swojej.

— Jestem zmęczona — szepczę. Jeszcze nigdy nie byłam tak wyczerpana. Do szpiku kości. Śmiertelnie. A mimo to czuję wewnętrzny prąd, który mnie nakręca. Daje mi siłę.

— Wiem, ale już prawie koniec — mówi zachęcającym tonem. Czuje się bezradny. Wiem o tym. Mój duży i niegrzeczny mąż nie jest w stanie pospieszyć mi na ratunek i może jedynie trzymać mnie za rękę.

Otwieram oczy i trafiam w zieleń jego źrenic.

— Dobrze się czujesz? — pytam, bo dostrzegam w nich tłumione emocje i domyślałam się, że jest trochę wystraszony.

— Ciii. Nic mi nie jest. Nie martw się o mnie. Poznajmy w końcu MURB-a — odpowiada z pokrępiającym uśmiechem. Dokładnie tego teraz potrzebowałam.

Śmiechu. Rozluźnienia, nawet jeśli tylko chwilowego. Ten facet jest pełen sprzeczności i posiadał każdy najdrobniejszy fragment mojego serca.

— Jesteś niepoprawny.

— A ty piękna.

W oczach wzbierają mi łzy. To na pewno przez buzujące w ciele hormony. Albo przez bliskość, jaką z nim odczuwam, bo przecież lada chwila sprowadzimy na świat życie, które razem stworzyliśmy. W każdym razie nagle nie potrafię opanować łez. Colton ujmuje moją twarz w dłonie i z niedowierzaniem kręci głową.

— Dziękuję ci — mówi. Na jego ustach pojawia się ten uwielbiany przeze mnie nieśmiały uśmiech, a oczy robią się wilgotne od nieprzeniknionych emocji. Nie jestem pewna, za co właściwie mi dziękuje, bo te proste słowa mogą mieć tak wiele znaczeń, ale potakuję nieznacznie. Nawet sobie nie wyobraża, jak ważne jest dla mnie to, co mi w ten sposób przekazuje.

— Nadchodzi kolejny skurcz, Rylee. Bądź silna. Jeszcze kilka parć i prawdopodobnie poznamy twój mały cud — mówi doktor Steele, przerywając nam tę chwilę. Jej słowa napełniają mnie nową energią.

— Dobrze. — Potakuję, a Colton ściska moją dłoń.

— Chcę, żebyś dała z siebie teraz wszystko — dodaje lekarka.

Biorę głęboki wdech, wstrzymuję go i zaczynam przeć. Całe ciało się napina. Liczę powoli do dziesięciu. Pod koniec zaczyna mi się kręcić w głowie i robi mi się ciemno przed oczami z wycieńczenia.

— Mamy główkę. — Słowa lekarki wyciągają mnie z mroku i sprawiają, że wszystko staje się bardziej realne i pilne niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam. — Z mnóstwem ciemnych włosów.

Otwieram oczy i widzę, jak Colton się nachyla, żeby spojrzeć w dół na dziecko. Wyraz jego twarzy, gdy wraca spojrzeniem do mnie? Strach i niewyjaśnione emocje w załzawionych oczach. Otwarte usta i zachwyty wypisane na całej twarzy. Colton przerywa jednak tę krótką, lecz intensywną wymianę spojrzeń, żeby znowu spojrzeć na nasze dziecko.

I chociaż jestem zazdrosna, że pierwszy zobaczył nasz cud, to nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Na zawsze zachowam w sercu tę dumę pomieszaną z oszołomieniem.

## *Rozdział 20.*

### *Colton*

Moja dłoń jest ściskana z siłą imadła.

Serce też, chociaż z zupełnie innego powodu.

Ten widok. Niewiarygodny. Nie do opisanía. Przykuwający z mocą, jakiej nigdy bym się nie spodziewał.

— To najtrudniejszy moment, Ry. Ostatnie parcie i gotowe — mówi doktor Steele, spoglądając na Rylee, po czym wraca spojrzeniem w miejsce, od którego nie potrafię oderwać wzroku. — Teraz.

Czuję jeszcze mocniejszy uścisk dłoni. Rylee wydaje z siebie jęk, a jej ciało się napina.

— *Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.* — Te słowa pojawiają się znikąd. Nie wiem, czy powiedziałem to na głos, czy tylko usłyszałem w głowie. Liczy się jedynie myśl, że jak najbardziej pasują do tej sytuacji.

Zamykanie kręgów.

Nagle wszystkie myśli zostają wyparte przez emocje. Zalewa mnie poczucie dumy, gdy pojawiają się drobniutkie ramiona, a zaraz potem reszta ciała.

Czas płynie stopklatkami, a sekundy ciągną się jak godziny.

Ta chwila zapiera mi dech w piersi. I kradnie serce. Nie da się inaczej opisać tego, co czuję, gdy doktor Steele obwieszcza:

— Gratulacje, to chłopiec!

— O cholera. — Cały mój świat się unosi, przesuwa, przewraca do góry nogami i obraca wokół własnej osi. Ale jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Cichy płacz. Ciemne włosy. Przecięcie pępownicy. Mgła niedowierzania w oczach, gdy patrzę na syna. Mojego syna.

Jasny gwint.

*Mojego syna.*

Jestem ojcem.

Ta chwila uderza mnie z siłą tornada i reaguję na nią każdą cząstką mojego jestestwa. Rylee szlocha, gdy doktor Steele kładzie jej naszego syna na brzuchu, a pielęgniarki go wycierają.

Patrzę na paluszki u rąk i nóg, uszka i oczy i nie mogę uwierzyć, że ta mała istota jest częścią mnie.

Jak to w ogóle możliwe?

Owładnięty emocjami nachylam się i całuję Rylee w czoło, lecz ona wpatruje się w naszego syna z równą intensywnością jak ja.

— Kocham cię — szepczę, nie odrywając ust od jej skóry.

Mały przestaje płakać, gdy tylko Ry go przytula. *Poznał ją*. Czy to może być prostsze? Chwilę temu miałem wrażenie, jakby przetoczyło się przeze mnie emocjonalne tornado, ale to było nic w porównaniu z tym, co czuję teraz, patrząc na naszego syna w jej ramionach. Jego mała buzia tuż obok jej twarzy wyzwala we mnie strumień uczuć, których nigdy bym się po sobie nie spodziewał. Te emocje kompletnie opanowują moje serce i wypełniają je w zupełnie nieoczekiwany sposób.

Mój cały pieprzony świat.

Moja Rylee. Mój syn. Moje wszystko.

— Jest śliczny — mówi Rylee z podziwem, a po jej policzkach płyną łzy. Całuje go w czubek głowy, co z jakiegoś powodu jest dla mnie niesłychanie wstrząsające.

W głowie przebłyskuje mi przyszłość: pierwsze kroki, chude kolana, pierwsze zdobycie bazy, pierwszy pocałunek, pierwsza miłość.

Palą mnie łzy. Ściska mnie w piersi. Myślę tylko o tym, że ten chłopiec prawdopodobnie będzie jeszcze całowany przez wiele kobiet, lecz ten pierwszy pocałunek jest najważniejszy.

Zabierają go od niej i znowu zaczyna płakać. Nawet na chwilę nie potrafię oderwać od niego wzroku, gdy jest mierzony, ważony, badany i oglądany.

Odwracam się do Ry. Widzę w jej oczach te same przytłaczające emocje, których nie da się wyrazić słowami. Czuję się jak mięczak przez te łzy w oczach i to, że nie potrafię nic wykrztusić. Bo przecież powinienem być aroganckim skurczybykiem, jak zawsze. Najwyraźniej nawet taki palant jak ja może się rozczulić. Rylee zawsze potrafiła mnie wzruszyć, ale coś mi mówi, że właśnie trafiłem na coś, co przebija wszystko.

*Jeśli tak zapisano w kartach.*

Serce więźnie mi w gardle. W głowie pojawia się wspomnienie, które po ułamku sekundy znika. Nie potrafię go uchwycić ani umiejscowić, ale z jakiegoś względu wiem, że to coś oznacza. Nie zastanawiam się jednak nad tym, bo podchodzi do mnie pielęgniarka i chce mi podać mojego ciasno zawiniętego synka.

Zamieram. Stoję kompletnie bez ruchu, bo boję się, że zrobię mu krzywdę. Dzięki Bogu pielęgniarka zauważa moją reakcję. Pokazuje mi, jak go trzymać, a potem umieszcza synka w moich ramionach.

Wtedy on podnosi wzrok, a ja zamieram z zupełnie innego powodu.

Jestem zahipnotyzowany i kompletnie pochłonięty przez jego jasnyniebieskie oczy, maleńkie usta i ciche łkanie. Przez jego ciemne włosy i idealne uszy. I nienaruszoną niewinność, bezwarunkowe zaufanie i miłość —

wszystko to dostałem, gdy tylko spojrzałem mu w oczy.

Muszę coś powiedzieć. Zapewnić go, że go nie zawiodę. Otwieram usta. Zamykam je. Nie mogę go tak po prostu okłamać. Nie mogę mu tego powiedzieć, skoro wiem, że czasem zdarzy mi się coś zepsuć.

Ale z całą pewnością zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby być dla niego takim ojcem, jakiego potrzebuje.

## *Rozdział 21.*

### *Rylee*

Uszczypnijcie mnie.

To nie może dziać się naprawdę. Niemożliwe, żeby ten piękny chłopczyk w moich rękach był moim dzieckiem.

Jeśli to sen, to tak niesamowicie realistyczny, że nie mam ochoty nigdy się z niego budzić. Owszem, jestem dogłębnie wyczerpana i boli mnie każda część ciała prócz nóg, które są trochę odrętwiałe. Najsilniej jednak odczuwam ból, który chyba nigdy mi nie przejdzie — ból serca przepelnionego miłością.

Nie potrafię oderwać od niego wzroku, gdy śpi twardo na mojej piersi. Pielęgniarki zasugerowały odłożenie go do kojca, ale ja nie jestem jeszcze gotowa, by się z nim rozstać. Zbyt długo czekałam na tę chwilę. Uwielbiam wszystko, co z nim związane, i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wygląda dokładnie tak samo, jak Colton musiał wyglądać jako dziecko.

Podnoszę wzrok i po drugiej stronie łagodnie oświetlonego pokoju dostrzegam Coltona, który bez przerwy robi nam zdjęcia telefonem. To urocze i jednocześnie bolesne, że chce udokumentować każdą chwilę, bo ma potrzebę zapewnienia swojemu synowi pamiątek z dzieciństwa, których sam nie posiada.

Uśmiecham się lekko, gdy błyska lampa, a potem unoszę brwi i czekam, aż opuści telefon. W końcu to robi i wymieniamy się spojrzeniami. W jego oczach jest coś, czego nie potrafię rozszyfrować. Mruga powiekami, żeby to odpędzić, i obdarza mnie wyczerpanym uśmiechem.

— Śpi? — pyta i nachyla się w moją stronę, żeby zobaczyć.

— Nie. Chcesz go potrzymać? — proponuję. Wcale nie mam ochoty go oddawać, ale wiem, że to trochę samolubne. Od dwóch godzin, gdy jesteśmy w pokoju dla matki z dzieckiem, albo próbuję go nakarmić, albo przychodzą pielęgniarki, żeby coś sprawdzić, i w efekcie Colton nie miał jeszcze kolejnej okazji, żeby go potrzymać.

— Nie. — Potrząsa głową. — Pozwól mu odpocząć. — Wstaje, podchodzi do mnie i siada na brzegu łóżka, po czym całuje w czoło najpierw naszego syna, a potem mnie. Muskamy się też przelotnie ustami, a potem odchyła się i potrząsa głową. Rozumiem go, bo ja też cały czas potrząsam głową z niedowierzaniem, że stało się coś, czego już nigdy miałam nie doświadczyć.

I co więcej, dzielę to doświadczenie z Coltonem.

— Cóż, domyślam się, że nie mogę się dłużej ociągać z podaniem propozycji

imion, chyba że chcemy wpisać do aktu urodzenia „MURB”.

— No tak — szepczę z szerokim uśmiechem na ustach. — Naprawdę chcesz, żebyśmy powiedzieli na głos nasze pierwsze typy i na tej podstawie zdecydowali?

— Zaczynam się denerwować na tę myśl. Nie podoba mi się to, że tak ważną i trwałą decyzję mamy podjąć z marszu.

— Uhm. Idealny plan.

— Wcale nie. — Za chwilę wyjdę z siebie, jeśli będzie się przy tym upierał. Dobrze o tym wie. Zdradza go uśmieszek i błysk w oczach. Cholera, Donavan.

— Albo możemy go nazwać po prostu Ace Thomas Donavan i będziemy to mieli z głowy — mruczy, przechylając głowę na bok, i ze ściągniętymi ustami czeka na moją reakcję. Zerkam na jego plakietkę, na której widnieją te dwa słowa, i doznaję chwilowego olśnienia mimo przyjętych leków i ogólnego wyczerpania organizmu.

*Ace Thomas.*

Przyglądam się mojemu słodkiemu chłopczykowi i powtarzam sobie w myślach te słowa. W niczym nie przypominają tych wszystkich modnych i wyjątkowych imion, które wypisywałam na niezliczonych listach, ale gdy patrzę na jego paluszki owinięte wokół mojego małego palca, nie mogę uwierzyć, że sama na to nie wpadłam. To przecież idealne imiona.

Skoro miały takie znaczenie dla naszego związku, to dlaczego nie mielibyśmy ich użyć? Wymyślane przeze mnie przezwisko Coltona i jego uporczywe próby odszyfrowania skrótu, a do tego coś ode mnie, czyli moje nazwisko rodowe jako drugie imię. Przypomina mi się nasza pierwsza randka w wesołym miasteczku, gdy Colton użył tych imion dla zmyłki i wyznał, że zrobił to, bo chciał mnie mieć tylko dla siebie. Nie sposób zapomnieć też o jego rozwinięciu skrótu „AS”, które teraz nabiera zupełnie nowego znaczenia: Absorbujące Spotkanie.

No i proszę, co wynikło z tego absorbującego spotkania.

— Ace Thomas — szepczę cicho. Z każdą chwilą coraz bardziej podoba mi się brzmienie tych imion.

— Myślałem o innych imionach, ale gdy siedziałem tu i patrzyłem, jak śpisz między skurczami, te dwa cały czas chodziły mi po głowie. Pasują, prawda?

— Prawda — potwierdzam z wahaniem. Ale gdy zerkam na Coltona i wracam spojrzeniem do naszego syna, nie mam już wątpliwości. — Hej, Ace — mówię do wtulonego we mnie noworodka. Serce przestaje mi bić na chwilę ze wzruszenia, bo mam wrażenie, że gwiazdy w końcu zaczęły nam sprzyjać i dopełniły nasz mały wspólny świat.

#

Delikatne ssanie piersi to ku mojemu zaskoczeniu najbardziej pokrzepiające

uczucie świata. Zupełnie jakby moje ciało wiedziało, że tak musi być. Spoglądam na synka i dociera do mnie, że jest całkowicie i pod każdym względem zależny ode mnie i Coltona. To upokarzające i przytłaczające wrażenie, które jednocześnie rozgrzewa mnie od środka.

— Zamierzacie się w ogóle przespać? — pyta pielęgniarka podczas kolejnego sprawdzenia moich funkcji życiowych. Mam wrażenie, jakby przez mój pokój prowadził jakiś trakt dla pielęgniarek, które budzą mnie za każdym razem, gdy się zdrzemnę.

— Staramy się — odpowiadam cicho i zerkam na posilającego się Ace'a.

— Wiem, że to trudne, gdy przez cały czas ktoś przychodzi. Może powinnaś go odłożyć do kojca i przespać się chwilę.

— Nie ma mowy — odzywa się zdecydowanym głosem Colton z rozkładanego krzesła w rogu pokoju i obie z pielęgniarką odwracamy się w jego stronę. — Nie bez powodu Sammy siedzi przed wejściem do pokoju. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy, to ryzykowanie, że jakiś paparazzi zrobi dziecku fotografię i sprzeda ją temu, kto da najwięcej, przez co ostatecznie zdjęcie trafi do wszystkich mediów. Nie. Koniec dyskusji.

Patrzę na niego, mrugam bez słowa raz po raz i powoli dociera do mnie to, co właśnie powiedział. Jak mogłam być tak zaślepiona naszym małym cudem, że zapomniałam o tym, że media naruszały naszą prywatność przez ostatni miesiąc? I o tym, że wiele osób będzie chciało zarobić na zdjęciach Ace'a?

— Colton ma rację — mówię w końcu, bo pielęgniarka patrzy na nas, jakbyśmy postradali zmysły.

— Dobrze — odpowiada z wyrozumiałym uśmiechem. — Dajcie znać, jeśli zmienicie zdanie. Dość często mamy do czynienia z takimi sprawami i zaręczam wam, że podjęliśmy środki bezpieczeństwa, które zapobiegają podobnym naruszeniom. Gdybyś jednak stwierdziła, że chcesz się przespać, po prostu zadzwoń na dyżurkę.

— Dziękuję — odpowiada Colton. Mięsień jego szczęki pulsuje, gdy na nią patrzy.

Pielęgniarka kończy mnie badać i sprawdza też Ace'a, który przestał pić i zasnął. Zerka na termometr skroniowy i marszczy brwi.

— Ma trochę zbyt niską temperaturę. Noworodki często mają problem z utrzymaniem temperatury ciała, ale pomóżmy mu w tym trochę i połóżmy go bezpośrednio na twojej skórze — mówi. Odwija go, ściąga białą koszulkę i wręcza mi różowe maleństwo w pieluszce, która w porównaniu z nim jest gigantyczna.

Wiem, że to normalne, ale trochę inaczej na to patrzę, gdy chodzi o moje dziecko. Pielęgniarka unosi materiał szpitalnej koszuli, pomaga mi wsunąć Ace'a pod spód i w końcu czuję jego gładką skórę na nagich piersiach.

— Zostawmy go tak przez chwilę. Jeśli to nie pomoże, przywiozę urządzenie



do ogrzewania, dobrze?

— Dobrze — odpowiadam, gdy zbiera swoje rzeczy. Nie zwracam na nią zbytnej uwagi, bo jestem pochłonięta doświadczeniem syna na własnej skórze. Próbuje ssać mój obojczyk. Śmieję się cicho z tego uczucia i surrealistyczności takiego zachowania.

W końcu odrywam od niego wzrok. Colton patrzy na nas z absolutnie stoickim wyrazem twarzy.

— O czym myślisz? — pytam. Dobrze wiem, że to pytanie może otworzyć puszkę Pandory, ale muszę wiedzieć.

— O niczym. O wszystkim. — Wzrusza ramionami. — Wszystko się zmieniło, a jednocześnie nic się nie zmieniło. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Potakuję powoli, bo rozumiem, o czym mówi, lecz jednocześnie nie rozumiem i chciałabym, żeby wyjaśnił mi to bliżej. Coś mi jednak mówi, że się tego nie doczekam. Poruszenie Ace'a przykuwa na chwilę moją uwagę. Walczę z wycięciem, bo boję się, że go skrzywdzę, jeśli zasnę z nim na swojej piersi.

— Chyba jestem zbyt samolubna w trzymaniu go — mruczę. Całuję go w czubek głowy i przez chwilę rozkoszuję się zapachem noworodka. Potem podnoszę głowę i pocieram przeprasząco nos.

— Nie. Jesteś doskonała — odpowiada Colton, podkreślając swoje słowa gestem, i urywa temat, bo kładzie się z powrotem na swoim krześle i zamyka oczy.

— Na pewno nie chcesz go potrzymać?

— Nie — odpowiada, nie otwierając oczu. — Pielęgniarka powiedziała, że potrzebuje poleżeć bezpośrednio na twojej skórze, żeby się ogrzał.

— Równie dobrze może poleżeć na twojej — wyjaśniam. Mój zmęczony umysł nie potrafi zrozumieć, dlaczego Colton odmawia, skoro ja wołałabym nie rozstawać się z naszym maleństwem nawet na chwilę.

— Nie. Nie. Jest dobrze. — Z zamkniętymi oczami i rękami splecionymi na klatce piersiowej pospiesznie odrzuca moją propozycję.

*On się boi* Ace'a. Duży facet. Maleńkie dziecko. Brak doświadczenia. Strach przed popełnieniem błędu. Ta myśl przemyka mi przez głowę, a jego przeszłość, zdecydowana odmowa i to, że zawsze, gdy chciałam mu dać Ace'a, okazywał się czymś zajęty, tylko utwierdzają mnie w moim podejrzeniu.

*Boję się.* Przypomina mi się jego wyznanie w grze w mówienie o sobie.

— On ciebie też potrzebuje — szepczę łamiącym się od emocji głosem, na co on podnosi głowę i spogląda mi w oczy. — Twój syn cię potrzebuje, Colton.

— Wiem — odpowiada, potakując powoli. Dostrzegam w jego oczach trwogę, którą próbuje ukryć, lecz tym razem nie przerywam naszej wymiany spojrzeń. Zamiast tego pytam go wzrokiem o to wszystko, czego nie potrafię wypowiedzieć na głos, żeby sprowokować go do dalszych wyjaśnień. — Wyglądacie razem tak spokojnie i idealnie. Ja po prostu nie chcę wam

przeszkadzać.

Czuję, że jego odpowiedź była szczerą, ale wiem też, że za jej pomocą próbuje odciągnąć moją uwagę od swojej obojętności.

*Porozmawiaj ze mną, Colton. Powiedz mi, co się dzieje w tej twojej cudownej, skomplikowanej, naznaczonej, pokierszowanej, pięknej duszy.*

Mam ochotę go pocieszyć. Powiedzieć mu, że nie upuści Ace'a, nie zrobi mu krzywdy i nie naruszy jego niewinności, ale mam wrażenie, że żadne moje słowa nie uwolnią go od tego niepokoju.

*Daj mu czas, Rylee.*

## **Rozdział 22.**

### **Colton**

*To nie może dziać się naprawdę.*

*Ona nie żyje.*

*Kelly to dla mnie sprawdził. Dlaczego więc słyszę jej wołanie z tego pokoju? Pokoju, który wywołuje we mnie tak silną i nieprzyjemną reakcję? Mam gulę w gardle, czuję suchość w ustach, jakbym obudził się po opróżnieniu butelki whisky, a żołądek jest jak zalany kwasem.*

*Uciekaj, Colton. Stopa za stopą, już. Wynoś się stąd, póki możesz.*

*— Colty, Colty. Mały słodki Colty — mówi śpiewnym głosem. Takim, jakim nigdy wcześniej do mnie nie mówiła. Ten głos jest jak magnes. Wciąga mnie. Każe mi zajrzeć, chociaż boję się to zrobić.*

*Pieprzone duchy. Nawet w głębokim śnie wracają, żeby mnie prześladować.*

*Wchodzę przez drzwi. Uderza mnie zapach pleśni i zepsucia, który wywołuje dawno pogrzebane koszmary. Sęk w tym, że one już nie są koszmarami. One są rzeczywistością. Moją rzeczywistością.*

*Podnoszę wzrok i staję jak wryty przed kobietą na fotelu bujanym. Znam ją, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek tak wyglądała: ciemne włosy spięte z tyłu głowy, różowa koszulka na ramiączkach. Tuląc w ramionach noworodka, patrzy na mnie najłagodniejszym ze spojrzeń. Jest spowita światłem księżyca, uśmiecha się nieznacznie, a noworodek trzyma ją za jeden z palców.*

*— Colty, Colty. Mały słodki Colty — odzywa się znowu śpiewnym głosem, a ja mrugam powiekami z niedowierzaniem, bo nie wiem, czy to faktycznie się wydarzyło, czy może mam do czynienia z wytworem własnej wyobraźni.*

*To nie ja. To nie mogę być ja.*

*To jestem ja.*

*Uderzam się w pierś. Obrączka na moim palcu wabi mnie swoim błyskiem, lecz ja nie mogę oderwać wzroku od mojej mamy, która wygląda tak realnie, normalnie i... miło. W niczym nie przypomina tej naćpanej jędry ze skołtunionymi włosami, która mnie wykorzystywała, sprzedawała i głodziła dla własnej przyjemności.*

*— Przestań go tak nazywać. Nabawi się kompleksów. — Niski głos po mojej prawej sprawia, że się wzdrygam. Kątem oka dostrzegam sylwetkę ukrytego w półmroku mężczyzny. Wysoki, szerokie ramiona, ciemne włosy, nisko osadzone džinsy, nagi tors.*

Nie potrafię dostrzec jego twarzy.

*Serce przyspiesza. Czy to mój ojciec, czy potwór, który mnie prześladował?*

*A może to jedna i ta sama osoba?*

*W gardle więźnie mi gula. Tym razem jest tak agresywna, że wymiotuję ją na dywan, bo ta myśl rozdziera mnie od środka w niewyobrażalny sposób. Czy ten potwór był moim ojcem?*

*Znowu wymiotuję. Moje ciało uporczywie odrzuca tę myśl, targają mną torsje niedowierzania, ale nikt w pokoju nie zwraca na mnie uwagi.*

*To sen, Colton. Pierdolony sen. To się nie dzieje naprawdę. Absolutnie.*

*Spoglądam na faceta, który powoli wychodzi z cienia, bo wydaje się jakiś inny, bardziej znajomy, ale odrywa mnie od niego głos mojej matki.*

*— Ace, Ace. Mały słodki Ace.*

*— Nie! — krzyczę, gdy podnosi na mnie wzrok, lecz z mojego gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Jej oczy są teraz przekrwione i wycieńczone. Usta ma pomalowane jak niechlujny klaun. Wyciąga przed siebie dziecko — mojego syna — jakby chciała go podać mężczyźnie.*

*— Nie! — krzyczę ponownie, ale nie mogę się poruszyć, nie mogę go uratować. Moje stopy są jak przyklejone do podłogi. Ciemność pokoju zaczyna mnie wchłaniać.*

*— Tak — odzywa się mężczyzna i wyciąga przed siebie tłuste palce, żeby zabrać od niej Ace'a.*

*Dłonie. Te dłonie. Dłonie z moich koszmarów. Dłonie, które splamiły moją duszę.*

*Walczę z niewidzialną siłą, która nie pozwala mi drgnąć. Muszę się dostać do mojego syna. Muszę go ocalić.*

*Nagle mężczyzna wylania się z ciemności, a ja wydaję z siebie tak głośny okrzyk, że aż bolą mnie uszy. Nikt się jednak nie ogląda. Nikt się nie zatrzymuje. Potwór z mojego dzieciństwa, który zabiera mojego syna, ma moją twarz.*

*Moja twarz.*

*Moje dłonie.*

*To ja skrzywdzę swojego syna.*

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

*Zrywam się gwałtownie ze snu, bo uderzam pośladkami w ziemię. Spadłem ze szpitalnego krzesła. Przez chwilę zastygam bez ruchu w wyciszonym pokoju. Oddycham ciężko, mam mętlik w głowie, a serce kompletnie oszalało.*

*Słodki Jezu.*

*Zamykam oczy i kładę głowę na podłodze. Całe ciało jest napięte, a umysł pracuje z gorączkową prędkością. Sprzeczne myśli, obrazy i emocje są jak gumowe odpadki przy górnej krawędzi toru, których dotknięcie grozi utratą kontroli nad pojazdem.*

Tym razem muszę ich dotknąć. Muszę się dowiedzieć, co wprawilo mnie w takie przerazenie, jakiego nie czulem po zadnym wcześniejszym koszmarze.

Niewazne, ze juz utracilem kontrole. I jestem w rozsypce. Pamietam tylko jedna rzecz, i jest to rzecz, ktora wolalbym zapomniec: ze to ja krzywdze Ace'a.

Czy raczej: to ja skrzywdze Ace'a.

*Wez sie w garsc, Donovan.*

Otrzasnij sie z tego.

To byl tylko sen.

Tylko dlaczego ten strach jest bardziej realny niz wszystko, co dotychczas czulem?

## *Rozdział 23.*

### *Rylee*

— Możesz go potrzymać na chwilę? — pytam Coltona, który robi coś na tablecie w rogu pokoju. — Chciałabym umyć zęby, zanim wszyscy przyjdą.

Colton podnosi wzrok i zerka na mnie, a potem na łóżeczko, które pielęgniarka odsunęła w kąt pokoju, więc jest poza moim zasięgiem. Krzywię się, próbując się trochę podnieść, na co on wstaje i powoli podchodzi do łóżka. Nie jestem zwolenniczką manipulowania ludźmi, ale wiem, że im dłużej Colton będzie się bał Ace'a, tym trudniej będzie mu się pogodzić z faktem posiadania dziecka. Dlatego chociaż naprawdę boli mnie całe ciało, to grymas na twarzy był nieco przerysowany.

Colton wyciąga opornie dłonie i bierze ode mnie Ace'a. Słyszę, jak wstrzymuje na chwilę oddech.

— Dzięki. Zaraz wrócę — mówię. Odpycham się od łóżka i powoli ruszam w stronę umywalki. Niespiesznie myję zęby, czeszę włosy i nakładam odrobinę makijażu, cały czas kątem oka obserwując interakcję ojca z synem.

Colton bez ruchu przygląda się swojemu małemu lustrzanemu odbiciu. Jego twarz powoli łagodnieje, a ja zastanawiam się, co się dzieje w jego głowie. Czy ta więź jest silniejsza niż strach, czy po prostu próbuje się pogodzić z tą radykalną zmianą w życiu?

Gdy dostrzegam w lustrze, że powoli siada z Ace'em w ramionach, mam wrażenie, że na widok ich razem serce mi pęknie z miłości. As całkowicie pochłania jego uwagę, więc przez chwilę mogę go swobodnie obserwować.

Pod wpływem tego obrazu przypominam sobie, co chyba wczoraj usłyszałam. Gdy robiło mi się ciemno przed oczami w trakcie jednego z ostatnich skurczów, wydawało mi się, że Colton po cichu wymawia imiona swoich ukochanych superbohaterów.

Im dłużej obserwuję ten niezręczny taniec świeżo upieczonego ojca i dziecka, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to powiedział. Pytanie tylko: *dłaczego?*

Dyskretnie wracam na łóżko, nie zabierając Coltonowi Ace'a. Zabawne, że jest tak zajęty synem, że w ogóle tego nie zauważa.

— Dlaczego wypowiedziałeś imiona superbohaterów tuż przed jego urodzeniem? — pytam cicho. Nie podnosi głowy, ale widzę, że jego ciało się spina, i wiem, że nie powiedział tego bez powodu.

Odpowiada mi długa cisza, więc albo nie usłyszał, albo nie chce o tym rozmawiać. W każdym razie wciąż trzyma na rękach Ace'a, a to jest teraz najważniejsze. Kładę głowę na poduszce i zamykam oczy.

— Bo pomyślałem, że jeśli ja ich wezwę w tamtej chwili, to być może on już nigdy nie będzie musiał ich wzywać. No i chciałem przywitać nasze dziecko na świecie z siłą tych, którzy dali mi nadzieję i dzięki którym przeżyłem.

Z jego słów i chrapliwego głosu wnioskuję, że wciąż dręczy go wiele obaw, o których jeszcze nie wiem. Otwieram oczy i wcale mi się nie podoba, że w jego spojrzeniu dostrzegam cienie przeszłości, które przez tak długi czas nie wracały, że sądziłam, iż zniknęły na dobre.

— Colton... — Jego imię jest w moich ustach błaganiem, przeprosinami i czułym słówkiem, lecz nim zdążę cokolwiek dodać, rozlega się pukanie do drzwi, które niweczy tę chwilę między nami. — Proszę — mówię głośno.

Po kilku sekundach pokój wypełnia się naszymi bliskimi i przyjaciółmi, którzy przynoszą ze sobą chaos ochów i achów, słowa podziwu i mnóstwo balonów.

— Dajcie mi zobaczyć wnuka — mówi Dorothea. Stoi na przedzie grupy, z wyciągniętymi dłońmi, i z szerokim uśmiechem zabiera Ace'a od swojego syna.

— Sądząc po ilości dziennikarzy na zewnątrz, można by pomyśleć, że jesteście jakąś rodziną królewską czy coś — mówi ktoś zza drzwi i chociaż nie widzę tej osoby, wiem, że to Haddie.

Spoglądam Coltonowi w oczy i potakuję z uznaniem. Miał rację, załatwiając przez telefon, by chłopcy trzymali się z dala od szpitala i wścibskich obiektywów. Boże, jak ja za nimi tęsknię. Tak bardzo chciałabym spojrzeć Zanderowi w oczy i upewnić się, że był szczerzy przez telefon, mówiąc, że wszystko u niego w porządku. I podziękować Shane'owi za to, że wczoraj z nim został. Szkoda, że nie mogą przyjechać do szpitala — miejsca, które większości z nich wciąż kojarzy się z wymyślaniem przed lekarzami fikcyjnych przyczyn powstania śladów na ciele. Może by się przekonali, że tu nie zawsze jest źle. Poznaliby najmłodszego brata w ich rodzinie i zobaczyliby na własne oczy, że nic mi nie jest.

Ale ostatnie, czego bym sobie życzyła, to wepchnąć ich prosto w łapy wygłodniałych dziennikarzy. Szczególnie Zanderowi nie jest to teraz absolutnie potrzebne. Poza tym Teddy przymknął oko na moje wczorajsze odwiedziny w Domu i zakłócanie spotkania Zandera, więc rada nadzorcza nic o tym nie wie, ale nie sądzę, żeby był w stanie zrobić to samo, gdyby internet został zasypany zdjęciami chłopców pod szpitalem.

— O mój Boże, on jest uroczy. — Słowa Dorothei wrywają mnie z zamyślenia. Zerkam na Coltona i za niego, na Andy'ego, mamę i tatę, którzy otaczają ją, gdyż trzyma najmłodszego członka rodziny. Obserwuję ich przez moment, bo to niezwykle, że ta zawsze opanowana kobieta wprost rozplýwa się

emocjonalnie, przeżywając pierwsze chwile w roli babci.

— Uznaliśmy, że wpadniemy wszyscy, żebyś miała to za sobą za jednym zamachem — wyjaśnia Quinlan, nachylając się i obdarzając mnie czułym uściskiem. To chyba wpływ buzujących w moim ciele hormonów, bo przytrzymuję ją nieco dłużej niż powinnam i po prostu ją chłonę.

— Dzięki — mówię, gdy się odchyła i bacznie mi się przygląda.

— Wszystko w porządku? — pyta, a ja odpowiadam skinieniem, bo olbrzymia gula emocji utknęła mi w gardle i nie potrafię wykrztusić ani słowa.

— Tak — mówię po chwili, uśmiechając się nieznacznie. — Jestem po prostu wycieńczona. — Quinlan ściska moją dłoń, a ja dotykam kciukiem małego różowego serduszka wytatuowanego na wewnętrznej stronie jej nadgarstka.

— Gratulacje! — mówi zza niej jej chłopak, Hawke, muzyk rockowy. Podchodzi i całuje mnie w czubek głowy. — Nie możemy się doczekać, żeby rozpuścić go jak dziadowski bicz.

— Lepiej o nic nie pytaj — ostrzega mnie Quin, przewracając oczami. — Już kupił mu małą gitarę. I mikrofon. I... — Hawke zasłania jej usta teatralnym gestem, udając, że chce ją uciszyć, żeby oszczędziła mu wstydu. Najwyraźniej jednak jest już za późno.

— Z drogi. — Wiem, że nikt nie zignoruje tego głosu, i wcale sobie tego nie życzę. — Muszę zobaczyć moją przyjaciółkę.

Hawke i Quin odchodzą na bok, żeby Haddie mogła do mnie podejść. Kilka sekund później ściska mnie tak mocno, że z trudem łapię oddech.

— Jesteś mamą — mówi mi do ucha z taką miłością i namaszczeniem, że łzy wzbierają mi w oczach. Nie hamuję ich, bo spędziłam z nią pół życia i trudno mi sobie wyobrazić właściwszą osobę, z którą mogłabym to przeżywać. — Wyobrażasz sobie, jak bardzo muszę się pilnować, żeby nie wyrzucić stąd wszystkich dziadków, bo tak bardzo chciałabym mieć go tylko dla siebie?

— Myślę, że przegrałabyś tę walkę — mówię. Uśmiecha się do mnie ze łzami w oczach.

— Ace, co? — pyta, unosząc na moment brwi, a ja odpowiadam jej uśmiechem, bo to ona zapoczątkowała używanie tego słowa wiele lat temu.

— A ja to co, pies? — pyta Becks, przeciskając się do mnie wzdłuż ściany. Wszyscy pozostali są skupieni na mojej mamie, która stoi w nogach łóżka i trzyma Ace'a.

— Nie... Ale z rozkoszą prehandlowałabym cię za ciepłe czekoladowe ciasteczko i mleko, którym raczą pacjentów w tym szpitalu — odpowiadam na żarty, a on śmieje się w odpowiedzi i potrząsa głową.

— Już ja cię znam, Donovan — mówi, po czym nachyla się i całuje mnie w policzek. — Świetnie się spisałaś, Ry. Wszyscy cieszymy się twoim szczęściem.

— Dzięki, Becks. — Mój Boże. Skąd się wzięły nagle te wszystkie emocje i



płacz? Sądząc po płynących jak grochy łzach, jest mi smutno, ale tak naprawdę to dlatego, że wszystko jest tak idealne.

— Oczywiście od razu widać, że młody wygląda jak wujek Becks. Cholernie przystojny. — Haddie rzuca mu spojrzenie mówiące „no co, jestem niewinna”, gdy się do niej odwraca, a ja parskam śmiechem.

— Nie. Jestem przekonany, że uderzającą przystojność odziedziczył po wujku Tannerze — mówi mój brat, wyłaniając się zza Becksa. Wita się z nim zdecydowanym uściskiem dłoni, całuje Haddie w policzek, po czym odwraca się do mnie. — Hej, Bubs. Jak sobie z tym wszystkim radzisz?

— Nie da się tego opisać — odpowiadam cicho zgodnie z prawdą, bo żadne słowa nie są w stanie oddać tych uczuć, emocji i doznań, które z siłą tornada kursują teraz w moim ciele i duszy.

— Wyglądasz ślicznie. — Przewracam oczami na te słowa. — A on zdecydowanie ma to coś po mnie.

— Bzdura, Thomas — wtrąca się Colton, który podchodzi z drugiej strony łóżka i wyciąga do niego dłoń na powitanie. — Muszę cię rozczarować, bo to po mnie.

Tanner unosi dłonie w geście kapitulacji, jakby sugerował, że nie ma szans w tej rywalizacji. Colton parska śmiechem, a potem zerka na mnie i ściska moją dłoń. Widzę w jego oczach, że jest dumny z Ace'a, co napełnia mnie nową nadzieją na to, że uda się przezwyciężyć jego obawy, skoro jest tak odmieniony po zaledwie kilku chwilach z synem na ramionach.

— Gdzie twoja lepsza połówka? — pytam brata.

— Na imprezie, którą fotografuje. Ubolewała, że nie może się pojawić i go poznać, ale powiedziała, że spróbuje wpaść jutro. — Nachyla się, żeby obdarzyć mnie pełnym miłości uściskiem, i szepcze mi do ucha: — Mama jest wniebowzięta, że ma nowe dziecko do rozpieszczania. Mówiła nawet ojcu, że chyba nie znieśie tego, że mieszka tak daleko od wnuka, więc bądź przygotowana, że może chcieć u ciebie nocować.

— Dzięki za ostrzeżenie, ale całkiem prawdopodobne, że będę potrzebowała jej pomocy.

— Ha. Potrzebować a akceptować to dwie zupełnie różne kwestie — mówi, unosząc brwi z powątpiewaniem. Ma całkowitą rację, ale nie mogę mu jej przyznać. Zerkam na Ace'a spoczywającego w ramionach mamy i nagle zalewa mnie tak przemożne pragnienie przytulenia go, że zmuszam się do uwierzenia, że nic mu nie jest. Oczywiście, że nic mu nie jest. Ufam wszystkim osobom w tym pokoju, ale gdy było się z kimś nieodłącznie związanym przez dziewięć miesięcy, to trudno za nim nie tęsknić.

Andy i Colton wymieniają krótki, lecz serdeczny uścisk. Obserwuję ich, gdy Andy się odchyła i trzymając dłoń na policzku Coltona, bacznie go obserwuje,

żeby jak zwykle sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku. Jego spojrzenie emanuje bezwarunkową miłością. Mam nadzieję, że ludzie widzą to samo, gdy obserwują moją interakcję z Ace'em.

Ich więź jest hipnotyzująca. Patrzę, jak Colton przyjmuje miłość ojca, i moje obawy związane z jego brakiem zaangażowania powoli odchodzą w niebyt. Andy dał Coltonowi najlepszy możliwy przykład tego, jak być dobrym ojcem. Mój strach znika, a jego miejsce zajmuje wyobrażenie miłości Coltona do Ace'a: absolutnej, niepodważalnej i w pełni oddanej.

*Takiej samej, jaką darzy mnie.*

Andy odwraca się do mnie.

— Oto nasza bohaterka! — mówi donośnym głosem i natychmiast się krzywi, gdy uświadamia sobie, jak głośno to powiedział.

— Andy...

Nachyla się, żeby mnie podnieść, i obdarza typowym dla siebie niedźwiedzim uściskiem, który czuje się nawet w palcach nóg. Na szczęście tym razem jest nieco delikatniejszy.

— Rylee, dziewczyno moja, nie wyobrażasz sobie, jak mnie uszczęśliwiasz. Bez przerwy. Jesteś prawdziwym błogosławieństwem dla tej rodziny — mówi. Odchyła się i robi to samo, co przed chwilą podziwiałam w jego kontakcie z Coltonem: trzyma dłoń na moim policzku i patrzy mi głęboko w oczy. Mając tak kochającego teścia, czuję się, jakbym wygrała w totolotka.

— Wszystko w porządku? — pyta i patrzy na mnie badawczo, żeby się upewnić, że mój uśmiech jest szczery.

— W najlepszym — odpowiadam szeptem i uśmiecham się szeroko. To naprawdę niewiarygodne szczęście, że Colton trafił akurat pod jego drzwi. Pod drzwi cierpliwego człowieka, który potrafił mu pokazać, jak wygląda bezwarunkowa miłość. Już za samo to będę mu wdzięczna do końca życia. — Gratulacje, dziadku.

Odrzuca głowę i wybucha serdecznym śmiechem. Ściskam go za dłoń i uświadamiam sobie, że Colton śmieje się tak samo, chociaż jest adoptowany. Ciekawe, czy Ace też będzie miał podobną manierę, gdy podrośnie.

— Z drogi, Andy, muszę uściskać tę świeżo upieczoną mamę, która dała mi pierwszego wnuka — przerywa nam Dorothea. Bezceremonialnie odsuwa swojego męża, ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie w oba policzki.

— Witaj — mówię i ku swojemu zaskoczeniu dostrzegam w jej oczach łzy.

— Dziękuję ci — szepcze. Jej zazwyczaj pewny i dźwięczny głos faluje z nadmiaru emocji. — On jest absolutnie cudowny. Musisz być wniebowzięta.

— Nie masz mi za co...

— Owszem, mam — przerywa mi ze skinieniem głowy, ucinając wszelką dyskusję. Znam ją na tyle, żeby wiedzieć, kiedy mogę sobie pozwolić na polemikę,

i to nie jest ten moment. Nachyla się i mnie przytula, a ja mam wrażenie, jakby to był setny uścisk w ciągu tyluż sekund. Potem się prostuje i patrzy na mnie z łagodnym uśmiechem i podziwem w oczach.

Spoglądam za nią na mojego ojca. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, która emanuje podziwem, dumą, dyskomfortem związanym z przebywaniem w tak zatłoczonym pokoju oraz przede wszystkim miłością.

— Cześć, kochanie. — Podchodzi do mnie i całuje mnie w głowę. Nie pozwalam mu jednak tak tego zakończyć. Obejmuję go i z całej siły przytulam.

— Cześć, tato. Jak się z tym czujesz?

— Myślę, że nie mógłbym być bardziej dumny z ciebie niż jestem i że kocham tego chłopca, chociaż jeszcze nie miałem okazji wziąć go w ramiona — stwierdza ze śmiechem. — Będiesz fantastyczną mamą.

Tym razem nawet nie próbuję powstrzymać łez i jedna z nich zsuwa się po moim policzku, gdy słyszę ten jakże ważny dla mnie komplement od mężczyzny, którego podziwiałam przez całe życie.

— Twoja kolej — mówi moja mama, szturchając go w bok, i wręcza mu Ace'a, żeby też mógł go potrzymać. Patrząc na ten manewr i od razu wiem, że obserwowanie ich w roli dziadków będzie prawdziwą przyjemnością. Nie chodzi o to, że Dorothea i Andy mieliby być gorsi, ale to są *moi* rodzice, więc nieco bardziej wzrusza mnie świadomość, że mojego syna będą kołysały te same ramiona, które kołysały mnie, gdy byłam dzieckiem.

Odwracam głowę w prawo i zauważam, że Colton także na nich patrzy. Dociera do mnie, że on nie może czegoś takiego pomyśleć, i robi mi się go trochę szkoda. Po raz pierwszy szczerze rozumiem jego wahanie i poczucie wyobcowania, bo z nikim w tym pokoju nie łączą go takie więzy krwi jak mnie. To upokarzająca myśl, która jednocześnie otwiera mi oczy.

Mój ojciec odrywa wzrok od Ace'a w swoich ramionach i pyta o coś Coltona, więc mama kieruje swoją uwagę na mnie.

— Witaj, moje dziecko — mówi. Siada na krawędzi łóżka i odgarnia palcami kosmyk z mojej twarzy. — Wyglądasz na zmęczoną. Mocno cierpisz?

— Nie, jestem tylko obolała, ale zdecydowanie było warto — odpowiadam, a ona nachyla się i całuje mnie w czoło.

— Owszem, wystarczy na niego spojrzeć. Trzeba przyznać, że ty i Colton wiecie, jak stworzyć śliczne dziecko!

— Mamę to w genach — stwierdzam.

Mama każe sobie po raz drugi opowiedzieć to wszystko, co usłyszała już przez telefon: o odejściu wód, o porodzie, o tym, jak Ace je, o jego zdrowiu, o moim dochodzeniu do siebie. W którymś momencie przesuwam się na bok, żeby usiadła na łóżku obok mnie. Opieram głowę na jej ramieniu, a ona bawi się moimi włosami, tak jak robiła w dzieciństwie, gdy byłam chora. To kojące i

pokrzepiające, bo jest najwłaściwszą osobą, która pomoże mi w przejściu od ciąży do macierzyństwa. Wie, że nie potrzebuję słów i że wystarczy mi jej ciche wsparcie. Myślę o tym, jak wiele to dla mnie znaczy, rozglądając się po pokoju pełnym przyjaciół i bliskich.

Z trudem się tu w ogóle mieszczą. Wszyscy skupiają się na przekazywanym z rąk do rąk naszym synu i nie mogą się nadziwić, że w ogóle nie boi się takiej ciżby. I nagle dociera do mnie, że chociaż droga do macierzyństwa była pełna cierni i kolców, to trudno mi sobie wyobrazić idealniejsze rozwiązanie.

Bez wątplenia jestem teraz najszczęśliwszą osobą na ziemi.

Czas płynie i pogawędki powoli cichną. W pewnym momencie Ace zaczyna płakać. Moje ciało od razu na to reaguje. Zaczynam odczuwać panikę, gdy patrzę, jak Tanner próbuje go uspokoić, kładąc go sobie na ramieniu. Ale nie chodzi o to, że nie chcę, żeby trzymał mojego syna, lecz o to, że *sama* chcę go trzymać. Tak bardzo pragnę go przytulić, że moje ciało wręcz wibruje pod wpływem dziwnej mieszanki instynktu macierzyńskiego i hysterii.

— Mogę go przejąć, Tanner — próbuję subtelnie mu to zasugerować.

— Dam sobie radę, Ry — odpowiada. Wyłapuję spojrzenie Haddie i widzę, że zauważyła moją narastającą panikę.

— Tanner — mówi moja mama ostrzegawczym tonem, przebijając się przez hałas rozmów. — Mamy tu świeżo upieczoną mamusię, która jest nieco przytłoczona naszym zbiorowym wtargnięciem. Od jakiegoś czasu nie miała w rękach Ace'a i jestem pewna, że trochę się za nim stęskniła, więc proponuję, żebyś go jej oddał — wyjaśnia i chociaż nie widzę jej twarzy, dobrze wiem z własnego doświadczenia, jakie spojrzenie mu teraz rzuca.

Tanner wypełnia polecenie od razu, ale gdy dociera do mnie z Ace'em, jestem spocona i trzęsę się z paniki.

— Proszę — mówi, kładąc mi go w ramionach, i całuje nas oboje w głowy. — Jest naprawdę śliczny.

Odzyskuję oddech. Mały płacze, a ja nie mam pojęcia, czy to z powodu nadmiaru bodźców, czy z głodu, ale nie obchodzi mnie to. Najważniejsze, że wrócił w me ramiona. Podnoszę wzrok i odnajduję Coltona, który zauważył moje zdenerwowanie i przytłoczenie. Szepcze więc bezgłośnie *kocham cię*, co trochę porządkuje chaos w moim świecie.

— Uwaga, moi drodzy — mówi, puszczając mi oczko. — Czas na karmienie, i to wcale nie dla mnie. — Pokój rozbrzmiewa śmiechem. — Dzięki, że przyszliście poznać Ace'a, ale nadeszła pora na pożegnanie i rozejście się do domów.

Wybuchła szaleństwo pospiesznego obejmowania się, gratulacji i obietnic odwiedzin w domu w przyszłym tygodniu lub kontaktu telefonicznego. Kobiety nieco się ociągają z wyjściem, żeby zadać mi pytania, których nie mogłyby zadać

przy mężczyznach. W końcu Colton wszystkich wyprowadza i zostaje tylko moja mama.

— Dziękuję — szepczę do niej z westchnieniem, po czym odpinam szpitalną koszulę i przykładam Ace'a do piersi. Zalewa mnie natychmiastowy spokój. *Tak jest znacznie lepiej.*

— To było dość dawno temu, ale dobrze pamiętam tę panikę, myśl *oddajcie mi moje dziecko* i poczucie przytłoczenia.

— Dokładnie — odpowiadam cicho. Obie mamy opuszczone głowy i obserwujemy, jak Ace powoli rozplywa się w błogostanie.

— Pamiętaj, że przez pewien czas będziesz miała rozstrojoną gospodarkę hormonalną, więc nie zdziw się, gdy doświadczysz uderzeń gorąca i zmian nastrojów...

— Świetnie — komentuję ze śmiechem.

— Jak Colton sobie z tym wszystkim radzi? — pyta.

— Chyba dobrze — odpowiadam z wahaniem. Sama nie wiem, czy chcę oszukać samą siebie, czy skłonić ją do zgłębienia tematu. Chociaż nie, w sumie znam ją i dobrze wiem, że chodzi mi o to drugie.

— „Chyba dobrze” może oznaczać bardzo wiele — mruczy i kładzie głowę na mojej, spoczywającej na jej ramieniu.

Milczę przez kilka chwil. Nasze rodziny są dość mocno zaangażowane w nasze życie, ale zazwyczaj nie spowiadam się szczegółowo ze wszystkich problemów. Teraz jednak czuję się trochę samotna. Jakaś część mnie chciałaby od kogoś usłyszeć, że to, co zamierzam zrobić, jest właściwe.

— „Chyba dobrze” w znaczeniu, że mi pomaga, ale wiem, że się boi z bardzo wielu powodów. Że zrobi za dużo lub za mało, że go upuści, że nie nawiąże z nim więzi, że będzie jak jego rodzice... Sama nie wiem. — To by było na tyle, jeśli chodzi o zachowanie swoich wątpliwości dla siebie. Przynajmniej jednak powiedziałam o nich osobie, która nie będzie mnie oceniać i nikomu tego nie powtórzy. Dzięki Bogu za więź matki z córką.

— Mężczyźni to zmienne istoty — mówi cicho. — Oczywiście, że się boi. Co więcej, jego obawy są przypuszczalnie nieco bardziej zasadne, zważywszy na to, co przeszedł. Daj mu czas. On patrzy na swoje ręce, widzi, jakie są olbrzymie w porównaniu z głową Ace'a, i siłą rzeczy wyobraźnia podsuwa mu myśli o tym, że mógłby niechcący wyrządzić swojemu dziecku jakąś krzywdę — wyjaśnia, a ja potwierdzam westchnieniem, że rozumiem. Kojąca obecność Ace'a w połączeniu z brakiem snu sprawiają, że wyczerpanie zaczyna brać nade mną górę. — Twoje ciało zostało do tego stworzone... Doświadczyło bardzo wielu przemian przez te dziewięć miesięcy. Poza tym wychowywałaś chłopców, dlatego czujesz się znacznie swobodniej z dzieckiem niż on.

— Racja — odpowiadam cicho.

— Dla niego to wszystko jest nowe. Patrząc na jego dotychczasowe życie, można powiedzieć, że przeżył wstrząs, bo zrealizowało się coś, czego przed spotkaniem ciebie w ogóle nie chciał. Mężczyźni mają problem z zaakceptowaniem zmian, nad którymi nie mają kontroli. Dojdzie do siebie, kochanie. Nie ma wyboru.

*Właśnie że ma* — mówię do siebie. Znam starego Coltona, który otaczał się nieprzeniknionymi stalowymi ścianami. Ale przecież nie zrobiłby tego swojemu synowi. Nie ma takiej opcji. Bo w ten sposób stałby się taki sam jak jego rodzice.

— Wiem. Nie chcę po prostu, żeby się oddalił.

— Może sprawiać takie wrażenie, ale posłuchaj mnie, Rylee: twoja więź z Ace'em jest zupełnie inna niż jego. Najlepszym przykładem jest to, co się stało parę chwil wcześniej. Ty nie chcesz w ogóle się z synem rozstawać. On jest teraz dla ciebie ważniejszy niż powietrze, którym oddychasz. Mężczyźni niekoniecznie przeżywają to tak samo.

— Nigdy o tym nie pomyślałam.

— Wiem, że na samą myśl o rozdzieleniu z Ace'em serce zaczyna ci bić szybciej. Gdyby była taka konieczność, bez namysłu wjechałabyś na chodnik, nie zważając na pieszych, żeby tylko jak najszybciej do niego wrócić. To naturalne — chichocze. — Ja miałam to samo z wami. Potrzebowałam chwili oddechu... Ale gdy tylko się z wami rozstawałam, natychmiast czułam palącą potrzebę, by do was wrócić. A Colton? Dla niego to zupełnie inne uczucie. On doświadcza teraz drastycznej zmiany w życiu. Owszem, dziecko to wspaniały dar, który jednak jednocześnie go przeraża. Nie wspominając już o lęku przed tym, że jego miejsce w twoim życiu zostanie zajęte przez chłopca, który prawdopodobnie jest od niego przystojniejszy.

Parskam śmiechem, ale jej mądre słowa trafiają do mnie bardziej niż mogłoby mi się wydawać.

— Dzięki, mamo. Zawsze wiesz, co powiedzieć.

— Nie sądzę, ale miło mi, że tak mówisz.

Po tych słowach wstaje z łóżka. W tym samym momencie otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi Colton.

— To znak, że powinnam się zbierać — mówi. Nachyla się, po raz kolejny całuje Ace'a w główkę i spogląda mi w oczy. — Zawsze możesz na mnie liczyć. Pamiętaj. Niezależnie od pory dnia.

— Dziękuję. Kocham cię.

— Ja też cię kocham — odpowiada, zerka jeszcze na Ace'a, po czym zwraca się do Coltona: — Zostawię cię z rodziną, Colton. Opiekuj się moim dzieckiem i wnukiem. — Podchodzi do niego, przytula go mocno, a potem całuje w policzek.

— Tak zrobię. Pozwól, że cię odprowadzę.

Wychodzą z pokoju, a wokół mnie i Ace'a ponownie zapada kojąca cisza.

## *Rozdział 24.*

### *Rylee*

Przekładam Ace'a na prawą stronę, gdy otwierają się drzwi.

— Dzięki, że ją odprowadziłeś — mówię, nie patrząc. Colton nie odpowiada, więc podnoszę głowę i wydaję z siebie cichy jęk zaskoczenia, gdyż w nogach łóżka stoi obcy mężczyzna.

— Przepraszam. Przestraszyłam się. — Przyglądam mu się badawczo. Ma niebieski kitel, włosy ukryte pod czepkiem chirurgicznym i czyta coś w kartotece, trzymając nad nią gotowy do pisania długopis.

— Nowa zmiana, nowy obchód — mruczy pod nosem, nie podnosząc głowy. Mimo że nie widzę jego twarzy, czuję niepokojący dreszcz, który przebiega wzdłuż kręgosłupa i więźnie mi w gardle. — Jak tam nasze słodkie maleństwo? — Od jego głosu i słów włosy na karku stają mi dęba.

*Gdzie jesteś, Colton? Czy Sammy poszedł z tobą?*

— Czego pan sobie życzy? — pytam spokojnym i opanowanym głosem, chociaż intuicja każe mi wołać o pomoc. Próbuję dyskretnie odczytać nazwisko na plakietce, którą ma przyczepioną do góry nogami.

— Teraz, gdy go już masz — mówi, podnosząc nieco głowę, żeby wskazać leżącego na mojej piersi Ace'a — potrafisz sobie wyobrazić, że mogłabyś go stracić?

Zalewa mnie niepokój po tym skrajnie dziwnym pytaniu, ale on sprawia wrażenie, jakby w ogóle tego nie zauważył. W skupieniu zapisuje coś w kartotece, którą trzyma w dłoni. Próbuję przesunąć Ace'a, żeby zasłonić odkrytą pierś, a drugą rękę powoli zbliżam do przycisku przywołania pielęgniarki. Oczywiście znajduje się na obrzeżu łóżka niedaleko przybysza. Staram się nie wzbudzać podejrzeń, mimo że chce mi się krzyknąć z niepewności.

— Nie. Nie potrafię — odpowiadam w końcu.

— Ja straciłem wszystko. Żonę. Dzieci. Przez jednego człowieka — mówi pustym i beznamiętnym głosem. Patrzę na niego i błagam w myślach, żeby podniósł głowę i pokazał twarz. Uświadamiam sobie, że gryzmoli coś zawzięcie, mimo że nie zapytał mnie o nic, co mógłby zanotować.

Trzymam palce nad przyciskiem przywołania pielęgniarki, ale nie naciskam go, bo nie chcę robić sceny, nawet jeśli instynkt podpowiada mi, że coś tu nie gra. Przypominają mi się słowa mamy o szaleństwach świeżo upieczonych mam i zastanawiam się, czy przypadkiem nie tego właśnie doświadczam. Że buzujące

hormony uniemożliwiają mi trzeźwą ocenę sytuacji.

Ace wyczuwa mój niepokój, bo zaczyna płakać.

— Przykro mi — reaguję w końcu. Obserwowanie mężczyzny nagle staje się trudne, gdy jednocześnie próbuję uspokoić syna. — To straszne.

— Doszedłem do wniosku, że sprawiedliwość wymaga odpłacenia się tym samym. Żeby ten ktoś też poczuł tę niemoc. To obnażenie. Ten lęk, że także może wszystko stracić. Że jego szczęście jest ulotne.

Potrząsam głową. Zastanawiam się, o co, u licha, może mu chodzić, a powracająca fala niepokoju sprawia, że płacz Ace'a przybiera na sile.

— Przykro mi, nie rozumiem, o co panu chodzi, i czuję się nieswojo. Byłabym panu wdzięczna, gdyby opuścił pan mój pokój.

Po raz pierwszy podnosi wzrok i kieruje we mnie krystalicznie przejrzyste niebieskie źrenice, w których dostrzegam cień rozbawienia pasujący do nieznacznego uśmiešku na ustach.

— Oczywiście. Potrzebuję tylko pani podpis na tym formularzu, który muszę oddać, i już mnie nie ma — odpowiada, podchodząc bliżej, i kładzie teczkę na stoliku obok mnie. Mimo że wzbudza mój niepokój, spoglądam na niego jeszcze raz, bo wydaje mi się dziwnie znajomy, ale on znowu spuszcza głowę i w skupieniu szuka czegoś w kieszeni.

— Jasne. — Niech mu będzie. Cokolwiek, byle sobie poszedł. Kładę Ace'a w zagłębieniu między udami i biorę długopis, który mi podaje.

Otwieram teczkę.

Opada mi szczęka.

Jestem zszokowana.

Moja prywatność została zdruzgotana.

Pękła bańka, w której się ukrywałam.

Wszystko układa mi się w głowie w całość, gdy patrzę na zdjęcie z filmu, na którym mam tak szeroko rozłożone nogi, że można by się uczyć anatomii.

Podnoszę wzrok. Ma dłuższe włosy, a demaskujące go blizny są zakryte przez kozią bródkę, ale bez wątpienia jest to człowiek, który niespełna miesiąc temu przewrócił nasz świat do góry nogami.

Eddie Kimball.

Wydaje mi się, że słyszę odgłos migawki. Nie jestem pewna. Zmuszam się do oderwania wzroku od jego twarzy i spoglądam na telefon w jego wyciągniętych rękach. W tej samej chwili błyska flesz, a ja kulę się, by zakryć odsłoniętą pierś, i zaczynam krzyczeć. Uderzam palcem w przycisk przyzywania pielęgniarki, a Ace zaczyna coraz głośniej zawodzić pod wpływem mojej narastającej paniki.

— Na pomoc! — krzyczę. Jęki Ace'a przybierają na sile. — Na pomoc!

— *Co się tak nagle wstydzisz obiektywu?* Donavan odebrał mi wszystko. Zemsta jest słodka — mówi i wybiega z pokoju. W interkomie odzywa się głos



pielęgniarki.

— Wszystko w porządku, pani Donavan?

— Ochrona! — krzyczę na cały głos. Podnoszę Ace'a i przytulam go mocno do piersi. Kołyszę go, chociaż sama cała drzę, próbując uporać się ze strachem, który nie pozwala mi rozsądnie myśleć.

Drzwi otwierają się na oścież i do pokoju wbiega pielęgniarka. W tym samym momencie słychać trzask w korytarzu i rozlega się pisk, coś jakby alarm przeciwpożarowy.

— Wszystko w porządku?

— Tak. Tak. Nic nam nie jest — mówię, kołyszając Ace'a. — Wszystko będzie dobrze — powtarzam do niego, jakbym sama chciała się do tego przekonać. Ale wcale nie jest w porządku.

*Absolutnie.*

Pielęgniarka podnosi słuchawkę telefonu w pokoju i mówi coś, czego nie słyszę, bo w uszach łomocze mi oszalały puls. Gdy odkłada słuchawkę, alarm przestaje wyc.

Ale ten w mojej głowie i w sercu nadal rozbrzmiewa. Boję się, że już nigdy nie przestanie.

Czuję w tej chwili strach, jakiego doświadczyłam tylko dwa razy w życiu — gdy straciłam jednego mężczyznę i niemal straciłam drugiego. Mieliśmy być bezpieczni. I szczęśliwi. A mimo to facet, który wyrządził nam już tyle złego, znowu uderzył.

— Powiedz mi, co się stało — prosi pielęgniarka, lecz w tym samym momencie do pokoju wpada zdyszany Colton. W obronnej postawie i z dzikim strachem w oczach taksuje spojrzeniem mnie i Ace'a, żeby się upewnić, że nic nam się nie stało.

— Rylee? Ktoś wzywał ochronę do tego pokoju.

— *Eddie.* — Wystarczy jedno słowo, żeby zrozumiał, dlaczego po moich policzkach płyną łzy, co sama sobie uświadamiam dopiero teraz, i dlaczego przyciskam do siebie Ace'a tak mocno, że gdyby nie płakał, pomyślałabym, że go udusiłam.

— Nic ci nie jest? — pyta przez zaciśnięte zęby. Mięsień jego szczęki pulsuje, gdy czeka na odpowiedź. Potakuję, a on wypada z pokoju.

Dawniej krzyknęłabym za nim, żeby wrócił. Że go jeszcze potrzebuję. *I w sumie teraz też mam ochotę to zrobić.*

Ale milczę.

Nic. *Mi.* Nie jest. *Na razie.*

Eddie Kimball próbował skrzywdzić mojego syna.

Mam nadzieję, że mój mąż go dopadnie i też go skrzywdzi.

## *Rozdział 25.*

### *Colton*

— Policja ma to pod kontrolą.

— Jak cholera! — krzyczę do telefonu na CJ-a i Kelly'ego, chodząc po korytarzu tam i z powrotem jak zwierzę w klatce. — On był w JEJ pokoju. SAM. Ten pieprzony skurwiel znalazł się w promieniu metra od niej i Ace'a. Szydził z niej. To jest poważny problem!

— Zrobił zdjęcie? — pyta CJ, jakby chciał podrażnić wściekłego psa.

— A skąd mam, do cholery, wiedzieć? — cedzę przez zaciśnięte zęby. — Rylee nie wie. Myśli, że nie, ale nie jest pewna. Wszystko stało się tak szybko. — Ciarki mnie przechodzą na myśl, że był tak blisko niej. I Ace'a.

Ciężkie westchnienie po drugiej stronie jeszcze bardziej mnie irytuje, bo czuję, że oni coś przede mną ukrywają.

— Czego mi nie mówicie?

Zalewa mnie wściekłość, jakiej jeszcze nigdy wcześniej nie czułem. Z trudem opanowuję nieodparte pragnienie zemsty, bo ten facet zabrał mi już zbyt wiele.

— Niczego — odpowiada CJ i zanim zdążę go o cokolwiek dopytać, dodaje: — Ochrona szpitala...

— Jest do bani — dokańczam za niego. — Pozwolili, by facet z ulicy w czepku chirurgicznym i kitlu prawdopodobnie kupionym w sklepie z przebraniami na Halloween gwizdnął identyfikator z dyżurki pielęgniarek i wparadował do pokoju Ry, gdy odprowadzałem rodzinę, a Sammy pomagał mi opanować medialne sępy przed szpitalem. Musiał się ukrywać, skoro Sammy go nie zauważył. Przypuszczalnie nas obserwował i czekał, aż wyjdę. *Pieprzony świr*. — Zaciskam pięść. Czuję tak niepohamowaną chęć przywalenia w ścianę, że muszę stać na środku korytarza, aby w zasięgu ręki nie było niczego, co można zniszczyć. — Niech się teraz modlą, żebym ich nie pozwał za...

— Uspokój się...

— Nie mów mi, że mam się uspokoić!

— Właśnie piszę zażalenia dotyczące naruszenia tajemnicy lekarskiej, a Kelly powiadomił policję o naruszeniu zakazu zbliżania się, co...

— Co nic nie zmieni, ale dobrze, że to zrobił. Bądź gotowy na wpłacenie kaucji, jeśli spotkam tego dupka twarzą w twarz, bo będę tego potrzebował. — Zerkam na drzwi pokoju Rylee i myślę o tym, że muszę jakoś opanować tę

wściekłość, żeby jej nie przestraszyć.

— Colton. Pozwól, by instytucje pilnujące przestrzegania prawa...

— Zabieram stąd Rylee. — Nie chce mi się słuchać jego uspokajających ściem na temat działań, które nie przyniosą niczego dobrego. Zresztą moja pięść na twarzy też w niczym tu nie pomoże. — Zatrudnię pielęgniarkę, jeśli będę musiał, ale do godziny nas tu nie będzie. Pieprzyć ich zalecenia dotyczące wypisów. Jeśli będzie trzeba, każę Sammy'emu poczekać, ale nie będę narażał na niebezpieczeństwo moich bliskich w tak dostępnym miejscu.

— Zrozumiałe — Kelly odzywa się po raz pierwszy.

— Znajdź go albo wylatujesz.

Rozłączam się. Mam tak silne pragnienie rzucenia telefonem, że kucam, chowam głowę w dłoniach i zmuszam się do oddychania, żeby się powstrzymać. Powiedziałem CJ-owi, że tego nie zrobię, ale muszę się uspokoić i zacząć racjonalnie myśleć. Tyle że wszelki zdrowy rozsądek wyparował w tej samej chwili, gdy ten palant dopadł moją żonę.

Zdrowy rozsądek jest przereklamowany.

Boże, jak mi szkoda, że go nie znalazłem. Że go nie dopadłem gdzieś na terenie szpitala, gdzie mógłbym go pobić do utraty przytomności.

Ale nic z tego. Ulotnił się jak kamfora. *Kurwa.*

Ulotnił się tak, jak miały się ulotnić pieprzone duchy z przeszłości, które kryją się na obrzeżach umysłu i śmieją się ze mnie. Sarkają, że to zdarzenie dowodzi, że nie potrafię zaopiekować się własną żoną i synem. Wcale nie jestem lepszy od swojej matki. Pozwoliłem, by jakiś facet po raz drugi zagroził mojej żonie i tym razem także memu synowi, a ja siedziałem gdzieś indziej ze związanymi rękami i nie byłem w stanie go powstrzymać.

*Ace, Ace. Mały słodki Ace.*

Pocieram twarz dłońmi i wstaję. Powtarzam sobie, że to wściekłość i wyczerpanie robią mi wodę z mózgu. Muszę uciszyć te głosy w głowie. Muszę jakoś uciszyć te pieprzone wątpliwości.

Pomógłby mi w tym chrzest jego nosa po spotkaniu z moją pięścią.

Wzdycham i wchodzę do pokoju. Pięć minut temu chciałem jak najszybciej się stamtąd wydostać, żeby nie musieć konfrontować się z jej przerażonym spojrzeniem i nie patrzeć na syna, którego zawiodłem w ciągu pierwszych trzydziestu godzin jego życia. Teraz jednak jedyne, czego pragnę, to wrócić do nich, spakować manatki i wypieprzać stąd, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu, w naszym małym świecie.

## *Rozdział 26.*

### *Rylee*

Jestem cała mokra. To zupełnie inny rodzaj potu niż normalnie. Czuję uderzenia gorąca w całym ciele, od których drżą mi kończyny, serce łomocze jak oszalałe i kręci mi się w głowie. Z trudem tłumię nudności, gdy Sammy wyjeżdża z chronionego parkingu szpitalnego na drogę, na której natychmiast dopadają nas paparazzi.

Przepychają się nawzajem i próbują przebić się obiektywami przez przyciemniane szyby naszego samochodu, żeby zdobyć pierwsze zdjęcie Ace'a. Tę pożądaną fotkę, którą można sprzedać za równowartość rocznego wynagrodzenia.

Wzdrygam się cała, gdy pięści stukają w szyby. Pochylam się nad fotelikiem dla dziecka przypiętym między Coltonem i mną. Odwrócona plecami do okna, żeby zasłonić sobą Ace'a, zamykam oczy i próbuję powstrzymać cisnące mi się do oczu łzy.

— Nie, Ry. Proszę, nie — mruczy Colton. Chwyta mnie za dłoń, a drugą gładzi po włosach. Chrząkam i próbuję odegnać łzy mruganiem. Ace wygląda tak słodko i niewinnie. Nie zasłużył sobie na takie przyjęcie po przyjściu na świat.

Zdecydowałam się wkroczyć na tę ścieżkę życia z miłości do Coltona, ale teraz to samo zafundowałam dziecku. Wiem, że jest za późno, ale nie podoba mi się to. Eddie zakradł się do mojego pokoju, żeby coś nam udowodnić i skazać tę idealną chwilę, podobnie jak wcześniej za pomocą filmu.

— Nigdy już tego nie odzyskamy — szepczę. Dłonie łomoczą w tylną szybę, gdy Sammy skręca na główną ulicę i odjeżdża przed nosa polującym sępom.

— Co przez to rozumiesz?

— Tej chwili. Tego czasu spędzonego w szpitalu, gdy tworzą się więzi, zanim codzienność zacznie nam stawać na drodze. On nam to odebrał. Zabrał nam to uczucie. Nigdy go nie odzyskamy.

— Owszem, odzyskamy — odpowiada bez wahania. Puszczą moją rękę i ujmuje moją twarz w dłonie, żebym spojrzała w jego zatroskane oczy, które emanują poczuciem winy w związku z tym, co się stało. — Pamiętasz tę pustą ramkę? To jest nasze pierwsze wspomnienie, które w niej umieścimy. Nikt nam go nie odbierze, kochanie. Jesteśmy w nim tylko ty, Ace i ja. Nasze pierwsze wspomnienie, które znajdzie się tam nawet bez naszej woli. Eddie pojawił się tylko na ułamek sekundy. Przepraszam, że to spieprzyłem i że nie byłem przy tobie, ale ta chwila i to życiowe wydarzenie całkowicie przyćmiewają jego najście.

Gładzi kciukiem moją dolną wargę, żeby podkreślić swoje słowa. I to działa. Uspokaja mnie jego kojący szept i dotyk. Odcinam się od zewnętrznych zdarzeń i skupiam na tym co najważniejsze: na *nas*.

Przypieczętowuje swoje słowa pocałunkiem w nos i w usta i opiera czoło na moim czole.

— Dziękuję ci za najpiękniejszy dar, jaki w życiu otrzymałem, nie licząc ciebie. Tego wspomnienia nie trzeba nawet oprawiać, bo i tak nigdy nie zapomnę wyrazu twojej twarzy, gdy po raz pierwszy wzięłaś Ace'a na ręce.

Jego słowa zakotwiczają się w mojej wzburzonej psychice i czuję, że powoli odzyskuję grunt pod nogami. Dotyk Coltona potwierdza naszą niezaprzeczalną więź i nieodpartą miłość. Najlepszym dowodem tej miłości jest dziecko śpiące spokojnie w foteliku między nami.

— Nie obwiniam cię. W żadnym wypadku. Chodzi o to, że muszę... że my musimy się teraz martwić już nie tylko o siebie. Przeraza mnie to, bo odnoszę wrażenie, że nie mamy nad niczym kontroli.

— Nikt nie ma kontroli nad życiem, Rylee. Dlatego jest takie piękne i zarazem przerażające. Akceptujemy każdy kolejny dzień, staramy się dbać o nasz skrawek życia i cieszymy się każdą pieprzoną chwilą, jaka została nam dana.

— Chciałabym tylko, żeby w tym naszym małym skrawku zapanował spokój.

#

Pod bramą jest co najmniej tyle samo paparazzich co pod szpitalem. A może nawet więcej, bo wszyscy wiedzieli, dokąd wyjeżdżamy. Przechodzimy więc przez tę samą rutynę stukania w szyby i krzyków, żebyśmy złożyli oświadczenie prasowe.

Desperacko pragnę zachować chociaż odrobinę prywatności i uchronić syna przed tym szaleństwem, więc mówię Sammy'emu, że wysiadziemy w garażu, co oznacza, że musimy poczekać w samochodzie, aż wyjedzie Sexem, żeby mógł wjechać range roverem.

Wiem, że przesadzam, ale każda część mojego życia i ciała została publicznie obnażona, a moją nieistniejącą prywatność można bez trudu naruszyć, jak zademonstrował dziś Eddie, więc staram się z całych sił zachować Ace'a dla nas. Nie chcę się nim jeszcze dzielić ze światem.

Pieprzyć to, że do naszej specjalistki od PR-u, Chase, dobijają się przedstawiciele magazynów „People”, „Us” i „Star”, oferując nedorzeczne sumy za pierwsze zdjęcia z Ace'em. W tej chwili nie zależy mi na pieniądzach, lecz na odzyskaniu prywatności. Normalności. Nie chcę już czuć się tak obnażona. Nie chcę już czuć tej bezbronności wynikającej z życia w szklanym kloszu otoczonym przez tłumy ciekawskich.

Chciałabym odtworzyć naszą prywatną bańkę. Tę, którą tak starannie z Coltonem pielęgnowaliśmy, ukrywając się przed wszystkimi na początku małżeństwa. Gdy mówiliśmy mediom, żeby się od nas odwały, bo niezależnie od ich zabiegów nie ugniemy się pod presją ich plotek i sztuczek.

I się nie ugięliśmy.

Nawet po publikacji filmu. Mimo to czuję się, jakby coś nam odebrano. Bo nigdy nie będziemy zwyczajną amerykańską parą, która dba o swoje małżeństwo w normalnym, codziennym życiu. I chodzi nie tyle o anonimowość, ile o to nieustanne poczucie bycia obnażonym. Skutkiem tego, że każdy może nas oglądać i oceniać, była moja utrata pracy, narażenie Zandera na niebezpieczeństwo i przekształcenie wyjątkowej chwili między nami w internetową ekstazę.

Po prostu już nie mogę. Tego jest zbyt dużo na raz. Mam nadzieję, że Ace pomoże nam odzyskać ten nasz spokój, o którym powiedziałam Coltonowi.

Jestem strzępkiem nerwów. Czuję się wyczerpana. Mój umysł jest tak przeładowany, że trudno mi się na cokolwiek skupić. Już dawno tak się nie czułam, bo zawsze staram się mieć wszystko pod kontrolą, ale teraz jestem tak wycieńczona, że nawet nie chce mi się tym przejmować.

Mimo tego zmęczenia po wejściu do domu czuję się niespokojnie i mam ochotę zamknąć się w jednym pokoju z moimi dwoma mężczyznami i poczekać, aż zewnętrzny świat zniknie. Zamiast tego jednak chodzę tam i z powrotem z Ace'em na rękach, pozwalając, by ten niepokój zdominował moje myśli.

— Ry, powinnaś usiąść — mówi Colton, gdy wraca z piętra, gdzie poszedł odłożyć bagaże i prezenty. W odpowiedzi potrząsam tylko głową i zastanawiam się, dlaczego czuję się tak niespokojnie nawet we własnym domu. — Właśnie urodziłaś dziecko. Obiecałaś, że wyluzujesz, dopóki nie wydobrejesz. A to — pokazuje, jak chodzę — nie jest odpoczywanie.

— Wiem. Wyluzuję — szepczę, skupiona na czymś innym, bo przyszła mi do głowy pewna myśl.

— O co chodzi, Ry? Widzę, że coś cię trapi. Co to takiego?

— Miałaś kiedyś ochotę odciąć się ze mną od świata? Stworzyć dla nas własny mały świat i zignorować całą resztę? — Zatrzymuję się na ostatnich słowach, lecz mój umysł brnie dalej.

Colton patrzy na mnie z przechyloną głową, próbując rozgryźć, do czego zmierzam.

— Jasne. Cały czas o tym myślę. — Uśmiecha się nieznacznie. — Coś mi jednak mówi, że znudziłabyś się mną, gdybyś nie miała żadnego innego towarzystwa.

Zmuszam się do przełknięcia śliny, bo nagle szklane drzwi tarasowe za jego plecami wydają mi się niesłychanie wielkie. Nigdy wcześniej mi nie przeszkadzały, lecz teraz mam wrażenie, że są jak gigantyczny ekran wyświetlający nasze życie i

pozwalający ludziom na podglądanie.

— Nikt tu nie zajrzy, Rylee. Mieszkam tu już piętnaście lat i jeszcze nigdy nie zrobiono mi żadnego zdjęcia z plaży. — Jego głos jest poważny, a oczy przepełnione troską. Powinnam się cieszyć, że tak trafnie mnie odczytał. Powinnam docenić to, że stara się uśmierzyć mój niepokój, jeszcze zanim go wyrażę.

*Ale nie potrafię.* Zbyt mocno skupiam się na dużych oknach i dalekosiężnych obiektach, które w jakiś sposób uchwycą nas mimo przyciemnionych szyb.

— A jeśli trafi się jakiś samotny wolny strzelec? Albo dron? To ostatnio modne. — Wiem, że ryzykuję, iż uzna mnie za stukniętą, ale w tej chwili najważniejsza jest dla mnie ochrona prywatności tej przestrzeni.

— Wiesz, że to są weneckie okna. My przez nie widzimy, ale nikt z zewnątrz nie może zajrzeć do środka, chyba że są otwarte. — Irytuje mnie jego uspokajający ton, ale wytrąca mnie z kielkującej hysterii i odzyskuję zdrowy rozsądek.

— Przepraszam. — Potrząsam głową i całuję Ace'a w czoło. — Dzisiejszy dzień mną wstrząsnął. Wiem, że brzmiałam, jakbym straciła rozum. Jestem zmęczona i...

— Mną też wstrząsnął dzisiejszy dzień, Ry. Sprawił, że zacząłem dziękować Bogu za to, że w zeszłym roku zleciłem generalny przegląd systemu alarmowego. — Podchodzi, wciąga mnie z Ace'em w bezpieczną przystań swoich ramion i całuje nas w czoła. — Jesteście dla mnie wszystkim. Zrobię co w mojej mocy, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo.

Następne dwanaście godzin mija mi na śnie przerywanym wrzucaniem w siebie jedzenia, zmianą pieluch i rozpaczliwymi próbami zachowania przytomności podczas pielęgnowania Ace'a z obawy, że mogłabym go jakoś skrzywdzić. To brutalna rutyna, w której z pewnością wszystko robię źle. Nie potrafię zignorować płaczu syna, więc gdy zaczyna kwilić, próbuję go ukołysać lub leżeć na kanapie z nim na piersiach, żeby spać razem z nim. Lecz wystarczy, że odłożę go do łóżeczka, a natychmiast się budzi.

Drzemię sobie rozkosznie, chociaż to bardzo płytki sen, bo boję się, że nie usłyszę Ace'a, jeśli się obudzi i będzie mnie potrzebował. Nagle się budzę z sercem w gardle, cała obolała, i wpadam w przerażenie, bo uświadamiam sobie, że zasnęłam podczas karmienia z Ace'em przy boku.

Spanikowana przykładam dłoń do jego klatki piersiowej, żeby sprawdzić, czy oddycha i czy nie przygniotłam go przypadkiem przez sen. Powoli się uspokajam, ale wybija mnie z tego krzyk. Pusty i przerażony krzyk Coltona. Czyżby to on mnie obudził?

— Colton! — wykrztuszam z siebie, próbując go obudzić. Jednocześnie w pośpiechu przytulam do siebie Ace'a, żeby Colton nie zrobił mu krzywdy, zanim wyrwie się ze szponów swojego koszmaru. — Colton! — Przesuwam się w górę łóżka, żeby oprzeć się o wezgłowie z Ace'em przy piersi, a w pokoju

rozbrzmiewają głośne protesty i jęki Coltona.

— Nie! — krzyczy ponownie, lecz tym razem zrywa się ze snu. W skąpanym w blasku księżycy pokoju nie widzę jego oczu, ale dobrze wiem, że to, o czym śnił, poważnie nim wstrząsnęło. Czuję zapach strachu w jego pocie, słyszę chrapliwość jego głosu i wyczuwam, że jest kompletnie zagubiony.

— Wszystko jest w porządku, Colton — mówię, a on wzdryga się, słysząc mój głos. Deprymuje mnie to, szczególnie że nie pamiętam, kiedy ostatnio śniło mu się coś takiego. Podskakuje, gdy go dotykam, ale nie zabieram ręki, żeby wiedział, że jest ze mną, a nie w ciemnym pokoju ze spleśniałym materacem, który wciąż od czasu do czasu prześladowuje go w snach.

A może częściej, tylko że mi o tym nie mówi.

— Kurwa — cedzi przez zęby. Wstaje i zaczyna kroczyć tam i z powrotem w nogach łóżka, jakby chciał wyrzucić przynajmniej część trawiącego go niepokoju. Porusza ramionami, żeby okiełznać to, co go dręczyło.

Po kilku chwilach chodzenia z rękami splecionymi za głową w kompletnym skupieniu na sobie zatrzymuje się po mojej stronie łóżka i siada na materacu.

— Przepraszam.

— Nie masz za co przeproszać — odpowiadam, obserwując bacznie jego mowę ciała, żeby odszyfrować stan duszy. Chcę się dowiedzieć, czy jest przerażony, zdezorientowany lub wylękniony...

— Pieprzone sny — stwierdza bardziej do siebie niż do mnie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio karmiłam Ace'a, więc przykładam go do piersi i patrzę, jak Colton opanowuje swoje emocje.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Nie! — odszczekuje, lecz natychmiast wzdycha, gdyż uświadamia sobie jadowitość swojego głosu. — Przepraszam... Jestem teraz w kiepskim stanie. Rozumiesz?

Potakuję z nadzieją, że jednak ze mną porozmawia i wyrzuci z siebie to, co go dręczy, bo zdaję sobie sprawę z tego, jak uciążliwa bywa dla niego jego przeszłość. Nie wie, że potrafię rozpoznać, gdy nachodzą go dawne demony i próbują odebrać mu szczęście. Widzę je w jego oczach i w zatroskanym wyrazie twarzy.

Wolałabym dać mu spokój, ale muszę wiedzieć.

— Chodzi o Ace'a? — pytam najłagodniejszym głosem świata, jakbym bała się odpowiedzi.

— Nie. — Wzdycha głęboko. — Tak — odpowiada jeszcze łagodniej niż ja. Wzbudza to tumult w moim wnętrzu, bo uzyskuję potwierdzenie mojej teorii na temat jego postawy w szpitalu, ale znam Coltona na tyle dobrze, że wiem, iż muszę siedzieć cicho i go wysłuchać, bo potrzebuje chwili na wyjaśnienia. — Nie chodzi o niego, Ry. Nie chodzi o ciebie... Chodzi o to, że bycie ojcem wzbudza we mnie



szajs, z którym niby już się uporałem.

— To zrozumiałe.

— Nie, wcale nie. To pieprzone bzdury. Nosiłaś w sobie naszego syna przez dziewięć miesięcy, przeszłaś przez męki porodu jak jakaś święta, a teraz jesteś tu i wyglądasz cudownie, biorąc pod uwagę to, co przeżyłaś, a ja jestem palantem, który ma tak nasrane w głowie przez koszmary, że boi się spać w łóżku, bo przecież może się zdarzyć, że będziesz miała przy sobie Ace'a. — Jego słowa zawisają we wścieklej ciszy, która wypełnia przestrzeń między nami.

— Kelly znalazł twój ojca, prawda?

Colton odwraca się do mnie. Mimo ciemności widzę jego intensywne spojrzenie i zaciśniętą szczękę i domyślam się odpowiedzi, zanim powoli przytakuje. Teraz wszystko mi pasuje.

— Tak, a do tego prześladowają mnie te sny, przez co mam w głowie istny chaos. — Jego głos jest tak boleśnie szczery, że wyraźnie wyczuwam jego wewnętrzną burzę i chociaż rzadko zmuszam go do mówienia, tym razem chcę wiedzieć więcej.

— Jak to?

— *Jak to?* — przedrzeźnia mnie i śmieje się sarkastycznie.

— Opowiedz mi te sny.

— Nie. — Jego natychmiastowa odpowiedź wytrąca mnie z równowagi, bo oznacza, że dręczące go koszmary są gorsze niż te, o których już mi opowiadał. Samo to wzbudza we mnie obawy.

— Zamierzasz spotkać się z ojcem? — pytam z pełną świadomością tego, co zaszło, gdy ostatnio zasugerowałam mu coś takiego. Odszukał matkę i tamtej nocy na torze ujawnił swoją przeszłość i wypuścił demony, które męczyły go przez całe życie. Dzięki temu mógł ruszyć dalej. Ponieważ milczy, odpowiadam zupełnie inaczej niż za pierwszym razem, gdy mi o tym powiedział. — Myślę, że powinieneś.

Colton wzdryga się na te słowa, a jego przystojna twarz emanuje zdumieniem moją radykalną zmianą frontu.

— Że co?

— Może potrzebujesz spojrzeć mu w oczy i zobaczyć, że w niczym go nie przypominasz. Może dowiesz się, że nic o tobie nie wie albo...

— Albo dowiem się, że to mój ojciec mnie prześladował i że mam w sobie nie tylko *jej* krew, ale także krew prześladowcy dzieci. — Pod wpływem jego wściekłości mój umysł kieruje się w stronę czegoś, czego nigdy nie brałam pod uwagę.

— O czym ty mówisz, Colton? — dopytuję łagodnie, bo nie spodziewałam się *takiej* odpowiedzi.

— O śnie — zaczyna, lecz natychmiast urywa i potrząsa głową. Wyciąga

dłoń i chwyta małą rączkę Ace'a, która wysunęła się spod kocyka. — Dręczy mnie sen, w którym wchodzi do pokoju i widzę w nim swoją matkę. Jest młodsza, ładniejsza i w ogóle nie przypomina kobiety, którą pamiętam. Kołysze dziecko na rękach, chyba mnie. Śpiewa mi coś, a w rogu pokoju stoi mężczyzna, którego nie widzę. To chyba mój ojciec. Gdy się do niej odwracam, wygląda już tak, jak ją zapamiętałem. Jest zniszczona, naćpana... Wszystko jest takie realne. Czuję jej zapach i nieświeże, papierosowe powietrze. Słyszę padające z kranu krople, które zazwyczaj liczyłem. Widzę superbohaterów, których narysowałem kredkami na ścianie, żeby ich widzieć, gdy... — Serce mi pęka na myśl o przeżytych przez niego piekle, które teraz wraca pod wpływem okoliczności, na jakie nie mam wpływu.

Chciałabym móc mu jakoś ulżyć, pocieszyć go, zrobić cokolwiek, by złagodzić jego ból i pomóc w rozwiązaniu targających nim wątpliwości. *Ale nie mogę*. Mogę tylko być przy nim, wysłuchać go i nie opuszczać, gdy postanowi zmierzyć się z tym demonem.

— Kurwa — mówi i wstaje z łóżka. Baxter podnosi głowę, żeby sprawdzić, czy to pora spaceru, bo Colton podchodzi do ściany okien wyglądających na ukrytą w czerni nocy jego ukochaną plażę. — Najgorsze w tym śnie jest to, że *to ja*. Jego ciało. Jego dłonie. Jego zapach. Ale to moje ręce wyciągają się po Ace'a, żeby mu Bóg wie co zrobić. — Przewraca mi się w żołądku, gdy patrzę na anielską twarzyczkę Ace'a. Ja cierpię na samą myśl o tym, że Ace ma zostać zaszczepiony, więc tym bardziej nie mieści mi się w głowie, jak matka Coltona mogła zmuszać go do czegoś takiego w zamian za pięciominutowy odlot.

— Och, Colton — szepczę w jego stronę. Chciałabym, żeby podszedł bliżej i żebym mogła go objąć i pocieszyć, ale wiem, że nawet mój dotyk nie jest w stanie uśmierzyć targającego jego wnętrzem sztormu.

— Wiesz... poprosiłem Kelly'ego o odszukanie mojego ojca, bo chciałem zamknąć ostatni rozdział z mojej historii. Z całą pewnością nie zależy mi na zjednoczeniu po latach. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle mam ochotę z nim rozmawiać. Wiem tylko tyle, że chcę się przekonać, czy jesteśmy w jakimkolwiek stopniu podobni. Zdaję sobie sprawę, że to głupie, ale jakaś część mnie potrzebuje tej wiedzy. — Odwraca się do mnie, a ja uświadamiam sobie, że w pokrętny sposób prosi mnie o zrozumienie czegoś, czego sam nie pojmuje.

— A teraz? — dopytuję w nadziei, że będzie mówił dalej i że wyrzucenie tego z siebie pozwoli mu pokonać dręczące go obawy.

— A teraz — wzdycha i przeczesuje dłonią włosy, spowity w aureolę blasku księżycy ukrytego za jego plecami. — A teraz zastanawiam się, czy te sny nie są czasem prawdziwe. Czy ten skurwiel był moim ojcem? — pyta z rozpaczliwym niedowierzaniem. — Nie pomyślałem o tym, gdy byłem dzieckiem. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Wiedziałem, że mam w sobie *jej* skażoną krew, uporałem

się z tym, pocieszając się myślą, że przynajmniej druga część mnie jest w porządku... Ale co, jeśli on był równie zły? Lub gorszy? Co, jeśli zobaczę ojca i okaże się, że to prawda? Co wtedy, Ry?

Wyraz jego twarzy i rozpaczliwy głos rozdzierają mnie od wewnątrz, bo jedyne, co mogę mu teraz zaoferować, to słowa, a słowa mu nie pomogą. Nie uśmierzą lęku i nie rozpedzą wątpliwości. Mimo to postanawiam się odezwać.

— Wtedy sobie z tym poradzimy. Ty i ja. Razem. — Wyciągam dłoń i splatam palce z jego palcami, a on wzdycha ciężko. — Rodzice dali ci geny, ale nie mieli wpływu na to, kim się stałeś.

*Czy on kiedykolwiek uwolni się z tej udręki? Dostrzeże tego niesamowitego mężczyznę w swoim wnętrzu, którego wszyscy widzimy?*

— Ale i tak, Ry, jeśli to prawda, to czy za każdym razem, gdy trzymam Ace'a, będę...? Nie wiem. — Milknie i opuszcza wzrok na nasze splecione dłonie. Przez chwilę zapada złowieszczą cisza. — Od ósmego roku życia nie miałem w życiu nikogo, z kim łączyłyby mnie więzy krwi. Tak już jest w przypadku adopcji. Andy, Dorothea i Quin nigdy nie dali mi do zrozumienia, że jestem gorszy ze względu na brak pokrewieństwa z nimi... ale jakąś część siebie pragnąłem mieć z kimś taką więź. *Desperacko*. Obserwowałem Andy'ego uważnie i zapamiętywałem wszystkie aspekty jego zachowania, żeby nauczyć się tak samo śmiać, mówić i gestykulować. Bo chciałem być do niego *podobny*. Żeby ludzie, obserwując nasze manieryzmy, myśleli, że jestem jego synem.

— Colton. — Nie jestem w stanie nic więcej wykrztusić, bo czuję w sercu promieniujący ból, który rozdziera moją duszę. Łzy cisną mi się do oczu na myśl o małym chłopcu pragnącym poczucia przynależności i o dorosłym mężczyźnie nadal dręczonym przez te wspomnienia.

*Nadal przez nie rozdartym.*

— Wyobrażasz sobie, co czuję, gdy myślę, że po niemal trzydziestu latach w końcu pojawił się ktoś ze mną spokrewniony? Ktoś, z kim łączą mnie więzy krwi. Kto odziedziczył moje geny. Manieryzmy. Wszystko. Wyobrażasz sobie, co czuję, gdy myślę, że Ace jest częścią mnie? — Jego pełen niedowierzania głos jest jeszcze wymowniejszy niż wypowiedane słowa.

— Nie jesteś już sam. — Ściskam jego dłoń w milczącym wyrazie wsparcia.

— Masz rację. Nie jestem — przyznaje. Patrzę, jak jego postawa się zmienia. Prostuje kręgosłup, napina klatkę piersiową. W końcu mężczyzna nie może się zbyt długo rozklejać. — Jednocześnie jednak byłem na tyle naiwny, że sądziłem, iż więź krwi z Ace'em przyćmi całą resztę tego gówna.

Przymrużam powieki.

— Jakiego gówna? — pytam, próbując się domyślić, które z niezliczonych znaczeń tego słowa ma na myśli.

— Żadnego. Nieważne — odpowiada, po czym wstaje i całuje mnie i Ace'a

w czoła. — Muszę po prostu rozwiązać parę spraw na własną rękę. Postaram się załatwić to jak najszybciej.

Spoglądamy sobie w oczy pod osłoną nocy, a ja zastanawiam się, co mi umyka z powodu spowijających nas ciemności. Myślałam, że chodzi o bycie ojcem, lecz obawiam się, że to coś więcej.

Byłam tak zaabsorbowana własnym światem i wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnie kilka tygodni, że czuję się podle. Martwiłam się o Zandera i o moją pracę, lecz ani razu nie zatrzymałam się, żeby spojrzeć na mężczyznę obok mnie, na moją opokę. Ani razu nie spytałam go, jakie „gówno” go dręczy.

Mam ochotę poprosić go, żeby to odłożył. Nie mógłby zająć się tym za jakiś czas? Owszem, to egoistyczne z mojej strony, ale przestaję się tym przejmować, gdy patrzę na leżącego obok mnie Ace'a. Jego pojawienie się to najpiękniejszy moment w naszym życiu. Chcę, żebyśmy tak zostali, razem, jako jedność. Colton obiecał mi tę chwilę i właśnie ją odnaleźliśmy, więc nie chcę, żeby cokolwiek ją zakłócało.

Ale gdy podnoszę na niego wzrok i widzę napięcie w jego posturze, wiem, że co prawda ta chwila jest idealna dla mnie, lecz on potrzebuje trochę więcej czasu, by ją odnaleźć.

— Prześpij się trochę. Ja posiedzę chwilę na tarasie, żeby się uspokoić — mówi. Zdaję sobie sprawę, że to oznacza, iż koszmary wciąż go dręczą. Że wciąż czają się na obrzeżach jego umysłu i że nie chce się położyć do łóżka z obawy, że wróca.

Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć tego, co ciśnie mi się na usta. *Nie wychodź. To łóżko jest takie puste bez ciebie. Porozmawiaj ze mną.* Zamiast tego mówię:

— Dobrze. Jestem tu, gdybyś mnie potrzebował. — *Bo my cię potrzebujemy.* Wiem też jednak, że ja i Ace pragniemy Coltona, który jest w stu procentach sobą, więc jeśli potrzebuje na to czasu, to ja jestem gotowa mu go dać.

Robię to *dla niego*. Dla niego zrobię wszystko.

I dla *nas*.

To jest małżeństwo. Jesteś sobą, a jednocześnie kimś, kogo potrzebuje twój partner. Wychodzisz mu naprzeciw, gdy on chce się oddalić.

— Dobranoc — mówi, kierując się w stronę drzwi.

— Colton? — Jego imię brzmi w moich ustach częściowo jak błaganie, a częściowo jak pytanie, bo czuję, że się zamyka i prawdopodobnie się ode mnie oddala.

Zatrzymuje się w progu i odwraca do mnie.

— Wszystko będzie dobrze, Ryles. Nie martw się.

## *Rozdział 27.*

### *Colton*

Zabiję tego skurwiela.

Stopy uderzają w piasek. Jedna za drugą. Wystukują mantrę: *Pieprz. Się. Eddie.*

Wściekłymi susami pochłaniam kolejne metry, ale to w żaden sposób nie łagodzi trawiącego mnie gniewu. Oddalam się jedynie od paparazzich czatujących przy wejściu na plażę.

Pali mnie w płucach. Bolą mnie nogi. Pięką mnie oczy zalewane kroplami potu. Ale podkręcam tempo. Potrzebuję tego wysiłku, piasku i przestrzeni, żeby oczyścić myśli. Dopiero wtedy wrócę.

*Pieprz. Się. Eddie.*

Zmuszam się do nadludzkiego wysiłku. Najdalej jak się da, nim padnę na kolana, dysząc jak ryba wyciągnięta z wody. Ale nawet to nie wymaże tego zdjęcia. Nie jestem w stanie go zapomnieć.

Zdjęcia, które zrobił.

Twarz Ry w rogu, z ustami otwartymi w niemym proteście. Dłoń zmierzająca w kierunku piersi, a druga w stronę obiektywu, żeby go zasłonić. Zostaliśmy ośmieszeni. Ale Eddiemu wcale nie zależało na zdjęciu Ry. Ona jest tylko tłem dla właściwego celu: leżącego między jej nogami Ace'a. Biała pieluszka. Burza ciemnych włosów. Otwarte usta. Buzia czerwona od krzyku.

Jednodniowy malec rzucony w piekło chaosu mojego życia. Wykorzystany. Dla pieniędzy. Dla zemsty. Żeby nam dopiec. Ten skurwiol posłużył się najczystsza istotą w moim życiu, żeby mi dopiec.

Nie można tak. To wstrętne. Niewybaczalne.

*Pieprz. Się. Eddie.*

Zawracam. Stopy znowu uderzają o piasek. Ramiona pompują w powietrzu. Ta ucieczka od rzeczywistości była tylko tymczasowa.

Mam nadzieję, że dobrze wykorzystał te pół miliona, które dostał. Gdy go dorwę, przekona się, że to zdjęcie będzie go kosztowało znacznie więcej.

Teraz muszę spojrzeć Rylee w oczy. Powiedzieć jej, że facet, który odebrał nam naszą wyjątkową chwilę, zrobił to jeszcze raz. Odebrał nam możliwość przedstawienia syna światu na nasz sposób. Wykorzystał Ace'a jako pionka w swojej popieprzonej grze.

*Pieprz. Się. Eddie.*

Przypomina mi się, jak wyglądała Rylee, gdy wróciliśmy ze szpitala: szeroko otwarte, spanikowane oczy, drżący głos, paranoja na punkcie okien. I teraz będę musiał dorzucić coś do jej chaosu.

Do tego wszystkiego, co już jej zafundowałem.

Tego jest zbyt wiele. Za dużo otwartych spraw. Niespodziewanych zdarzeń. Odsłoniętych kart. Niekontrolowanych sytuacji. Niekończącej się niepewności.

*Pieprz. Się. Eddie.*

Słowa CJ-a były jak benzyna wylana na wymykający się spod kontroli pożar lasu. Co odpowiedział, gdy spytałem go, jakim cudem ten skurwiel cały czas ma nad nami przewagę w tej mściwej grze? *Jedyna przewaga, jaką ma nad tobą Eddie, wynika z twojej reakcji.* Odpowiedziałem mu opryskliwym *pieprz się.*

Eddie nie ma nade mną żadnej przewagi. *Absolutnie żadnej.* Pozwolę mu myśleć, że ma, ale on wyłożył już wszystko co miał. Jego karty leżą na stole. Wyłożył nawet swojego dzokera.

Ale to ja trzymam wszystkie asy.

## *Rozdział 28.*

### *Rylee*

— Ciii! Nie tak głośno. Przestraszycie go — mówi Aiden stanowczym szeptem do otaczających go chłopców. Czy może raczej otaczających Ace'a.

Siedem głów — jasnowłose, ciemnowłose i jedna ruda — tworzy falangę nadgorliwych chłopców bijących się o prawo obserwowania Ace'a, który śpi w ramionach Shane'a. Ale jednego wśród nich brakuje.

Zander siedzi na kanapie poza kręgiem zainteresowanych i patrzy na nas z oddali. Ma na twarzy nieznaczny uśmiech, ale w oczach dostrzegam zdystansowanie, które znam i którego nie znoszę. Obserwuje nas, ale nie wykonuje żadnego ruchu, żeby się zbliżyć. Instynkt podpowiada mi, że on reaguje w jedyny znany sobie sposób: wznosi wokół siebie ściany, odgradza się od swoich braci, bo w ten sposób ewentualna adopcja nie będzie dla niego aż takim ciosem.

Podstawowy mechanizm obronny.

Dlaczego nagle sama mam ochotę zrobić to samo?

Odrywam wzrok od Zandera i trafiam na spojrzenie Shane'a nad głowami pozostałych chłopców. Patrzymy sobie w oczy, ale nie potrafię go odczytać. Wydorósł, w następnym semestrze kończy studia i znacznie lepiej ukrywa emocje. Dostrzegam coś w jego oczach, ale to nie jest miejsce ani czas, by pytać go, czego mi nie mówi.

Auggie i Scooter wymieniają kuksańca. Zaskakuje mnie ich interakcja i automatycznie ich strofuję, ale jakaś część mnie cieszy się z tego małego kroku na długiej drodze Auggiego do integracji z grupą. Chociaż w sumie powinnam się smucić, że nie było mnie przy nim, gdy dokonał tego postępu, ale dostrzegam kolejną wymianę kuksańców.

— Spokojnie, chłopcy — rzuca ostrzegawczym tonem Colton, który rozmawia z Jaxem w kuchni.

Chłopcy zasypują mnie pytaniami. Czy on cały czas śpi? Czy już jest moja kolej, żeby go potrzymać? Czy jego pieluszki cuchną? Czy już jest moja kolej, żeby go potrzymać? Czy on naprawdę wyszedł z twojego pępka? Czy już jest moja kolej, żeby go potrzymać? Czy to prawda, że on pije mleko z twoich piersi?

Po tym ostatnim pytaniu niektórzy chichoczą i się rumieniają.

— Zander, chcesz usiąść obok mnie? — pytam, żeby wyciągnąć go z jego skorupy.

— Mogę — mruczy. Wstaje z kanapy i podchodzi, powłócząc nogami. Siada

obok, a ja go obejmuję i mocno przytulam. Muszę go chociaż trochę pocieszyć i wydobyć z niego coś więcej mimo jego uporczywego milczenia.

— Tęskniłam za tobą — szepczę i całuję go w czubek głowy, co z pewnością go zawstydza, ale nie obchodzi mnie to. Uczuciowość nigdy nie idzie na marne, nawet jeśli obdarowywana nią osoba uważa, że tego nie chce lub na to nie zasługuje.

— Ja też — przyznaje. Opieram policzek na jego głowie, a pozostali wpatrują się w Ace'a, zahipnotyzowani tym, jaki jest mały.

Częściowo zaskakuje mnie to, że nie świruję na widok otaczającej Ace'a grupy niezbyt delikatnych chłopców, bo myślałam, że będę się tego bała. Ale w sumie nie ma się czemu dziwić. To moi chłopcy — moja rodzina — i ufam im, bo wiem, że nigdy nie skrzywdziliby kogoś tak mi bliskiego.

Muszę jednak przyznać, że jestem tak wyczerpana, że w tej chwili ożywiam się wyłącznie wtedy, gdy słyszę płacz Ace'a. Poza tymi momentami poruszam się jak we mgle.

Rozmawiam z Zanderem, pytam go o szkołę i różne zwyczajne sprawy, próbując wydostać go z jego skorupy, gdy nagle ni stąd, ni zowąd błyska flesz.

Coś we mnie pęka i tracę nad sobą kontrolę.

— Nie! — krzyczę, zrywając się z kanapy tak szybko, jak tylko pozwala mi obolałe ciało. Zapada pełna zdumienia cisza i wszystkie głowy kierują się w moją stronę. — Żadnych zdjęć! — mówię drżącym, lecz zdecydowanym głosem. Serce mi łomocze, drżą mi palce i czuję obezwładniający niepokój. Jak na sterowanym paniką autopilocie wyrywam Connorowi telefon i kasuję zdjęcie Ace'a.

Widzę jego zszokowane spojrzenie, otwartą buzię i potrząsanie głową, ale nie potrafię myśleć o niczym innym prócz Ace'a. Zalewa mnie wściekłość, którą tłumiliam od wczoraj, gdy straciłam panowanie po tym, jak Colton opowiedział mi o ostatecznym naruszeniu naszej prywatności przez Eddiego. Trawiło mnie to kawałek po kawałku, bo miałam wrażenie, że życie wymknęło się nam spod kontroli i już nigdy nie odzyskamy naszej bańki.

*Potrzebuję zamknąć się w naszej bańce. Desperacko.*

Stoję na środku salonu z telefonem Connora w dłoni, a chłopcy patrzą na mnie niepewnie i nie wiedzą, jak się zachować. Zaczynam drżeć pod wpływem pochłaniającej mnie fali zawrotów głowy. Na skórze pojawiają się kropelki potu. Przewraca mi się w żołądku. Patrę po kolei na wszystkich, ale nie potrafię im tego wyjaśnić. Martwi mnie to, bo wiem, że właśnie ich przeraziłam, ale nie jestem w stanie nad sobą zapanować.

Atak paniki uderza niczym oślepiający błysk — błyskawicznie i nieuchronnie — powiększając wszystkie emocje do monstrualnych rozmiarów. Zaczynam chwiać się w kolanach, ale Colton obejmuje mnie od tyłu i przytula do siebie.



— Oddychaj, Ry — szepcze mi do ucha. Czuję na rozpalonej skórze jego ciepły oddech i słyszę jego kojący głos, lecz nagle robi mi się ciemno przed oczami. Chwilę później odzyskuję wizję i próbuję się skupić na otaczających mnie twarzach. — Nic ci nie jest. To tylko atak paniki. Jestem przy tobie.

Jego słowa i dotyk koją niepokój, który opanowywał moje ciało kończyła po kończyźnie i nerw po nerwie do tego stopnia, że miałam trudności ze złapaniem oddechu. Ubranie klei mi się do ciała, bo jestem cała mokra od potu.

— Jestem przy tobie — powtarza. Nie umiem się skupić na niczym innym prócz jego głosu. Tylko tego teraz potrzebuję. Widzę zatroskane buzie chłopców, ale nie potrafię wykrzesać z siebie żadnych emocji. Nic nie czuję i nie chce mi się wyjaśniać, że nic mi nie jest i że nie powinni się martwić. Przez chwilę odzyskuję zdolność myślenia i dociera do mnie, że coś jest naprawdę ze mną nie tak, skoro chłopcy przestali być najważniejsi. Nie jestem sobą.

Ta świadomość — ten urywek rzeczywistości — wywołuje drugą falę niepokoju, która uderza jeszcze silniej niż pierwsza.

— Coś jest nie tak — szepczę tak cicho, że nie jestem pewna, czy Colton to w ogóle usłyszał.

— Ry nic nie jest. — Jax przejmuje moją rolę i dodaje chłopcom otuchy. Bo ja nie jestem w stanie. Wszelkie słowa uwięzły mi w gardle. — To tylko atak paniki.

— Chodźmy na górę — mruczy Colton. Cały czas obejmuje mnie od tyłu, a gdy się odwracam, trafiam na spojrzenie Shane'a. Dostrzegam w jego oczach strach. Ma panikę wypisaną na twarzy, lecz Colton popycha mnie dalej w stronę korytarza, mimo że próbuję wykrztusić przeprosiny, które uwięzły mi w gardle.

— Nie mogę — mamrotam otepiąle. — Przepraszam. Nie wiem...

— Chodź, kochanie — mówi spokojnym głosem i bierze mnie na rękę, gdy tylko znikamy chłopcom z oczu. — Jestem przy tobie. — Zaczynam się wiercić z niepewności, niepokoju, wszystkiego. — Nie pozwolę ci upaść, Rylee. Nigdy nie pozwolę ci upaść — szepcze w mój policzek.

Zatapiam się w niego, w jego słowa, i pozwalam mu przejąć kontrolę. Wiem, że ma rację, ale nie chcę tego przyznać, bo w tej chwili trudno mi cokolwiek przyznać. Każdy jego krok jest jak młot potęgujący ciężar tego wszystkiego, co spiętrzyło się na mojej głowie.

— Tego jest po prostu za dużo w zbyt krótkim czasie — dodaje.

Krok.

Publikacja filmu. Naruszenie prywatności. Obnażenie. Wstyd. Brak szacunku. Bezradność.

Krok.

Zaakceptowanie przymusowego odejścia z pracy. Poczucie straty. Brak celu. Zdrada.

Krok.

Pojawienie się wujka Zandera. Związane ręce. Poczucie bycia nieważną. Wykorzystaną.

Krok.

Narodziny Ace'a. Emocjonalne tornado. Olbrzymia radość. Bezwarunkowa miłość.

Krok.

Eddie w pokoju szpitalnym. Strach. Panika. Poczucie zdrady.

Krok.

Pierwsza noc w domu w roli matki. Przytłoczenie. Wyczerpanie. Zmiany.

Krok.

Powrót koszmarów Coltona. Niepewność. Zakłócenie. Zaskoczenie.

Krok.

Eddie sprzedaje zdjęcie Ace'a. Brak szacunku. Poczucie bycia wykorzystaną. Bezradność.

Krok.

Zander dzisiaj. Zdystansowany. Przerażony. Skryty.

Krok.

Błysk aparatu Connora. Bezradność. Instykt opiekuńczy. Przerażenie.

*Za dużo w zbyt krótkim czasie.* Słowa Coltona odbijają się echem w mojej głowie.

— Przystań myśleć, kochanie — mówi Colton. — Cały czas się spinasz. Odetnij się od tego wszystkiego na chwilę.

Zamykam oczy, gdy wchodzi na piętro. Wciąż mam przyspieszony puls i cała drzę, ale trochę mnie uspokaja to, że słyszę stabilne bicie jego serca. Kładzie mnie delikatnie na łóżku, lecz miękkość materaca nie jest ani trochę tak kojąca, jak ciepło jego ciała.

— Lepiej? — pyta, odgarniając mi włosy z twarzy.

Potakuję i nie cierpię się za to, że znowu czuję w gardle palące łzy.

— Przepraszam. — Tylko tyle potrafię wykrztusić, gdy na chwilę wynurzam się z tej panicznej mgły.

— Nie... Nie przepraszaj — mówi, całując mnie w czoło. — Jesteś wyczerpana. Wiem, że zawsze byłaś silna, ale przestań z tym walczyć. Pozwól sobie na kilka godzin słabości. Dobrze?

Otwieram oczy i spoglądam w krystaliczną zieleń jego źrenic. Widzę w nich miłość, troskę, współczucie, ale przede wszystkim *jego* potrzebę zaopiekowania się mną. Chociaż więc czuję się już nieco lepiej, wzdycham i przytakuję.

— Muszę przepro...

— Ja się wszystkim zajmę. — Przykłada mi palec do ust, żeby mnie uciszyć. — A ty zamknij oczy i odpocznij.

I tak robię. Zamykam oczy i słyszę, jak wychodzi korytarzem. Nasłuchuję jego kroków na schodach i na płytkach na parterze. Próbuję się zmusić do rozluźnienia i wyciszenia wszystkich myśli.

Ale z jakiegoś powodu nie sędzę, żeby mi się to udało.

#

Ace płacze.

*Zamykam oczy.*

Płacz słyhać coraz bliżej.

*Tylko dlaczego na zewnątrz jest ciemno?*

I coraz głośniej.

*Jak długo spałam?*

Jeszcze głośniej.

*Dajcie mi spokój.*

Zaciskam mocniej powieki i przewracam się na bok, żeby oddalić się od drzwi. Muszę się wyspać. Nie chcę myśleć. Marzę o odcięciu się od wszystkiego i powrocie w czerń snu.

— Ry? Ry? — Colton delikatnie porusza moim ramieniem. Płacz Ace'a przechodzi na wyższe rejestry.

— Uhm — mruczę z zamkniętymi oczami, ale czuję swędzenie piersi od mleka, bo moje ciało instynktownie reaguje na płacz dziecka.

— Ace jest głodny — mówi i znowu porusza moim ramieniem.

Mimo tych słów i płaczu Ace'a mój instynkt jest jak uśpiony. Czuję suchość w ustach. Nie potrafię mu odmówić. Nie jestem pewna, czego tak naprawdę chcę. Jedyne słowo, jakim mogłabym teraz opisać swoje emocje, to apatia.

*Jesteś po prostu zmęczona.* Zdrzemnąłaś się godzinę, chociaż w rzeczywistości potrzebujesz dwunastu godzin snu. Twoje ciało jest obolałe, zmienia się i pracuje bez wytchnienia, by wytwarzać mleko i się regenerować, więc jesteś bardziej ospała niż kiedykolwiek.

To wszystko.

— Dobrze. — Tylko tyle jestem w stanie wykrztusić. Jak na autopilocie odwracam się na bok i podciągam koszulkę. Piersi są tak ciężkie od mleka, że mnie bolą. Colton kładzie Ace'a na środku łóżka obok mnie, a ja wprowadzam sutek do jego ust.

Zaczyna ssać, a ja czekam na to wszechogarniające uczucie. To, które zalewa mnie za każdym razem, gdy jestem w tak naturalny sposób połączona z synem. Zazwyczaj całe moje ciało ogarnia błogi spokój, jak po zastrzyku podrasowanych endorfin. Ale tym razem mam ochotę zamknąć oczy i zapaść z powrotem w sen, którego tak rozpaczliwie potrzebuję.

— Zaraz wracam — mówi Colton, wywołując we mnie niezrozumiałą

panikę.

*Nie wychodź!* Krzyczę w myślach, ale z moich ust nie wydobywa się żaden głos. Mam wrażenie, jakby moje gardło stopniowo pokrywało się piaskiem. Czuję ściskanie w piersi i kropelki potu na górnej wardze.

*Pozbieraj się, Ry.* To tylko hormony. Okres przejściowy. I wyczerpanie. I wrażenie, że nie masz pojęcia, co robisz.

Jutro będzie lepiej.

A pojutrze jeszcze lepiej.

## *Rozdział 29.*

### *Colton*

— Powiesz mi, po co tu jesteśmy, synu?

Zerkam na tatę, po czym odwracam się z powrotem w stronę warsztatu po drugiej stronie ulicy. Nie odpowiadam. Zresztą i tak nie potrafiłbym tego wyjaśnić. Moje ciało wibruje z niepewności. Głowa i serce ciągną mnie w przeciwnych kierunkach. Siedzę na fotelu pasażera i podskakuje mi stopa. W radiu słyszę piosenkę *Jet Black Heart*, więc nucę pod nosem słowa, które nieoczekiwanie wydają się bardzo trafne.

Samochód taty wyróżnia się w tej dzielnicy. Opływowy, czerwony i nieco zbyt zwyczajny według moich standardów, ale jak na tę okolicę wręcz pretensjonalny. Mogłem o tym pomyśleć, gdy zadzwoniłem do ojca i poprosiłem, by mnie gdzieś zawiózł.

Nie podałem mu żadnych szczegółów.

Oczywiście niespełna godzinę później był u mnie pod domem i czekał z otwartymi drzwiami pasażera. Nie zadawał żadnych pytań, jakby wiedział, że potrzebuję czasu, by przetrwać to wszystko, co kotłuje się w mojej głowie.

Nie odzywał się po drodze. Żadnego pieprzenia o pogodzie. Bez słowa skręcał tam, gdzie mu mówiłem.

Po co więc tu jesteśmy? Po co ścigam tego pieprzonego ducha, skoro siedzący obok mnie mężczyzna zawsze dawał mi to, czego potrzebowałem?

Najwyraźniej chodzi o zamykanie spraw. Koniec końców wszystko jest połączone. Muszę tylko zobaczyć to połączenie na własne oczy, żeby móc je zostawić i odejść na dobre.

Opieram się łokciem o drzwi, a dłonią pocieram czoło, wpatrując się w rozpadającą się fasadę warsztatu. Brama jest z jednej strony otwarta i w środku widać na podnośniku jakiś stary samochód, przerdzewiały na obrzeżach drzwi. Moją uwagę przykuwają buty mężczyzny stojącego po drugiej stronie auta.

*Zbierz się do kupy, Donovan. Teraz albo nigdy.*

— Zaraz wracam — mówię, otwierając drzwi, i uświadamiam sobie, że nie odpowiedziałem na jego pytanie. Z sercem w gardle i kieszenią pełną niepewności przechodzę na drugą stronę ulicy do otwartej bramy. Zastanawiam się, czy stanę twarzą w twarz ze swoim najgorszym koszmarem, czy z mężczyzną, który nawet nie wie o moim istnieniu.

Nagle pojawiają się wspomnienia, które uderzają jak rozpędzony samochód

o ścianę: błyskawicznie, nieoczekiwanie, pozbawiając mnie tchu. Obrazy z przeszłości są tak wyraźne, że czuję, jakbym był tam, w *tamtym pokoju*, przepełniony wstydem, drżący ze strachu i walczący z bólem.

Zatrzymuję się. Serce łomocze jak oszalałe. Zalewają mnie wątpliwości. Przewraca mi się w żołądku.

Dochodzę do wniosku, że mam to gdzieś, i wracam, ale właśnie wtedy mężczyzna wychodzi zza samochodu. Zamieram.

— Wypieprzaj stąd! — krzyczy. Początkowo myślę, że to do mnie, ale widzę, że kopie jakiegoś kundla stojącego za drzwiami. Jego skowyt rozlegający się w warsztacie bardzo wiele mówi mi o człowieku, którego zamierzam poznać.

Tylko idioci kopią zwierzęta.

Dostrzega mnie w tej samej chwili, w której ja spoglądam mu w oczy. Zieleń kontra zieleń. Identyczne. Widzę, że wzbudziłem jego ciekawość. Chciwe oczy zerkają na kosztowny samochód za mną i taksują moje ubranie.

Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy: *to nie on*. To nie ten skurwiel, który prześladował mnie w snach i pozbawił mnie dzieciństwa. Ale wcale swobodniej nie oddycham. Ulga pomieszana z poczuciem zagubienia potęguje tylko napięcie, jakie odczuwam w klatce piersiowej.

Patrzymy na siebie jak zwierzęta w klatce próbujące ocenić sytuację. Ciekawe dlaczego mam wrażenie, jakby coś mi groziło, skoro nikt z nas nic takiego nie zasugerował.

Przyglądam mu się uważnie. Zaczესane na żelu włosy, popękana skóra na poplamionych smarem dłoniach, papieros zwisający z ust, czarna łąza wytatuowana w kąciu lewego oka i charakterystyczny odór alkoholu. Szyderczy uśmiezek i wyraz twarzy zdradzający pretensje do całego świata.

Druga myśl, jaka przychodzi mi do głowy: *znam ten typ ludzi*. Twój zły los to wina innych. Pecha. Ciężkich czasów. Nigdy twoja. Masz wygórowane mniemanie o sobie, chociaż gównu ci się należy.

Patrzę na jego zaciśnięte zęby i oczy, które przyglądają mi się badawczo, i czekam na reakcję. Jakąkolwiek. Mój wewnętrzny chłopiec sądzi, że on w jakiś pokręcony sposób powinien się domyślić, że jestem jego synem. Powinien mnie jakoś rozpoznać. Szóstym zmysłem.

Ale nic takiego nie następuje. Żadnego przebłysku w jego martwych oczach.

Mijają sekundy, które ciągną się jak godziny z powodu kotłujących się we mnie emocji. Nie wiem dlaczego, ale nagle pękam. Jakby przepalił mi się bezpiecznik z powodu poczucia zagubienia.

*Czuję gniew. Wyraźny i niezaprzeczalny. Pałący gniew.*

Mężczyzna robi krok w moją stronę, zerkając co chwilę na samochód z tyłu i na mój zegarek. Przypuszczalnie zastanawia się, ile może ze mnie wydusić za udawane naprawy. Bo tak właśnie na mnie patrzy. Bogaty koleś, kosztowny

samochód, okazja do naciągnięcia na kasę. Nic więcej się nie liczy. Opuszcza wzrok na czerwoną szmatę, w którą wyciera dłonie, po czym znowu spogląda mi w oczy z beczelnym uśmiechem.

— Mogę panu w czymś pomóc? Jakiś problem z samochodem? — Ma chrapliwy głos wieloletniego palacza.

Nie mogę oderwać od niego wzroku. Nie cierpię się za to, że czekam na jakąkolwiek iskrę w jego oczach, której wolałbym nie zobaczyć. Przebłysk, który dałby mi do zrozumienia, że w jakimś momencie życia miałem dla niego znaczenie. Ślad ulotnej myśli. Ukłucia żalu. Lub refleksji typu „co by było, gdyby”.

Nic. Tylko jego słowa, które zawisły w próżni. Przymruża powieki, prostuje ramiona.

Przestępuję z nogi na nogę. Przelykam ślinę. Podejmuję decyzję.

— Nie. Nie potrzebuję od pana absolutnie *niczego*.

Ostatnie spojrzenie. Pierwsze i ostatnie pożegnanie. Zamknięty rozdział.

Pieprzyć to.

Odwracam się na pięcie i odchodzę bez oglądania się za siebie. Drżącymi rękami otwieram drzwi i z rozdartym sercem siadam na fotelu pasażera. Nie mogę zdobyć się na to, żeby spojrzeć na swojego tatę. *Prawdziwego tatę*. Jedyne, jakiego miałem.

— Jedźmy stąd.

Samochód rusza. Świat zostaje w tyle i komfortowo się rozmywa. Już dawno nie uciekałem w rozmycie. Ojciec nic nie mówi i nie zadaje żadnych pytań. Po prostu jedzie, zostawiając mnie samego z tym cholernym chaosem w głowie.

Żal. Zwątpienie. Zagubienie. Wściekłość. Ból. Niepewność. Poczucie winy. Wszystkie te emocje przetaczają się kolejno przeze mnie w trakcie jazdy. *Zignoruj to, Colton*. Wyrzuć. Odepchnij.

Samochód się zatrzymuje. Zewnętrzny świat znowu staje się wyraźny. Stoimy przed plażą przy autostradzie 101. *To moje miejsce*. Miejsce, w które przychodzę, gdy muszę coś przemyśleć.

Oczywiście wiedział, że powinien tu mnie zawieźć. Że *tego* właśnie potrzebuję.

Przez chwilę siedzę bez ruchu w milczeniu, w końcu jednak w samochodzie robi się tak duszno od mojego poczucia winy, że nie da się oddychać. Otwieram drzwi, żeby wyjść na zewnątrz. Potrzebuję świeżego powietrza, przestrzeni do myślenia i czasu na rozpacz, chociaż tak naprawdę nie mam nad czym rozpaczać.

I na tym polega problem, prawda? Dlaczego, do cholery, jestem rozbity? Czego się spodziewałem? Zjednoczenia po latach? Słów uznania? Oczywiście, że nie. Nie zależało mi ani na jednym, ani na drugim. Mimo to jakaś mała cząstka mnie pragnęła poczuć, że byłem ważny. Że więzy krwi w jakiś sposób nas kiedyś łączyły.

Ale tak nie jest. W żadnym wypadku. W niczym go nie przypominam. Wystarczyły mi dwie minuty spotkania twarzą w twarz i spojrzenie mu w oczy, żeby się o tym przekonać. Był mi całkowicie obojętny.

*Czy on w ogóle wie o moim istnieniu?* Ta myśl pojawia się znikąd i nie potrafię powiedzieć, co jest gorsze. Ignorancja czy porzucenie.

*Nie mam pojęcia.* I nic mnie to nie obchodzi.

*Właśnie, że mnie obchodzi.*

Ściska mnie w piersi. Nie potrafię swobodnie oddychać. Siedzę na murku oddzielającym asfalt od piasku i wmawiam sobie, że tego właśnie chciałem. Udowodnić sobie, że ten facet nic dla mnie nie znaczy. Zamknąć rozdział. Odejść.

Dlaczego więc teraz się tak czuję?

Chodzi o mężczyznę, który siedzi w samochodzie. Jak mogłem go zdradzić? Jak mogłem kazać mu się tam zawieźć? Czy on sobie teraz myśli, że mi nie wystarcza, chociaż przecież dał mi *wszystko*?

Ale ze mnie egoistyczny duppek. Szukałem czegoś więcej, mimo że miałem to przed sobą od momentu, gdy znalazł mnie na swoich schodach.

Skupiam się na falach rozbijających się o brzeg. Uspokaja mnie ich łoskot. Miejsce, do którego zawsze uciekałem, ucisza szalejącą w mojej głowie burzę myśli.

Słyszę go za sobą. Jego kroki. Czuję zapach tego samego mydła, którego używał, gdy byłem mały. Siada obok mnie i zwiesza nogi z murku, a jego myśli przekrzykują nasze milczenie.

— Wszystko w porządku, synu?

Jego słowa jeszcze bardziej rozniecają moje poczucie winy. Wzdycham głośno i potakuję, nie odrywając wzroku od wody.

— To był twój ojciec, Colton?

Nie odpowiadam od razu. Nie dlatego, że muszę się zastanowić, tylko dlatego, że moja odpowiedź ma znaczenie. Czy on był moim ojcem? Biologicznym — tak. Ale gdy trzymam na rękach Ace'a, to chociaż jestem śmiertelnie przerażony, nie mam pojęcia, co robić, i nie wiem, czy okażę się takim mężczyzną, jakiego będzie potrzebował, to czuję z nim więź. Nieopisaną, niezaprzeczalną więź.

Nie czułem tego z tamtym facetem z warsztatu.

Ale czuję to z Andym.

Odwracam się do niego. Patrzymy sobie w oczy — szarość i zieleń, ojciec i syn, superbohater i ocalony, mężczyzna i mężczyzna — i odpowiadam z absolutnym przekonaniem:

— Nie. *Ty nim jesteś.*



## *Rozdział 30.*

### *Rylee*

— Jesteś pewna, że dasz radę i nie potrzebujesz pomocy?

*Nie. Tak.*

Milczę przez chwilę, nim zdecyduję, co odpowiedzieć.

— Jestem pewna. Dajemy sobie radę, mamó. Ja tylko... Próbuję wyrobić mu jakiś harmonogram posiłków i snania, zanim zaczną się odwiedziny.

Zgrzytam zębami. Kłamstwo brzmi tak dziwnie w moich ustach. Jak echo w tunelu, w którym nie potrafię rozpoznać własnego głosu.

— Bo to byłoby zupełnie naturalne, gdybyś chciała, żeby ci pomóc, kochanie. Żaden wstyd potrzebować mamy, gdy sama zostajesz mamą.

— Wiem — mówię ledwie słyszalnym szeptem. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

— Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. O każdej porze. W dzień czy w nocy. Zjawię się, żeby ci pomóc, lub po prostu posiedzę z tobą przez telefon.

— Wiem. — Jej pełen emocji i miłości głos, gdy próbuje wybadać, czy mówię prawdę, niemal mnie rozbija.

Niemal.

— Okej. W takim razie wracaj do mojego przystojnego wnuka.

Cisza.

— Mamó? — Strach. Nadzieja. Obawa. Wszystkie trzy emocje zderzają się ze sobą, powodując rozpaczliwe załamanie w moim głosie.

*Powiedz jej, że coś jest z tobą nie tak. Że nie czujesz się tak jak trzeba.*

— Ry? — Bada. Dopytuje. Chce wiedzieć.

*Nie. Nic ci nie jest. Dasz sobie z tym radę. Hormony robią ci wodę z mózgu.*  
To zupełnie normalne.

— Jesteś tam jeszcze, Rylee? Wszystko w porządku?

— Tak, wszystko w porządku. — Szybka odpowiedź, żeby zamaskować rozwijający się niepokój. — Chciałam tylko... Zapomniałam, o co chciałam zapytać. Pa, mamó. Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

I znowu cisza.

Z salonu dociera do mnie melodyjka z huśtawki dziecięcej, w której leży Ace. Zaczyna płakać, ale ja nie ruszam się z miejsca. Siedzę i w zamyśleniu wpatruję się w plażę. Wmawiam sobie, że wszystko jest w porządku. I że to nagłe

poczucie pustki jest czymś normalnym. Albo nie nadaję się na matkę.

Może nie bez powodu nie dane mi było donosić dwóch poprzednich dzieci.

*To bzdura i dobrze o tym wiesz.*

Ale może...

— Ry? — woła mnie Colton, po czym słyszę trzask drzwi wejściowych.

Ace zwiększa głośność zawodzenia, gdy słyszy głos tatusia, ale ja nie potrafię się ruszyć. Zamykam oczy, zahipnotyzowana widocznymi przez okno chmurami. Otwieram usta, żeby krzyknąć, że jestem w salonie, ale nic się z nich nie wydobywa.

— Rylee? — Głos Coltona staje się nieco bardziej natarczywy i pobrzmiwa troską. To wystarcza, żeby wyrwać mnie z mgły, w którą wpadłam. Kładę dłonie na oparciach i próbuję wstać, ale nie udaje mi się.

Płacz Ace'a się zmienia. Początkowo był wyraźny, lecz teraz stał się stłumiony. Oddycham z nienaturalną ulgą, bo wiem, że Colton dał mu smoczek. Ułga zostaje jednak wyparta przez odrazę do samej siebie. Dlaczego ja tego nie zrobiłam? Nie wzięłam Ace'a. Dlaczego czekałam, aż Colton przyjdzie do domu i się nim zajmie? To moje zadanie. Dlaczego nie potrafię zmusić nóg, żeby mnie tam zaniósł? Jestem beznadziejna w czymś, o czym zawsze marzyłam i do czego zawsze wiedziałam, że jestem stworzona: w byciu matką.

Czuję w oczach palące łzy i potrząsam głową, żeby oczyścić ją z tych myśli. Wiem, że są niedorzeczne, ale tak właśnie się czuję. *Przestań, Ry.* Jesteś dobrą matką. Potrzebujesz po prostu trochę czasu, żeby się zregenerować. To przez hormony. I wyczerpanie. Może masz lekką depresję poporodową. To przez to, że wszystko wokół Ace'a chcesz zrobić sama, bo wydaje ci się, że Colton nie będzie w stanie, biorąc pod uwagę to, co teraz przeżywa. Próbujesz po prostu stanąć na wysokości zadania i zająć się każdym drobiazgiem, ale nie jesteś w stanie, co doprowadza twoją despotyczną osobowość typu A do szaleństwa.

— Rylee? — Tym razem w krzyku Coltona pobrzmiwa panika.

— Już idę — odpowiadam. Zmuszam się do wstania i przełknięcia guli w gardle. Przechodzę jakieś piętnaście metrów do salonu, w którym Colton niezręcznie kołysze Ace'a, próbując utrzymać mu smoczek w ustach, żeby przestał płakać.

Patrzę na nich ze świadomością, że powinnam czuć teraz obezwładniającą miłość. Z jakiegoś powodu mam jednak ochotę usiąść i zamknąć oczy, co też robię. Ale mimo zamkniętych oczu wyraźnie czuję ciężar spojrzenia Coltona. Cisza, w której zwykle czuliśmy się komfortowo, nagle staje się niezręczna i niepokojąca. Mam wrażenie, że on mnie osądza, bo... Bo nie wiem, dlaczego, ale takie mam wrażenie.

— Wszystko w porządku, Ry?

*Czy jest w porządku?* Otwieram oczy i patrzę na niego. Nie wiem, co

powiedzieć, bo na pewno nie czuję, żeby wszystko było w porządku.

— No. Tak. Ja tylko... Ehm... — Nie wydaje mi się, żeby mnie zrozumiał, nawet gdyby udało mi się wyrazić to, co czuję. Próbuję wymyślić jakąś odpowiedź, patrząc, jak trzusi się z odpięciem śpioszaków Ace'a, by zmienić mu pieluchę.

Czy on chociaż raz zmienił pieluchę? A może za każdym razem ja przejmowałam Ace'a w pragnieniu bycia supermamą? Bo przecież wszyscy tego ode mnie oczekują i sama też tego od siebie oczekuję. Nie pamiętam. Pięć bezsennych nocy i dni wypełnionych niekończącym się przebieraniem pieluch i karmieniem zlewa mi się w jedno. Mam wrażenie, jakby moje ciało i dusza trafiły do pralki ustawionej na wirowanie, a teraz otwarły się drzwi i cały świat stoi na głowie.

Gdy dochodzę do siebie, on już nie manipuluje przy zatrzaskach między nóżkami Ace'a i patrzy na mnie badawczo, czekając, aż dokończę.

— Ry? — Nie podoba mi się jego głos. Słysząc w nim troskę, ale prócz tego chęć poznania prawdziwych odpowiedzi. *Czy czuję się dobrze? Czy wszystko ze mną w porządku?*

NIE, WCALE NIE! Mam ochotę wykrzyknąć mu to w twarz, żeby wiedział, że coś jest nie tak. Mimo to milczę.

Nagle coś sobie uświadamiam. Zatracona w gorączce hormonów i wyczerpania kompletnie zapomniałam o tym, gdzie dzisiaj był i co zrobił. Moje poczucie zagubienia zaczęło się od tego, że martwiłam się, iż w ogóle się nie odzywa.

Wzdrygam się na myśl o swoim egoizmie. Siedzę tu i użalam się nad sobą, chociaż dobrze wiem, jakiej odwagi z jego strony wymagało podjęcie decyzji, by stanąć twarzą w twarz z ojcem.

— Przepraszam. Tu jestem. Ja... byłam w gabinecie i martwiłam się, że nie odpisujesz. Bo... — Tym razem, gdy podnosi wzrok, dostrzegam napięcie w jego przystojnej twarzy i domyślam się, że udało mu się znaleźć biologicznego ojca. — Znalazłeś go?

Wzdycha, opuszcza wzrok na grymaszącego Ace'a i powoli przytakuje. Daję mu czas na znalezienie właściwych słów i wyrażenie tego, co chce mi przekazać. Wierzchem dłoni głaska policzki Ace'a. Wzrusza mnie patrzenie na tę ich więź. To uczucie bezbrzeżnej miłości do obu moich mężczyzn, za którym jeszcze przed chwilą tęskniłam, napęłnia mnie niesłyszczaną wewnętrzną radością. Chwytam się tego, bo uświadamiam sobie, jak bardzo mi tego brakowało.

Sama ta myśl sprawia, że wrywa mi się szloch. Mam wrażenie, jakbym traciła zmysły. *Pozbieraj się, Ry. Pozbieraj się do kupy.* Colton cię teraz potrzebuje. To nie jest czas na to, żebyś potrzebowała jego, bo on potrzebuje ciebie.

— Znalazłeś? — dopytuję, próbując zapanować nad swoją schizofreniczną

uwagą.

— Ace jest głodny — odpowiada opryskliwie, po czym podnosi go i wyciąga w moją stronę. Jesteśmy już ze sobą tak długo, że od razu zauważam jego unik, ale gdy podaje mi Ace'a, przez chwilę nie wiem, co robić. Umysł i ciało nie rozpoznają, co należy zrobić.

Ace płacze dość głośno, ale absolutnie nie mam ochoty go teraz karmić, więc uciszam go ruchem, którego nie rozumiem, lecz który rejestruję jako bezduszny, a potem skupiam się na Coltonie, który wychodzi z pokoju i kieruje się w stronę kuchni. Słyszę otwieranie i zamykanie szafki i brzęk szkła o szkło. Domyślam się, że nalewa sobie drinka. Jacka Danielsa.

Cholera. Chyba było naprawdę źle.

Żałuję, że nie mogłam z nim dzisiaj pojechać. Żałuję, że mamy Ace'a, przez co nie mogę opuścić pieprzonego domu z powodu kamer i niekończącej się inwazji na naszą prywatność. Z obu tych powodów nie mogłam być przy mężu, gdy najbardziej tego potrzebował. Poczucie winy trawi mnie od środka, gdy czekam z nadzieją, że wróci i ze mną porozmawia.

Znikąd i bez zapowiedzi pojawia się fala tak intensywnego żalu, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie czułam. Przygniatająca. Dławiąca. Dusząca w znacznie większym stopniu niż najczarniejsze dni po stracie Maxa i obojga dzieci. Gdy w końcu wynurzam się z tej lawiny emocji, w mojej głowie pojawia się myśl, która jest jak uderzenie pięścią w brzuch: chciałabym, żeby nasze życie wróciło do czasów, gdy byłam tylko ja, Colton i nikt inny.

O mój Boże. *Ace.*

Uginam się pod ciężarem tej niewypowiedzianej myśli. Znika równie szybko, jak się pojawiła, lecz jej nedorzecznosc na sekundę pozbawia mnie tchu. Wciąż mam na języku jej gorzki smak, na szczęście jednak narastający płacz Ace'a przebija się przez nią i wyrzuca ją z mojej psychiki.

Próbuję się pozbierać i z poczuciem winy i zagubienia przytulam Ace'a i całuję go raz po raz w główkę, błagając o przebaczenie mi myśli, o której nigdy się nie dowie.

*Ale ja ją zapamiętam.*

Drżącymi dłońmi staram się jak najszybciej dać mu pierś. Potrzebuję tej więzi, by uciszyć ten wewnętrzny tumult. Gdy przestaje płakać i zaczyna ssać, zamykam oczy, czekając na strumień endorfin. Liczę na to i błagam o niego, ale zamiast tego czuję, że Colton wszedł do pokoju i stanął przede mną.

Otwieram oczy i krzyżujemy spojrzenia. Zwalczam pragnienie odwrócenia wzroku, chociaż boję się, że jeśli spojrzę odpowiednio głęboko, zauważy tę straszliwą myśl, która przed chwilą przysłała mi do głowy. Dopada mnie panika. Nerwy są tak wrażliwe jak nagie ciało na rozpalonych węglach. Potrzebuję czegoś, co da mi punkt oparcia — albo zastrzyku hormonów wywołanych przez

pielęgnację dziecka, albo przytulenia przez męża — bo muszę jakoś powstrzymać to uczucie powolnej utraty kontroli nad sobą.

Mój oddech przyspiesza i staje się płytki, a puls zaczyna łomotać jak oszalały. Wtedy nadchodzi zastrzyk endorfin. Ich opóźniona fala rozchodzi się po ciele przyjemnym ciepłem, tłumiąc absurdalne i niekontrolowane emocje. Mam przebłysk trzeźwego myślenia i potrafię się skoncentrować, a człowiek, na którym przede wszystkim powinnam się skupić, stoi tuż przede mną.

Patrzemy na siebie w ciszy. Intensywne spojrzenie jego zielonych tęczywek emanuje takim poczuciem zagubienia i tak przejmującym bólem, że ściska mnie w sercu. Colton opuszcza wzrok na posilającego się Ace'a i obserwuje go przez chwilę, a gdy w końcu wraca do moich oczu, jego spojrzenie jest łagodniejsze, chociaż nadal wyraźnie widzę w nim ból.

— Chcesz o tym porozmawiać?

Chrząka i przelyka ślinę, a ja obserwuję poruszające się jabłko Adama.

— Zobaczyłem, co miałem zobaczyć, dowiedziałem się, czego chciałem się dowiedzieć. Ciekawość zaspokojona — odpowiada i siada na stoliku kawowym przede mną.

Znam ten głos — ostrożny, nonszalancki, z nutą troski o mnie. Wyraźnie widzę jednak burzę w jego niespokojnym spojrzeniu, nie wiem tylko, czy powinnam wyciągnąć ją na zewnątrz, czy zostawić i poczekać, aż sama przejdzie.

Wrodzona ciekawość bierze górę. Działam pod wpływem wewnętrznej potrzeby rozwiązywania problemów, przynoszenia ulgi i pomagania.

— Udało ci się...?

— Okazał się zwykłą szumowiną. Zadowolona? — wybucha, przestraszając zarówno Ace'a, jak i mnie. — W ogóle go nie obchodziło, kim jestem. Widział tylko ładny samochód i eleganckie ciuchy, a w oczach miał symbole dolarów od myślenia o tym, na ile uda mu się mnie skroić. Cuchnął alkoholem, miał tatuaże oznaczające zdobytą pozycję w więzieniu... — Wyrzuca z siebie słowa niemal bez tchu, jakby nie mógł już dłużej tamować szalejącego w nim huraganu. Mięsień jego szczęki pulsuje wściekle. Wyraźnie widzę, jaki jest spięty, gdy podnosi do ust szklankę z bursztynowym płynem. Trzyma przez chwilę alkohol w ustach i zastanawia się, co powiedzieć, po czym przelyka. — W niczym go nie przypominam. I nigdy nie będę do niego podobny — cedzi przez zęby z cierpką determinacją.

— Nigdy nie uważałam, że mógłbyś być do niego podobny. — Nadal nie wiem, co właściwie powinnam powiedzieć, dlatego postanawiam obrać bezpośrednią ścieżkę. On nie potrzebuje, by obchodzić się z nim jak z jajkiem i owijać wszystko w bawełnę. To umniejszyłoby zasadność jego emocji i tego, przez co przechodzi.

— Przestań, Ry — odpowiada ostrzegawczo i z wściekłością zrywa się ze

stolika. — Nie próbuj potraktować mnie przemową o tym, jaki to ze mnie dobry człowiek, bo *to nieprawda*. W tej chwili jestem skrajnym przeciwieństwem dobroci, więc dziękuję za dobre chęci, ale nie skorzystam.

Odwraca się twarzą do mnie i prowokuje wzrokiem, żebym kontynuowała, gotów odeprzeć każde pozytywne słowo. Patrzymy sobie w oczy, a ja proszę go spojrzeniem o więcej, bo pragnę zrozumieć, co doprowadziło do zachwiania fundamentów, które od tak dawna były dla niego oparciem.

— Wiesz, pojechałem tam dzisiaj bez jakichkolwiek oczekiwań. Ale jakaś część mnie... popieprzona część, rzecz jasna — mówi, śmiejąc się z pogardą dla samego siebie — sądziła, że gdy on mnie zobaczy, to, cholera, nie wiem... jakimś cudem po prostu mnie rozpozna. Że skoro łączą nas więzy krwi, to jakoś to wyczuje. Chciałem wiedzieć, że przynajmniej mignąłem na jego radarze, ale jeszcze bardziej popieprzone było to, że jednocześnie wołałem, żeby w ogóle się nie zorientował. — Podnosi głos i wyrzuca ręce na boki. — Więc, cóż... Powiedz mi, jak mam to wyjaśnić.

W jego głosie pobrzmiewa surowa wściekłość, a ja mam świadomość, że żadne słowa nie złagodzą bólu po tym, co przeszedł. Mogę tylko żałować, że nie byłam wtedy przy nim.

— Nie musisz się przed nikim tłumaczyć — oświadczam łagodnie, lecz on chodzi po salonie jak dzikie zwierzę w klatce. — Każdy chce być z kimś związany... Znać swoje korzenie. Masz pełne prawo czuć zagubienie, ból i wszystko to, co teraz czujesz.

— Wszystko to, co teraz czuję? — pyta i tym razem jego pogardliwy śmiech trwa dłużej. — Na przykład to, że czuję się jak pieprzony dupek, bo poprosiłem Andy'ego, żeby ze mną pojechał? Poprosiłem jedyne ojca, jakiego kiedykolwiek miałem, i jedyne człowieka, który przejął się moim losem, żeby zawiózł mnie do faceta, który przez całe moje życie ani razu o mnie nie pomyślał. Jasne... Może powinienem jeszcze za to dostać medal syna roku, co?

Jego werbalna powódź kończy się równie szybko, jak się zaczęła, ale sądząc po zaciśniętych pięściach, Colton hamuje się przed powiedzeniem czegoś więcej. Widzę jego wewnętrzną walkę i wiem, że ma poczucie winy w związku z pragnieniem zamknięcia tych ostatnich drzwi z przeszłości, nawet kosztem tego, że Andy mógł poczuć, że jest w jego życiu mniej ważny w każdym znaczeniu tego słowa.

Mam ochotę nim potrząsnąć i zapewnić go, że Andy nie postrzega tego jako zdrady. Chciałabym znaleźć jakiś sposób na przekonanie go, że Andy z pewnością widzi, iż jego syn próbuje wykonać ostatni krok mający na celu definitywne pogrzebanie dawnych demonów. Chciałabym, żeby znalazł ukojenie w tym jedynym fundamencie, jaki towarzyszył mu przez całe życie.

— Twój tato zawsze cię wspierał, Colton. — Zatrzymuje się, gdy to słyszy,

ale nie odwraca się do mnie. Wiem jednak, że mam jego uwagę. — Zachęcał cię do szukania informacji o matce. Jesteś jego synem. — Zwiesza głowę po tym słowie i wyraźnie widać ciężące na nim poczucie winy. — Wiele razy dowiódł, że zrobi dla ciebie wszystko... Moim zdaniem cieszy się, że mógł ci towarzyszyć, gdy mierzyłeś się z ostatnią nieznaną z przeszłości.

Mam nadzieję, że usłyszysz mój przekaz i uświadomi sobie, że jedynym pragnieniem rodzica jest dbanie o szczęście, zdrowie i poczucie spełnienia swojego dziecka, bo to właśnie powodowało dziś Andym. Wydawało mi się, że rozumiem ten koncept, a teraz, gdy mam Ace'a, to po zaledwie pięciu dniach macierzyństwa wiem, że poruszyłabym niebo i ziemię, żeby mu to zapewnić.

Colton podchodzi do mnie bez słowa i z powrotem siada przede mną. Wyciąga mały palec i łaskocze Ace'a po wnętrzu dłoni, żeby zacisnął na nim swoją piąstkę. Ten widok — olbrzymia dłoń i maleńkie paluszki, które kurczowo ją ściskają — uderza mnie i wzmacnia przekonanie, że Ace jest od nas zależny absolutnie we wszystkim. Że w pewnym sensie jego los jest w naszych rękach. Ciekawe, czy dziecko czuje brak połowy zespołu opiekuńczego.

— Patrzę na Ace'a — odzywa się znowu, tym razem spokojniejszym głosem — i od razu czuję tę więź. Mówię sobie, że to pewnie dlatego, że po raz pierwszy w życiu łączą mnie z kimś więzi krwi. I że to uczucie pojawia się automatycznie, gdy jesteś z kimś spokrewniony. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile razy przez te wszystkie lata czułem się jak pieprzony wyrzutek, bo to uczucie było dla mnie niedostępne. — Przerzywa na chwilę, przeczesuje dłonią włosy i chrząka. Jego chrapliwy głos jest jedynym świadectwem szalejących w jego wnętrzu emocji. — Ale dzisiaj, gdy stałem naprzeciw tego zgorzkniałego faceta o takich samych oczach jak moje, któremu kompletnie zwisało to, kim jestem, *nie poczułem absolutnie niczego*. Żadnego kliknięcia. Żadnej więzi. Niczego. *Lecz jego krew nadal we mnie płynie* — wyjaśnia nieco łamiącym się głosem. Jego wyznanie wywołuje we mnie potężne poczucie winy z powodu tego, co czułam kilka chwil temu. I jak na ironię przyszło mi jeszcze do głowy paradoksalne porównanie z desperacką potrzebą bycia blisko Ace'a i karmienia go, bo to daje mi szczęście i poczucie sensu.

— Zrobiło mi to niezły zamęt w głowie, Ry — wyznaje, wrywając mnie z zamyślenia. — Odkrycie, że tak poszukiwana przeze mnie więź od dawna łączy mnie z tatą. *Andym*. Dziś uświadomiłem sobie, że więzy krwi są gównie ważne, jeśli nie poświęcisz czasu na to, by je pielęgnować. Więc owszem, łączy mnie z Ace'em więź krwi... ale w pewnym sensie na razie nie jestem ani trochę lepszy niż ten dawca spermy był wobec mnie.

Otwieram usta i prostuję się w gotowości do polemiki, ale on tylko potrząsa głową, żebym dała sobie spokój. Odrywa wzrok od Ace'a i rzuca mi spojrzenie pełne emocji, z których najbardziej wyróżnia się żal.

— Słuchaj, wiem, że jak dotąd jestem oszczędny w kontakcie z Ace'em. Wciąż boję się, że go skrzywdzę lub zrobię coś złe, bo kompletnie się na tym nie znam. Ale stojąc na tamtym podjeździe i patrząc na tę szumowinę, uświadomiłem sobie, że Ace'a w ogóle nie obchodzi to, czy jestem idealny... tylko to, czy będę przy nim na każdym etapie jego rozwoju. Tak jak Andy był przy mnie. Do licha, Ry, tak bardzo skupiałem się na obmyślaniu, jakim ojcem powinienem być dla Ace'a, że w ogóle nie byłem dla niego ojcem.

W oczach natychmiast stają mi łzy, gdy patrzę, jak jego wewnętrzny chłopiec został zupełnie przyćmiony przez dojrzałego mężczyznę, w którym się zakochałam.

— Wiem, że będziesz wspaniałym ojcem, Colton.

Nachylamy się do siebie jednocześnie i stykamy ustami w najczulszym z pocałunków, przekazując sobie wszystkie uczucia, którymi chcemy się ze sobą dzielić: akceptację, uznanie, miłość i dumę.

— W niczym go nie przypominasz. Od dawna o tym wiemy. W końcu ty też się do tego przekonałeś. Jestem z ciebie dumna, Coltonie Donavanie — szepczę w jego usta. Muska moje po raz kolejny, po czym w typowy dla siebie sposób całuje mnie w czubek nosa.

Siedzimy tak przez chwilę w milczeniu. Ja, on i Ace. Moja mała rodzina.

Z całych sił walczę z nękającym mnie dysonansowym tonem, żeby móc rozkoszować się tą chwilą. Zapamiętuję to uczucie pełni, jakiego doznaję z nimi przy sobie.

Myślę o tym, że burza w końcu ucichła.

Mam tylko nadzieję, że na horyzoncie nie czają się żadne nowe chmury.



## *Rozdział 31.*

### *Rylee*

Wpatruję się w otwarty e-mail od CJ-a. Na liście pięciu magazynów z nedorzecznymi kwotami obok każdej nazwy. Oferty za pierwsze zdjęcia nowej rodziny Donovanów. Ujarzmiony kobieciarz i gwiazdor wyścigów, jego żona nimfomanka, a między nimi ich mały, cudowny skarb.

Bezwiednie napinam mięśnie i wzrok mi się rozmywa. Czuję suchość w ustach na myśl o tym, że ktoś miałby zobaczyć Ace'a. Wystarczy, że wyobrażę sobie wyjście z nim z domu, a już wpadam w panikę. Na szczęście Coltonowi udało się załatwić wizytę domową pediatry na pierwsze badanie kontrolne Ace'a, bo nie wiem, co bym zrobiła.

Zamykam e-mail. Nie ma mowy. Nie ma możliwości. Żadne publiczne zdjęcia nie wchodzi w grę.

Zresztą niepubliczne też.

Bo chociaż ludzie dostali zdjęcie zrobione przez Eddiego, na którym Ace ma pomarszczoną czerwoną twarzyczkę, otwartą buzię i niewyraźne rączki, bo nimi machał, nadal panuje jakaś obsesja na tym punkcie. Nic nie ucichło. Wręcz przeciwnie. Apetyt został tylko podsycony. Reporterzy czają się przy domu i próbują przekupywać Grace, aby ukradkiem zrobiła zdjęcie, sprząając dom, a ich inwencja nie ma granic.

Nie mam zamiaru zaspokajać ich popędów. Zabrano mi już wystarczająco wiele i nie zamierzam dawać niczego więcej.

Leżący na biurku telefon wibruje po raz kolejny. Zerkam na ekran — tym razem to Haddie, a nie mama, która wysłała mi już dzisiaj pięć wiadomości, sugerując, że jeszcze trochę i zignoruje moją odmowę. Przyjedzie bez pytania, żeby zobaczyć wnuka i pomóc mi tak, jak tylko będzie potrafiła.

Usuвам wiadomość od Haddie z ekranu powiadomień. Łąduje na tym samym stosie co pozostałe wiadomości od członków rodziny i przyjaciół, pytających, czy mogą wpaść, czy mogą przywieźć nam kolację lub czy mają zatrzymać się w sklepie i kupić nam pieluchy.

*Przyjmij ofertę, Rylee.*

Ostatnia wizyta ludzi z zewnątrz — chłopców — skończyła się moim załamaniem. Od tego czasu przeżyłam ich sporo w ciszy własnego domu i na pewno nie potrzebuję chwalić się przed wszystkimi, jaka jestem niezrównoważona.

*Poproś ją, żeby przyjechała.*

Nie, bo zauważy moją udrękę. Nie mogę nikomu pokazać, w jakim kłamstwie żyję. Nie mogę dopuścić, by ktokolwiek zobaczył, że kobieta, która miała być idealną matką, czasem nie może nawet patrzeć na swojego syna, bo na jego widok ma ochotę schować się w szafie. Do tego wzdryga się, gdy on płacze, i zmusza się do przebywania z nim, chociaż wolałaby położyć się na łóżku, ukryć twarz w dłoniach i płakać.

*Napisz do niej, Ry. Poproś, żeby przyjechała.*

Przeżywam smutek poporodowy. To wszystko. Pieprzony emocjonalny rollercoaster — skrajna radość przeplatająca się z rozrywającym przygnębieniem, a wszystko wyzwalane przez niekontrolowaną burzę hormonów.

*Ona tego nie zrozumie. Te emocje są czymś normalnym. Każda młoda matka przez to przechodzi, lecz nikt inny nie jest w stanie tego zrozumieć.*

Muszę sobie z tym poradzić na własną rękę. Mam obsesję na punkcie kontroli i dlatego przeszkadza mi, że nie radzę sobie z zewnętrznym światem, z emocjami, ze wszystkim. Udowodnię, że dam sobie z tym radę i że jestem w tym dobra. Minęło dopiero siedem dni. Dam sobie radę sama.

*Skorzystaj z okazji, żeby zrobić sobie przerwę. Przecież tego właśnie potrzebujesz.*

Jak mam pozwolić, by ktoś z zewnątrz zajął się Ace'em, skoro mam problem z oddawaniem go Coltonowi? Wiem, że tylko ja mogę go karmić, ale jest jeszcze przewijanie pieluch, odbijanie, kołysanie i wiele innych zajęć, które można powierzyć innym. Bynajmniej nie uważam, że Colton sobie z tym nie poradzi, ale jeśli ja się z tym uporam i udowodnię sobie, że daję radę, to może przestanę tak wariować.

*Potrzebujesz kilku minut dla siebie. Pozwól jej przyjść. Weź prysznic bez pośpiechu. Umyj zęby, nie oglądając się co chwila, czy jego klatka piersiowa wciąż się unosi. Zjedz coś bez dziecka przy boku.*

Biorę telefon. Drżą mi dłonie, gdy wpatruję się w wiadomość od Haddie. Każda cząstka mnie chciałaby odpisać coś innego.

**Jest dobrze. Dzięki. Zadomawiamy się. Może w przyszłym tygodniu, gdy już wszystko zacznie się układać.**

Klikam „wyślij”. Czy Haddie przejrzy moją odpowiedź? Czy mimo niej przyjedzie i po pięciu minutach zorientuje się, że coś jest ze mną nie tak?

*Może właśnie tego chcę.*

Nie wiem.

Zamykam oczy i odchylam się z powrotem na krzesło. Zatopiona w myślach, próbuję odzyskać równowagę, skoro Ace śpi w huśtawce, a Colton przebywa poza murami mojego dobrowolnego więzienia.

Po moim policzku zsuwa się pierwsza cicha łza. W głowie kotłują się myśli, które spływają z każdą kolejną łzą, a ja z jakiegoś powodu przypominam sobie o

pustej ramce na regale na książki. Ramce, którą mieliśmy wypełnić nowymi wspomnieniami rodzinnymi. Niestety, gdy otwieram oczy, widzę w niej tylko pustkę.

Taką samą, jaką mam w duszy.

Przyjechałam tu z okazałą listą rzeczy do zrobienia, a teraz za żadne skarby nie potrafię sobie przypomnieć żadnej z nich. Otępienie ciężowe musiało przerodzić się w otępienie poporodowe, biorąc pod uwagę to, jaka jestem zapominalska i rozkojarzona.

Sprawdzić, co z Zanderem. Wziąć prysznic. Zapewnić Shane'a, że nic mi nie jest mimo ataku tamtego wieczoru. Odciągnąć mleko. Spytać Coltona, czy policja dowiedziała się już czegokolwiek o miejscu przebywania Eddiego. Zjeść coś. Muszę pamiętać o jedzeniu. Spytać Teddy'ego o pracownika socjalnego zajmującego się sprawą Zandera. Odpowiedzieć na SMS-y.

Boli mnie głowa od tego wszystkiego. To ważne sprawy, a mimo to nie chcę się nimi zajmować. Mam ochotę naciągnąć koc na głowę i zasnąć. Uciec w jedyne miejsce, w którym nie dosięgają mnie te obce mi myśli i uczucia.

Spoglądam na ekran, żeby zamknąć pocztę, lecz moją uwagę przykuwa e-mail na dole ekranu, którego wcześniej nie zauważyłam. To wiadomość od CJ-a o temacie: „Wszczęcie postępowania w LADCFS”.

O co tu chodzi? LADCFS to przecież wydział adopcyjny w Los Angeles. Jakie postępowanie zostało tam wszczęte? Przez głowę przemykają mi słowa Coltona sprzed kilku tygodni, ale postanawiam je zignorować. Nie wierzę, że zrobił to, o czym myślę.

Otwieram e-maila i czytam:

*Colton,*

*zgodnie z Twoim poleceniem zainicjowałem wstępne postępowanie kwalifikujące Ciebie i Rylee jako odpowiednich kandydatów do adopcji Zandera Sullivana. Podkreślam po raz kolejny, że jest to nużący i zawiły proces, a jego wynik wcale nie musi być zgodny z Twoimi oczekiwaniami. W załączniku znajdziesz wypełnione w imieniu Rylee i Twoim formularze, które nadały bieg sprawie.*

Czytam ponownie, przeżywając na okrągło tę samą sekwencję emocji: szok, niedowierzanie, dumę i wściekłość.

Jak on mógł to zrobić bez porozumienia ze mną? Jak mógł mnie zmusić do wybrania jednego z chłopców kosztem pozostałych?

Z jakiegoś powodu nie potrafię dostrzec pozytywnych aspektów tej inicjatywy. Widzę je, zdaję sobie z nich sprawę, ale i tak nie jestem w stanie zaakceptować myśli, że jeden z moich chłopców ma dla Coltona tak duże znaczenie. Skupiam się wyłącznie na tym, że zrobił to beze mnie.

Nie ma w ogóle takiej opcji.

To niemożliwe.

Nawet jeśli uratujemy jednego, pozostali poczują się odtrąceni.

Moje palce ześlizgują się z krawędzi emocjonalnej studni, z której powoli się wyczołgiwałam, i wpadam z powrotem w ciemność. Po prostu nagle znikam. To tak intensywne i nieuchronne, że gdy wynurzam się, by zaczerpnąć powietrza, cienie w pokoju są inne. Musiało minąć sporo czasu.

Nie mogę się pozbierać. Ace płacze jak oszalały. Wydaje z siebie przenikliwy krzyk, odwołujący się bezpośrednio do moich instynktów macierzyńskich i do przeciążonych od nadmiaru mleka piersi. Mimo to mam ochotę uciec na plażę, gdzie huczący wiatr wywieje ten płacz z moich uszu. Gdzie będę mogła udawać, że nic nie słyszę.

— Na litość boską, Ry! Gdzie ty, do cholery, jesteś? — Głos Coltona niesie się echem po domu. Pobrzmiwają w nim dezaprobata i gniew.

Czy to właśnie wyrwało mnie z transu? Wołanie Coltona?

Uderza mnie *déjà vu*. To samo miejsce, ta sama sytuacja co wczoraj, lecz tym razem ton jego głosu jest znacznie bardziej wymowny niż wypowiedane przez niego słowa. Ruszam w jego stronę gotowa do wszczęcia kłótni.

Wchodzę do salonu i widzę, jak wyciąga siniego od krzyku Ace'a z huśtawki, przytula go do torsu i próbuje uspokoić. Odrywa od niego wzrok, gdy słyszy moje kroki, i rzuca mi paraliżujące spojrzenie.

— Już drugi raz wchodzę do domu i zastaję płaczącego Ace'a, podczas gdy ciebie nie można znaleźć. Co tu się, do diabła, dzieje, Rylee? — mówi stanowczym i surowym głosem, w którym wyraźnie słychać złość i poczucie zagubienia.

Patrzę na niego jak oniemiała. Wiem, że zasługuję na reprimendę i że ma pełne prawo zadać mi to pytanie, ale nie znajduję żadnych słów, którymi mogłabym mu to wyjaśnić.

— Odpowiedz mi — nalega, prowokując Ace'a do wyplucia smoczka i wznowienia płaczu.

— Ja... ja... Ja nie potrafię... — wyjąkuję, próbując znaleźć słowa wyrażające to, co czuję, mimo że sama tego nie wiem. Postanawiam więc zmienić strategię. Wykorzystam swoje emocje i dorzucę do tej kiełkującej kłótni najcięższy kaliber oskarżeń z pełną świadomością, że robi się nieprzyjemnie. On jest podminowany po wczorajszym spotkaniu z ojcem, a ja jestem przytłoczona nieustannym natłokiem emocji. — Jak śmiesz wypełniać w naszym imieniu dokumenty adopcyjne Zandera i ukrywać to przede mną! Mówiłam ci, że nie mogę wybrać jednego chłopca kosztem innych! — krzyczę ile sił w płucach. Połączenie dwóch zupełnie niepowiązanych ze sobą kwestii jest takie przyjemne i oczyszczające po tak długim tłumieniu tego wszystkiego w sobie. Owszem, prowokuję wojnę, żeby odwieść go od prawdy, ale nie potrafię się już powstrzymać. — Zrobiłeś coś za moimi plecami, Colton. Jak mogłeś? Jak mogłeś chociaż przez sekundę sądzić, że wiesz, czego potrzebuję ja lub Zander?

Colton stoi lekko osłupiały z szeroko otwartymi oczami, zaciśniętymi zębami i naszym dzieckiem na ramieniu, patrząc na mnie z absolutną bezczelnością.

— *Ja nie wiem, czego potrzebuje Zander?* — pyta coraz głośniej. — Jeśli chcesz się pokłócić, lepiej znajdź coś lepszego, bo oboje dobrze wiemy, jaka jest prawda w tej kwestii. — Dostrzegam ból w jego oczach, lecz chociaż się za to nienawidzę, nie potrafię pohamować szalejącego we mnie huraganu wściekłości.

— Ukryłeś to przede mną — cedzę przez zęby ledwie słyszalnym głosem.

— *Doprawdy?* — pyta z niedowierzaniem i podchodzi kilka kroków bliżej. Wrzask Ace'a na jego ramionach tylko podburza napiętą atmosferę. — Powiedziałem ci, że przyjrzę się tej sprawie. E-mail nie był w żaden sposób ukryty na pieprzonym komputerze. Gdybym chciał go ukryć, nie sądzisz, że bym go usunął? Albo w ogóle kazał CJ-owi wysłać go na adres firmowy, żebyś go nie przeczytała? Podaliśmy tylko nasze nazwiska do systemu, żeby pokazać nasze zainteresowanie Zanderem, bo może to da do myślenia pracownikowi socjalnemu i skłoni go do wstrzymania procesu. Pozbieraj się, Ry...

— Nie waż się tak do mnie mówić! — krzyczę. Jego proste słowa wyzwalają we mnie histerię, bo nie chcę dostrzec ukrytej w nich prawdy. Nie mogę. — Nie życzę sobie, żebyś tak włąził tu, nie mając pojęcia, co się w ogóle dzieje, i traktował mnie jak swoją pieprzoną nianię.

Podnosi głowę, kompletnie zdumiony tą zmianą tematu.

— O czym ty, do cholery, mówisz? Powiedziałem ci dwadzieścia razy, żebyś pozwoliła sobie pomóc, lecz ty odmawiasz. Jakbyś zdawała jakiś cholerny test na bycie supermamą. Tymczasem, jeśli się nie mylę, to nie są żadne zawody, więc przestań to tak traktować. *Nianię?* Jezu Chryste, czyś ty postradała zmysły? — Patrzy na mnie, ciężko dysząc, i potrząsa głową, jakby mnie nie poznawał. Smutne jest to, że sama się w tej chwili nie poznaję.

Gardzę tą kobietą, która wywołała kłótnię z mężem, bo jest przerażona i zagubiona i nie rozumie, co się z nią dzieje. Ale nie wiem, jak to powstrzymać. Stoimy trzy metry od siebie, a w przestrzeni między nami nie ma nic prócz wrogości.

Mam mu tak wiele do powiedzenia. Tyle rzeczy powinienam mu wyjaśnić, nie potrafię jednak znaleźć właściwych słów, a nieustanny płacz Ace'a jest jak ocet na moje otwarte rany i jeszcze bardziej mnie podjudza.

Colton podchodzi do mnie i przygląda mi się badawczo w poszukiwaniu odpowiedzi, których nie potrafię mu udzielić.

— Jeśli będziesz chciała pokłócić się o coś wartego kłótni, Rylee, wiesz, gdzie mnie szukać. — Prowokuje mnie wzrokiem do riposty, do podrażnienia jego wrażliwych punktów. Nie odpowiadam, więc wyciąga w moją stronę płaczącego Ace'a. — Tymczasem jednak twój syn jest głodny i był głodny Bóg wie jak długo

przed moim przyjściem.

Patrzę na Ace'a i na Coltona jak zamurowana, a z moich ust padają słowa, których nie powinnam mówić.

— Sam go nakarm.

*Nie. Wcale tak nie myślę.*

— Co? — Na jego twarzy maluje się taka dezorientacja, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

*Pomóż mi się z tego otrząsnąć. Proszę, pomóż mi.*

— Nakarm go mlekiem modyfikowanym. — Ten głos nawet nie brzmi jak mój.

*Coś jest ze mną nie tak. Nie widzisz tego?*

— Rylee... — Płacz Ace'a przybiera na sile, gdy Colton trzyma go na wyciągniętych rękach między nami. Wiem, że mały czuje zapach mleka, wiem, że jest głodny, ale ta cholerna mgła apatii otacza mnie swoją ołowianą kurtyną do tego stopnia, że muszę się z całych sił powstrzymać, by stąd nie uciec. I jednocześnie *nie* podejmować walki na śmierć i życie w sprawie, w której w ogóle nie powinnam walczyć.

*Chwyć mnie za ramiona i potrząśnij mną. Każ mi się wyrwać z tego szaleństwa.*

Myśli do tego stopnia dławią moją duszę, że nie potrafię oddychać. Cały pokój zaczyna wirować i mam wrażenie, jakbym znalazła się w piekarniku. Powietrze jest gorące i lepkie. Trudno mi nim oddychać i kręci mi się w głowie.

Colton desperacko zerka to na mnie, to na Ace'a, próbując zrozumieć, co tu się dzieje. Jest zaskoczony. Pełen obaw. Przerażony.

*Ja też.*

— Myślałem, że chcesz go karmić z piersi przez pierwsze dwa miesiące, bo...

— Nie mam mleka — kłamię, z trudem brnąc przez gęstą czerń, która powoli mnie wchłania, pełną od stóp po nogach w górę.

*Nie. Nie. Nie. Walcz, Rylee. Walcz z tą czernią.*

— Przestań kłamać.

— Nie kłamię — odpowiadam, a on wskazuje na moją bluzkę. Zerka w dół i widzę dwie mokre plamy na czerwonym materiale w miejscu, gdzie pod wpływem ciągłego płaczu Ace'a mleko przeciekło przez wkładki laktacyjne.

*Nie myśl o sobie. As. Pomyśl o nim. On cię potrzebuje.*

Jestem kompletnie wyczerpana psychicznie toczącą się we mnie wojną, która rozgrywa się niezależnie od tego, czy biorę w niej udział, czy nie.

— Daj mi go — szlocham. Nagle łyzy zaczynają płynąć szybciej, gdy wyciągam ręce po Ace'a. Jeszcze boleśniejszy od własnych myśli jest jednak wyraz twarzy Coltona i to, że odsunął się nieznacznie z Ace'em, spojrzął mi

badawczo w oczy i dał mi go dopiero wtedy, gdy upewnił się, że może to zrobić.

Odwracam się do niego plecami i siadam na kanapie. Podkładam poduszkę do karmienia i po kilku sekundach Ace, poruszając zapalczywie małymi ustami, zaczyna ssać, chciwie ugniatając pierś rączkami. Wciąż niekontrolowanie szlocham, ale nie potrafię zdobyć się na to, by spojrzeć Coltonowi w oczy. Nie jestem w stanie. Muszę zrobić to, co do mnie należy. Być najlepszą mamą, jaką potrafię, i walczyć z tą niewidzialną kotwicą, która powoli ściąga mnie w dół, pod powierzchnię.

— Rylee? — pyta Colton spokojnie. Wyraźnie słyszę w jego głosie, jak się hamuje, próbując zrozumieć, co tu właśnie zaszło.

Po kilku chwilach udaje mi się opanować płacz na tyle, że jestem w stanie mówić.

— Możesz pójść do sklepu po mleko modyfikowane? Naprawdę go potrzebuję — mówię tak cicho, że z zaskoczeniem orientuję się, że mnie usłyszał. Musi sobie pójść, żebym mogła się pozbierać, bo nie chcę, by uznał mnie za wariatkę, nawet jeśli tak właśnie się czuję.

— Porozmawiaj ze mną, proszę.

— Nic mi nie jest. Wszystko jest w porządku. Doskwiera mi po prostu łagodny smutek poporodowy, dlatego byłoby super, gdybyś poszedł do sklepu i kupił mleko modyfikowane, bo wtedy jeśli znowu mnie to dopadnie, będziesz mógł mi pomóc i nakarmisz Ace'a. — Próbuję odzyskać typowe dla siebie, rzeczowe nastawienie i spokojnym, zrównoważonym głosem proszę o jedyną pomoc, jaką jestem teraz w stanie przyjąć.

*Proszę, idź już sobie i daj mi kilka chwil na uporanie się z tym załamaniem, żeby było lepiej, jak wrócisz.*

Czuję jego wahanie, bo kilka razy próbuje odejść, lecz nie może się na to zdecydować. W końcu głośno wzdycha.

— Jesteś pewna, że...?

— Proszę, Colton. Będę tu siedziała i karmiła Ace'a przez te dziesięć minut twojej nieobecności.

— Dobrze. Pospiesz się. — To, że znowu się waha, niemal na nowo mnie rozbija i czuję w gardle palące łzy.

Zbiera się jednak i wychodzi, a ja z zadowoleniem przyjmuję chwilową ciszę, która spowija mnie niczym ciepły koc wyciągnięty z suszarki. Mam ochotę się nim otulić i naciągnąć go na głowę, żeby przestać cokolwiek widzieć i czuć. Mam ochotę zatracić się w otaczającej mnie pustce.

Opuszczam wzrok na Ace'a i natychmiast się nienawidzę. Mam piękne i zdrowe dziecko, które tak bardzo kocham, ale z jakiegoś powodu nie potrafię wykrzesać z siebie tego uczucia, gdy na nie patrzę. Ta najbardziej podstawowa, instynktowna miłość łącząca matkę z dzieckiem w moim przypadku z jakiegoś

powodu szwankuje. Patrząc na Ace'a, czuję zaledwie cień tych wszechogarniających emocji, które zalewały mnie jeszcze parę dni temu.

To, że je przeżywałam i utraciłam, jest nieporównywalnie gorsze, niż gdybym w ogóle ich nie poznała.

„*Teraz, gdy go już masz, potrafisz sobie wyobrazić, że mogłabyś go stracić?*”. Przypomina mi się groźba Eddiego. Prześladowuje mnie. Sprawia, że zaczynam w sobie wątpić.

*To on ci to zrobił, Rylee. To przez niego.*

Jak to możliwe? Niemożliwe, żeby to wywołał.

*Sama to sobie zrobiłam. Coś jest ze mną nie tak.*

Mama powiedziała, że większość świeżo upieczonych mam byłaby gotowa piracić chodnikami, żeby jak najszybciej wrócić do swojej pociechy. Co mam w takim razie myśleć o sobie, jeśli mam ochotę jechać w przeciwną stronę?

Chciałabym, żeby wróciło to poczucie więzi. Wolałabym, żeby to wszystko nie wydawało się takie wymuszone, lecz tak właśnie czuję, siedząc w tym pustym domu. Karmię Ace'a, bo trzeba go karmić, a nie dlatego, że chcę to robić. *Wykonuję jedynie niezbędną sekwencję ruchów.* Obserwuję swoje życie przez lustro weneckie i nikt nie wie, że się za nim ukrywam.

Przytłoczona niedorzecznością tego wszystkiego zamykam oczy i próbuję się wyciszyć. I gdy po raz pierwszy od dłuższego czasu udaje mi się uspokoić, zrywam się najszybciej jak potrafię z Ace'em przy piersi i biegnę do gabinetu. Biorę telefon i gorączkowo wybieram numer Coltona, a moje zdrowe zmysły odchodzą w krainę mroku i przygnębienia.

*Sygnal.*

W głowie pojawiają mi się obrazy martwego Coltona, leżącego gdzieś na poboczu. Wypadł ze zmiążdżonego samochodu, bo tak się spieszył, że zapomniał zapiąć pasy.

*Sygnal.*

Zastrzelony Colton leżący na podłodze pobliskiego supermarketu. Poszedł tam na piechotę i pechowo trafił na napad.

*Sygnal.*

Czuję palące łzy. Mój umysł robi mi prezentację dowodzącą, że Colton nie wróci już do domu. Panika ściska mnie za gardło i czuję klaustrofobię mimo tak dużej przestrzeni.

*Sygnal.*

— Odbierz telefon. Odbierz telefon! — krzyczę do słuchawki owładnięta histerią, gdy wracam do salonu z Ace'em w jednej ręce i telefonem w drugiej.

*Sygnal.* Słyszę Coltona, ale to nie on, lecz jego poczta głosowa.

Nie. Tylko nie to.

Chodzę tam i z powrotem, zestresowana i zaniepokojona, a panika powoli



przeradza się w przerażenie. Doprowadza mnie do szaleństwa wyobrażenie, że za chwilę policja zapuka do drzwi, żeby mi powiedzieć, że coś się stało Coltonowi.

Jeszcze kilka dni temu umiałam stanąć obok, przyjrzeć się emocjom, które mną owładnęły, i uświadomić sobie, że tracę zmysły, lecz teraz już nie potrafię. Teraz jestem w stanie takiego pobudzenia, że gdy Colton otwiera drzwi prowadzące z garażu do domu, niemal wpadam na niego z Ace'em na rękach.

— O mój Boże, nic ci nie jest — łkam, obejmując go kurczowo. Muszę poczuć ciepło jego ciała, żeby uwierzyć, że jest tu naprawdę.

— Hola! — mówi, zaskoczony moją nagłą napaścią. Rzuca siatkę z puszką mleka na ziemię i przytula mnie tak, żeby nie zmiażdżyć Ace'a. — Nic mi nie jest, Ry. Byłem tylko w sklepie po mleko — mówi uspokajającym tonem, w którym pobrzmiwa dezorientacja, ale ja się tym nie przejmuję, bo najważniejsze, że wrócił do mnie cały i zdrowy.

— Tak się bałam. Miałam straszne przeczucie, że coś ci się stało, i gdy nie odbierałeś telefonu, pomyślałam...

— Ciii. Ciii — mówi, gładząc mnie wolną ręką po policzku, i spogląda mi prosto w oczy. — Nic mi nie jest. Jestem tu. Przepraszam za telefon. Włączyłem tryb „nie przeszkadzać”, żeby nie przerwać Ace'owi drzemki głośnym dzwonkiem.

Jego szczerze spojrzenie uśmierza nieco dręczącą mnie niepewność.

— Położę Ace'a w huśtawce, dasz mi go? — Zerka z zaniepokojeniem na Ace'a, który zasnął w moich ramionach, po czym wraca spojrzeniem do mnie. Zmuszam się do głębokiego wdechu, podaję mu dziecko i patrzę, jak zapina je w huśtawce i włącza ją.

Chwilę później wraca do mnie, przyciąga mnie do siebie i mocno przytula. Oddycham nim. Staram się wyciszyć szalejącą we mnie rebelię, skupiając się na tym wszystkim, co w nim tak dobrze znam: miejsce w zagłębieniu karku pachnące wodą kolońską, rytm jego pulsu na moim policzku, drapanie jego zarostu na mojej skórze, ciężar jego podbródka na mojej głowie.

Zatapiam się w nim i przenoszę na niego ciężar, który dźwigam na ramionach.

— Ry... Przeraziłaś mnie na śmierć. Proszę, pogadaj ze mną. Pozwól mi coś zrobić... Cokolwiek, czego potrzebujesz. Żadnemu mężczyźnie nie przystoi być bezradnym, a szczególnie mnie — błaga i zacieśnia uścisk, gdy pod wpływem jego słów mam ochotę uciec, chociaż jednocześnie przytulam go jeszcze mocniej.

— Coś jest ze mną nie tak, Colton. *Jestem złamana* — mówię ledwie słyszalnym szeptem, ale wiem, że mnie usłyszał, bo sekundę później ujmuje moją twarz w dłonie i rzuca na nią zatroskane spojrzenie.

— Nie, nie jesteś. Nie jesteś złamana, tylko trochę zgięta — odpowiada z nieznacznym uśmiechem, próbując przywołać dawną chwilę. Nawiązuje do przeszłości, by naprawić tę sytuację, ale nie sądzę, żeby to mogło mi pomóc.

— Mam wrażenie, że wariuję — wykrztuszam z trudem, jakbym musiała wyrywać każde słowo ze swojego wnętrza. Gdy w końcu je z siebie wyrzucam, natychmiast tego żałuję i jednocześnie czuję ulgę. Te ciągle sprzeczności są chyba jedyną stałą w moim pogmatwanym umyśle.

Potrząsa przecząco głową, jakby odruchowo odrzucał moje wyznanie, a potem, gładząc mnie dłońmi po policzkach, patrzy mi badawczo w oczy.

— Co mogę dla ciebie zrobić? Zadzwoić do doktor Steele? — Widzę, że jest spanikowany, zagubiony na polu minowym moich hormonów i nie wie, jak mi pomóc.

— Nie — odtrącam natychmiast ten pomysł, motywując się wstydem i uporem. — To tylko smutek poporodowy. Przejdzie mi za kilka dni. — Mam nadzieję, że dał się nabrać na mój pewny siebie głos, bo wcale się tak nie czuję.

— To dlaczego nie skorzystamy z czyjejś pomocy? Twoja mama, moja mama, Haddie...

— Nie! — Myśl o tym, że ktoś inny miałby się o tym dowiedzieć, jest równie dławiąca jak trawiące mnie emocje. Wstyd mi nawet przed mamą, bo to by oznaczało, że zawiodłam. Nie nadaję się. Czuję narastającą panikę, gdy sobie to uświadamiam. — Nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

*Nie wierzę, że się do tego przyznałam.*

— No to niania. Ktoś, kto...

— Nie ufam nikomu na tyle, żeby powierzyć mu Ace'a. — To nie podlega negocjacom. Zaczynam drzeć, bo całe ciało wibruje paniką na samą myśl, że jakaś obca, nieznana mi osoba miałaby dotykać mojego dziecka.

— Rylee — mówi z irytacją. — Chcę ci pomóc, ale odrzucasz wszystko, co mogę ci zaproponować.

— Potrzebuję jedynie trochę czasu — szepczę. *Mam nadzieję.* Moja głowa drży w jego dłoniach, w oczach stają mi łzy, a serce łomocze jak oszalałe. Ani chybi zbliża się kolejny atak paniki, który rozłoży mnie na łopatki. — Po prostu mnie przytul, dobrze?

— O niczym innym nie marzę — odpowiada. Siada na kanapie ze mną na kolanach. Opieram głowę na jego ramieniu, a nogi zwisają z jego ud.

Pozwalam, by uspokoił mnie dotykiem. Potrzebuję tego. Ciepło jego ciała i głaszczący mnie po ramieniu kciuk wygładzają moje poszarpane wnętrze, którego nie potrafię sama naprawić i od którego nie potrafię uciec.

Zatapiam się w niego i uświadamiam sobie, jak bardzo potrzebna mi jest ta więź między nami. To poczucie jedności, jakie dawał nam seks — którego nie mogliśmy uprawiać ze względu na moją niedyspozycję i z którym musimy się wstrzymać jeszcze przez kilka tygodni — zostało nam odebrane. Mam wrażenie, że się oddalam, podczas gdy tak naprawdę potrzebuję poczuć się bliżej *niego*.

Czuję niewytłumaczalny ból serca. Niemal taki, jak po utracie kogoś, ale

nikogo nie straciłam. Raczej zyskałam. Kogoś wspaniałego. Ace'a.

Zaczynam przeproszać, ale hamuję się. Przeprosiny mają sens tylko wtedy, gdy przestaje się robić to, za co się przeprosza. Problem polega na tym, że nie wiem, czy potrafię przestać.

Mam jednak dwa bardzo przekonujące powody, by walczyć do upadłego.

Mam nadzieję, że okażą się wystarczające.

## Rozdział 32.

### Colton

— Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. — I wiele innych rzeczy też, ale tego nie muszę zdradzać Kelly’emu.

— Wiem. Mam dwa tropy. Obserwuję jedno miejsce z samochodu, a Deanowi kazałem obserwować drugie. Dwadzieścia cztery godziny, maksymalnie czterdzieści osiem... Ale muszę ci powiedzieć, Colton, że jeśli ktoś chce się zaszyć w mieście, to Los Angeles świetnie się do tego nadaje. — Przerywa, a niewypowiedziane przez niego słowa tłoczą się na linii. — Jesteś pewien tego, co robisz? Bo ja...

— Nie kwestionuj moich decyzji, Kelly. Jeśli chcesz zrezygnować, zrób to teraz. Każę Sammy’emu zrobić co trzeba, jeśli ty nie potrafisz. — Nie sposób nie zauważyć ostrzegawczej nuty w moim głosie.

— Spokojnie, Donavan. — Te słowa są dla mnie jak drapanie tablicy gwoździem. Wkurzają mnie. Jak na ironię powiedziałem coś podobnego Ry, żeby ją wkurzyć. — Wszystko zorganizowałem. Każdy jest na swoim miejscu. Ale i tak uważam, że powinieneś zostawić to policji.

Mój śmiech jest gromki i dźwięczny. I kompletnie wyzbyty radości.

— Eddie jest dla nich nieważny. Ale dla mnie przeciwnie. Wyrządził mojej rodzinie wystarczająco dużo krzywd. Nie pozwolę mu na więcej. Zrób to, co masz zrobić.

— Zrozumiałem. Pamiętaj tylko o tym, że możesz przyprowadzić konia do wodopoju, ale nie zmusisz go, żeby się napił.

— Ten koń jest spragniony zemsty. Jestem pewien, że się napije.

— Zadzwoń, gdy go zwinę. A teraz zmykaj do swojej seksownej żony i uroczego dzieciaka. — Wiem, że próbuje mnie rozbawić tym komentarzem, ale nie udaje mu się to.

Mamrocę pod nosem pożegnanie, bo nie marzę o niczym innym, jak o spędzeniu czasu z moją seksowną żoną. Ale nie mam takiej możliwości, bo ona ukrywa się pod sam nie wiem czym, a ja nie jestem w stanie jej pomóc.

*Daj mi czas*, powiedziała wcześniej. Czas sras. Z każdą godziną coraz bardziej się ode mnie odsuwa.

Nawet teraz, gdy wchodzę do sypialni, gdzie leży z Ace’em w łóżku, widzę jej trud — zaciśnięte powieki, zmarszczone czoło. Próbuje poczuć więź z karmionym dzieckiem. Mówi, że tylko wtedy nie jest kompletnie odrętwiała. I

dzięki Bogu, bo to oznacza, że utrzymuje głowę nad wodą. *Ledwo co*. Na szczęście wystarcza jej determinacji, by karmić Ace'a, bo próba skłonienia go do picia z butelki była pieprzonym koszmarem.

*Bezużyteczny to moje nowe drugie imię.*

To tylko smutek poporodowy. Nic więcej. *Od dziesięciu do czternastu dni*. Tyle może trwać według Google. To dość niezwykle hasło w mojej historii wyszukiwań obejmującej zazwyczaj dobre strony porno, magazyn „Indy Weekly” i prognozy dotyczące surfowania.

Minęło już osiem dni. *Połowę mamy za sobą.*

To nie miało być takie trudne. Myślałem, że gdy urodzi się Ace — dziecko, którego mieliśmy nigdy nie mieć — będziemy niewiarygodnie szczęśliwi. Bo dostaliśmy nieoczekiwaną wisienkę na naszym torcie wspólnego życia.

Nie spodziewałem się takiego bagna.

Sądziłem, że najtrudniejsze z tego wszystkiego okaże się spotkanie z ojcem. Że to będzie największe wyzwanie w naszym związku i że to ja będę tym, który coś spieprzy. Lecz gdy zamykałem drzwi tej swojej cholernej szafy ze szkieletami, Ry niepostrzeżenie powoli osuwała się w mrok.

Nie da się ukryć, że spadł kolejny but.

*Pieprzony Humpty Dumpty*. Natychmiast przypomina mi się inny czas i inne miejsce, gdy czułem podobną bezradność. Tym razem jednak... Do licha, nie mam zielonego pojęcia, jak to wszystko naprawić.

Podchodzę do łóżka, do mojego całego świata, i nie cierpię tego, że sprawia wrażenie tak rozbitego. Przyciskam usta do jej ramienia i zostaję tak przez chwilę, wdychając jej zapach. *Walcz, Ry. Potrzebujemy cię. Ja cię potrzebuję*. Nie mam pojęcia, czy śpi, czy po prostu nie reaguje. Tak bardzo chciałbym, żeby zareagowała. Wiem, że ze względu na nas dokłada wszelkich starań, żeby się pozbierać, chociaż wolałaby osunąć się w apatię.

Moja zadziorna wojowniczką, która mimo podkrążonych oczu wciąż jest nieziemsko piękna, znajdzie wyjście z tej sytuacji. Po prostu nie mogę jej naciskać, niezależnie od tego, jak bardzo bym chciał.

A przynajmniej tak twierdzi Google. *Umysł płata jej figle*.

Podnoszę Ace'a, który na szczęście jest w pełni zadowolony z pełnego brzuszka, i wychodzę z nim z pokoju.

Tylko co ja mam teraz z nim, do cholery, zrobić?

#

Moje ręce są jak pałki, gdy zmieniam pieluchę.

Nie mam żadnej rutyny usypiania.

Zawijanie w kocik? W jaki sposób doprowadzić do tego, żeby wyglądał jak burrito? To nie takie proste. A może zlepię go srebrną taśmą naprawczą? Nie

powiem, jestem zaradny.

*Albo głupi.*

Muszę wykrzesać całą swoją siłę woli, żeby nie skapitulować i nie wezwać kawalerii: naszych mam, Quinlan lub Haddie. Ale to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do klęski, a na to wcale nie mam ochoty. Poza tym nie mogę tego zrobić Ry. Jest teraz taka wrażliwa, a poproszenie kogoś o pomoc bez jej wiedzy odebrałaby jak policzek. Osunęłaby się pod powierzchnię, na której utrzymuje się ostatkiem sił, bo dałbym jej w ten sposób do zrozumienia, że nie nadaje się na matkę.

Oczywiście wcale tak nie uważam, ale w jej obecnym stanie na pewno tak by to odebrała.

Telefon na biurku wygląda jednak tak kusząco.

Czuję się jak ryba pozbawiona wody. Nie jest dobrze. Spacerowałem z nim, kołysałem go i huśtałem — niestety bez skutku. To na niego nie działa.

*No zaśnijże wreszcie!*

— Słuchaj, mały — mówię i podnoszę go tak, żeby patrzeć mu w oczy, gdy nie przestaje się irytować. — Jestem w tym nowy. Nie mam pojęcia, co, do chole... wki, robię. Nie mógłbyś pójść mi na rękę i trochę mi to ułatwić? Proszę.

Nie wierzę, że błagam noworodka — że zostałem do tego zmuszony — ale rozpaczliwe czasy wymagają rozpaczliwych środków.

— Jesteśmy tu tylko ty i ja, stary. *Klub chłopaków*. Mama przeżywa ciężkie chwile, więc zostałeś na mnie skazany. Wiem, że to beznadziejne... bo nie mam cyczków, jak ona. Wierz mi, też za nimi tęsknię. Któregoś dnia zrozumiesz. Ale teraz... musisz być mężczyzną. Pokażę ci, jak. Pierwszy krok to zaśnięcie. Zrób to dla mnie.

*Proszę*. Zamykam oczy na chwilę, bo nie wiem, co dalej robić. Moja mama nie mieszka zbyt daleko i mogłaby się tu dość szybko zjawić mimo nieludzkiej, nocnej godziny. Ale gdy otwieram oczy, jego powieki są zamknięte.

I całe szczęście.

## *Rozdział 33.*

### *Rylee*

Ciemność mnie wzywa. Wciąga mnie. Topi w swym przyjemnym cieple. Jest jak pocałunek kochanka: uzależniająca, wszechogarniająca i nieodparta.

Nie chcę z niej wychodzić.

*Ale muszę.*

Dzisiaj mi się poprawi. Spojrzę na Ace'a i zapragnę objąć go i przyciągnąć do siebie, oddychać nim i kochać aż do bólu.

Poczuję z nim więź.

Będę dla niego matką.

Mój słodki Ace. Moje cudowne dziecko. Mój cały świat.

Ale nadal trwa ta sama karuzela. Colton przynosi Ace'a. Ace pije. Boli mnie głowa, serce i dusza od syzyfowego wysiłku, by być kimś, kim powinnam dla niego być. Dla nich.

Dobija mnie, gdy nie potrafię.

Colton patrzy i ocenia, czy jest lepiej. Czy może gorzej. Czy może zostawić Ace'a nieco dłużej. Czy to mi pomoże, czy zaszkodzi. Marszczy brwi. Jego twarz jest poorana z troskaniem. Obawami. Niedowierzaniem.

Mama. Krótkie wiadomości. Nieodebrane połączenia. SMS-y, na które nie odpowiedziałam. Wiem, że się martwi. Wiem, że mogę z nią pogadać. Ale nie potrafię się zdobyć na to, by sięgnąć po telefon.

Colton do mnie mówi. Poświęca niezliczone godziny, żeby wyciągnąć mnie do swego świata.

— Chyba opuszczę jeden lub dwa wyścigi. Denny zasługuje na szansę poprowadzenia samochodu. Poza tym za bardzo tęskniłbym za Ace'em.

*Kłamiesz.* Boisz się zostawić mnie z nim samą.

Mimo to nie odpowiadam. Nie mogę. Bo ja też boję się zostać z nim sama.

Cisza kłuje nas w uszy.

— Rozmawiałem dzisiaj z Zanderem — próbuje jeszcze raz.

*Mój Zander.*

— Sprawiał wrażenie, jakby czuł się już lepiej.

*Gdybym była w stanie poczuć ulgę, poczułabym ją. Ale nie uwierzę w to, dopóki nie zobaczę na własne oczy.*

— Powiedziałem mu, że gdy ci się poprawi, zaprosisz go do siebie. Tęskni za tobą. Chłopcy też za tobą tęsknią. — Widzę w jego oczach, że on też chce mi to

powiedzieć: *tęsknię za tobą.*

*Ja też za tobą tęsknię.*

Colton się nie poddaje. Nie skupia się na tym, że nie reaguję na jego niewypowiedziane słowa. Spaceruje powoli tam i z powrotem z Ace'em na rękach i opowiada mi o wszystkim i o niczym. Daje sobie spokój dopiero wtedy, gdy zadzwoni mu telefon lub nasz syn zaśnie.

Lub będzie znowu potrzebował karmienia.

Niekończący się cykl. Cykl, który budzi moją odrazę i którego rozpaczliwie potrzebuję. Bo to oznacza, że Colton nie postawił jeszcze na mnie kreski.

Zżera mnie poczucie winy. Czai się na krawędzi umysłu. Dezorientuje mnie. Staram się, naprawdę. Walczę, by wychylić głowę nad wodę, wbrew temu, że tonę w przyływach i odpływach odrętwienia i tylko na chwilę udaje mi się wynurzyć. Walczę, by zaczerpnąć powietrza bolącymi płucami, nim znowu pogrążę się w czarnych głębinach.

Wiadomość od Coltona, który jest na parterze.

**Pamiętasz to? Wciąż aktualne. Jestem tu. Nie poddawaj się. Zaczekam.**  
***All of Me* Johna Legenda.**

Wspomnienie z dawnych czasów. Próba rozchmurzenia mnie. Prowokowanie, bym przypomniała sobie to uczucie. Tę miłość. *Siebie*. Ale jestem tak głęboko pogrążona w mroku, że nie potrafię nawet podnieść głowy. Lub zaczerpnąć powietrza.

Przepraszam, Colton. Przepraszam, Ace.

Staram się.

Walczę.

Nie skreślajcie mnie.

Ja naprawdę was kocham. Tylko nie potrafię tego poczuć. Ani okazać.

Ale poczuję.

To tylko smutek poporodowy. Jestem silniejsza niż on. Potrzebuję tylko trochę więcej czasu.

Jutro będzie lepiej.



## *Rozdział 34.*

### *Colton*

— Nie mogę się doczekać wzięcia tego maleństwa na ręce. — Haddie zaciera dłonie, po czym nachyla się i przytula mnie w roztargnieniu, bo tak naprawdę zależy jej na tym, by wziąć mi Ace'a.

— Dzięki, że tak szybko przyjechałaś. Nie miałem pojęcia, do kogo jeszcze mógłbym zadzwonić. — „Żeby nie wkurzyć Rylee” — dokańczam w myślach, bo z całą pewnością będzie bojowo nastawiona, gdy się obudzi i zobaczy przy sobie Haddie.

— Nie ma sprawy. Poza tym to ja powinnam ci dziękować — odpowiada, całując Ace'a w główkę. — Ry była tak zakręcona na punkcie wyrabiania mu stałego planu dnia przed przyjęciem jakichkolwiek odwiedzin, że myślałam, że już nigdy go nie zobaczę.

— Skoro o tym mowa... — mówię i biorę głęboki oddech, bo mam świadomość, że naruszam jakieś małżeńskie granice, których nie powinienem naruszać, ale nie mogę się tym przejmować. — Ona trochę sobie z tym nie radzi. Smutek poporodowy. — Kiwam głową, żeby podkreślić swoje słowa i przekazać Haddie bez słowa to, o czym Rylee zabroniła mi mówić. Haddie przymruża oczy.

— A, to normalne. Wszystkie matki, jakie znam, w jakimś stopniu tego doświadczyły. Bez obaw, Donovan, rozchmurzę ją — stwierdza i puszcza mi oczko.

Wiem, że powinienem już iść. Jak najszybciej dotrzeć do Kelly'ego, ale trudno mi zostawić Ry w takim stanie. To wróży katastrofę na bardzo wielu frontach. Ry mnie zabije. Nie ukryje przed Haddie tego, co przeżywa. Ale jakaś mała cząstka mnie czuje ulgę, bo kompletnie nie wiem już, co robić.

Jestem zagubiony. Jak na bezludnej wyspie — nie mam pojęcia, jak jej pomóc.

To może definitywnie zepchnąć ją w otchłań lub ułatwić jej powrót. Mam gorącą nadzieję, że stanie się to drugie.

— No dobrze, jedź już. Wiem, że się spieszysz. Mam tu wszystko pod kontrolą — stwierdza Haddie, przerywając mój tok rozumowania.

— Ry drzemie na górze. Nie powiedziałem jej, że przyjedziesz.

— IDŹ! Panuję nad sytuacją. Zajmujesz mi czas na bycie ciocią dla Ace'a. — Zaczyna zamykać drzwi frontowe, więc ruszam w stronę samochodu, w którym Sammy czeka na siedzeniu pasażera. — Hej, Colton? — woła za mną.

Odwracam się z ręką na klamce samochodu, niecierpliwość przyspiesza mi puls.

— Tak?

— Wymierz Eddiemu dodatkowego kopa w jaja ode mnie, dobrze? Zasłużył na to za pogrywanie z moją najlepszą przyjaciółką.

— Pod warunkiem, że będzie w stanie utrzymać się na nogach po tym, gdy ja z nim skończę — odpowiadam i wsiadam do samochodu. Sammy chichocze, a ja czuję bużującą adrenalinę.

#

— Możemy iść? — pytam, zerkając to na Kelly'ego, to na Sammy'ego, żeby się upewnić, że dobrze się rozumiemy.

— Tak. Dean ma go w środku. Wszystko jest ustawione. — Spoglądam mu w oczy i dostrzegam jego niewypowiedziane ostrzeżenie, którego wołałbym nie widzieć: ostudź swój zapał, okiełznaj swój temperament i poczekaj, aż plan zadziała.

Lecz chociaż wiem, że ma rację, odwracam się do niego plecami i ruszam, udając, że nie zrozumiałem jego sugestii.

Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Znam konsekwencje swoich działań. Są dla mnie jasne jak słońce. Jednak Eddie pogrywał sobie z moją żoną i synem, a jeśli mężczyzna nie staje w obronie swojej rodziny, to w ogóle nie powinien stać.

Więzenie nie wchodzi w grę. Nie dlatego, że chcę mieć czyste konto czy że przejmuję się szaleństwem mediów, jakie by z tego wynikło. Po prostu nie mogę tego zrobić Ry w jej aktualnym stanie i Ace'owi, który jest taki maleńki i bezbronny. Co wcale nie oznacza, że nie zamierzam przekroczyć żadnych granic.

*Dawaj, skurwielu.* Jestem gotów się z tobą zmierzyć. Nabuzowany i wściekły. Sprowokuj mnie. *Bardzo proszę.*

Otwieram bez pukania drzwi zaniedbanego mieszkania. W środku stoi partner Kelly'ego, Dean. Wymieniamy spojrzenia. Znaczące. Ja mówię, że *dziękuję*, a on — *nie spiesz się*. Bez słowa wychodzi z mieszkania.

Przechodzę trzy kroki w głąb mieszkania. Nie słyszę odgłosu zamykanych drzwi. Nie zwracam uwagi na to, że Sammy opiera się o nie plecami, bo skupiam się na mężczyźnie, który siedzi na obdartej kanapie. Trzyma łokcie na kolanach, ma zwieszoną głowę i nerwowo podskakuje nogą.

Zalewa mnie wściekłość, jakiej chyba jeszcze nie czułem. Tornado furii, które na razie muszę trzymać w ryzach.

Chrząkam. Eddie gwałtownie podnosi głowę, a gdy orientuje się, że ktoś jest w mieszkaniu, robi oczy jak spodki i otwiera usta. Wygląda okropnie. *To dobrze.*

— Co, do...? — pyta zaskoczony. Zrywa się z kanapy, mrugając powiekami,

przygląda mi się jeszcze raz i wybucha długim, protekcjonalnym śmiechem, którym tylko mnie dezorientuje i jeszcze bardziej wkurza.

— Coś śmiesznego? — pytam z zaciśniętymi pięściami. Ciekawe, co go tak rozbawiło.

— Mogłem się domyślić — odpowiada, potrząsając głową, i w widoczny sposób się rozluźnia.

*Daj mi jakiś powód, pierdolcu. Chociaż jeden.*

— Spodziewałeś się kogoś innego? — Mam świadomość, że to, co grozi mi z mojej strony, jest niczym w porównaniu z tym, co szykują dla niego inni. Co nieoczekiwanie okazało się sprzyjać moim celom.

— Tak. Nie. — Na jego twarz powraca ten szyderczy uśmieszek. — No, może twojej ślicznej żonki.

*Bingo.*

W dwie sekundy jestem przy nim i wymierzam mu cios. Czuję, jak moja pięść miażdży ciało, a kość uderza o kość. Chrząst uderzenia w ogóle mnie nie satysfakcjonuje po tym, co zrobił mojej rodzinie.

Upadając, strąca ramieniem lampę, której brzęk przebija się przez moją milczącą wściekłość i przywraca mnie do chwili obecnej. Przypomina mi, że potrzebuję odpowiedzi na kilka pytań, zanim skończę to, co on zaczął.

Nie obawiam się, że sąsiedzi nas usłyszą i zadzwonią po policję. W takich miejscach nikt nie zwraca na to uwagi. Wszyscy spuszczaają głowy i pilnują własnego nosa. Wiem o tym, bo wychowywałem się w podobnym miejscu. Nikt nie przyszedł na ratunek chłopcu, który krzyczał z bólu po drugiej stronie ściany.

Ta myśl podsyca moją wściekłość. Umacnia mnie w postanowieniu, że nie będę takim człowiekiem. Nie zniżę się do poziomu stojącego przede mną faceta.

Muszę jednak przyznać, że bardzo chciałbym się zniżyć.

— Spójrz na mnie — wrzeszczę. Podnosi głowę z miejsca, w którym wylądował na kanapie. Ma na twarzy czerwoną pręgę. — Nie mów więcej o mojej żonie. To jest sytuacja między tobą a mną, pieprzony dupku.

Tym razem chichocze głośniej, a ja muszę wykrzesać całą swoją siłę woli, żeby utrzymać w ryzach kipiącą furję.

Najpierw muszę uzyskać to, po co przyszedłem. Odpowiedzi. Potem przyjdzie czas na oczyszczenie. Ach, jakie to będzie przyjemne. Eddie nie ma pojęcia, co go czeka.

— Chcesz mi wymierzyć karę? Tylko spróbuj. Myślisz, że mnie przestraszysz, Donovan? Zastanów się dobrze. *Nawet mnie nie tkniesz.* Jesteś takim mięczakiem, że wzięłeś ze sobą pieprzonego wykidajkę — mówi, wskazując Sammy'ego, który stoi bez słowa przy drzwiach — żeby wykonał brudną robotę za ciebie.

— Myślę, że twoje podbite oko wystarczająco dowodzi tego, że radzę sobie

z brudną robotą. — Odwracam się przez ramię i skinieniem daję znać Sammy'emu, żeby wyszedł. Tak będzie lepiej. Żadnych świadków. Żadnego *jego zdaniem, jej zdaniem*. Tylko moje słowo kontra słowo Eddiego. Ale Kelly i tak jest przekonany, że Eddie mnie pozwie, jeśli go dotknę.

*Ups*. Chyba już złamałem ten zakaz. Mój błąd.

— Każdy w twoim życiu jest taką marionetką? Jedno pociągnięcie za sznurek i tańczy? — Unosi brwi, obserwując wychodzącego Sammy'ego. Patrzę na niego. Czekam na odpowiedni moment. Jest cholernie arogancki i widać po nim, że wręcz pali się do tego, żeby napawać się tym, jak to wszystko przeprowadził.

— Gównu wiesz o moim życiu, Eddie.

— Wiem, że nie będę tańczył. Jakie to uczucie pociągnąć za sznurek i uzyskać wielki środkowy palec oznaczający *pieprz się, co?*

— O to ci w tym wszystkim chodziło? Chciałeś udowodnić, że jesteś ode mnie lepszy? — pytam z udawaną obojętnością, chociaż w środku aż się gotuję.

*Połknij przynętę, Eddie. Nakarm swoje ego. Udowodnij mi, że się mylę.*

Wstaje z kanapy i podchodzi do mnie ze złowieszczym spokojem.

— Ja *jestem* od ciebie lepszy — mówi, wchodząc w moją strefę rażenia. Niebotycznie mnie to kusi. — Ale nie jestem głupi. Podnieś koszulę. Założę się, że na tym swoim pedalskim brzuszku masz mikrofon. Próbujesz mnie sprowokować do powiedzenia czegoś, czego nie zrobiłem.

Czy on oszalał? To chyba oczywiste, że nie życzę sobie żadnej policji na naszym prywatnym spotkaniu. Do licha, jeszcze trochę i będzie żałował, że nie przyszedłem z glinami.

— Więzienie tak cię zmieniło, co? — pytam prowokacyjnie, unosząc koszulę i obracając się dookoła, żeby zobaczyć, że nie mam mikrofonu. — Teraz kręcą cię chłopcy?

— Pieprz się — odszczekuje.

— Nie, dziękuję — odpowiadam i robię krok w jego stronę. — Ja nie chcę od ciebie niczego prócz wyjaśnień. Wszystko inne, co cię spotka, sam na siebie sprowadziłeś.

Przechyla głowę i uśmiecha się arogancko.

— Dzięki twojemu synowi nic więcej mnie nie spotka. Sprzedałem jego zdjęcie do tabloidów — sztydzi. — Dostałem okrągłą sumkę i spłaciłem stare długi. *Dzięki Ace'owi* jestem wolny i czysty.

Pieprzony pompatyczny bękart. Ale nie on będzie się z tego śmiał. Tylko z tego powodu powstrzymuję się od przywalenia mu po raz drugi.

— Brawo — mówię, powoli i z rozmysłem klaszcząc w dłonie. Przymruża powieki i zaciska zęby. Dobrze. Wkurzam go. — Mogłeś zarobić jeszcze więcej na filmie. — Zmuszam się, by płynnie wypowiedzieć to kłamstwo. — Założę się, że tego nie przewidziałeś, prawda?

*Oto haczyk, palancie. Połknij go tak, żebym to zobaczył.*

— W więzieniu czas się zatrzymuje. — Wwierca się we mnie wzrokiem. — I pozwala dokładnie zaplanować, jak odegrać się na debil, przez którego się w nim znalazłem.

— Odegrać się? *Za co?* Za to, że nie pozwoliłem ci wyjść z mojego gabinetu z projektami, sprzedać ich komuś innemu jako własne, odebrać tantiem i uciec? Odbiło ci? Myślałeś, że zgodzę się, żebyś zabrał coś mojego i to wykorzystał?

— *Wygląda na to, że i tak zabrałem ci coś twojego i to wykorzystałem.*

Jego cicha riposta ma podwójne znaczenie, bo może odnosić się zarówno do projektów, jak i do Rylee na filmie z parkingu. Ta prowokacja jest tak silna, że nie potrafię się oprzeć.

Przewiduję mój ruch i uderzeniem w mój tors uprzedza cios pięści, która dosięga jego szczęki. Głowa odskakuje mu w tył i facet wpada ciałem na ścianę. Odgłos uderzenia przyćmiewa ukłucie bólu w miejscu, w którym mnie zdzielił.

Moje ciało wibruje z gniewu. Czystej, nieokiełznanej furii, gdy patrzę na tego śmiecia i mówię sobie, że powinienem to zakończyć w tej chwili. Oczywiście jest zarozumiałym palantem i gdy podnosi głowę, na ustach ma ten swój uśmiech, którym testuje moje opanowanie.

Jezu Chryste. Jest znacznie trudniej niż myślałem. Trzymać się w ryzach, gdy jedyne, czego pragnę, to pokazać mu swoją wściekłość. Wymierzać cios za ciosem. Oddać mu za te wszystkie krzywdy, które nam wyrządził.

Ale to niczego by nie rozwiązało.

— Jesteś bezużytecznym śmieciem. Zaslugujesz na wszystko, co cię spotyka.

— Co mnie spotyka? Tak jak powiedziałem, Donavan, nie możesz mnie tknąć. Nie złamałem żadnego prawa. Film nie był twoją własnością. Nie ukradłem go. Czekał na mnie w skrzynce depozytowej, gdy odsiadywałem wyrok. Do licha, nawet zyskał przez ten czas na wartości.

— Męczyło cię to, Eddie? — pytam, wkraczając w jego przestrzeń osobistą. — Kusilo cię każdego dnia, gdy siedziałeś w celi dwa na trzy? Uznałeś, że masz prawo zaszkodzić mojej rodzinie, bo jesteś bezużytecznym śmieciem, który nie panuje nad swoim hazardowym nałogiem i żeby ocalić własny tyłek i spłacić długi, musi pożyczać od innych? Łatwiej zrzucić winę na kogoś innego, niż uświadomić sobie własne błędy. — Kłuję go palcem w tors i śmieję się pod nosem. Prowokuję go. — To się dopiero nazywa mięczak.

*Macham mu marchewką.*

— Mięczak? — wybucha i prostuje się. Wyraźnie widać kompleks niskiego wzrostu, gdy przesadnie wypina pierś. — Przez ciebie straciłem wszystko! — wykrzykuje w pustym mieszkaniu głosem pełnym jadu, coraz bardziej tracąc panowanie nad sobą. — Żonę. Dzieci. *Wszystko!*

— Kłamstwo nie popłaca — nucę pod nosem, a on, dysząc ciężko, rusza na mnie z zaciśniętymi pięściami, lecz zatrzymuje się, gdy unoszę brwi. Poziom mojej empatii jest równy zeru. — Nie możesz mnie tknąć — szepczę do niego, parodiując jego głos.

— Pierdol się! — wrzeszczy z nieopanowaną wściekłością. — Sam to wszystko spowodowałeś. Nie ja. Chcesz wytykania palcem? To skieruj go w siebie, ty arogancki sukinsynu!

— Ja to spowodowałem? Chyba ci odbiło! — *No, zaatakuj mnie. Błagam.* Daj mi pieprzony powód niedotrzymania tego, co sobie obiecałem. *Skurwielu.* Zaciskam pięści, krew buzuje jak oszalała i muszę wykrzesać całą swoją siłę woli, by nie wybić mu zębów. Powstrzymuję się. Wiem, że on mnie prowokuje. I dobrze mu idzie. Na podbite oko mogłem sobie pozwolić, lecz wybite zęby to coś zupełnie innego.

Co nie oznacza, że mnie nie kusi.

Ma zaciśnięte zęby i pięści, a całe jego ciało sztywnieje po mojej krytyce. Jego rozdmuchane ego musi mnie skorygować.

— Jesteś aroganckim palantem. Wiedziałem, że nie podzielisz się pieniędzmi. Nawet podrzuciłem trop tabloidom, żeby wyrzucić na tobie presję. Ale, do licha, uważasz się za tak cudowne dziecko, że uznałeś, że dasz radę odparować cios. A nawet skorzystasz na chwilowej sławie, gdy ludzie zaczną się tobą interesować. Ani razu nie pomyślałeś jednak o tej swojej ślicznej żonce, prawda? — Jego słowa spełniają swój cel. Kłują mnie. Wzbudzają na nowo poczucie winy. — Rzuciłeś ją na pożarcie pieprzonym wilkom, zamiast mi zapłacić. Miałem rację. Zależy ci tylko na sobie i gówno cię obchodziła Rylee i jej reputacja...

— Nie waż się więcej wypowiadać jej imienia — krzyczę. Przykładam przedramię do jego gardła i przypieram go do ściany. Nie oponuje. Dobrze wie, że trafia w moje czułe punkty, i świetnie się bawi, bo myśli, że nie mogę go tknąć. Jego brak reakcji jest jak niewerbalne *pieprz się*.

— Dlaczego? Dręczy cię, Donovan, że powiedziałem, jak było? Że wiedziałem, że nie zamierzasz zapłacić, dlatego postanowiłem tak czy siak wykorzystać twoją żonę? I że pokazałem jej, jakim ścierwem jest jej mąż, który wybrał pieniądze zamiast niej? — Przyciskam go mocniej, żeby się zamknął, chociaż jednocześnie potrzebuję tej tortury słuchania dalej. — Jak się poczułeś, gdy cię odepchnęła? Gdy obarczała cię winą za to, że straciła pracę? Mam nadzieję, że byłeś zdruzgotany. Że namieszało ci to w głowie, nawet jeśli to nic w porównaniu z tym, co ja czułem, gdy odebrałeś mi żonę.

— Idź do diabła — cedzę przez zęby. Nie mogę się poruszyć, bo wiem, że gdy to zrobię, nie będę w stanie się pohamować. Moja furia żyje już własnym życiem i tylko czeka na najdrobniejszą iskrę, która wywoła pożar. — Nie wciągaj mnie w swoje manipulacje. Bo zapominasz o tym, że to ty wszystko spieprzyłeś.

Ty byłeś tak spragniony zemsty, że zapomniałeś o rekinach, które chcą ci się dobrać do tyłka i upomnieć o swoją kasę. Pozwoliłeś się ponieść emocjom, wrzuciłeś film, nie podejmując negocjacji, i straciłeś wszystko, bo twoja karta przetargowa wyleciała przez pieprzone okno. Przegrałeś pieniądze i wiedziałeś, że wierzyciele cię znajdą. — Uśmiecham się drwiąco, a pięści błagają, bym pozwolił im dokończyć rozmowę.

— Ale i tak ja śmieję się ostatni, co? — rzuca prowokacyjnie. Jego głos jest równy i spokojny mimo nacisku na klatkę piersiową. — Ten mały filmik zrobił z was medialną parę. Wywołał istne szaleństwo. A szaleństwo oznacza więcej pieniędzy. Szaleństwo podbiło cenę zdjęcia twojego syna do całkiem ładnej kwoty. W ten sposób upiekłem dwie pieczenie na jednym ogniu: spłaciłem długi i pokazałem ci ostateczne „pierdol się”, wykorzystując twoje dziecko. — Nachyliła się tak blisko jak może, zatrzymując się kilka centymetrów od mojej twarzy. Następne słowa szepcze, lecz słyszę je bardzo wyraźnie: — Nie jesteś już takim twardzielem, gdy każdy facet w Ameryce ogląda orgazm twojej żony i fantazjuje, że to on jest z nią, co?

Moja cierpliwość topnieje do zera.

Zapominam o tym, co sobie obiecałem.

Ten skurwiel na to zasługuje.

*To będzie za Rylee.*

Zadaję cios pięścią. Uderzenie jest jednocześnie przyjemne i bolesne. Jego głowa odlatuje na bok, a z nosa wypryskuje krew. Z jękiem chwytą się za twarz i osuwa po ścianie. Nie pozwalam sobie na więcej.

Trudno będzie mi odejść. *Więc tego nie robię.* Podchodzę bliżej, kielżnam furię i obieram chwalebny ścieżkę, chociaż jedyne, czego pragnę, to zniżyć się do jego poziomu. Chwytam go za włosy i odciągam jego głowę, żeby na mnie spojrział.

— Nie waż się więcej zbliżać do mojej rodziny — mówię ostrzegawczym tonem. Puszczam włosy i jego głowa opada do tyłu. — Jak leciało to powiedzenie o zemście? Wykop dwa groby, zanim się za nią zabierzesz? — cedzę przez zęby drżącym od adrenaliny głosem. — Trzeba było dostosować się do tej rady. — Podnosi głowę i patrzy na mnie zdezorientowany. Skupiał się wyłącznie na grobie wykopanym dla mnie, a nie na tym, który powinien mieć przygotowany dla siebie.

Cóż, jeśli teraz nie wie, o co mi chodzi, z pewnością zrozumie to za jakieś dwie minuty.

— Pieprz się — odpowiada, gdy odchodzę w stronę drzwi.

Zatrzymuję się, zwieszam głowę, a z moich ust wydobywa się chichot, który oznacza dokładnie to samo. Pozwalam, by zapadła cisza. Niech sobie myśli, że to już koniec.

Dopiero po chwili przywalam z grubej rury.

— Może i spłaciłeś długi. Ale zapomniałeś o odsetkach. Wygląda na to, że jednak ktoś inny wykona brudną robotę za mnie.

Otwieram drzwi i wychodzę z mieszkania. Jakaś część mnie żałuje, że nie mogę zobaczyć jego miny, ale tak naprawdę to nie mam ochoty nigdy więcej go oglądać. Gestem dłoni daję znać stojącym kilka metrów ode mnie mężczyznom, że potrzebuję chwili. Pieprzonej sekundy na złapanie tchu i pomyślenie o tym, jak się czuję, gdy uzyskałem to, na czym mi zależało, i jednocześnie tego nie uzyskałem.

Owszem, mam swoje odpowiedzi. Dostałem je jak na tacy i normalnie zastanowiłaby mnie łatwość, z jaką ich udzielił. Ale znam tego skurwiela na wylot. Pracowałem z nim przez wiele lat, obserwowałem go w trakcie mediacji i podczas procesu i jest dla mnie jak pieprzona otwarta książka. Czy powinienem kwestionować wiarygodność odpowiedzi? Niespecjalnie, zważywszy na to, że był tak bardzo pochłonięty chęcią pokonania mnie. Tak bardzo starał się mi udowodnić, że mi dopiekl, i tak bardzo się tym jarał, że raczej nie ma mowy, żeby miał jeszcze naginać prawdę.

Dlatego zadowolają mnie jego odpowiedzi. Co nie oznacza jednak, że nie mam ochoty na własnoręczne wymierzenie mu sprawiedliwości. *Rylee*. Powód. Odpowiedź. Pieprzone wszystko. *Właśnie dlatego* muszę się zadowolić takim rozwiązaniem. Oddaniem brudnej roboty komuś innemu, żeby osiągnąć ten sam rezultat.

Podnoszę wzrok i spoglądam na nich, gotowych to właśnie dla mnie zrobić. Dla siebie też. Trzech facetów roślących jak pnie drzew. Nie chciałbym mieć u nich długu.

— Macie pięć minut na odebranie odsetek, zanim Kelly zadzwoni po gliny. Dopilnujcie, by jeszcze żył, gdy tu przyjadą. Wygląda na to, że pogwałcił zakaz zbliżania się.

Skurwiela nie ma pojęcia, co go czeka. Po wszystkim na pewno nie będzie się już tak szyderczo uśmiechał.

Sądzę, że po ich wizycie z radością wróci za kratki.

Wymieniam spojrzenia z Sammym. Patrzy na mnie pytająco. *Tak długo gonileś za Eddiem, więc dlaczego teraz odchodzisz?*

Ale on wie, dlaczego. Prawdopodobnie wciąż słyszy w głowie echo tej furii, z jaką kilka dni temu wypowiedziałem słowa: „Jej bezpieczeństwo jest na pierwszym miejscu”.

Jeśli nie, to trudno. Nie muszę się przed nikim tłumaczyć. Mam dwa doskonale wyjaśnienia w domu. Tylko one się liczą. Dwa punkty odniesienia w moim wszechświecie.

To dlatego nigdy nie przestanę starać się być mężczyzną, który na nie zasługuje.

Potrząsam głową i wsiadam do czekającego samochodu. Nie mam zamiaru



marnować ani chwili dłużej na pieprzonego Eddiego Kimballa.

#

**Eddie nie będzie Cię już kłopotał. Trafił do aresztu.**

Zatrzymuję się, gdy czytam tę wiadomość. Potrzebuję sekundy.

Do licha, nawet więcej niż sekundy. Potrzebuję wypić zero siedem i poświęcić cały wieczór na pławienie się w tym. Na bycie tym zarozumiałym dupkiem, którym zwykle byłem, i nieprzejmowanie się niczym i nikim.

Ale nie potrafię.

Siadam na schodach przed drzwiami frontowymi. Wzdycham, zamykam oczy, zwieszam głowę i daję sobie sześćdziesiąt sekund. Na tyle mogę sobie pozwolić. Bo gdy wejdę przez te drzwi, muszę z powrotem stać się tym mężczyzną, który oddalił się od Eddiego i zrezygnował z kolejnego ciosu. Odpowiedzialnym. Dojrzałym. Altruistycznym.

Tyle że w tej chwili w ogóle nie mam na to ochoty.

A może naprawdę zmiękłem i boję się tego, co mogę zastać w środku? Pieprzona beczka prochu z nieznanym. Czy moja żona jeszcze tam jest? Bo strasznie za nią tęsknię. A może zastanę tylko pozostałą po niej skorupę, której coraz bardziej nie znoszę?

Tak, zdecydowanie zmiękłeś, Donovan. Potrzebujesz kobiety do szczęścia, a kiedyś nikt nie był ci potrzebny. Do licha, jestem upadłym playboyem.

Chichoczę. Wcale nie z ulgą, tylko dlatego, że muszę jakoś rozładować te wezbrane emocje. I dlatego, że wiem, co jeszcze muszę zrobić po wejściu: powiedzieć Ry, co się stanie. Mam nadzieję, że informacje o przyszłości Eddiego przyniosą jej chociaż nieznaczące ukojenie.

Słyszę za plecami otwieranie i zamykanie drzwi. Czekam na to. Wiem, że to nadejdzie.

— Wszystko w porządku? — pyta Haddie. Siada obok mnie i wyciąga w moją stronę piwo i torebkę z lodem. Patrzę na nią zdumiony i zastanawiam się, skąd wiedziała, że tego właśnie będę potrzebował. — Powiedzmy, że miałam przebłysk intuicji.

— Dzięki. — Biorę jedno i drugie i syczę, przykładając lód do nadgarstków. Przez kilka chwil siedzimy w ciszy.

— Shane przyjechał bez zapowiedzi. Jest w tej chwili z Ace'em — stwierdza. Zaskakuje mnie to, a nie powinno. Shane to jeden z chłopców Ry i równie dobrze jak ja wie, że coś jest nie tak. — Ry wyszła na taras na górze. Namówiłam ją, żeby zaczerpnęła trochę świeżego powietrza.

— Naprawdę? — dopytuję z nadzieją. Musiała poczuć się lepiej. Wiedziałem, że dojdzie do siebie.

— Colton? — pyta w sposób, który pozbawia mnie złudzeń: Rylee wcale nie

czuje się lepiej. Utwierdzam się w przekonaniu o słuszności moich zamierzeń.

— Rano zadzwonię po lekarza. — Odpowiadam na niewypowiedziane pytanie, które zawisło w powietrzu między nami. Podnoszę piwo do ust i biorę długi łyk. Nie cierpię się za to, co powiedziałem, bo teraz, gdy te słowa zostały wyrzucone w świat, nie mogę już zaprzeczać, że z Rylee dzieje się coś niedobrego.

Nie chcę, żeby działo się z nią coś niedobrego.

— Początkowo byłam wściekła na ciebie, na nią... Nie powiedziałeś mi, a ja jestem jej najlepszą przyjaciółką. Powinam się o tym dowiedzieć. Ale rozumiem. Wiem, jaka Ry jest dumna. Uważa, że sama powinna sobie z tym wszystkim poradzić, a przyznanie się do tego, że nie potrafi, tylko pogorszyłoby jej stan. Ale, Colton, tu chodzi o to, by wydobrzała, a nie o to, że jest słaba. — Opiera głowę na moim ramieniu i wzdycha.

Potrząsam głową. Mam mętlik od nadmiaru emocji.

— Pomyślałem, że rozprawienie się z Eddiem jej pomoże. Stwierdziłem, że gdy wrócę i powiem jej, że nie będzie nas więcej nękał, to może ta świadomość ułatwi jej powrót... — przerywam, gdy słyszę, jak głupio to brzmi.

— Może trochę by pomogło — mówi Haddie łagodnie — ale nie spowodowałoby jej powrotu. Wróciliśmy do etapu z zapętlonym Matchbox Twenty, tyle że tym razem nie ma muzyki. *Tym razem nie ma żadnego dźwięku.* Ona potrzebuje pomocy, Colton.

Pocieram twarz dłońmi.

— Wiem, Had. Wiem.

— Przez chwilę próbowała się pozbierać, ale znam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak jest naprawdę — mówi, gdy wstaje.

— Dziękuję ci... za wszystko. — Przytulamy się szybko, bo moje myśli są zdominowane przez potrzebę zobaczenia się z Ry.

— Nie ma sprawy — odpowiada, a ja otwieram drzwi i wchodzę do domu.

Słyszę głosy i moje nadzieje szybują w górę tylko po to, żeby z trzaskiem rozbić się o ziemię. To Shane siedzi na kanapie i mówi do Ace'a. Widok syna z jakiegoś powodu mocno mnie dotyka, utwierdzając w słuszności decyzji odejścia od Eddiego.

*Jeden z punktów odniesienia w moim wszechświecie.*

Shane słyszy moje kroki i podnosi głowę.

— Hej — mówi i nie odrywając ode mnie wzroku, natychmiast wstaje. Potrafię rozpoznać groźbę w spojrzeniu, ale nie mam zielonego pojęcia, dlaczego Shane miałby mi to robić.

— Co się stało, Shane? — pytam, próbując rozgryźć sytuację. Shane oddaje Ace'a Haddie, nie pozwoliwszy mi się z nim przywitać.

— Możemy porozmawiać?

Gdyby nie jego śmiertelna powaga, zaśmiałbym się z nieoczekiwanego

pomruku w jego głosie i z tego, jak usztywnił całe ciało.

— Jasne — odpowiadam i zerkam na Haddie, lecz ona tylko wzrusza ramionami. — Chodźmy do gabinetu.

Prowadzę go, lecz przepuszczam go w drzwiach i zamykam je za nami. Siadamy po przeciwnych stronach biurka. Tym razem dostrzegam w jego spojrzeniu znacznie więcej niż tylko groźbę. Jest jak przestraszony dzieciak, który próbuje zachowywać się jak odważny mężczyzna, a ja nie mam pojęcia, jak do niego podejść.

Cóż, też jestem przestraszony. Z innych powodów. Ale przestraszony.

— O czym chciałeś porozmawiać, Shane?

Poprawia się na krześle i bawi się dłońmi. Zanim jeszcze się odzywa, dochodzę do wniosku, że musimy spędzić trochę czasu razem, abym go nauczył, jak wyglądać na opanowanego, gdy wcale się takim nie jest. To obowiązkowa umiejętność mężczyzny, którą przegapiłem w jego edukacji.

— Powinieneś się nią opiekować — rzuca oskarżycielskim tonem z większą pewnością niż zdradzają jego oczy, w których widać nerwowość związaną z koniecznością obrony swego zdania. — No bo przecież widzisz, że dzieje się z nią coś niedobrego, prawda?

Gryzę się w język, żeby nie wypalić z przemądrzałą ripostą, której udzieliłbym normalnie w takiej sytuacji — że sam najlepiej wiem, jak opiekować się swoją pieprzoną żoną. Wyczerpanie po konfrontacji z Eddiem nadszarpnęło moją siłę woli, ale udaje mi się powstrzymać. Uświadamiam sobie, że mam przed sobą Shane'a, który chce dopilnować tego, że zadbam o Ry.

Odchylam się na krześle i potrząsam ramionami, próbując postawić się w jego sytuacji.

— Przechodzi ciężkie chwile, co nie? — Patrzę mu w oczy. Nie hamuję się z tym, bo chcę, żeby zobaczył, że rozumiem, iż Rylee potrzebuje pomocy.

— Jeśli nie załatwisz jej lekarza, ja to zrobię — obwieszcza zdecydowanym tonem, po czym zwala mnie z nóg tym, że w jego oczach pojawiają się łzy, które próbuje ukryć, opuszczając natychmiast wzrok.

— Jutro to zrobię. Prosiła o trochę czasu, bo chciała sama się z tym uporać — wyjaśniam z większą cierpliwością niż czuję. Ale to jeden z jej chłopców, jest częścią jej rodziny. — Nie poprawia się jej, więc sprowadzę pomoc. Nic jej nie będzie, Shane.

— Nie mów tak — wykrztusza przez zaciśnięte zęby. Zaciska powieki i cała jego twarz zmienia wyraz. — Tak samo mówili o mojej mamie. I sam wiesz, co się z nią stało — dodaje łamiącym się głosem.

*Kurwa.* Jak mogłem tego nie przewidzieć? Jak mogłem się nie domyślić, że Shane porówna depresję poporodową Rylee do depresji swojej matki? Jego matka pod wpływem tej choroby popełniła samobójstwo, przedawkowując tabletki. Co

gorsza, Shane ją znalazł i musi żyć z piętnem tego wspomnienia.

— Popatrz na mnie, Shane — mówię i milknę. Czekam, aż podniesie głowę i spojrzy mi w oczy. Zniknął odważny mężczyzna, który tu wchodził, a jego miejsce zajął zdruzgotany chłopiec, któremu zawalił się świat, gdy jego mama odeszła. Spróbuję to naprawić. Jego naprawić. Użyję słów, które nic nie zmienią, ale zabrzmiały, jakby miały coś zmienić. — Rylee z tego wyjdzie. — Nie wiem, czy determinacja w moim głosie ma przekonać jego, czy mnie. — Jutro sprowadzę do niej lekarza. To może trochę potrwać, ale odzyskamy Rylee, okej?

Patrzy na mnie, zastanawiając się, czy może mi wierzyć. W końcu powoli potakuje.

— Rylee jest jedyną matką, jaką miałem. Zrobię wszystko co się da, żeby z tego wyszła.

Kiwam głową i odbieram też niewypowiedziane słowa, które dostrzegam w jego oczach: *nie mogę stracić kolejnej osoby.*

*Rozumiem to lepiej, niż ci się wydaje, chłopcze.*

— Ja też.

## **Rozdział 35.**

### **Rylee**

— Ry?

Głos Coltona wyciąga mnie z ciemności własnego umysłu na oślepiającą jasność tarasu.

Wszystko się we mnie kotłuje. Ulga walczy ze złością, strach z nadzieją, odrętwienie z bólem.

Colton stoi w progu. Podszyte jadem oskarżenia cisną mi się na usta, ale nie formuję ich w słowa. Nie jestem w stanie. To zbyt duży wysiłek.

— Zostawiłeś mnie. — Mój głos jest pusty, obojętny. Apatyczny.

*Tęskniłam za tobą jak tonący za powietrzem.*

Słyszę szcęk elektronicznej niani, którą odstawia na stolik. Siada obok mnie, a poduszka wydaje z siebie ciche westchnienie. W jego spojrzeniu dostrzegam przeprosiny, których nie chcę przyjąć.

— Miałem coś do załatwienia, Ry. — Jego głos jest zmęczony. Surowy. Coś się stało, ale nie potrafię wykrzesać z siebie na tyle energii, żeby się tym zainteresować.

Moje ciało zaczyna wibrować. Wraca cień ataku paniki, który przeżyłam, gdy zorientowałam się, że Colton wyszedł. Wykręcam dłonie. Próbuję nad sobą zapanować mimo tego, że czuję, iż powoli tracę nad sobą kontrolę.

*Nie potrafię złapać oddechu.*

— Spotkałem się z Eddiem.

*Powietrze jest jak woda i z każdym oddechem powoli wypełnia moje płuca. Zamyka się nad moją głową i wciąga mnie pod powierzchnię.*

— Po raz pierwszy się pokazał, więc musiałem iść.

*Im głębiej opadam, tym silniej pali mnie wewnętrzny ogień.*

— Nie będzie nas już więcej niepokoił.

*Walczę, by wrócić. Przebić się przez powierzchnię. Płuca wypełniają się powietrzem sprowadzonym przez jego słowa.*

Otwieram szeroko oczy i spoglądam na niego, wrywając się na chwilę z tej mgły.

— Dziękuję — mówię ochryłym głosem i próbuję wskrzesić w sobie emocje, które pasowałyby do wypowiedzianego słowa. *Ale nic nie czuję.* Gdy tego nie chcę, szaleje we mnie tornado, a gdy tego chcę, nie jestem w stanie nic z siebie wykrzesać.

Patrzę mu prosto w oczy. Mam nadzieję, że okażą się kołem ratunkowym, które utrzyma mnie na powierzchni i pozwoli na nieco dłużej zachować to uczucie normalności. Wraz z kolejnymi dniami zdarza mi się to coraz rzadziej i rzadziej.

Colton wyciąga dłoń i głaska mnie po policzku. W oczach wzbierają mi łzy. Próbuję je odpędzić. Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale nie potrafię nic wykrztusić.

*Potrzebuję pomocy.*

Przysuwa się do mnie i mocno przytula. Próbuję znaleźć pociechę w wibracji naszych stykających się ciał, która mówi mi, że wciąż żyję. A skoro wciąż żyję, mogę młócić nogami w wodzie, dopóki nie dostanę się do jakiegoś brzegu.

Zamykam oczy. Wymyka mi się łza. Razem z nią spływa jakaś część mnie.

— Shane bardzo się o ciebie martwi.

Dostrzegłam to w jego oczach: lęk, wspomnienie historii matki, obawy. Nie potrafiłam tego powstrzymać. Nie byłam w stanie go pocieszyć. Przejrzał mnie.

Poczucie winy. Jedyna emocja, jaką czuję, wraca i lewituje w mojej głowie.

— Twoja mama. Nie jestem w stanie dłużej trzymać ją z dala, Ry. Martwi się o ciebie. — *Ja też.* Słyszę w jego głosie te niewypowiedziane słowa, ale nie mam siły, żeby zareagować. — Uszcześliwiałem ją zdjęciami i filmikami. Mówiłem, że śpisz, gdy dzwoniła. Ale prawdopodobnie wpadnie do nas w ten weekend.

— Nie! — To jedyny przebłysk emocji, na jaki mnie stać. Muszę ukryć to przed osobami, które najbardziej rozczaruje moja porażka.

— W takim razie dzwonię do doktor Steele — mówi łagodnie, lecz jego słowa uderzają w moje uszy jak najgłośniejszy huk.

— Nie! — Głos mi się łamie z paniki. Powtarzam to słowo w myślach, próbując się od niego odepchnąć. Walczę, gdy przyciąga mnie do siebie, żeby stłumić mój opór przed tym pomysłem.

Walczę, bo sama dam sobie radę.

*Nie, nie dam.*

I dlatego, że jestem przerażona. A co, jeśli już nigdy nie uda mi się wrócić?

*Owszem, uda mi się.*

Ciemność jest znacznie bardziej kusząca niż walka. Nie wymaga wysiłku. Nie wymaga trudu. Ale Ace i Colton są warci tego, by dla nich walczyć. Mam serdecznie dość ciemności. I samotności. Robię więc jedyną rzecz, na jaką potrafię się zdobyć: przywieram do Coltona, mojego światła.

— Trzymam cię mocno, żebyś mi nie uciekła, Ryles — mówi w czubek mojej głowy, a jego gorący oddech rozgrzewa moje zmrożone wnętrze. — Chodźmy. Zrobisz to, co będzie konieczne. Pamiętaj, że ja i Ace czekamy na twój powrót. Razem zbudujemy sobie nasz mały, spokojny świat.

*On nadal mnie kocha.*

*Nadal nas chce.*

*Walczy za mnie.  
Gdy ja nie jestem w stanie.*

## *Rozdział 36.*

### *Colton*

— Czyżby Haddie wezwała posiłki?

W odpowiedzi słyszę w słuchawce gromki śmiech mojej mamy. Pobrzmiewa w nim też jednak troska, którą mama stara się ukryć.

Ale to nic. Ja też się martwię.

Zerkam na zamknięte drzwi do gościnnej sypialni i zastanawiam się, dlaczego to tak długo trwa.

— Nic na to nie poradzisz. Ale zrobiła to ze szlachetnych pobudek. — I cisza. *Cholera*. Doigrałem się. — Powinieneś nam o tym powiedzieć, Colton. Nie ma się czego wstydzić. Jesteśmy po to, żeby wam pomóc. — W jej głosie słychać poczucie zranienia tym, że nie była dla mnie na tyle godna zaufania, żebym powierzył jej ten nasz prywatny sekret. Jeśli moja mama tak to odbiera, to będę musiał założyć stalową zbroję, żeby przetrwać reakcję mamy Rylee.

Chrząkam, bo nie wiem, co powiedzieć.

— To nie tak, mamo. To skomplikowane. — Uważaj na każdy krok, Donavan. Ona się nie wtrąca, tylko chce być mamą.

*Tak samo jak Rylee.*

— Wiem. — Jej głos łagodnieje. Uczucie zranienia znika. Wraca do roli matki, tłumiąc własne cierpienie, żeby pomóc mi w moim. — Czy lekarka skończyła już badanie?

Po raz kolejny zerkam na drzwi.

— Nie.

— Jestem pewna, że dodaje jej otuchy. Czasem trzeba usłyszeć to, czego nie chcemy usłyszeć, z ust innej osoby, żeby to do nas trafiło.

— Tęsknię za nią, mamo.

Boże, gadam jak mięczak. Nie da się tęsknić za kimś, kto jest obok ciebie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— To zrozumiałe. Doświadczyliście wielu zmian w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

— Zmian? — parskam, po czym całuję Ace'a w czubek głowy. Wykorzystuję go, żeby się uspokoić. — Bo ja mam wrażenie, że w ostatnim miesiącu przetoczył się przez nas taki huragan, że trudno uwierzyć, że wciąż żyjemy. — Mój głos ocieka sarkazmem, na który sobie nie zasłużyła.

— Każdy siniak świadczy o tym, że wciąż żyjesz — stwierdza łagodnie.



*W takim razie ja wprost rozkwitam.*

— No — wzdycham. Wracam spojrzeniem do drzwi, lecz jej słowa do mnie trafiają.

— Nie poradzisz sobie z tym sam, synu. Pozwól nam pomóc. Umówimy się, żeby przyjeżdżać i...

— Nie wiem, mamu. Doceniam wasze chęci, ale Rylee...

— Przepraszam, ale tak właśnie jest w rodzinie. Wzywamy posiłki i opiekujemy się naszymi bliskimi — przerywa mi rzeczowym tonem, który cofa mnie o dwadzieścia lat wstecz. Czuję się jak niegrzeczny chłopiec, który dostał reprimendę. — Nie masz w tej kwestii wyboru. Mama Ry, Quinlan, Haddie i ja pomożemy wam na zmianę, gdy zajdzie taka potrzeba. Zrobimy to, co konieczne, a ty przyjmiesz pomoc i nie będziesz dyskutował. Zrozumiano?

Dokładnie tak. Mam znowu dziesięć lat i zostałem przyłapany na podpalaniu fajerwerków na podwórku za domem.

— Tak, mamu.

— Ty też potrzebujesz odpoczynku, jeśli nie chcesz się wypalić. Mężczyzna powinien być dumny, ale nie wtedy, gdy jest to głupie.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu. Moja mama mówi mi szczerze, jak jest. Niewiele kobiet tak potrafi.

— Mamu, muszę kończyć — odpowiadam, bo drzwi się otwierają.

— Daj znać, co powiedziała, żebym mogła powiadomić wszystkich i...

Rozłączam się. Ucinam jej wypowiedź, bo muszę wiedzieć.

— Doktor Steele?

— Odprowadzisz mnie do drzwi? — pyta.

— Jasne. — Ruszamy w stronę wyjścia. To nie wróży zbyt dobrze. Z każdym krokiem jestem coraz bardziej przerażony. Gdy stajemy na zewnątrz i zamykamy za sobą drzwi wejściowe, mam serce w gardle.

— Wasz syn jest naprawdę uroczy, czyż nie? — pyta o Ace'a, chociaż wolałbym usłyszeć coś na temat Rylee.

— Pani doktor? — wykrztuszam w końcu z nadzieją, że okaże mi litość.

— Dobrze zrobiłeś, dzwoniąc po mnie, Colton. — Wstrzymywany oddech zaczyna palić mnie w płuca. — Ona zdecydowanie przechodzi przez coś poważniejszego niż typowy smutek poporodowy.

Czuję przebłysk ulgi. Nie wiem dlaczego. Nie powiedziała, że będzie dobrze, ale przynajmniej wiem, z jaką bestią się mierzymy.

— Rozumiem. Co w takim razie mogę dla niej zrobić? — Coś. Cokolwiek. Jestem facetem. Mam potrzebę naprawienia czegoś, a bezsilność w kwestii Rylee doprowadza mnie do szaleństwa.

Doktor Steele uśmiecha się do mnie łagodnie.

— Szczerze powiedziawszy, nie ma w tym przypadku żadnej jednoznacznej

recepty. Rozmawiałam z Rylee. Wyjaśniłam jej, że nie jest w tym sama. Że sporo kobiet doświadcza czegoś takiego i zwrócenie się o pomoc nie oznacza, że zawiodła w roli matki. — Wyciąga dłoń i bawi się paluszkami Ace'a. — Czasem depresja poporodowa wynika z sekwencji wydarzeń, nad którymi chory nie ma kontroli. Do tego dochodzi rozchwiana gospodarka hormonalna i presja, by u noworodka, który ma w nosie wszelkie harmonogramy, wypracować jakąś rutynę, bo każda książka o macierzyństwie mówi, że to konieczność i że popełniasz błąd, jeśli tego nie zrobisz. Wszystko to składa się na jeden wielki niekontrolowany chaos. Umysł Rylee zinternalizował to wszystko i przez to osunął się powoli w czeluść depresji.

Wzdycham ciężko. Z jej słów wynika, że to nie ja zawiniłem, ale jestem facetem, więc i tak mam poczucie winy.

— Wyjdzie z tego?

Lekarka potakuje.

— Przepisałam jej antydepresanty i...

— Będzie mogła karmić? — dopytuję, bo mam świadomość, że to jedna z niewielu chwil, gdy Rylee czuje się związana z Ace'em.

— Tak. Różne są zdania w tej kwestii, ale według mnie gra jest warta świeczki. Trzeba postawić Rylee na nogi, nawet jeśli śladowe ilości leku dostaną się do mleka.

— Dobrze.

— Ona jest silna, Colton. Weź ją na spacer, na świeże powietrze. Spacer po plaży. Przejażdżka samochodem. Wszystko, co przyjdzie ci do głowy, pod warunkiem że nie wyzwoli ataku paniki.

Chichoczę. Czy ona nie wie, z kim ma do czynienia? Zapomniała, że nie bez powodu nie mogliśmy zjawić się w jej gabinecie, i przyjechała na wizytę domową?

— Rozumiem. To dość trudne w... waszej sytuacji, ale im więcej bodźców, tym lepiej.

— Dziękuję — odpowiadam cicho. — Cieszę się, że mogła pani przyjechać.

— Ona wydobrzeje, Colton. Potrzebuje tylko trochę czasu. To nie stanie się z dnia na dzień. Leki działają z opóźnieniem, więc bądź tak cierpliwy, jak byłeś dotychczas, a wkrótce odzyskasz żonę.

Serce zaczyna mi łomotać jak oszalałe. To głupie, bo przecież Rylee jest cały czas w pobliżu. Mimo to puls mi przyspiesza na samą myśl o tym, że odzyskam swoją najlepszą przyjaciółkę. Usłyszę jej śmiech. Zobaczę w jej oczach radość, gdy będzie patrzyła na Ace'a. Usłyszę, jak fałszuje do nagrań swojego ukochanego zespołu Matchbox Twenty. Tęsknię za tymi drobiazgami. Za codziennością. Za nieważnymi rzeczami.

Desperacja nie przystoi mężczyźnie, ale ja z całego serca pragnę, by Rylee wróciła.

Czekam, aż brama zamknie się za doktor Steele, i ruszam z powrotem do domu. Nie wiem, jaką Rylee zastanę w środku: waleczną, którą uwielbiam, czy zagubioną, której nie poznaję.

— Chodźmy, mały. Sprawdźmy, czy uda nam się sprowokować mamę do uśmiechu.

## *Rozdział 37.*

### *Rylee*

Wynurzam się.

Chwile z Ace'em, gdy coś czuję, staram się ich trzymać. Dzięki nim unoszę się na powierzchni. Absorbuję je.

Wiadomość od Coltona: ***Photograph Eda Sheerana.***

Uderzenie ciepła. Przebłysk szczęścia. Wspomnienie tamtej nocy. Czułość. Ramka czekająca na wypełnienie. Wspomnienia do przeżycia.

Panika, że nie podołam. Wysilek, by trzymać się tego, co dobre w piosence, a nie tego, co złe. Pomóżcie mi trzymać się tego, co dobre.

Opadanie pod powierzchnię.

Myśli przychodzą. Myśli odchodzą.

W domu nieustannie zmieniają się goście. Mama, Haddie, Dorothea, Quinlan. Frustrują mnie. Ożywiają. Pomagają trzymać pion i gdy upadam, nie jestem sama.

Moja mama. Odsuwa zasłony. Biega po domu jak Mary Poppins, próbując zarazić mnie swoim optymizmem. Tyle że ja nie potrafię się uśmiechać. Nie mam w sobie żadnych emocji. Patrzę, jak trzyma Ace'a, grucha do niego, nawiązuje z nim więź. Powinnam czuć szczęście, zazdrość, cokolwiek, ale jest mi to zupełnie obojętne.

Zegar tyka. Odmierza chwile w życiu Ace'a, których już nie odzyskam.

Mój Colton. Obserwuję go z Ace'em. Dzień po dniu. Noc po nocy. Wyłapuję chwile do zapamiętania i modlę się, by mi nie umknęły. Colton śpiący z Ace'em na torsie, maleńkie paluszki skulone na potężnych mięśniach. Wymyślone kołysanki, które przebijają się przez moją mgłę i sprawiają, że czuję się jakoś... lżej. Przebłysk ciepła. Pasemko nadziei. Chwila, którą potrafię przyjąć.

Nim z powrotem opadną kotary.

Stracone sekundy.

Wewnętrzne przeciąganie liny.

Stracone godziny.

Każdej nocy Colton przytula mnie w łóżku i szepcze prosto do ucha wspaniałe przeżycia, którymi wypełnimy naszą ramkę. Ciepło jego ciała w subtelny sposób przypomina jego zagubionej we własnym umyśle żonie, że nie jest sama.

Stracone dni.

— Teddy dziś dzwonił — mówi Colton. Łaskocze mnie chłodny oceaniczny wiatr. Kojące uczucie w trakcie karmienia Ace’a było dziś nieco silniejsze. A mgła nieco rzadsza.

— Hmm? — Boję się mieć nadzieję. Chcę wiedzieć, ale obawiam się najgorszego.

— Rada przegłosowała pozostawienie go na stanowisku. — Nieoczekiwany szum. Ukłucie ekscytacji. — Zostaniesz przywrócona, jeśli po zakończeniu urlopu macierzyńskiego postanowisz wrócić do pracy.

Głęboki wdech. Wydech.

— Uhm. — Nieznaczna modulacja głosu.

Colton uśmiecha się, widząc moją reakcję. *Uwielbiam ten uśmiech.* Dłoń Ace’a uciskająca moją pierś. *Uwielbiam te małe rączki.* Przebłysk nadziei.

Stos rozsypanych puzzli. Dwa z nich w końcu zostały dopasowane.

Wiadomość od Coltona: ***I’ll Follow You Jona McLaughlina.***

Stara się z całych sił utrzymać mnie na powierzchni. Robi wszystko, żeby pomóc mi wytrwać nieco dłużej niż ostatnim razem. Przekazuje mi, że nie jestem sama. To dobrze.

Widzę światełko na końcu tego tunelu.

Dasz radę.

Zmiany nigdy nie są łatwe.

Walcz, by wytrwać.

Walcz, by odpuścić.

Walcz, bo oni są całym twoim światem.

## *Rozdział 38.*

### *Colton*

— Wciąż nie mogę się z tym pogodzić.

— Z czym? — pytam, trzymając na klatce piersiowej śpiącego Ace'a. Ma otwartą buzię i szeroko rozstawione rączki i nóżki. Zadowolony jak cholera. Dobrze, że zasnął, bo jestem już wykończony.

— Z tym. Ty ojcem. — Becks chichocze i potrząsa głową.

— Cóż, mały wygląda teraz słodko... ale nie daj się zwieść. To straszny uparciuch. Dzisiaj przez niego babrałem się po łokcie w gównie. Nie był to zbyt piękny widok. — Odrażające. Ale, do licha, zrobiłbym to nawet sto razy, gdybym znowu został nagrodzony łagodnym uśmiechem na twarzy Rylee, która obserwowała nas, stojąc w progu.

Becks wybucha śmiechem.

— Cholera. Za taki widok mógłbym nawet zapłacić.

— Nie, nie mógłbyś — odpowiadam ze śmiertelną powagą. — Ale trzeba zrobić to, co konieczne.

Becks przytakuje i wskazuje podbródkiem w stronę tarasu z basenem, na którym Rylee coś czyta. Małe kroczi. Wraca do mnie kawałek po kawałku.

— Haddie mówi, że się jej poprawia.

— Jeden krok do przodu. Trzy kroki do tyłu. — Wzruszam ramionami. — Ale przynajmniej jest jakiś ruch, prawda? Staramy się stworzyć sobie własną normalność czy coś w tym rodzaju.

— Więc siedzisz tutaj?

— Większość dni tak — stwierdzam ze śmiechem. — Boże, dałbym wszystko, żeby znaleźć się na torze. Potrzebuję pędu, żeby oczyścić głowę i chociaż przez chwilę nie myśleć.

— Niemyślenie to coś, w czym przodujesz. Nie potrzebujesz do tego toru.

— Spadaj, cholero — odpowiadam ze śmiechem, chociaż tak naprawdę cieszą mnie jego docinki. Potrzebowałem naszego przekomarzenia się, żeby odzyskać część swojej normalności.

— Stary, lepiej uważaj na to, co mówisz, chyba że chcesz, żeby pierwszym słowem Ace'a było „cholera”. I chociaż byłoby to zabawne jak cholera — mówi i unosi brwi przy tym słowie — to przypuszczalnie popadłbyś przez to w niełaskę.

— Racja... Ale, cholera...

— No proszę, znowu — śmieje się, a ja potrząsam głową i wzdygam.

— To będzie trudniejsze niż myślałem.

— Większość dobrych rzeczy w życiu taka jest — odpowiada, marszcząc brwi. Patrzę na niego przez chwilę, przetrawiając jego słowa. Nie jest mi teraz łatwo, ale nie powiem, żeby nie było warto.

Jasne, że warto.

— Tak jak powiedziałem: daj znać kiedy, a ja będę miał dla ciebie rezerwację toru — stwierdza i wstaje. Dociera do mnie niewypowiedziany przekaz, że *kryje moje plecy*.

— Dzięki... za wszystko.

— Żaden problem, brachu. Po to przecież mnie masz.

#

Nie ma ich.

Cieszę się, że te sępy pozbierały się i przepadły, ale i tak nie mogę w to uwierzyć. Po raz kolejny sprawdzam na telefonie obraz z kamery przy bramie. Ulica nadal jest pusta i wolna od paparazzich, którzy koczowali tam od nie pamiętam jak dawna.

Dzięki Bogu, że chociaż raz posłuchali i podążyli za historią o Eddiem, którą ich nakarmiłem. Odkryć jego ukryte intencje. Jego desperacką i popieprzoną zemstę na mojej żonie za to, że sąd uznał go winnym. Przeprosiny dziennikarzy w ogóle mnie nie obchodzą. Oni dbają wyłącznie o swój interes i boją się oskarżenia o zniesławienie. Poza tym zdaję sobie sprawę, że przy najbliższej okazji zrobią to samo — podążą za znalezionym tropem, by zniszczyć życie komuś innemu.

Oczywiście nie umyka mi to, że są uprzejmi, bo liczą na zdobycie pierwszych zdjęć Ace'a, gdybyśmy postanowili jednak pójść tą ścieżką i sprzedać do nich prawa. Przyjmuję więc opublikowane przez nich sprostowania. Wykorzystuję ich nadzieje, żeby oczyścić ulicę i móc żyć bez ich uporczywego towarzystwa. Najważniejsze jest jednak to, że ich przeprosiny pomogły nieco odbudować reputację Rylee.

Szkoda, że jest tak pogrążona w depresji, że nawet o tym nie wie.

Bo chociaż po przeprosinach dziennikarzy burza za bramą ucichła, to w środku nadal trwa w najlepsze.

Odkładam komórkę i wyciągając się na krześle na tarasie, obserwuję przewalające się fale. Ten widok wywołuje we mnie instynktowną chęć wzięcia deski i ruszenia w ocean. Moje myśli biegają bezładnie w różne strony. Czy Ace poprosi mnie kiedyś, bym nauczył go surfować? Czy zainteresują go wyścigi?

A może będę dla niego autorytetem, z którym będzie walczył, dopóki nie dojrzeje na tyle, żeby zrozumieć podstawy moich reguł? *Jaki ojciec, taki syn*.

Z leżącej na stoliku elektronicznej niani wydobywa się jakiś szelest. Czekam chwilę, żeby sprawdzić, czy Ace się obudził, ale nic więcej nie słychać. Odchylam

się z powrotem na krzesło i rozmyślam o następnym wyścigu. O mojej codzienności, która wydaje się tak odległa z perspektywy życia, jakie teraz prowadzę.

— Cii. Cii. — Słyszę w głośniczku głos Rylee i wzdrygam się z zaskoczenia. Serce mi przyspiesza, a oczy pieką z emocji, których nie chcę czuć, ale których nie potrafię powstrzymać, gdy podnoszę urządzenie do ucha, by usłyszeć coś więcej.

Cisza. Nic. Powinienem pójść na górę i sprawdzić, co się stało? Czy moje pojawienie się wywrze na nią większą presję w trakcie tego kroku naprzód, skoro z tak wielu poczynionych dotychczas kroków się wycofała?

Nagle moją głowę opanowują czarne myśli. Nie przyznaję się do nich, ale one i tak mnie męczą. Myśli skupione na nagłówkach artykułów o tym, co matki w depresji poporodowej zrobiły swoim dzieciom.

Zrywam się na równe nogi. W mojej głowie toczy się emocjonalna wojna dotycząca tego, co powinienem myśleć i robić. Zatrzymuję się na korytarzu, bo przygniata mnie ciężar tej decyzji.

Czuję wzbierającą nadzieję. Nienawidzę tego i jednocześnie to uwielbiam.

Wybieram uwielbianie. Muszę.

*No dalej, Ry. Daj mi coś, co dowiedzie, że się nie myliłem.*

— Mój słodki chłopczyk. Zgłodniałeś? — Słyszę i wypuszczam oddech, który nieświadomie wstrzymywałem, wkurzony na siebie za wątpienie w nią, nawet jeśli miałem pełne prawo tak czuć.

Radość, ulga, strach, troska, ostrożność. Tak wiele emocji uderza we mnie jednocześnie. Największą z nich jest ulga, bo nareszcie widzę światelko na końcu tego niebotycznie długiego tunelu. Zdecydowanie zbyt długo tkwimy w stanie zawieszenia i najwyższy czas zacząć normalnie żyć.

Wiem, że nie jest z nią lepiej. Wciąż mamy przed sobą długą drogę. Owszem, to mały kroczek, ale strasznie się z niego cieszę, bo jeszcze kilka dni temu nawet nie pełzaliśmy. Więc nawet jeśli został wykonany na chwiejnych nogach, to przynajmniej poruszamy się do przodu.

Gdy wchodzę do sypialni, Rylee leży na środku łóżka i karmi leżącego obok Ace'a. Po raz pierwszy nie musiałem jej go przynosić. Uczepiam się tej myśli, obserwując ich razem. To jak wizualny cios miłości.

*Daj jej spokój, Colton.*

W teorii to łatwe, ale nie w mojej rzeczywistości. Nie wiem, po co w ogóle opieram się temu przyciąganiu, skoro dobrze wiem, że to daremny trud. Zawsze tak jest, jeśli chodzi o Rylee.

Wchodzę do pokoju, ściągam koszulkę i bez słowa kładę się za nimi. Ostrożnie, by nie przeszkodzić Ace'owi, obejmuję Rylee w biodrach i dopasowuję nasze ciała. A potem po prostu nią oddycham.

*Boże, jak ja za nią tęskniłem.*



— Przepraszam. Nie słyszałem, że się obudził. Nie chciałem cię zmuszać, żebyś do niego przychodziła — tłumaczę się pokrętnie łagodnym głosem, żeby nie wytrącić jej z równowagi, chociaż wcale nie jest mi przykro.

Odpowiada mi cisza. Powstrzymuję się przed westchnieniem, które ciśnie mi się na usta. Tłumię rozczarowanie tym, że znowu odeszła. Akceptuję to, że siła jej umysłu jest dziesięciokrotnie większa niż cała miłość, jaką mogę jej zaoferować. Odpycham precz obawy, że Rylee może już do mnie nie wrócić.

Zaczynam swoją rutynę. Jak co noc na swój sposób przekazuję jej, że jej nie skreśliłem. Opowiadam jej o wspomnieniach, które chciałem z nią stworzyć.

— Dzisiaj przyszło mi do głowy jeszcze jedno. Wspomnienie dwieście trzynaste, które chciałem umieścić w naszej ramce. Powinniśmy wynająć sobie wyspę. Lub odizolowaną plażę. Tylko piasek, słońce i my, bez żadnych ograniczeń. Głupie, prawda? — Mój głos dźwięczy mi w uszach, ale czuję, jak Rylee się rozluźnia, i wiem, że mnie słucha. — Ale to nie wszystko. Bo na wyspie będzie obowiązywał wymóg noszenia bardzo skąpych strojów kąpielowych. Lub chodzenia topless. O tak, topless. Żeby było sprawiedliwie, ja będę musiał nosić tylko przepaskę biodrową, aby na wyspie panowało ubraniowe równouprawnienie. O kurna — mruczę i całuję ją we włosy z tyłu głowy. — Ciągle zapominam o tym, że mamy dziecko. Chodzenie topless nie bardzo pasuje do dzieci. Więc będzie dozwolone tylko w trakcie drzemek Ace'a. Jestem pewien, że znajdziemy sobie świetne sposoby na zabicie tego czasu.

Gubię wątek. Zatracam się w ciepłe jej ciało i trawiącej mnie tęsknocie za intymnością fizyczną. To mój barometr. Dzięki niemu czuję się blisko niej i wiem, że między nami wszystko się układa. Bez niego nie mam pojęcia, czy nam się układa.

— Przepraszam — mówię, wrywając się z zamyślenia. — Śniłem na jawie o byciu z tobą na plaży.

— Dziękuję.

Mówi to bardzo słabym głosem, ale ja i tak słyszę to wyraźnie. Zaciskam powieki, przytłoczony emocjami wywołanymi przez to jedno słowo.

Przytulam ją nieco mocniej i opieram podbródek na jej ramieniu. Zerkam na Ace'a, który zdążył już zasnąć. Wiem, że powinienem odłożyć go do łóżeczka, ale nie chcę. Jeszcze nie. Ta chwila wydaje mi się tak bardzo normalna po tym wszystkim, co przeszliśmy, że wołałbym, żeby jeszcze się nie kończyła. Tylko my troje.

Mam jej tak wiele do powiedzenia. Mógłbym na niezliczone sposoby udowodnić jej, że wcale nie musi mi dziękować, ale milczę. Dzisiaj otrzymałem dwa przebłyski mojej żony. To wystarczy, żeby mi uświadomić, że wkrótce doczekam się więcej.

Robię więc to, co wydaje mi się najlepsze w tej sytuacji. Kontynuuję.

— Nie dziękuj mi jeszcze, Ryles. Na tej wyspie nie ma żadnej kanalizacji. Ani coli bez cukru. A dobrze wiem, jak uwielbiasz colę bez cukru. Jest za to... — i ciągnę dalej. Moje wieczorne gadanie dla rozrywki.  
Wszystko dla mojej Ry.

## *Rozdział 39.*

### *Rylee*

**Hej, kochanie. Jak sobie radzisz? Kocham Cię. Pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Wpadnę pod koniec tygodnia.**

To wiadomość od mojej mamy na jasnym ekranie telefonu. Ale w moim wnętrzu wciąż panuje mrok.

*Tęsknię za zewnętrznym światem.*

Za leniwymi spacerami po plaży. Za wyprawami na targowisko, podczas których mam ubaw z Coltona w naciągniętej bejsbolówce, żeby nie zwracać na nas uwagi. Za hałasem na torze i wibracją silnika w klatce piersiowej, gdy siedzę i odpowiadam na e-maile, a Colton testuje samochód. Za nieustannym trajkotem rozmów, odgłosem przesuwania stołków po zużytych linoleum, narzekaniami na zadanie domowe i nieśmiałymi uśmiechami, gdy nikt nie patrzy, czyli codziennym życiem moich chłopców w Domu.

*Tęsknię za tym wszystkim, dzięki czemu czułam, że żyję.*

Ale nie jestem jeszcze gotowa. Tęsknię za tymi wszystkimi wyobrażeniami, ale nie za rzeczywistością. Bo wraz z rzeczywistością pojawia się chaos. Natrętne aparaty i osądzające spojrzenia. Ocenianie i obnażanie. Brak kontroli nad własną prywatnością. Ciągła wrażliwość na ataki.

Poza tym czy mogę powiedzieć, że szczerze pragnę *tych* rzeczy, skoro patrząc na mojego pięknego syna, nie czuję tej wszechogarniającej miłości, jaką powinnam odczuwać? Wiem, że ją mam, ukrytą głęboko pod warstwami ciężkiej mgły. Wiem to na pewno. Bo już ją czułam. Ale to tylko pogarsza sprawę. Nie do pozazdroszczenia jest sytuacja, gdy chcesz czegoś, czego nigdy nie miałaś, ale znacznie gorzej jest stracić coś, czego już się zakosztowało.

Tęsknię za Ace'em. Nie za nim jako takim, bo mam go przy sobie i go karmię, lecz za emocjami, jakie we mnie wzbudzał. Za ulotnymi chwilami intensywnej radości i obezwładniającej miłości, które od czasu do czasu przeżywam. Tęsknota jest tak silna, że ściąga mnie z powrotem w wypaczony komfort milczących ciemności.

Gdy wracam na powierzchnię, jest przy mnie Colton. I piosenki, które mi wysyła, żeby pobudzić moje wspomnienia. I pomóc mi zapomnieć.

Na najciemniejszym niebie najlepiej widać, która gwiazda jest najjaśniejsza. A ja widzę teraz tylko jedną. Światło Coltona jest wręcz oślepiające. Może dlatego, że to właśnie on jest moim wybawcą.

Żałuję, że nie jestem w stanie wykrzesać z siebie rozbawienia, które wyczuwam gdzieś pod powierzchnią, gdy obserwuję jego uroczo niezręczne zajmowanie się Ace'em. I słucham wymyślanych na poczekaniu kołysanek o częściach samochodu i superbohaterach, które śpiewa, by Ace przestał płakać. Próbuję odgrzebać te emocje i wytrwać w uśmiechu, ale to jak nieustanna walka między światłem a mrokiem.

Potem nadchodzi noc i Colton przytula mnie i opowiada o niedorzecznych miejscach, w które chciałby mnie zabrać, i o wspomnieniach, które musimy stworzyć. Dzięki temu ołowiana ściana nieco się rozstępuje, a ja mogę zatracić się w jego głosie i poczuciu humoru. Gdy patrzę wtedy na Ace'a przy piersi i czuję ciało Coltona za plecami, wiem, że dam radę to pokonać.

Dlatego walczę, by codziennie odzyskać kolejny skrawek siebie. Chwila po chwili. Bo tylko to, co najbardziej kochamy, może nas zniszczyć. Zdruzgotać. Rozedrzeć na strzępy. Ale może też nam pomóc. Ułatwić dojście do siebie. Sprawić, byśmy znowu poczuli się spełnieni.

— Cześć, stary! — Głos Coltona niesie się korytarzem, wrywając mnie z zamyślenia. Niechętnie wstaję z kanapy, bo właśnie sobie na niej usiadłam po odłożeniu Ace'a do kojca, i ruszam na górę, bo nieoczekiwane spotkania zazwyczaj wyzwalają niekontrolowany niepokój. Który zsyła mnie z powrotem w głąb króliczej nory.

— Sorry, że nie uprzedziłem telefonicznie, ale wracam ze szkoły i musiałem wpaść. Mogę chwilę porozmawiać z tobą i Ry?

Zamieram, gdy dociera do mnie głos Shane'a. Ale moją uwagę przykuwają nie jego słowa, tylko sposób, w jaki je wypowiada — formalnie, biznesowo, nerwowo.

— Nie ma problemu. Poczekaj, uprzedzę tylko Ry, że przyszedłeś — odpowiada Colton, a potem mówią o czymś przyciszonymi głosami. Nie potrafię rozróżnić słów, ale domyślam się, że padają typowe dla wszystkich gości pytania o to, jak sobie radzę. — Zaraz wracam. — Odgłos kroków. — Hej, Ry?

— Tak? — odpowiadam drżącym głosem. Nie wiem, dlaczego zalewa mnie niepokój, skoro to tylko Shane. Chłopiec, który był ze mną najdłużej. Chłopiec, który na moich oczach stawał się mężczyzną.

— Shane nas odwiedził. W porządku? — pyta i patrzy mi prosto w oczy. Przekazuje mi spojrzeniem, że Shane za chwilę wejdzie i że mam się przygotować. Jakby czekała mnie jakaś decydująca rozgrywka. Zmuszam się do przełknięcia śliny i próbuję przekonać samą siebie, że to tylko Shane. Nie jest zagrożeniem ani dla Ace'a, ani dla mnie, ani dla mojego małego świata.

Potakuję.

— Chodź do nas — woła do niego Colton, nie odrywając ode mnie wzroku, i czeka, aż Shane podejdzie.

*Daj spokój, Ry. Ostatnim razem go przeraziłaś. Pokaż mu, że nie jesteś jak jego matka. Że tę bestię można pokonać. Bądź taką Rylee, jaką zna. Postaraj się, proszę.*

Dokładam wszelkich starań, żeby się uspokoić, ale gdy Shane wchodzi do salonu, jestem cała spocona, a serce łomocze mi jak oszalałe. Nie cierpię się za to, że nie potrafię wykrzesać z siebie niczego poza wymuszonym uśmiechem. Patrzy mi w oczy, a ja otwieram usta, żeby się przywitać, lecz nie udaje mi się wykrztusić ani słowa.

Z zatroskanym wyrazem twarzy zerka na Coltona, bezczelnie zarzucając mu spojrzeniem kłamstwo. Że wbrew temu, co usłyszał od niego przy drzwiach, wcale mi się nie poprawiło. Colton skinieniem głowy prosi Shane'a, by mu zaufał.

— Wracasz na kampus? — pyta go, ocalając mnie przed koniecznością odezwania się, po czym obaj podchodzą do mnie, a Colton gestem zaprasza Shane'a, by usiadł.

— Tak. Spędziłem noc w Domu z całą paczką. — Shane siada na brzegu krzesła, zerkając to na mnie, to na Coltona. W końcu skupia się na słodko drzemiącym w kojcu małym. — Ależ on szybko rośnie.

— No. Istne szaleństwo — odpowiada Colton. Shane nie odrywa wzroku od kojca, a Colton obserwuje go, przymrużając powieki. Najwyraźniej zastanawia się nad tym samym co ja: dlaczego nasz gość wydaje się taki zdenerwowany?

Chciałabym zapytać go o tak wiele rzeczy: jak w szkole, co u Zandera, czy Auggie znalazł swoje miejsce w grupie? Czy Shane za mną tęskni? Ale moje zniecierpliwienie tylko potęguje niezręczność panującej w salonie ciszy. W końcu Colton ją przerywa.

— Fajnie, że spotkałeś się z chłopakami. Myślałem o tym, że może za tydzień lub dwa, gdy Ry poczuje się nieco lepiej, zaprosimy was wszystkich na grilla.

Wiem, że Colton próbuje rozluźnić Shane'a, lecz na samą myśl o takiej liczbie osób w mojej przestrzeni czuję, jakby ktoś ścisnął mi płuca. Chociaż w sumie powiedział, że za tydzień lub dwa, więc może wtedy...

— No, ehm... — Shane poprawia się na krześle i wyciera dłonie o spodnie. — Bo zostałem u chłopaków dlatego, że mieliśmy małe zebranie, i... uhm... wpadłem do was, bo chciałem was o nim poinformować.

Prawie nie słyszę jego słów, bo serce tak głośno łomocze mi w uszach. Moja ciekawość sięga zenitu, a obudzony instynkt nie pozwala mi osunąć się pod powierzchnię i ukryć przed przyczyną takiej nerwowości Shane'a. Colton spogląda mi w oczy. W przeblysku zrozumienia dostrzegam w nich coś, co wzbudza moje obawy.

— Mów dalej — prosi Colton ostrożnie.

— Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałeś, Colton, i po

przeanalizowaniu sytuacji Zandera ze wszystkich stron doszedłem do wniosku, że miałaś rację. — Shane wykręca palce, nie odrywając od nich wzroku, a Colton głośno wzdycha.

— *Co takiego powiedziałem, Shane?* — pyta dociekliwie. Mową ciała zdradza zadumę, jakby się bał, że zna odpowiedź.

— O Zanderze.

Colton pociera nos w geście poczucia winy, a ja kompletnie przestaję ich rozumieć. Moje ciało pragnie się odciąć, lecz umysł walczy z tą pokusą, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. Spoglądam na Shane'a, próbując wykrztusić prośbę o wyjaśnienie, i kątem oka dostrzegam, jak Colton porusza ustami, wypowiadając bezgłośnie: „nie teraz”, i potrząsa głową.

Dobrze mi znana ostatnimi czasy panika powraca i wstrząsa całym organizmem. Patrzę to na Coltona, to na Shane'a, w pełni świadomych, że zauważyłam to milczące ostrzeżenie. Coś tu się dzieje, i to coś związanego z Zanderem. Muszę się dowiedzieć, bo w przeciwnym razie zwariuję do reszty. Otwieram usta, zamykam je, lecz otwieram znowu, żeby zmusić mój rozgorączkowany umysł do wykrzesania głosu, którego tak rzadko ostatnio używam.

— Nie — sprzeciwia się Coltonowi Shane i oboje wbijamy wzrok w niego. — Ona zasługuje na to, żeby dowiedzieć się o głosowaniu, a nam to nie przeszkadza.

Mrugam raptownie oczami, próbując zrozumieć tę tajemniczą odpowiedź. Czuję się, jakbym weszła do sali kinowej w połowie filmu i kompletnie nie znała fabuły. Chciałabym się pogniewać na Coltona, ale on najwyraźniej boi się, że to, co ma do powiedzenia Shane, straci mnie kilka stopni w dół i stracę to, co przez ostatnie kilka dni udało mi się odzyskać.

— Co? — pytam łamiącym się głosem. Brzmi mi jakoś obco. Otwieram szeroko oczy i wpatruję się w ich twarze w poszukiwaniu odpowiedzi. I teraz oni obaj wbijają wzrok we mnie.

— Próbuję naprawić to, do czego doprowadziłem — wyjaśnia Shane, lecz nie rozumiem, co ma na myśli. Patrzy na mnie wzrokiem małego chłopca w dorosłym ciele, błagając o pomoc. — To moja wina.

— *O czym ty mówisz?* — pyta Colton stanowczo, chociaż wygląda na równie zagubionego jak ja.

— Zawiadomiłem cię o spotkaniu Zandera z wujkiem w Domu, mimo że nie powinienem. Mogłem się domyślić, jak to się skończy. Ale skąd miałem wiedzieć, że to, co powie ci Zander, tak bardzo wytrąci cię z równowagi, że wywoła poród? A potem przyszliśmy, żeby poznać Ace'a. Wszystko było w porządku do momentu, gdy zaczęłaś rozmawiać z Z. i... — milknie, a ja próbuję przywołać strzępy wspomnień związanych z odwiedzinami chłopców. Nie potrafię jednak

wydobyć z pamięci niczego prócz przeblysków szeroko otwartych oczu i przerażonych twarzy i wiem, że musiałam ich wtedy wystraszyć. — Chcę, żebyś wydobrzała, Rylee. I chcę, żeby Zander pozostał w naszej rodzinie, bo tu jest bezpieczny. *Wszyscy tego chcemy*. I ciągle myślałem o tym, że gdybyś miała pewność, że Zander jest bezpieczny, to być może poczułabyś się lepiej.

Jakaś część mnie budzi się po tych słowach. Mam ochotę wyjaśnić mu, że tu chodzi o coś więcej, ale miłość i troska emanujące z jego głosu oplatają moje serce i rozgrzewają miejsca wyziębione na kość przez depresję. Te uczucia są przerażające, nieznane i ekscytujące, nawet jeśli to zaledwie ułamek tego, co powinnam czuć.

— Wtedy przypomniałem sobie twoje słowa, Colton. Powiedziałeś, że adoptowanie Zandera rozwiązałoby tę sytuację i...

— Nie! — krzyczę, stając w proteście. Obaj wpatrują się we mnie, gdy próbuję przekazać swoje zdanie i jednocześnie zastanawiam się, dlaczego zniknęło to ulotne ciepło, które czułam jeszcze chwilę temu. W kilka sekund przez głowę przetacza mi się tornado tak wyrazistych myśli, jakich nie miałam od wielu tygodni.

Shane nie jest nerwowy, lecz wytrącony z równowagi. Boli go to, że w najczarniejszej godzinie nie pomyślałam o tym, by go adoptować, *by go wybrać*, a teraz ni stąd, ni zowąd, gdy Zander jest w takiej sytuacji, Colton zasugerował coś, co dla mnie jest absolutnie nie do przyjęcia.

Spirala emocji wymyka się spod kontroli. Gniew, poczucie zdrady, współczucie, desperacja, miłość. Wszystko się we mnie kotłuje i nie potrafię złapać tchu. Nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Burzące się we mnie uczucia są tak intensywne i brutalne, że nie daję rady ich przetworzyć. Zaczynam się zamykać. Z podkulonym ogonem wpelzam w swoją ciemność, bo najwyraźniej nie jestem jeszcze tak silna, jak mi się wydawało.

Potrzebuję swojego łóżka. Muszę naciągnąć kołdrę na głowę, żeby uspokoić zamęt w duszy, ale nie potrafię się ruszyć. Zamiast tego zaczynam gorączkowo oddychać, łapiąc konwulsyjnie powietrze w kolejnym ataku paniki. Opadam na kanapę i próbuję odzyskać oddech.

Colton natychmiast znajduje się przy moim boku. Patrzy na mnie z niepokojem, lecz głaska mnie delikatnie po plecach i powtarza, że jest przy mnie. Moje ciało domaga się tlenu, krew stoi w ogniu i zaczyna mi się kręcić w głowie. Chowam twarz w dłoniach w desperackiej próbie odzyskania panowania nad sobą.

„Nie podglądaj, Scooter!” — Głos Shane’a wydaje się jakiś stłumiony. Jakim cudem jest jednocześnie przede mną, skoro był obok mnie? W każdym razie jego głos przywraca mnie do rzeczywistości. Otwieram oczy i widzę, że trzyma telefon, na którym puścił filmik. Kamera przejeżdża po całym pomieszczeniu i pokazuje sześć pochylonych głów: Connora, Aideny, Ricky’ego, Kyle’a, Scootera i

Auggiego. Ciekawość zmusza mnie do wynurzenia się nad powierzchnię, a na widok chłopców mój oddech powoli się wyrównuje.

„Dobrze. Gotowi?” — Znowu słyhać głos Shane’a, to on nagrywa. Odpowiada mu chóralne „tak”. — „Wszyscy wiemy, że Zander dowiedział się dzisiaj, że jego wujek został zaakceptowany jako jego rodzina zastępcza”.

— *Co?* — pyta zszokowany Colton. Jego dłoń zamiera na moich plecach, a ja znowu tracę oddech, który przed chwilą odzyskałam. Zahipnotyzowane widokiem chłopców oczy zaczynają mnie piec od niechcianych łez. Niedowierzenie wzbudza kolejny atak paniki.

Spirala, zwrot, spadanie. Powrót do mroku.

— Posłuchaj tylko — nalega Shane. Jego głos daje mi punkt oparcia, który pozwala mi wrócić.

„Kto jest za i w ogóle nie ma nic przeciwko i wie, że tu nie chodzi o żadne faworyzowanie...”.

„Jezu, my to wiemy, stary! — przerywa mu Aiden. — Wszyscy wiemy, że jesteśmy Donavanami. Nie potrzebujemy do tego formalnej adopcji ani oficjalnej zmiany nazwiska. Tak po prostu jest. Przeprowadź po prostu to głosowanie, Shane”.

Colton wstrzymuje oddech, a mój puls znowu przyspiesza. Początkowo tylko trochę. Potem znacznie. I to nie z niepokoju. Nieobecność paniki i pełna niedowierzania nadzieja ciągną mnie w stronę powierzchni.

„Zamknij się, Aid!”.

„Musi się rządzić” — odpowiada Aiden i przewraca oczami, a Connor wymierza mu kuksańca.

„Kto jest za tym, żeby Rylee i Colton złożyli podanie o adopcję Zandera?” — Sześć ramion podnosi się bez jakiegokolwiek zawahania. Shane odwraca kamerę, żeby pokazać także swoją uniesioną dłoń. — „Jednogłośnie” — komentuje i odwraca kamerę na chłopców, którzy podnieśli głowy, śmieją się, a cała ich wcześniejsza cierpliwość przepadła bez śladu.

Patrzę jak zahipnotyzowana na ekran, na którym niektórzy krzyczą coś do mnie, lecz wynika z tego szarpanina o miejsce przed kamerą i film się urywa. Shane chce schować telefon, ale ja odruchowo łapię go za dłoń i spoglądam mu w oczy.

Nie wiem, co powiedzieć. Wiem tylko, co czuję. A liczy się przede wszystkim to, że po tak długim czasie w ogóle *coś* czuję. To jak nagły deszcz na jałowej pustyni.

Zaciskam dłoń na jego nadgarstku i próbuję wypchnąć jakieś słowa przez zaporę, którą mam w głowie. Nic się nie przedostaje. Nie potrafię go jednak wypuścić i nie potrafię oderwać wzroku.

Colton gładzi mnie wzdłuż kręgosłupa, żeby dodać mi otuchy, a Shane siada



przede mną i kładzie drugą dłoń na moich palcach, zaciśniętych kurczowo na jego nadgarstku. Spogląda mi w oczy, a jego spojrzenie emanuje troską i miłością.

— Wiemy, że nie wybierzesz Zandera kosztem nas. Zrobisz to, co zawsze robiłaś. Starasz się go ocalić, tak samo jak nas wszystkich. — Głos mu się łamie, a w oczach wzbierają łzy, chociaż z całych sił stara się nie pęknąć. — Nie powiedzieliśmy Zanderowi o głosowaniu, bo nie chcieliśmy, żeby był zawiedziony, gdybyście uznali, że jednak nie pójdziecie tą ścieżką... W każdym razie nie możecie odrzucać tego pomysłu tylko dlatego, że wydaje wam się, że pocujemy się skrzywdzeni.

— Nie wiem, co powiedzieć — stwierdza Colton pełnym emocji głosem.

— Bo nie ma tu nic do powiedzenia. — Shane wzrusza ramionami. Ten gest przywołuje wspomnienia o małym chłopcu, jakim był, gdy do nas trafił. — Przyznaję, że gdy o tym usłyszałem, byłem trochę zszokowany. Zaskoczony. Najbardziej jednak trafiło do mnie to, co powiedziałaś *potem*.

Colton zerka to na mnie, to na Shane'a i potrząsa głową, próbując sobie przypomnieć, o co może chodzić.

— Powiedziałaś mi, że Ry odrzuciła ten pomysł, bo reszta poczułaby się z tym źle. Utkwiło mi to w głowie. Rylee była gotowa pozwolić na skrzywdzenie Zandera, żeby nie zranić naszych uczuć. Nie podobało mi się to. Ry, nauczyłaś nas troszczyć się o siebie nawzajem i nawzajem o siebie dbać. Jak w rodzinie. Cóż, Zander należy do tej rodziny. Wspomniałem więc o tym Aidenowi. Rozegrałem to ostrożnie. Udawałem, że mi się to przyśniło, i spytałem, co o tym sądzi. Stwierdził, że to genialne. Nie miał z tym żadnego problemu. I od tego się zaczęło. — Milknie, ale ja wyraźnie słyszę nadzieję w jego głosie i widzę optymizm w jego oczach.

— Shane. — Drewniany głos Coltona prowokuje pierwszą łzę do spłynięcia po moim policzku.

— *Chciałem tylko to wszystko naprawić.*

Kurtyna się unosi, a moim ciałem zaczyna wstrząsać potężny szloch, bo nie była tak wysoko od momentu, gdy mój umysł pogrążył się w depresji. Wciąż nie jestem w stanie niczego wykrztusić. Potrafię jedynie pokazać im, że uśmiech na mojej twarzy przestał być wymuszony. To jak szczelina na niebie zasnutym czarnymi chmurami. Przenika mnie przedostający się przez nią promień ciepła na myśl o tym, że istnieje jeszcze dobro na tym świecie. Że dzięki mnie z siedmiu pozbawionych nadziei i zdruzgotanych chłopców, na których wszyscy postawili kreskę, wyrosły bezinteresowne, kochające jednostki. Które same stworzyły sobie rodzinę.

Moją rodzinę. Ich rodzinę.

— Ry? Spójrz na mnie, kochanie. — Głos Coltona odrywa mnie od tej burzy emocji. Wolalabym w niej pozostać, bo przyjemnie jest czuć coś innego poza przygniatającym smutkiem, ale odwracam się do niego. Chcę mu pokazać

przebłysk prawdziwej mnie. Mam świadomość, że chociaż jest to przyjemne i trwa już dość długo, to przypuszczalnie za chwilę się skończy. Mimo przyćmionego umysłu zdaję sobie sprawę z tego, że depresja poporodowa tak łatwo nie odchodzi.

Odzyskuję jednak nadzieję. Wiem, że dam radę. Że ten przebłysk zmieni się w coś trwalszego. Małymi kroczkami, jak mówi Colton.

— To łązy radości, prawda? — pyta, a ja zerkam na niego, potem na Shane'a. Obaj patrzą na mnie z ostrożnym optymizmem.

— Tak.

Może faktycznie wcale nie jestem złamana.

## *Rozdział 40.*

### *Colton*

Pieprzony Beckett.

Dobrze wie, jak mnie sprowokować. Jak sprawić, żebym pojawił się tam, gdzie będzie chciał. Nawet jeśli wymaga to użycia kilku *bujd*, jak to nazywa. Ja bym powiedział raczej „bezczelnych kłamstw”.

Czy mogę jednak narzekać? Nabrałem się. Jestem tam, gdzie chciał mnie ściągnąć. Na torze. W samochodzie i po trzydziestym okrążeniu i paru poprawkach powoli odnajduję swój rytm.

Boże, tak bardzo tego potrzebowałem. Rutyny, towarzystwa chłopaków z zespołu, wibracji samochodu, jego responsywności i poczucia kontroli wbrew całemu chaosowi życia.

Wolności.

Poprawiam się na fotelu i wchodzę w pierwszy zakręt. Zajmuję cały tor, bo jestem na nim sam i mogę sprawdzić, czy ostatnie poprawki były dobre, czy nie.

— Wood? — Nie potrzebuję nic więcej, żeby wiedzieć, o co pyta.

— Całkiem dobrze. Tył już się nie ślizga, gdy wychodzę z nachylenia. — Pociągam łyk wody przez rurkę. Cholernie ciepła. Do licha.

— Okej. Dociśnij ją na parę kółek, gdy skończysz to okrążenie. Pełen gaz. Chcę zobaczyć, co pokażą wskaźniki.

— Dociśnij ją? Poszczęściło ci się wczoraj w nocy, Daniels? Jeszcze nigdy nie słyszałem tych słów z twoich ust. — Poprawiam dłonie na kierownicy i przygotowuję ciało na przeciążenia, bo wychodzę z czwartego zakrętu i dojeżdżam do mety.

— Chciałbyś, żebym ci powiedział, co? — chichocze. To potwierdzenie, że udało mu się wczoraj z kimś przespać. — Sprawdźmy, do czego jest zdolna.

Wciskam gaz do dechy. Ścigam się z wiatrem. Pozwalam, by wibracje samochodu i siły działające na kierownicę zdominowały mój umysł i ciało. Uciekam od obaw o Rylee, odpowiedzialności za Ace’a i *wszystkiego*, co mam na głowie. I po prostu jestem.

Tylko ja i samochód. Człowiek i maszyna. Umiejętności kontra prędkość. Kontrola *versus* chaos.

Z każdym okrążeniem odpada ode mnie kolejny kawałek świata zewnętrznego. Z każdym okrążeniem coraz bardziej oddaję się rozmyciu. Staję się jednością z maszyną. Odbieram każdy szczęk i wibrację i słucham, co ona do mnie

mówi.

Muszę wiedzieć, czy w następnym wyścigu woli być dziwką, czy żoną. Czy chce, bym wykorzystał ją na całego, aż dotrę do mety i zdobędę to, czego pragnę, czy może wolałaby, żebym ją wielbił i rozpieszczał z nadzieją, że wystrzeli w kosmos, zagarniając flagę w szachownicę.

— Wskaźniki w porządku. Jak wrażenia?

— Dobre połączenie. — Wie, że mówię o tym, iż maszyna jest idealnie wyważoną kombinacją żony i dziwki. W sam raz, by wygrać wyścig.

— W najbliższym wyścigu potrzebujemy trochę więcej dziwki. Przyciśnij ją. Sprawdź, czy ssie i połyka.

Śmieję się do mikrofonu i docieram do trzeciego zakrętu. Rutynowe wejście, redukcja i skontrolowanie wskaźników po raz ostatni, nim tor i samochód pochłoną całą moją koncentrację potrzebną do pokonania łuku.

Tył zaczyna się ślizgać z boku na bok na górze łuku. Opony trafiają w odłamki gumy. Śliskie opony na gumowych kulkach sprawiają, że zaczynam płynąć.

*KURWA!*

Ułamki sekund. Fragmenty myśli. Rutynowe ruchy.

Przód kieruje się w górę. Zaciskam ręce, walcząc z naporem sił działających na kierownicę. Przez chwilę widzę betonową ścianę.

*Ace.* Przed oczami przebłyskują mi obrazy z nim. Jak pokaz slajdów. Jego płacz ginie w jęku silnika.

Puszczam kierownicę. Krzyżuję dłonie, żeby chwycić się uprzęży.

*Ryles.* Łagodny uśmiech. Wielkie serce. Niewiarygodna siła. Właśnie teraz, gdy zaczyna wracać do siebie.

Siła odśrodkowa wpycha mnie w siedzenie. Samochód zaczyna kręcić się w kółko. Dziób uderza w ścianę. Iskrzenie rozdieranego metalu.

— *Wood!*

Obracam się. Dłonie kurczowo zaciśnięte na pasach. Czekam na następne uderzenie.

Nic.

*No już. No już. No już.*

Obracam się.

Zsuwam się w dół toru.

Obracam się.

W powietrzu fruwa trawa, gdy trafiam na wewnętrzną część toru.

Zatrzymuję się.

Biorę oddech.

Mam zdrętwiałe ręce od ściskania pasów.

— Do licha, Colton! Odpowiedz.

Znowu go słyszę. Zastrzyk adrenaliny. Serce łomocze jak oszalałe. Suchość w ustach.

Ale nic mi nie jest.

— Spoko. Jestem cały — wykrztuszam, a całe ciało zaczyna drżeć po uderzeniu. — Rozpieprzyłem dziób i prawy przód.

— Wszystko w porządku? — pyta chwiejnym głosem.

— Tak. — *Będzie*. Po porządnym drinku.

— Do diabła, Colton! Kazałem ci ją docisnąć, a nie przywalić w ścianę i ją rozpruć! — krzyczy do mikrofonu, gdy odpinam kierownicę, żeby wyjść z kokpitu.

W moim chichocie wyraźnie pobrzmiewa nutka hysterii. Jestem mu wdzięczny za tę reprimendę. Za powrót do normalności w sytuacji, w której pewna część mnie jest kompletnie pogrążona w sprawach, o jakich w ogóle nie pozwalam sobie myśleć.

Czasem, gdy człowiek zostanie zmuszony do zamknięcia oczu, wszystko inne staje się znacznie wyraźniejsze.

#

— Colton?

— Mogę wejść? — pytam ojca. Jest tyle rzeczy, które chcę mu powiedzieć. A raczej *potrzebuję* mu powiedzieć.

Mój umysł jeszcze nie wyhamował od zejścia z toru. Kraksa uświadomiła mi moją śmiertelność tak dobitnie jak jeszcze nigdy wcześniej. Mam teraz dziecko. Obowiązki. Osoby, które są dla mnie ważne, podczas gdy jeszcze niedawno poza rodzicami, Quin i Becksem liczyłem się tylko ze sobą.

Po wyjściu z bolidu czułem straszną potrzebę zadzwonienia do Ry. Porozmawiania z nią. Usłyszenia jej głosu. Powrotu do domu i przytulenia Ace'a. Ale wiedziałem, że nie mogę tego zrobić.

To był zwyczajny dzień na torze. Zrobiłem bączka. Ryzyko zawodowe. Nie mogłem do niej zadzwonić, bo nawet jeśli poczyniła olbrzymie postępy, wciąż jest niepewna i nie chcę zrobić niczego, co mogłoby zepchnąć ją w dół.

Więc jeździłem. *Bez celu*. Przyjechałem na plażę. Potem znowu jeździłem. Zadzwoniłem do Haddie, żeby sprawdzić, jak się czuje Ry, i przyjechałem tu. Pieprzone zamykanie rozdziałów.

— Wejdz. Wszystko w porządku? Z Ry i Ace'em? — pyta, gdy wchodzę za nim do domu, w którym dorastałem.

— Tak. Jasne. — *Cholera*. On się martwi. — Przepraszam. W porządku. Wszystko w porządku. — Przechodzimy obok schodów, z których zjechałem na kartonie. Potem mijamy barek, z którego podkradałem butelki w szkole średniej. Skupiam się na tych drobiazgach, bo nagle robię się nerwowy. Głupio mi, że tu przyszedłem, ale i tak muszę mu to powiedzieć.

— Dobrze widzieć, że wracasz do życia — stwierdza.

— Haddie jest z Ry — wyjaśniam, mimo że nie pytał. — Musiałem spędzić trochę czasu na torze.

— Jak poszło?

— Dobrze. Spoko. Przywaliłem w ścianę.

*Czas na podjęcie walki lub ucieczkę, Colton.* Powiedz, co masz do powiedzenia.

— Colton?

Wyrywam się z zamyślenia nad tym wszystkim, co chcę powiedzieć, lecz nagle nie potrafię tego ubrać w słowa.

— Przepraszam. — Wzdycham, ściągam czapkę i przeczesuję dłonią włosy.

— Powiedziałem, że nie mogło być zbyt dobrze, skoro przywaliłeś w ścianę. Dobrze się czujesz? — Wpatruje się we mnie szarymi oczami tak samo, jak robił to w dzieciństwie. Szuka duchów, których nie uda mu się znaleźć.

— Tak. Nie. — Potrząsam głową. — Nie mam pojęcia. — Śmieję się nerwowo, a on siada na kanapie z ostrożnym wyrazem twarzy i patrzy na mnie, jakby przekazywał mi spojrzeniem „powiedz mi, co cię trapi”.

Wstaję z miejsca, na którym właśnie usiadłem, i podchodzę do ściany pokrytej mnóstwem zdjęć ze mną i Q. jako dziećmi. Ten dom był w każdym znanym człowiekowi magazynie o stylu życia, a moja mama ozdobiła ścianę zdjęciami w ręcznie robionych ramkach, jakby idealnie pasowały do krzesła Ludwika jakiegoś tam, na którym nie wolno mi było siadać. Jestem zdenerwowany, niespokojny i muszę to po prostu z siebie wyrzucić.

— Nie miałem prawa prosić cię wtedy o podwiezienie. — Nie to zamierzałem powiedzieć, ale co tam, może być i tak. Patrzy na mnie ojcowskim wzrokiem, a w jego ciele i spojrzeniu widać walkę między zapytaniem o więcej a poczekaniem, aż sam coś dopowiem.

— Nie rozumiem.

Oczywiście nie masz zamiaru mi tego ułatwić, co? *Cholera.* Wzdycham. Poruszam się. Chodzę. Po raz kolejny przeczesuję dłonią włosy.

— Gdy poprosiłem cię, żebyś mnie zawiózł na spotkanie z moim... Ech...

— Kurwa. Nie potrafię tego wypowiedzieć. Nie mogę używać takiego samego słowa wobec tamtego śmiecia i tego mężczyzny przede mną, który okazał się moim najlepszym superbohaterem.

— *Tata.* Możesz to powiedzieć, Colton. Ja dobrze znam swoje miejsce w twoim życiu.

— Wiem, ale to był dla ciebie policzek i nie dawało mi to spokoju. Nie powinienem cię o to prosić. — Odwracam się i spoglądam mu w oczy. — Albo mogłem ci powiedzieć, gdzie jedziemy. Dać ci wybór.

— Spędzanie czasu z tobą nigdy nie jest dla mnie policzkiem, synu. To, że

chciałeś w tamtej chwili być ze mną, znaczy dla mnie więcej niż potrafisz sobie wyobrazić.

Patrzę na niego z otwartymi ustami i mętlikiem w głowie. Nie zasługuję na niego. Nigdy nie zasługiwałem. Z całą pewnością jednak nie pozwolę mu odejść.

— To było tchórzliwe z mojej strony. — Nie wiem, co więcej mógłbym powiedzieć.

— Nic dziwnego, że cię to ciekawiło. Powinieneś raczej zadać sobie pytanie, czy uzyskałeś to, co chciałeś uzyskać.

— Uzyskałem. Nie uzyskałem. Cholera, jestem diabelnie wściekły, a nie mam pojęcia *dlaczego*. — Znowu zaczynam chodzić. Wkurza mnie to, że w ogóle się przejmuję.

— Dlaczego? Bo chciałeś, żeby cię rozpoznał, przytulił i nawiązał z tobą relację? — prowokuje mnie z pełną świadomością, że wcale nie o to mi chodziło. — Żebyście odbyli spotkanie zapoznawcze?

— Nie — wykrzykuję, uderzając dłonią w stojący obok stolik. Huk niesie się echem po pokoju, a ja próbuję okiełznać swój temperament. Nie chcę, żeby ta życiowa ofiara wyzwalała we mnie emocje. Jakiegokolwiek. Dlaczego więc czuję taki mętlik, skoro wszystko wydawało się tak pięknie poukładane i pozamykane? — Nie chciałem od niego niczego innego poza zobaczeniem go, żeby wiedzieć, kim nie chciałbym się stać dla Ace'a. *Zadowolony?*

— Oczywiście — odpowiada z cieniem uśmiechu, który wygląda jak szyderstwo. Zdarzało mi się już komuś przywalić za coś takiego, ale zmuszam się do oddychania. Rozluźnienia pięści. Przekierowania gniewu. *Przynajmniej spróbuj to zrobić.*

— Naprawdę? Mój chaos w głowie sprawia, że jesteś zadowolony? — cedzę przez zaciśnięte zęby.

— Nie. Ale sporo przeżyłeś w ostatnim miesiącu, Colton. Spadło na ciebie dużo nowych obowiązków i nie miałeś dotąd okazji, by się z tym uporać, więc zrób to teraz. Krzycz i wrzeszcz. Widzisz tę wazę obok siebie? *Rzuć ją*. Zobacz, jak rozpryskuje się o ścianę. Będę cię krył przed mamą. Powiem, że upadłem czy coś — stwierdza, unosząc brwi.

— Co? Zabiłaby cię. To jest jakiś antyk, którego nigdy nie pozwoliła nam dotknąć.

— Nawet lepiej. Kosztowne rzeczy wydają lepszy odgłos, gdy się rozbijają.

— Porąbało cię. — Śmieję się. Nie wiem, co mu odpowiedzieć, bo wygląda na śmiertelnie poważnego. O co tu chodzi?

— Cóż, trzeba być porąbanym, żeby być dobrym rodzicem. — Uśmiecha się nieznacznie, w oczach przeblýskuje mu coś ulotnego, a ja wiem, że za chwilę dostanę wykład. Szkoda, że nie wiem, jaki jest temat lekcji. Patrzę więc na niego i czekam, wiedząc z doświadczenia, że jeszcze nie skończył. Różnica jest taka, że

jako dziecko wpuszczałem to jednym uchem, a wypuszczałem drugim, lecz tym razem mam prawie pewność, że nie będę tak nonszalancki.

— Połącz za mnie te kropki, bo nie rozumiem. — Wywieszam białą flagę. Pomocy.

— Bycie rodzicem to najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek wykonywałem. Trudno mi nawet policzyć, ile razy kwestionowałem swój zdrowy rozsądek z tego powodu — wyjaśnia poważnym tonem. Wiem, że wiele tych razy było moją zasługą. — Zdarzają się sytuacje, w których musisz tak mocno ugryźć się w język, że boisz się, że po otwarciu ust będzie w dwóch kawałkach. Musisz dać z siebie wszystko, a i tak nieustannie będziesz w sobie wątpił, zastanawiając się, czy postępujesz właściwie, czy mówisz to, co trzeba, i czy jesteś taki, jak powinienes.

Patrzę na niego, jakby zwariował, mam jednak świadomość, że przekazał mi najszczerszą prawdę. Nie podjąłbym się polemiki z niczym, co przed chwilą powiedział.

— Zdarzają się jednak również sytuacje, gdy obserwujesz poczynania swojego dziecka i czujesz się tak dumny, że odbiera ci mowę. Zapominasz o wszelkich wątpliwościach, obawach, cierpieniach i chwilach, w których miałeś wrażenie, że zwariujesz. Tak właśnie się poczułem, gdy obserwowałem cię w drodze na spotkanie z ojcem. Tak się poczułem, gdy dowiedziałem się, że razem z Ry zamierzacie adoptować Zandera. Tak się czuję, gdy widzę cię w roli ojca. Do licha, synu, a wtedy, gdy Rylee zaniemogła, a ty przejąłeś wszystkie obowiązki i zająłeś się Ace'em? Jeszcze nigdy nie byłem tak dumny z ciebie.

Wolałbym się nie rozplakać, ale oczy pieką mnie od łez po tych pochwałach, których nigdy nie lubilem otrzymywać. Jednocześnie absolutnie je rozumiem, gdy sam stałem się ojcem.

— Jeszcze nigdy nie byłem tak dumny z ciebie, jak jestem teraz. *Tamten mężczyzna* — mówi, wskazując za siebie, żebym wiedział, że chodzi mu o mojego biologicznego ojca — nie zasługuje na to, żeby wiedzieć, jak wspaniałym człowiekiem się stałeś.

Mam wrażenie, że gula w gardle urosła do rozmiarów piłki futbolowej.

— Dziękuję. — Czuję się jak nieśmiały dzieciak, niewart tej bezwarunkowej miłości, jaką przez całe życie byłem darzony przez Andy'ego, pomimo tego, że nie zawsze byłem ideałem. Do diabła, kogo ja oszukuję? Przecież byłem koszmarny. Ale przemądrzała riposta, którą miałem na końcu języka, wyparowuje bez śladu, gdy spoglądam mu w oczy. Widzę w nich miłość, akceptację, dumę i inne rzeczy, z którymi jest mi bardzo niezręcznie. I wiem, że Ace musi codziennie widzieć to samo w moich oczach, żeby mógł poczuć to, co ja teraz czuję.

— Nie musisz mi dziękować, synu. — Patrzymy na siebie przez chwilę w milczeniu, w którym pobrzmiwają słowa niewypowiedziane przez te wszystkie



lata wspólnego życia. — W każdym razie... Na pewno nie przyszedłeś, żeby słuchać mojego trajkotania. Co mogę dla ciebie zrobić?

Typowe dla niego: wyłuszczyć obowiązujące prawa, a potem zachowywać się tak, jakbyśmy wcale nie byli w sądzie.

— Wierz mi lub nie, ale i tak udzieliłeś mi odpowiedzi.

I to niejednej, tylko całe mnóstwo. Pokazał mi, jak przekształcić ból w mądrość.

Najważniejsze, że mogę przy nim być tym, kim chcę być, że prowadzi mnie, gdy tego potrzebuję, i że pozwala mi samemu rozwiązywać swoje problemy, gdy jestem zbyt uparty, by poprosić o pomoc. Przy nim dojrzałem, zdobyłem doświadczenie i miałem możliwość gonienia pieprzonego wiatru na wyścigach. To dzięki temu, że przez ten cały czas był przy mnie i mnie nie osądzał, stałem się takim mężczyzną, jakim jestem dzisiaj.

Cóż, teraz moja kolej odegrać tę samą rolę wobec Ace'a.

## *Rozdział 41.*

### *Rylee*

Budzę się gwałtownie.

Ręce Coltona zsunęły się ze mnie podczas snu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak twardo spałam. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest wspomnienie numer nie mam pojęcia jaki, w którym biegaliśmy po kostarykańskich lasach.

*Nago.*

Mam wrażenie, że we wszystkich wymyślonych przez niego wspomnieniach jestem nago. Dość zabawne. A może i nie.

Siadam na łóżku i spoglądam na śpiącego w łóżeczku Ace'a. Ma rączki wyciągnięte za głowę i nawet przez sen porusza ustami w geście ssania. Ciekawe, jakim będzie typem osobowości. Jaka będzie jego przyszłość? Przed oczami przebiegają mi krystalicznie czyste wizje: pierwszy uśmiech, pierwsze kroki, pierwszy dzień w szkole, pierwsza randka. Tych obrazów małego chłopca z czarnymi włosami, zielonymi oczami i piegami na nosie jest tak wiele, że mam wrażenie, jakbym już kiedyś je widziała.

Nagle jednak doznaję olśnienia, które uderza mnie jak piorun z jasnego nieba. Nie czuję tego przygniatającego przerażenia. Nawet przez chwilę nie zabarwiło na czarno moich myśli i nie ukradło ani grama mojego spokoju.

Czekam na to. Mam nadzieję na najlepsze, ale spodziewam się najgorszego. Ale nie ma ani paniki, ani potu, ani wrażenia, że czyjeś palce zaciskają się na moim gardle.

Jedyne, co się pojawia, to łagodny uśmiech na moich ustach. Nie jest wymuszony i nie wynika z poczucia winy i przekonania, że powinnam udawać, że mi się poprawia. To szczerzy, naturalny uśmiech.

Pojawiają się łzy. Wielkie, wilgotne grochy spływają mi po policzkach. Zabawne jest to, że smak soli na ustach jest jak zapach soli trzeźwiących, które pomagają wrócić do rzeczywistości po omdleniu. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale po raz pierwszy od sześciu tygodni po narodzinach Ace'a czuję się pozytywnie nastawiona i pełna nadziei... *Jakbym była sobą.*

I tak siedzę na przepastnym łóżku i patrzę na tego słodkiego chłopca, którego desperacko pragnę wziąć na ramiona, ale pamiętam, jak kapryśny był, gdy Colton próbował go odłożyć. Mimo to mam ochotę przytulić go mocno do piersi i powiedzieć mu, że w całym tym chaosie nigdy nie przestałam go kochać. Przeprosić go. Powiedzieć mu to wszystko, o czym nigdy się nie dowie i czego i

tak by nie zapamiętał, ale ja dzięki temu poczułabym się nieco lepiej.

Jestem nim zahipnotyzowana. Mam wrażenie, jakbym patrzyła na niego po raz pierwszy w życiu. I w pewnym sensie tak jest, bo on przez ten czas tak bardzo się zmienił i rozwinął. Czuję, jakbym miała sporo do nadrobienia, chociaż wiem, że mam na to całe życie. Z wahaniem wyciągam dłoń, żeby go dotknąć, ale wycofuję się, gdy zaczyna się wiercić, bo wyczuwa ode mnie mleko.

Odsuwam się z powrotem na poprzednie miejsce, lecz nadal nie potrafię oderwać od niego wzroku. Jest taki śliczny. Moje upragnione maleństwo. Mój as w talii pełnej zwykłych kart.

Ta myśl wywołuje mój uśmiech. Przypomina mi się pierwsze spotkanie z Coltonem — zatrzaśnięty schowek, pierwszy pocałunek, lęk przed tak silnym przyciąganiem między playboyem a grzeczną dziewczynką — gdy po raz pierwszy nazwałam go Ace'em.

Absorbujące spotkanie, które doprowadziło do tej chwili. Tu i teraz. Czuję w sobie taki ocean miłości, że mogłabym w nim utonąć. Co byłoby bardzo miłe po tym, jak przez tyle dni tonęłam w smutku.

Patrzę na niego. Na mojego boleśnie przystojnego męża. Ciemne włosy, nieco dłuższe niż zwykle, opadają mu na czoło. Czarne rzęsy na tle brązowej skóry. Doskonale niedoskonały nos. I te usta, które co noc przez pięć tygodni opowiadały mi szeptem o wspomnieniach, jakie musimy razem stworzyć.

Nieokrzesanie, bunt, brawura. Te słowa wciąż się do niego stosują. Jak i wiele innych, po których się czerwieni, przewraca oczami i zbywa je, bo zakłócają jego nienaruszalną fasadę stoika. Najbardziej chodzi mi teraz po głowie słowo *opoka*. Bo tym właśnie dla mnie jest.

Jest dla mnie wszystkim.

Tak samo jak w przypadku Ace'a — wyciągam dłoń i wycofuję się. Zasluguje na to, by porządnie się wyspać. Zasluguje na ciszę i spokój, bo to on przez tak długi czas musiał radzić sobie z moim hałasem. Ale nie mogę się powstrzymać. Nigdy nie mogę, jeśli chodzi o niego.

Nachylam się i całuję go delikatnie w usta. Chcę tylko poczuć jego bliskość. Moje ciało wciąż się regeneruje, a mój sterany umysł nawet nie myśli o seksie, lecz to zwyczajne zetknięcie ust utwierdza mnie w przekonaniu, że czegoś wciąż mi brakuje.

To prawdopodobnie złudzenie, mój umysł płata mi figle, lecz iskra pocałunku rozpała każdą część ciała, które przez tak długi czas było uśpione przez depresję.

Ujmuję jego twarz w dłonie i całuję go ponownie. Pragnienie przeradza się w pożądanie, a pożądanie w żądzę. Tak bardzo potrzebuję poczuć jego dotyk, który nie będzie koił, tylko zaspokajał.

Westchnienie. Zaskoczony wzrok po otwarciu oczu. Przykrycie mojej dłoni

swoją.

— Rylee. — I ten głos. Seksowny, zaspany głos, którym mnie rozpala, a wypowiadając moje imię, kradnie mi duszę.

— Tak. To ja — odpowiadam, mając na myśli wszystkie możliwe znaczenia tych słów. Z zaskoczenia otwiera szerzej oczy i rozchyła usta, po czym przyciąga mnie do siebie. Z jedną dłonią na moich plecach, a drugą z tyłu głowy przytula mnie mocno do klatki piersiowej.

Nasze serca się łączą. Mam wrażenie, że jego serce za chwilę wyskoczy z piersi, wybijając razem z moim chaotyczny, lecz znajomy rytm.

Przyciska mnie mocno do siebie i nie puszcza. Wiem, że już raz mnie stracił, i cieszę się, że zrobi wszystko, żebym znowu nie odeszła.

Subtelna szorstkość jego zarostu, gdy ociera się o mój policzek, przekonuje mnie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że mam przed sobą człowieka, który mnie kocha. Bezwarunkowo.

Wciąż czuję od niego woń mydła i szamponu po wieczornym prysznicu. Wchłaniam ten zapach domu, spokoju... i bezpieczeństwa.

Wszystko wydaje się jednocześnie nowe i tak bardzo znajome. Ten, kto powiedział, że aby odnaleźć siebie, trzeba się najpierw kompletnie zgubić, miał absolutną rację.

Colton chwyta mnie za włosy i odciąga moją głowę, żeby spojrzeć mi przez oczy prosto w duszę. Pyta mnie wzrokiem, czy to sen i czy jestem tu naprawdę. Nie potrafię zareagować w żaden inny sposób, jak nachylić się i zakosztować jego ust. Ich smak — niezapomniany, na stałe wryty w mojej duszy — rozbudza me zmysły w tej samej chwili, gdy czuję go na języku.

Poruszamy się po omacku.

Dwie dusze odnajdujące się na nowo.

Najlepsi przyjaciele wdzięczni za to, że znaleźli swoją drugą połówkę.

Kochankowie odkrywający się nawzajem w intymnym tańcu języków i gorączkowym dotyku spragnionego ciała.

Dwie części układanki, które w końcu na nowo odnalazły utracony spokój.

*Po raz kolejny.*

## *Epilog — część 1.*

*Colton*

*Osiem miesięcy później*

Budzą mnie turbulencje.

Tak przynajmniej powiem dwudziestu paru osobom po drugiej stronie drzwi. Ale z całą pewnością to nie turbulencje mnie budzą. Absolutnie. To wsunięta w moje spodnie dłoń Ry, którą drapie mnie w jądra, i jej miękkie jak marzenie, całujące po szyi usta.

— Ry... — wzdycham.

— Ciiii — syczy ostrzegawczo w moją skórę. Całe moje ciało jest już w pełnej gotowości po jej przebudzeniu. Wsuwa drugą dłoń pod moją koszulkę. Paznokcie na nagiej skórze. Skubnięcie zębami małżowiny usznej. Jej gorący oddech na mojej szyi. — Twoja mama zajęła się Ace'em, ty spałeś, a ja byłam napalona.

Do licha.

Zerkam na drzwi kabiny, żeby sprawdzić, czy zasuwa jest zamknięta, po czym odchylam głowę i zamykam oczy. Wtedy ona robi językiem coś, co wysyła impuls elektryczny wzdłuż kręgosłupa prosto w miejsce, w którym muska mnie palcami.

— To dobrze — odpowiadam, a ona dosiada mnie i całuje w usta. Języki i zęby. Chciwość i namiętność. Wilgoć i twardość. Ależ ona jest seksowna. Jak diabli. — Ale tym, że jesteś napalona, nie wyciągniesz ze mnie celu naszej podróży.

Chwilowe zawahanie w jej ruchach zdradza mi, że trafiłem i że faktycznie dążyła do wymuszenia zeznań przez orgazm. Cóż, całkiem przekonujący sposób torturowania, ale ja nie zamierzam niczego wyśpiewać.

Może zaczekam i jej powiem. Byłem z nią w wielu miejscach, ale nie trafiliśmy jeszcze do klubu osób, które uprawiały seks w samolocie.

Może czas do niego wstąpić.

Rylee się prostuje i patrzy na mnie drwiąco z determinacją w oczach. Ale jej kwaśna mina mówi mi, że nadal będzie próbowała zmienić moje zdanie.

Próbuj do woli, Ryles.

— W takim razie będę musiała zająć się sobą.

*Nie waż się.* Przekazuję jej to spojrzeniem, lecz moje usta milczą. Jestem zbyt skupiony na wędrującej po piersiach dłoni, na twardych sutkach wypychających cienką bawełnę bluzki. Zsuwa dłonie w dół i powoli, centymetr po centymetrze, unosi luźną spódniczkę. A potem jej dłonie wsuwają się pod materiał i przestają cokolwiek widzieć.

Odchyła głowę, rozchyła usta i wydaje z siebie ciche westchnienie, gdy zaczyna poruszać dłonią w dobrze znany mi sposób. Szybkie ruchy palców, którymi pociera łechtaczkę.

Ja pieprzę.

Kolejny cichy jęk. Wygina plecy w łuk, wypinając piersi. Ruchy dłoni stają się szybsze i mocniejsze. Jej sukienka unosi się nieco bardziej i dostrzegam wilgoć jej podniecenia na palcach.

Bawi się mną, a ja nie mogę jej nic zrobić. Igra z ogniem, chociaż wie, że chcę być jedynym, który pociera tę zapalną.

Moje polano jest już w pełni gotowe i czeka na pierwszą iskrę.

W ułamku sekundy przewracam Rylee na plecy, unieruchamiam jej dłonie nad głową i zatrzymuję twarz o kilka centymetrów od jej twarzy.

— Nie igraj z ogniem, kotku — rzucam szydlerczo, zaciskając zęby w próbie okiełznania swojego popędu.

Zapach jej podniecenia na palcach wypełnia moje nozdrza. To jak najbardziej wyrafinowana pokusa. *Nie tylko ty potrafisz grać w tę grę, kochana.* Biorę jej palce w usta i zaczynam ssać. Owijam je językiem, rozkoszując się ich uzależniającym smakiem. Czuję, jak wierci się pode mną, a z jej ust dobywa się gardłowe westchnienie.

— Nie waż się nawet jęknąć — szepczę z jej palcami w ustach.

Ostatnie liźnięcie. Ostatnie zakosztowanie tego smaku. Patrzę na nią pode mną. Rozchylone usta, zarumienione policzki i ciężkie od pożądania powieki. Ucieleśnienie seksu.

I całe szczęście, bo zamierzam wkroczyć i sięgnąć po to, co należy do mnie. Jej orgazm. Jej jęki. Ślady drapania na mojej skórze. I wszystko inne, co się wydarzy.

— Spłoń, kochanie, spłoń — mruczy kusząco z błyskiem w oczach, gdy puszczam jej dłonie, żeby uwolnić członek. Zsuwam spodnie na uda, a ona podciąga spódniczkę jeszcze bardziej, doprowadzając się na krawędź orgazmu.

To takie podniecające. Obserwowanie jej seksualności. Tego, jak sprawia sobie przyjemność. Nie potrafię się jednak pohamować przed tym, by ją osiąść, zawłaszczyć, zdobyć, więc to właśnie robię.

Z jedną dłonią na jej gardle i z członkiem w jej cipce oddaję się uzależnieniu, jakim mnie ze sobą związała. Jedenaście kilometrów nad jakimś nieznanym miejscem Rylee dochodzi bardzo szybko. Napina nogi, wbija wzrok we mnie i

ściąga usta. Przykrywam je dłonią, żeby stłumić jej jęki. Wyraz jej twarzy i pulsowanie cipki wokół mojego członka pociągają mnie w stronę krawędzi.

Gdy odzyskuję oddech i spoglądam na nią, mogę tylko potrząsnąć głową.

— Masz punkt za to, że się starałaś — szepczę i przyciskam usta do jej ust — ale nawet twoja magiczna cipka nie ma takiej mocy, by zmusić mnie do zeznań.

Śmieje się. Nic więcej nie może zrobić.

Do licha, ale ze mnie szczęściarz.

## *Epilog — część 2.*

### *Rylee*

Budynek lotniska to chata kryta strzechą. Prosto z prywatnego odrzutowca wsiadamy do czekających samochodów i ruszamy szutrową drogą z koleinami, które wymagają naprawdę dobrego zawieszenia. Oglądam grube, zielone liście, słuchając piosenki Bena Montague w radiu, a moja ciekawość rośnie wraz z każdą przejechaną dziurą.

Gdzie my, do licha, jesteście?

Przypominam sobie wyrazy twarzy chłopców, gdy wychodziliśmy z samolotu na asfalt. Nieprzerwany gwar ich rozmów. Śmiech moich rodziców, którzy zostali wciągnięci w przygotowania do tajemniczych rodzinnych wakacji Coltona. Wymianę porozumiewawczych spojrzeń między Becksem i Coltonem. Uściśnięcie mojej dłoni przez Haddie, zanim wsiedliśmy do czekających na nas aut. Deszcz pocałunków, jakim obdarzyli Ace'a jego adoptowany brat i sześciu pozostałych braci — którzy przyjęli do rodziny najmłodszego członka, bo my nieoficjalnie przyjęliśmy ich — tuż przed rozdzieleniem się na trzy samochody. Szczęście, które przepelniało moje serce, gdy Zander podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Niewypowiedziane słowa, które sobie przekazaliśmy. Podziękowania dla mnie i Coltona za to, że go ocaliliśmy, lecz mimo to pozwoliliśmy mu nadal być częścią rodziny, jaką stworzył wraz z pozostałymi chłopcami. Nieznaczny uśmiech na jego ustach i przechylenie głowy, którym milcząco pytał, czy może jechać z chłopakami zamiast z nami, utwierdziło mnie w przekonaniu, że podjęliśmy właściwą decyzję. Że ocalając Zandera, nie skrzywdziliśmy pozostałych.

Po tym wszystkim ruszyliśmy.

Dwa vany: jeden z Becksem, Haddie i chłopcami, a drugi z Andym i resztą rodziny. Mnóstwo śmiechu przy wsiadaniu i zamykaniu drzwi i szczątkowe wyjaśnienia Coltona przez radio, sprowadzające się do słów, że „już prawie jesteśmy”.

I nasza trójka w dziupie. Samochód podskakuje na nierównościach terenu, skłaniając mnie do skupienia się na widokach. To prawdziwe szczęście, że mam przy sobie ich wszystkich. Chłopców. Rodzinę. Męża.

*Mam wszystko.*

Cóż, prawie wszystko, bo nie wiem, gdzie jesteście, dlaczego zostaliśmy rozdzieleni i dokąd zmierzamy.

Zerkam na Coltona. Wiem, że nie ma sensu pytać go po raz kolejny, bo i tak



mi nie odpowie.

*Żyj na krawędzi ze mną, Ry.*

Wypowiedziane kiedyś przez niego słowa wywołują mój uśmiech. Mam ochotę powiedzieć mu, że będę żyła na samych krawędziach, dopóki on będzie przy mnie i mnie nie opuści. Ale wiem, że nie mam się czego obawiać. Udowodnił mi, że mnie nie opuści, więc robię jedyne, co mogę w tej sytuacji: potrząsam z niedowierzaniem głową i akceptuję to, że moje serce jest przepelnione miłością do niego.

Tak wiele przeszliśmy przez ostatni rok. Zdarzenia, których nigdy bym się nie spodziewała, spadły na nas jak grom z jasnego nieba, oślepiły nas i rozłożyły na łopatki. A mimo to jesteśmy tutaj, silniejsi. Zdaję sobie sprawę z tego, że przetrwaliśmy znacznie gwałtowniejsze burze niż te, które rozbijają większość związków.

*Ale czyż nie było to oczywiste? Wiesz, że to jest trwałe, co?*

Zerkam do tyłu na Ace'a. To dla niego tak niezmordowanie walczyliśmy o odzyskanie naszego spokoju. Sprawia wrażenie, jakby ta trudna podróż w ogóle go nie obeszła. Przyglądam się jego czarnym włosom, nieznacznie podkreślonym na końcach, i uśmiecham się bezwiednie, gdy uświadamiam sobie to idealne połączenie koloru włosów Coltona z moimi lokami. Ace kieruje we mnie swe zielone źrenice, które kradną moje serce za każdym razem, gdy na mnie spojrzy. Jaki ojciec, taki syn.

Gaworzy sobie o czymś, wydymając policzki i wymachując rączkami. Nie mam pojęcia, gdzie jedziemy, ale wiem, że będzie zachwycony, mając przy sobie wszystkich braci, dziadków oraz ciotce i wujków, którzy zapewnią mu nieprzerwaną uwagę.

— Zgubiliśmy ich — mówię z niepokojem, bo oderwawszy wzrok od Ace'a, zauważam, że nie ma za nami pozostałych samochodów.

— Becks wie, gdzie ma jechać. Dadzą sobie radę — odpowiada Colton i milknie. Mam ochotę chwycić go za tę seksowną szyję i wydusić z niego informacje o tym, gdzie jesteśmy i dokąd jedziemy.

— Jesteś pewien?

— Uhm.

Do diabła! Próbowałam seksu w samolocie, słodkich słówek i wszystkiego innego, co przyszło mi do głowy, ale nie, ten facet jest uparty jak osioł. Mam nadzieję, że mam odpowiednie ubrania do tego miejsca, bo nie mogę powiedzieć, żeby pozwolił mi się spakować. Kto by przypuszczał, że po pierwszym wyścigu w sezonie polecimy samolotem z St. Petersburga Bóg wie dokąd?

Na pewno nie ja.

Zerkam do tyłu na Ace'a. Zamykają mu się oczka. Najwyraźniej usypia go kołysanie samochodu. Gdy odwracam się z powrotem, rozpościerający się przede

mną widok zapiera mi dech w piersi. Biały piasek, kołyszące się na wietrze palmy i mała chatka na palach nad krystalicznie czystą taflą wody.

— Colton! — Patrzę to na niego, to na widok przede mną. Na jego ustach powoli rozkwita nieśmiały uśmiech, a na brodzie pojawia się dołeczek, lecz to jego spojrzenie najbardziej mnie hipnotyzuje.

Coś mi świta. Coś zagrzebanego głęboko w odmętach pamięci, ale niepotrzebnie próbuję to odkopać, bo wszystko, co trzeba, mam przed sobą.

Colton otwiera drzwi. Oglądam się za siebie i postanawiam pozwolić Ace'owi pospać przez chwilę, żeby móc podziwiać krajobraz. Wsiadam z auta, a Colton obchodzi je od przodu i zbliża się do mnie z porozumiewawczym uśmiechem i miłością w oczach.

— Poznajesz to miejsce? — pyta z przechyloną głową i wyciąga ręce, żeby mnie objąć.

— Co? Colton! To jest... — Jestem zszokowana, zaciekawiona, wbita w ziemię i pełna wdzięczności, gdy patrzę na niego z dezorientacją.

— Chciałem nam zrobić rodzinne wakacje. Wszyscy na nie zasłużyliśmy po tym roku, nie sądzisz? — pyta. Znam go na tyle dobrze, że wiem, iż coś przede mną ukrywa. Ale nie mam pojęcia co.

— To miejsce jest niesamowite. — Przytulam się do niego, rozglądając się na boki i chłonąc otoczenie.

— I odizolowane — dodaje, przykuwając moją uwagę.

— Lubię odizolowane miejsca — szepczę.

— A stroje kąpielowe są opcjonalne.

Śmieję się beztrósco.

— Z całą pewnością — odpowiadam i znowu coś mi świta, ale tym razem przypominam sobie wszystko. I zwała mnie to z nóg. Zapiera mi dech. Chwyta mnie za serce i ściska tak mocno, że cała klatka piersiowa boli mnie z miłości.

Spoglądam mu prosto w oczy — fiolet w zieleń — i wykrztuszam z siebie szepcem:

— To... To jest z... — Potakuje z szerokim uśmiechem i czeka, aż mój umysł dogoni zagubione słowa. — Gdy byłem chora. To jest jedno ze wspomnień, które chciałbyś ze mną stworzyć — dokańczam z namaszczeniem, bo nie wierzę, że naprawdę to dla mnie zrobił.

— Dokładnie — szepcze i muska ustami moje wargi w najczulszym z pocałunków. Takim, który kradnie duszę i wypełnia serce. — To pierwsze z wielu wspomnień, jakie zaplanowałem z tobą przeżyć. Będziemy musieli kupić znacznie więcej ramek, żeby je wszystkie pomieścić.

— Colton... — W moich oczach wzbierają łzy. Przytulam się do niego mocniej, bo doniosłość tej chwili odbiera mi mowę.

— Oczywiście tam na łóżku czeka na ciebie bardzo skąpe bikini, które jest

przeznaczone tylko dla moich oczu. Możesz też z niego zrezygnować i chodzić nago.

— Chodzić nago? — powtarzam i odwracam się w stronę samochodu, w którym śpi Ace.

— Po to właśnie mamy naszą rodzinę w olbrzymim domu jakieś pięć kilometrów stąd. To nasi baby-sitterzy — wyjaśnia, unosząc na moment brwi.

— Pomyślałeś o wszystkim — szepczę w jego usta.

— Uhm — potwierdza i całuje mnie w nos.

— Nie mogę się doczekać zobaczenia cię w przepasce biodrowej.

Odchyła głowę i wybucha śmiechem, którego wibracja przenosi się na moją pierś. Patrzę na niego i także się śmieję. Bo nasze małżeństwo nauczyło nas, że musimy się śmiać równie często, jak oddychamy, i darzyć się taką miłością, jakbyśmy byli dla siebie powietrzem, które pozwala nam robić i jedno, i drugie.

Patrzę na jego zarośnięte policzki, szmaragdowe oczy i ciemne włosy i widzę szczęście. Czuję miłość. I spełnienie. Pragnę być z nim na zawsze.

Z moim mężem.

Moją opoką.

Moim spokojem.

Twórcą moich wspomnień.

Moim szczęśliwym zakończeniem.

**KONIEC**

## *Podziękowania*

Dziękuję wszystkim kobietom w moim życiu, dzięki którym staję się lepszą pisarką, przyjaciółką, matką i córką oraz — co najważniejsze — lepszym człowiekiem: Brook, CJ, Willy, Wendy, Jeni, Susan, Christine, Laurelin, Lauren, Amy i TOBIE. Uwzględniam także WAS — czytelniczki, blogerki, administratorki, członkinie klubu VP Pit Crew — w tej grupie wspaniałych kobiet, które nieustannie mnie prowokują, wspierają, uczą i rozwijają. Bez Was nie osiągnęłabym tego wszystkiego.

# PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
- The image features four hands, two from the top and two from the bottom, holding four puzzle pieces arranged in a square. Three pieces are olive green, and one in the bottom right is red. The hands are positioned as if they are about to place the pieces together.
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
  2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
  3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW  
w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA  
 **Helion SA**

## Spis treści

Inne książki K. Bromberg Prolog Rozdział 1. Colton Sześć miesięcy później  
Rozdział 2. Rylee Rozdział 3. Rylee Rozdział 4. Rylee Rozdział 5. Colton Rozdział  
6. Rylee Rozdział 7. Colton Rozdział 8. Rylee Rozdział 9. Colton Rozdział 10.  
Colton Rozdział 11. Rylee Rozdział 12. Rylee Rozdział 13. Colton Rozdział 14.  
Rylee Rozdział 15. Rylee Rozdział 16. Colton Rozdział 17. Rylee Rozdział 18.  
Colton Rozdział 19. Rylee Rozdział 20. Colton Rozdział 21. Rylee Rozdział 22.  
Colton Rozdział 23. Rylee Rozdział 24. Rylee Rozdział 25. Colton Rozdział 26.  
Rylee Rozdział 27. Colton Rozdział 28. Rylee Rozdział 29. Colton Rozdział 30.  
Rylee Rozdział 31. Rylee Rozdział 32. Colton Rozdział 33. Rylee Rozdział 34.  
Colton Rozdział 35. Rylee Rozdział 36. Colton Rozdział 37. Rylee Rozdział 38.  
Colton Rozdział 39. Rylee Rozdział 40. Colton Rozdział 41. Rylee Epilog — część  
1. Colton Osiem miesięcy później Epilog — część 2. Rylee Podziękowania

